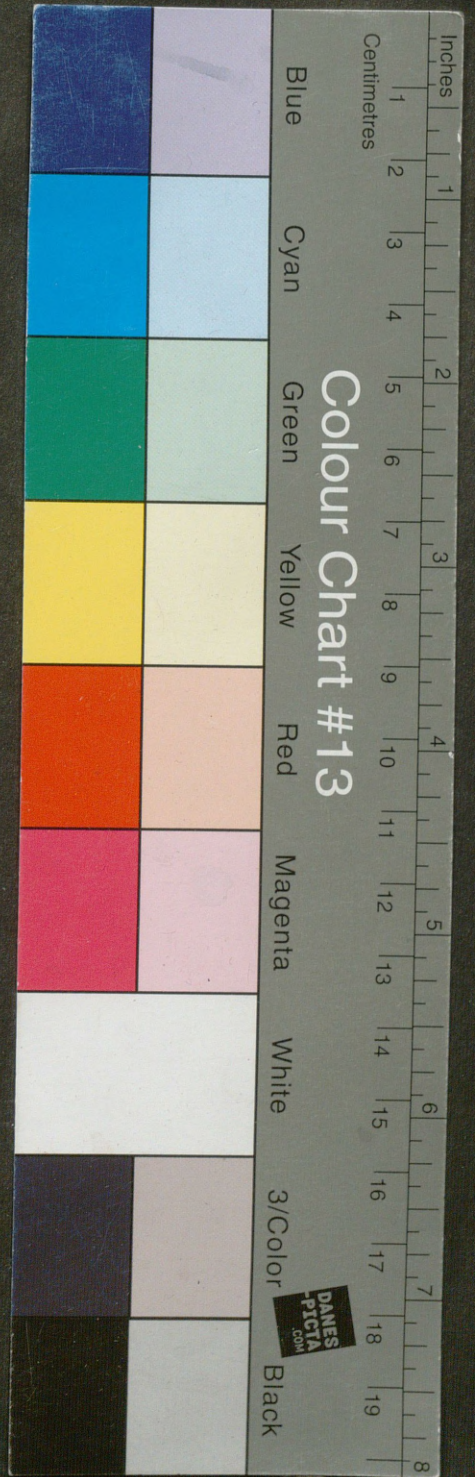
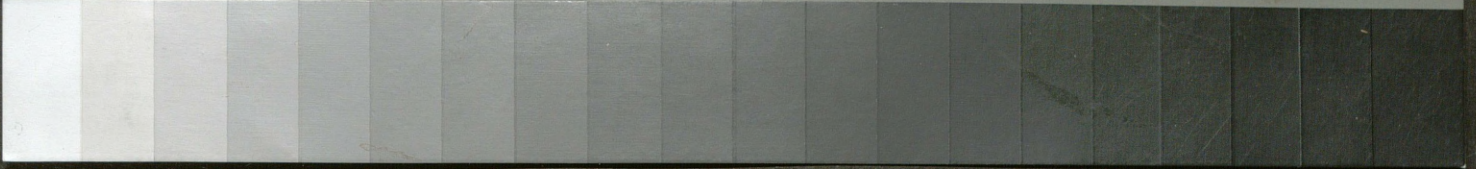


Grey Scale #13

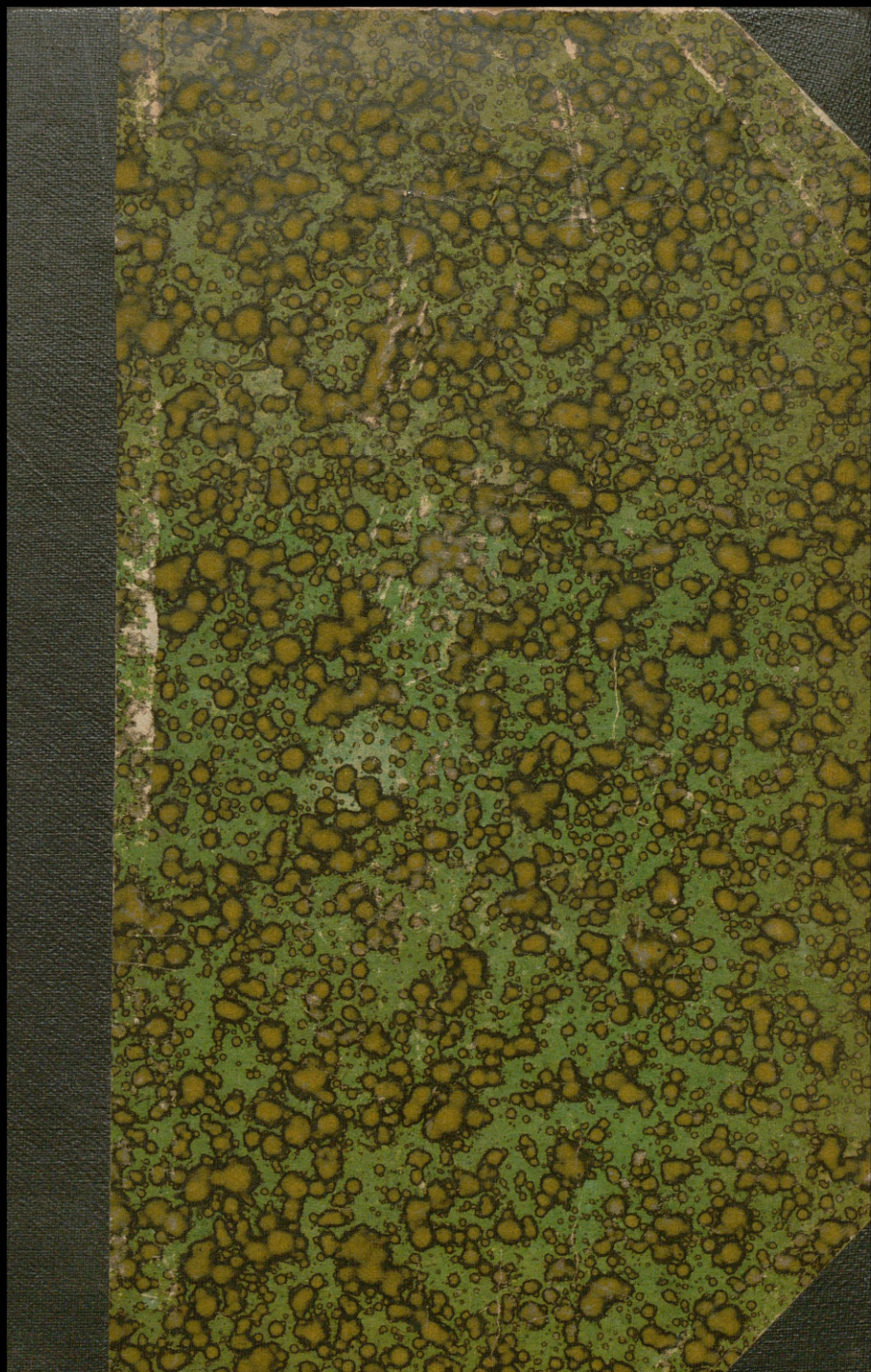


DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



DANES-PICTA .COM



WYCHOWANIE MŁODZIEŻY

WITCHAMBLE, MILDREY

WYCHOWANIE MŁODZIEŻY

NA PODSTAWIE DZIEŁA Dra F. W. FÖRSTERA

OPRACOWAŁ

WIKTOR DOLEŻAN



KRAKÓW
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA

1910

37(93)G ; 371.1

WYCHOWANIE MŁODZIEŻY

NA PODSTAWIE KOLEJNYCH WYDZIAŁÓW

WYDZIAŁ

WIKTOR ROLĘŻAN



DRUKARNIA "CZASU" POD ZARZĄDEM A. ŚWIERZYŃSKIEGO

PRZEDMOWA.

Etyczny ruch w kołach wolnomysłnych posiada bezsprzecznie niezmiernie doniosłe znaczenie dla potężnego przesilenia kulturalnego terażniejszości. Nie należy go pomijać choćby z tego względu, że oznacza on bądź co bądź pożądaną powrót do kultury wewnętrznej. Prawie jednorodna zgoda wręcz przeciwnych prądów na tem polu przekonywa dostatecznie, jak ważną jest rzeczą, właśnie w wieku najnamiętniejszych rozdziałów religijnych nawiązywanie do istniejącego jeszcze, wspólnego skarbu interesów etycznych i doprowadzanie ludzi stąd do samopoznania i znajomości życia, umożliwiających jedynie głębsze zrozumienie religii. Takiej metodyki potrzebują w równej mierze wszystkie strony walczące: niewierzący, gdyż z braku pogłębienia zasadniczych pytań etycznego wychowania nie są zupełnie zdolni do zrozumienia religii: wierzący, bo nie umieją przedstawić swego światopoglądu w sposób żywy, za mało opierają się na najprostszym etycznym doświadczeniu, uczą raczej dedukcyjnie, a nie przez indukcję.

Dr. Fr. W. Förster, docent filozofii i pedagogiki w politechnice i na uniwersytecie w Zurychu, zabiera od szeregu lat we wszystkich ważniejszych etycznych kwestjach wychowania młodzieży poważny głos. Wystarczy wspomnieć o jego »Pedagogice płciowej« (Sexuelle Pädagogik) i o książce p. t. »Szkoła a charakter« (przyswojonej już językowi polskiemu). Jednakowoż najważniejszym jego dziełem będzie

zawsze »Jugendlehre«, która na przeszło 700 stronach tekstu podaje niezmiernie wiele najcenniejszych wskazówek i przykładów dla wychowawców wszelkiej kategorii, a której treść w zasadniczym brzmieniu ujmujemy w mniejszych rozmiarach, opuszczając szczegóły nasz ogół mniej obchodzące p. t. »Wychowanie młodzieży«. Rzecz ta może dać głębsze i szersze podwaliny etycznego oddziaływania nietylko w szkole, domu i kościele, ale i w zakładach poprawczych, więzieniach, internatach, gniazdach sierocych itp.

Wśród walki różnych światopoglądów zbiera i wyjaśnia autor w »Wychowaniu młodzieży« te zasady etyczne, które niezależnie od odmiennych zapatrywań na rzeczy ostateczne, mają szczególne znaczenie dla całokształtu wychowania moralnego. Dzisiaj, gdy zobojętnienie szerokich warstw ludności dla Kościoła i religii jest tak wielkie, gdy krytyczny duch czasu występuje przeciw wszelkiej tradycji, zachodzi konieczna potrzeba dawać młodzieży obok dogmatyczno-religijnych pouczeń wyjaśnienia etyczne, wiążące się bezpośrednio z obserwacją życia i z doświadczeniem własnym.

To też Dr. F. W. Förster oparł wnioski i przykłady swej książki o doświadczenia poczynione na kursach etycznych, urządzanych od roku 1897 w Zurychu dla chłopców i dziewcząt różnego wieku. Nie przypadkowo stało się, iż w podanych przykładach wyzyskuje wyłącznie społeczne i naturalne uzasadnienie momentów etycznych a unika apelu do religijnych wyobrażeń i uczuć. Niemniej z całą stanowczością zastrzega się przeciw mniemaniu, jakoby stał na równi z radykałami, domagającymi się zastąpienia w wychowaniu i w życiu religii samą moralnością. Właśnie praktyka pedagogiczna umocniła go niewzruszenie w przekonaniu o trwałem etycznym i wychowawczem znaczeniu religii. Wszelkie pozornie bezreligijne wychowanie pozostaje w istocie pod głębokim wpływem religijnej powagi i sankcji. Pogląd o zbyteczności religijnych środków wychowawczych dlatego tylko panuje w tak szerokich kołach współczesnych

wychowawców, że na polu pedagogiki charakteru nie mają za sobą ani obszernej praktyki, ani wyłącznych, skoncentrowanych studyów. O tem trzeba dobrze pamiętać, gdyż cały szereg pisarzy filozoficznych i pedagogów czysto intelektualnych postawił mnogość twierdzeń abstrakcyjnych, pozostających w jaskrawem przeciwieństwie do istotnych faktów i potrzeb ludzkiej natury. Autor liczy też na to, że »Wychowanie młodzieży« rodziców obojętnych we wierze przekona o niebezpieczeństwie, tkwiącem w trzymaniu dzieci zdala od wpływów religijnych.

Zachodzi jeszcze pytanie, czy przez za wiele pouczeń etycznych młodzież nie utraci swej pierwotnej świeżości? »Wychowanie młodzieży« stara się właśnie przeszkodzić temu niebezpieczeństwu, apelując w miejsce ganień i napominania do świeżych sił młodzieńczych. Zresztą jest faktem, że dzieci wychowane bez głębszego kształcenia woli i serca nie są wesołemi, owszem drażliwymi mrukami, nieumiejącymi poradzić sobie z małemi, czy wielkimi przeciwnościami życia. Bowiem siła daje radość, brak jej budzi niezadowolenie.

Musimy jeszcze dodać, że przykłady, utrzymane celowo w formie swobodnej pogadanki, nadają się dla chłopców i dziewcząt w wieku od 11 do 15 lat.

W S T Ę P.

W objawach życiowych dzisiejszej cywilizacji panuje przede wszystkim dążność człowieka do przeniknięcia i ujrzenia zewnętrznego natury. Stoimy dzisiaj na wyżynach świeckiej kultury, której cechą jest kierowanie myśli i uczuć ludzkich ku rzeczom podrzędniejszej wagi. Patrzymy z pogardą na gruzы dawnych symbolów wewnętrznych, dumą napawa nas władztwo nad zewnętrżnością. Chwalimy się, że telegraf i telefon, koleje i parowce połączyły narody tyśiącem nowych nici, chociaż w istocie uczyniły je stokroć sobie odleglejszemi; w gorączkowym pośpiechu współczesnego życia nie mamy na tyle spokoju, aby zastanowić się nad samymi sobą, nad bliźnimi, skutkiem tego ślepiemy, stajemy się drażliwsiymi we wzajemnych stosunkach, oddalamy coraz chýżej od wewnętrznego skupienia, które jedynie mogłoby dać spokój ludziom na ziemi. Odkrywamy bieguny i nowe łądy, prześwietlamy promieniami kościec, dalekowiedz i mikroskop otwierają codziennie nowe światy, a mimo wszystko nie znaleźliśmy nowych metod do prześwietlenia ludzkiej duszy.

Niedawno pewien włoski polityk nazwał największem niebezpieczeństwem nowoczesnego rozwoju fakt, że rasy niższe, na pół cywilizowane zdobywają coraz więcej technicznych środków współczesnej cywilizacji, nie wchłaniając zarazem kultury duchowej i moralnej, któraby im umożliwiła należyte korzystanie z tych zdobyczy. Zachodzi pytanie, czy

te t. zw. wyższe rasy posiadają już duchową i moralną dojrzałość do użytecznego korzystania z niezmiernych środków technicznych, które im stworzyły nauki przyrodnicze. Czy te zdobycze ducha służą istotnie do pogłębienia życia duchowego, lub czy też, otwierając bezmiar materialnych rozkoszy i bezgraniczne spotęgowanie potrzeb, nie prowadzą ostatecznie do zdziczenia i upowierzchnienia życia ludzkiego?

Niebezpieczeństwo, o którym wspomina ów włoski polityk, spoczywa raczej we wnętrzu dzisiaj panujących ras, niż w Azji, Afryce. Cała istota naszej kwestyi społecznej ześrodkowuje się ostatecznie w tem, że nasze panowanie nad darami natury zewnętrznej nie idzie w parze z ujarzmieniem pierwiastka pierwotności i zwierzęcości w ludzkiej naturze. Cywilizacya rozporządza technicznie przyrodą, rozwija różnorodne potrzeby, — kultura podporządkowuje indywidualne wymagania pod duchowe siły życiowe, daje człowiekowi panowanie nad samym sobą; bez takiej kultury cywilizacya nie może rokować długiego żywota.

Ponieważ mniej więcej wszyscy czujemy, że rozstrzygnięcie sprawy, czy nasze społeczeństwo posiada dość siły, by techniczną cywilizacyę poddać pod kulturę duszy, jest kwestyą życiową, — żyjemy w stuleciu reform. Ale i w formach przebija utrata świadomości rzeczy istotnych, najważniejszych. Zamiast rozpocząć od stanowczej pieczy nad człowiekiem wewnętrznym i dążyć do wyswobodzenia się z pęt egoizmu, rozplływamy się w drobnostkach, poświęcając dlań wewnętrzne oczyszczenie i pogłębienie.

Dlatego dzisiaj wierzący i niewierzący mogą mieć tylko jedno jedyne zadanie, uczynienie zbawienia duszy ludziom drogiem, doprowadzenie do rzeczy najważniejszej: do miłości, pokory, pokonania samego siebie.

»Co chcemy wprowadzić w życie, musimy najpierw zaprowadzić w szkole«, powiada Humboldt. Jeśli zatem kulturę chcemy leczyć z rozbicia, musimy zacząć od szkoły. A jakże pielęgnuje współczesna szkoła kulturę? Jest ona

przede wszystkim odbiciem dzisiejszego życia; brak jej jednolitości, najwyższego celu, któremu by było podporządkowane wszystko inne. Podaje ona pewną sumę wiadomości, by przygotować do walki o byt, lub osiągnąć ogólne wykształcenie, ponadto nieco nauki religii z masą materiału pamięciowego, w jej ramach również nieco etyki, tak nawiasowo, bez pogłębienia jej stosunku do życia rzeczywistego i do innych przedmiotów życia szkolnego. Gdyby nawet szkoła była zakładem przygotowującym do pewnego zawodu, musiałaby objąć swym planem kształcenie charakteru i etykę, bo często dzisiaj upadają ludzie w swym zawodzie nie z braku wiadomości, zręczności, ale że nie posiadają podstawowej mądrości postępowania z ludźmi, zdolności panowania nad sobą, pozbycia się zgubnych przyzwyczajęń. Nieraz uda się wprawdzie niejednemu wypłynąć przy pomocy niesumiennych praktyk, ale tem bardziej cierpi ogół wśród podobnego powodzenia. Jedną z wielkich złud XVIII wieku, dotąd nie wykorzenioną, sprawia, że w nowoczesnej szkole świadome współdziałanie w kształceniu charakteru nie wybiło się na naczelne miejsce. Złuda ta powiada, że oświata ludowa jest równoznaczną z umoralnieniem, że etyczne kształcenie jest pobocznym wynikiem oświecenia intelektualnego. Kto zna życie, musi przyznać, że sama wiedza może nawet stać się szkodliwą, jeżeli wcześniej nie podporządkujemy jej pod kształcenie charakteru. Prawdziwe wykształcenie polega nie na tem, że się coś wie, ale na co się wie i w jakim związku z rzeczami najwyższymi i najważniejszymi. Nie na tem zależy, że się umie czytać i pisać, ale co się czyta i co się pisze.

Czy nasza oświata ludowa spełnia zadanie takiego kształcenia? Czy nie można jej aż do uniwersytetów uczynić zarzutem, że rozsiewa wiedzę i wiadomości bez ugruntowania człowieka w rzeczach istotnych, bez przyswojenia mu wiadomości, któreby pobudzały sumienie, pogłębiły samopoznanie, nauczyły rozumieć naturę ludzką, zaostrzyły wzrok dla prawa skutków i przyczyn w ludzkim działaniu? Iluz

dzisiaj takich, co się wynoszą nad innych, że więcej od nich umieją, iluż synów, nie szanujących z tego tytułu swych ojców, córek mądrzejszych rzekomo od matek! Jak dalece uczucie niedostatecznego kształcenia młodzieży opanowuje nawet sfery robotnicze, które zwykle przeceniają znaczenie wiedzy, świadczą rozmyślenia pewnego angielskiego przywódcy robotników. Powiada on między innymi: »Opanowanie większego materiału naukowego rozwija dumę i pogardę dla pracy ręcznej, stępia wyższe, społeczne uczucia obowiązku, a gdy chłopcy dojrzeją, brak im zainteresowania sprawami, które za młodych lat entuzjazmowały starszą generację. Taka oświata ludowa umożliwiła był takiemu piśmni, jak »Daily Mail« i jest źródłem dywidend, które mogą płacić firmy nakładowe naszej smutnej, peryodycznej »literatury«. Dzisiejszy młody robotnik nie ma w sobie idealizmu, walkę o postęp zostawia starym, których niezatruła cyniczna pewność siebie, uzyskana małą dawką »wyższego wykształcenia«. . . .« Istotnie co za smutny widok młodzieńca wchodzącego w życie z całym zasobem formuł i zręczności, ujarzmiających i poddających pod duchowe panowanie siły przyrody, a równocześnie bankrutującego duchowo wobec elementarnych potęg swego własnego wnętrza!

W jakież więc najskuteczniejszy sposób możnaby rozwiązać zadanie etycznego wychowania młodzieży? Nie ulega wątpliwości, że psychologicznie pogłębiona pedagogika moralna musiałaby pod względem metodycznym uznać wiele dzisiejszych nauk moralnych za niedostateczne. Za dużo moralizowania, nużącej tendencji, apelu do pobieżnych wzruszeń i to szczególnie w wypisach. Cała mądrość wychowania streszcza się w żądaniu, by uczący szukał nawiązania do materiału naukowego w otoczeniu dziecka, aby umiał pozyskać jego samodzielność do przyswojenia nauki. Tylko w wychowaniu moralnem uważa się tę zasadę za zbytę, lub uważa zadanie za prostsze, niż jest w istocie. Cnota ma oddziaływać pociągająco przez samą swą piękność, szcze-

gólnie gdy ją ilustrujemy wzruszającymi powiastkami treści moralizującej. W istocie buntuje się każde zdrowe dziecko z całej duszy przeciw skromności i porządkowi, pokonywaniu siebie i ofierze. O wiele lepiej będzie zatem zapewnić sobie w tym kierunku dobrowolne współdziałanie wychowanka; wiadomości można do pewnego stopnia wbić w głowę, kultury etycznej nigdy, gdyż jej istota polega na swobodnej samodzielności. Tymczasem, szczególnie w wypisach szkolnych, panuje illuzya, że żywe zainteresowanie dziecka sprawami moralnymi można obudzić opowiadaniem o wzorowej tendencji, że np. w tym sensie można materiały naukowe z historii, literatury zużytkować do kształcenia usposobienia. W ten sposób przemienia się dwie, zupełnie różne, sprawy psychologiczne: zainteresowanie dziecka wydarzeniami i sytuacjami opowiadania z interesem do naśladowania przedstawionych w niem czynności. Moralna pedagogika powinna wzbudzić właśnie ten ostatni interes. Najbardziej uzmysłowione stawienie przed oczy szlachetnych postępów nie pobudzi jeszcze woli dziecka, jeśli nie przeczuci się mostu do indywidualnego koła myślowego i życiowego dziecka, t. zn., jeśli dany czyn nie zostanie konkretnie przeniesionym w świat dziecięcych motywów i nawiązanym do powszedniości życia codziennego. Że n. p. Regulus dotrzymał Kartagińczykom przyrzeczenia i poszedł dobrowolnie na śmierć męczeńską, aby nie złamać danego słowa, to zaiste przykuwający obraz dla chłopców. Ale roztaczając ten obraz z energicznym napomnieniem, by zawsze wiernym pozostać danemu słowu bez względu na skutki, uczy się tylko moralności, a nie rozwija w pełni moralnej energii. Gdyż chłopcy widzą w teraźniejszości i przeszłości wielu sławnych ludzi, którzy lekko brali dane słowo, słyszą wiele śmiechu z takiej wierności zasadom, a przede wszystkim patrzą na wiele wypadków, w których pozornie można pozostać porządnym człowiekiem, a przecież uwolnić się od nieprzyjemności złamaniem słowa. Wywiera to naturalnie wpływ na dorastających, a chcąc ich przed tem uchro-

nić, nie wystarczy zaopatrywać podobnych pouczeń dogmatycznymi naukami moralności *ad usum delphini*, ale należy wziąć w obronę z całym naciskiem konkretne znaczenie wierności danemu słowu wobec całego świata sofizmatów, musi się pożądanie takiej stałości uczepić jakby na kotwicy w głębi serca chłopca, pobudzić go, by w drobiazgach w żądany sposób postępował. Inaczej ten sam uczeń, którego tak bardzo interesowały losy Regulusa, złamie, jako młodzieniec, lekkomyślnie dane przyrzeczenie, aby się wydobyć z przykrewj sytuacji. Natomiast jeśli uda się nauczycielowi chłopców nakłonić, ażeby z tem samem uczuciem stałości i siły, z jakim radośnie wykonują trudne ćwiczenia gimnastyczne, kilkakrotnie dotrzymali punktualnie drobnego przyrzeczenia, i jeśli im wytłómaczy się, że ten rodzaj stałości pociąga za sobą cały szereg innych, wówczas pouczenie nawiąże w sposób żywy wiadomości abstrakcyjne ze wszystkimi naturalnymi popędami. Sama znajomość przepisów moralnych nie sprowadzi głębszego moralnego wykształcenia, gdyż abstrakcja nie zdoła pobudzić do czynności zasadniczych sił charakteru. Nie powinno się wychodzić od zakazu, lecz od dziecka, należy poznać te siły i interesy, które biegną w kierunku pożądanego działania moralnego, a potem trzeba tym siłom dać należyte pożywienie. Słusznie też powiada Pestalozzi: »Pozwalałem ożywionym uczuciom poprzedzać każdą cnotę; uważałem bowiem za złe, mówić z dziećmi o rzeczy, o której nie umiały same nie powiedzieć. Do uczuć nawiązywałem ćwiczenia w przewycięzaniu samego siebie, aby w ten sposób dać im bezpośrednie zastosowanie w życiu«.

Weźmy pod uwagę taki przykład: Jednym z najtrudniejszych zagadnień pedagogiki moralnej jest wychowanie w panowaniu nad sobą. Rozrastający się ustrój dziecka żąda przestrzeni do rozwoju na wszystkie strony; odżywianie odgrywa w fizyologicznej budowie ciała rolę rozstrzygającą, więc odpowiednie popędy występują z wszechwładną naiwnością. Czyż rozkaz powściągliwości nie będzie żądaniem

sprzeciwiającem się najprymitywniejszym instynktom życiowym dziecka, represją, ograniczeniem, zanim cały obszar indywidualności zostanie ugruntowany? Wychowawca musi być zupełnie świadomym całej trudności swego zadania, świadomym, jak ważną jest dla całego moralnego bytu świeża, pędząca w górę siła, gdyż inaczej na korzyść zewnętrznej tresury zabija żywą inicjatywę dziecka.

Na nic nie przyda się tu gołosłowna nauka o obowiązkowości, z daleka może imponująca i powodująca zewnętrzny posłuch, ani skutecznymi nie będą anekdoty o dawnych Rzymianach, przykłady panowania nad sobą, jak Mucyusz Scewola. Dziecko nie jest Rzymianinem, ma inny temperament, żyje w innym środowisku społecznym, niż Mucyusz Scewola, w społeczeństwie, którego wytyczną jest spotęgowanie potrzeb, zniechęcałość, nareszcie nie zna środków samokarności, zapomocą których ów Rzymianin doprowadził do tak wysokiego stopnia swą stałość, a nawet choćby znało, nie na wieleby mu się przydały wobec współczesnej nerwowości. Ów przykład, pozornie tak dobitny, staje się wobec dzisiejszego dziecka niemal bezwartościowym. Jakżeż zatem »nauczyć« panowania nad sobą? Wychowawca musi najpierw rozjeźrzeć się, czy wśród naturalnych skłonności i interesów dziecka niema takich sił, które dałyby się wyzyskać do ćwiczenia panowania nad sobą tak, aby podobne żądanie było dla dziecka nie ograniczeniem, ale dowodem siły, świadectwem dojrzałości. Zadanie wychowania nie wymaga w zasadzie, by zmieniać przyrodzony charakter, owszem wychowawca posługuje się nim, mobilizując jedną stronę przeciw drugiej. Wogóle należy zawsze wyzyskiwać naturalne wydarzenia młodej duszy, wygrywać jeden popęd przeciw drugiemu.

W życiu dziecka waży wiele sprawa panowania nad sobą, gdy chodzi o dokuczania, przerywania, wyśmiewania i oczerniania. Młodzież jest naturalnie skłonną do najszybszego przeciwdziałania, a ujarzmienie tych instynktów przychodzi z trudnością. Postępowanie w tym wypadku musi

przedewszystkiem zmierzać do powiązania odnośnych wymagań z naturalnem uczuciem i chceniem dziecka, a potem przenieść się w odpowiedni zakres pojęć. Z początku dla chłopca silnego niema nic nieprzyjemniejszego i mniej zrozumiałego, jak myśl wyrzeknięcia się odwetu. Uchodzi to za oznakę słabości, tchórzostwa. Czyż nie można wykazać, że chodzi tu o sąd powierzchowny? Że w nieodpowiedzeniu na obelgę, lub w odpłaceniu jej uprzejmością objawia się właśnie najsilniejsza samodzielność, często nadludzka siła? Samodzielność o tyle, że się nie naśladowuje drugiego, nie poddaje się zarazie, pozostaje sobie samemu wiernym, nie oglądając się na świat zewnętrzny.

Przedstawiając ujarzmienie popędu odpłaty w tem świetle, zyskuje się najsilniejszy magnes dla pożądania samodzielności, które u młodzieży jest silnie rozwinięte i jest właściwym powodem odruchowej obrony przeciw obcym zaczepkom. Konkretna pedagogika podetnie zatem korzenie instynktom odwetu pokazując, że samodzielność można skuteczniej i głębiej w inny sposób osiągnąć i tę głębszą metodę obrony otoczyć aureolą siły i bohaterstwa. Wychowanie i nauczyciela musi zatem iść w dwóch kierunkach: Rzeczywisty świat dziecka poznać dokładnie, a z drugiej strony moralne wymagania pojmować ze względu na ich istotną treść, na stosunki do innych obszarów życia i ze względu na ich stronę społeczną i biologiczną.

Aby poznać stosunek dzieci do panowania nad sobą wystarczy przyrzeć się ich wysiłkom podczas zabawy, ich wytrwałości, ćwiczeniom we wzajemnem patrzeniu w twarz bez roześmiania się, lub uprzytomnić sobie, jakim powodzeniem cieszą się t. zw. gry cierpliwości. Kto patrzył na ruch abstynencki między młodzieżą zauważył, jaką rozwija się energię, gdy chodzi nie o zakaz, ale o żądanie okazania siły wewnętrznej. Bo przecież nawet picie uprawia się w wyższych klasach nietyle dla istotnej przyjemności, jak dla okazania swej dojrzałości, że się potrafi dużo »znieść«. To samo

dotyczy palenia tytoniu. Z temi naturalnemi dążnościami młodzieży trzeba się sprzymierzyć, pobudzić jej zrozumienie i upodobanie we wszelkiego rodzaju pokonywaniu siebie i umiarkowaniu, okazując zarazem, że chodzi tu o najwyższe czyny dorosłego i samodzielnego człowieka. Wobec różnorodnych motywów i interesów wieku dziecięcego jest rzeczą ważną dla pedagoga przenieść żądania moralne na pole tych młodzieńczych skłonności. Wielu chłopców zajmują np. żywo cuda nowoczesnej techniki, lubią czynić doświadczenia z elektrycznością i czytają o nowych zwycięstwach ducha nad materią chętniej, niż o wojnach i podróżach. Wyzyskajmy zatem to zamiłowanie, przedstawmy panowanie nad sobą jako cud ludzkiej techniki, najwyższy tryumf ducha. Porównajmy nagromadzenie siły elektrycznej w butelce lejdejskiej z napięciem sił woli przez zesumowanie najmniejszych przezwyciężeń, a zaciekawione dziecko będzie eksperymentować i na tem polu. Autor zwracał uwagę dzieci podczas nauki, że spiesząc się rano do szkoły można podczas sznurowania trzewików, gdy się ma do pokonania trudności dobrego zawiązania, ćwiczyć cierpliwość i karność nerwów, a więc przez stosowne obchodzenie się z obuwiem nabrać siły moralnej. Naprowadzał też swych wychowanków na myśl, że w naszych czasach nie ten jest bohaterem, kto węzeł rozerwie, rozetnie, lecz go z cierpliwością rozplącze.

Wychodząc z tego samego stanowiska można również uczniów naprowadzić na właściwe znaczenie postu i wszelkiej powściągliwości, aby ich przyzwyczaić do myśli, że prawdziwa męskość musi przejść przez jakąkolwiek formę ascetyzmu. Ascetyzm nie jest czemś ściśle chrześcijańskim, uciekającym od świata, gdy już w czasach rozkwitu Grecji uchodził za środek samowychowania dla wszystkich głębszych natur. Amerykański psycholog i pedagog James posuwa się nawet tak daleko, że żąda, aby codziennie wykonać coś wbrew własnej rachubie, i w ten sposób ćwiczyć w surowości przeciw samemu sobie. Co do karności panują wogóle

dzisiaj dwie ostateczności. Jedna amerykańska, według której dzieci podczas nauki mogą robić, co się im podoba, gdyż siedzenie spokojne jest nienaturalnym i druga o wojskowej surowości, utrzymująca porządek postrachem kary. Trudno w istocie pozwolić na zupełną samowolę, ale prawdziwa pedagogika powinna karność zamienić na samokarność, pozyskać dziecko dla ćwiczeń w pokonywaniu siebie, obudzić chęć do zdobycia siły i stałości. Z pobudek tych powinno się korzystać jeszcze w wyższej mierze, celem starannego wykonania nieprzyjemnych prac szkolnych.

Przejdźmy teraz do stosunków społecznych i zastanówmy się, jak ma ten moment etyczny nauka rozwijać. Rozważmy najpierw pojęcie miłości bliźniego. Czyż miłości można uczyć? Naturalnie nie przez samo uwielbienie miłości bliźniego, opowiadania, lecz przez zużytkowanie istniejących u wychowanka sił. Tak jak przy panowaniu nad sobą rozchodzi się tu o dwie sprawy: w jaki sposób da się na gruncie istniejących zdolności krzewić miłość, współczucie, ofiarność i jak istniejącą ku temu wolę pokierować na właściwą drogę praktycznego zastosowania? Pierwsze zadanie jest o wiele trudniejsze szczególnie, jeśli chodzi o usunięcie przeszkód, paraliżujących istniejące z natury współczucie n. p. gdy dziecię musi walczyć z odrażającymi rysami tych, których ma czcić i szanować, a brak mu znajomości życia, by widziało je w złagodzonej świetle. Drugie zadanie łatwiejsze pod względem pedagogicznym jest równie ważne, jak pierwsze. W świecie jest dużo dobrej woli, ale jeszcze więcej ślepoty, niezręczności, bezmyślności, braku znajomości ludzi, tak że nieraz miłość nie potrafi ujawnić się w należyty sposób. Tu więc trzeba przedewszystkiem myśli dzieci skierować na drogę konkretną n. p. w obchodzeniu się z chorými, wrażliwymi, nerwowymi, nieszczęśliwymi i t. p.

Przypatrzmy się bliżej środkom pedagogicznym mającym posłużyć do rozwiązania pierwszego zadania. Jeden z najwybitniejszych pedagogów amerykańskich, John Dewey, profesor

uniwersytetu w Chicago, powiada w jednej ze swych prac na wstępie, iż świat pedagogiczny nie uznaje możliwości uczenia moralności w szkole, a z drugiej strony jest przeświadczonym, że etyczne pouczenia w szkole należą do najkonieczniejszych postulatów współczesnych form wychowania. W dalszym ciągu uzasadnia, że uczenie zasad moralnych, prawienie o cnotach nie ma najmniejszej wartości, jeśli nie budzi się i nie ćwiczy tych sił i zdolności, na których spoczywa etyczny ład życia. Na nic się nie zda głośić przykazanie miłości, jeśli wychowanek nie wie, czego bliźni potrzebuje, gdy nie umie patrzeć w drugich duszę, wchodzić w obce położenie. Zdaniem profesora Deweya powinna zatem etyczna nauka ćwiczyć w tym kierunku wyobraźnię dorastających, aby powoli, od najwcześniejszych chwil w całym pojmowaniu życia przyzwyczaili się do uprzytomniania sobie losu bliźnich. Jak łatwo u dzieci obudzić współczucie zamiast wstrętu i sztydzenia, jeśli dając im pod rozwagę dziwaczne lub odpychające przyzwyczajenia ludzi z kół ich znajomych, krewnych, wyjaśnimy zarazem związek zachodzący między rozwojem charakteru a wpływami życia. Ileż zdrowej ciekawości objawiają dzieci dla takich ludzkich związków, żądzy wiedzy, która szuka, niestety, ujęcia w obmawianiu, jeśli nie weźmie się jej na usługi ludzkości, nie skieruje na właściwe tory.

Dostojewski skreślił w powieści »Idyota« wzorowy obrazek »nauki moralności«. Przejżdżający kupiec francuski uwiódł ze sobą dziewczę z pewnej wsi, a potem porzucił. Wraca do domu unicestwiona, cała wieś prześladowuje ją i odrzuca. Gdy się ukaże, dzieci rzucają na nią kamieniami. Cierpi chłód i głód, wreszcie zapada na suchoty. Kiedy raz wpadła znowu w ręce dokuczających, rozbestwionych dzieci, t. zw. idyota, szlachetny książę powstrzymał napastników słowy, że opowie im powiastkę. Powiastka zawierała dzieje dziewczęcia. Opowiedział, ile cierpiała, jak ciężko została za winę ukarana; pozwolił dzieciom wejść w życie ludzkie

i pozyskał je odrazu na swą stronę. Odtąd przynosiły dzieciwczęciu kwiaty i chleb, uprzyjemniały ostatnie chwile nieszczęśliwej ku zdumieniu i zgorzeniu starszej generacji.

Oddziaływanie duchowe uczącego polegało na tem, że otworzył oczy dzieciom na fakta, które bezmyślnie pominęły. Ileż okrucieństwa, bezwzględności płynie w życiu tylko z takiego zaślepienia, ile surowych sądów i nieporozumień. Jednak kształcące działanie nie płynie z samej świadomości. Uświadomienie wywołuje zmianę praktyki, a ta uszlachetnia charakter. Dzieci przynoszące zamiast rzucać kamieniem, kwiaty, zmieniły się niepostrzeżenie wewnątrz, a zmianę sprawadziło dobre słowo.

W podobny sposób powinno się postępować w innych sprawach społecznych. Nie sucha nauka o obowiązkach, ale wprowadzenie do społecznej rzeczywistości, aby wychowanek nauczył się patrzeć innemi oczami na życie. Ogromnie różnorodny materiał naukowy otworzy się przed nauczycielem, który zechce wyłożyć, ilu ludzi różnych ras i krajów musiało pracować nad każdym, choćby najniklejszym przedmiotem użytku i środkiem żywności. Na wyższych stopniach należy rozpatrzeć nasze dobra duchowe, ile w nich spoczywa męczeństwa, ile współdziałania wszystkich plemion i narodów streszcza w sobie cywilizacja artystyczna, umysłowa i moralna. Przez takie odsłonięcie realnego życia budzi się społeczny pietyzm, a wyplenia ciasnotę serc. W ten sposób da się także wzajemnie dopełnić pouczenia etyczne i religijne. Etyka wskazuje na wielki związek ludzkiej pracy, której zawdzięczamy chleb i poleca pamiętać o tem wdzięcznie podczas używania. Wówczas dadzą się także obydwu zapatrywania zjednoczyć w nauce, że błogosławieństwo Chrystusa tylko tam jest, gdzie pamiętają skromnie i z wdzięcznością o wspólności życiowej. Kapitalnym błędem nie tylko etycznego wychowania, ale całego wykształcenia jest za małe kładzenie nacisku na podstawowe oryentowanie się w objawach rzeczywistego życia społecznego. Znamy świetnie prze-

szłość, im odleglejsza, tem lepiej panujemy nad datami, posiadamy nieco szlif u przyrodniczego, wiemy o pochodzeniu człowieka, ale niestety nie umiemy zdać sprawy z pochodzenia artykułów codziennego użytku, z handlu światowego, z podziału pracy, z warsztatów, z życia ludzi w nich pracujących. A chyba każdy musiał zauważyć, jak żywo obchodzą dzieci te właśnie wiadomości. Nic na świecie, nawet bajki, powiastki, nie zajmą ich żywiej, jak historia życia ich zabawek, sprzętów. Niezniszczalne upodobanie do Robinsona Kruzo e opiera się przeważnie o ten interes, dlaczego więc nie użytkować go do rozszerzania wiadomości o człowieku?

Ważnym rozdziałem społecznego wychowania jest dla dzieci obchodzenie się ze służbą. Łajania, kary, bicie nie wiele tu pomogą, więcej spokojne omówienie sprawy. Aby dziecko pobudzić do stawienia się w położenie służących, zapytajmy poprostu, czy i dlaczego praca tej kategorii ludzi jest cięższą niż innych. Działwa badana przez autora potwierdziła zapytanie z następujących powodów: 1. Gdy przyjdą goście i wesoło bawią się, mają najwięcej do roboty. 2. Muszą ciągle słu chać, co i nami ciężko przychodzi. 3. Wszystko co oczyszczą, na nowo się brudzi. 4. Gdy chorujemy, kochają nas ze zdwojoną siłą, gdy oni chorują, gniewamy się i t. p. Mając te odpowiedzi, dał autor nowe pytanie: Cóżbyście zrobili, by ulżyć ich ciężkiemu położeniu? Z mnóstwa pomysłów załuguje na wyszczególnienie projekt, że bardzo kształcącym będzie, jeśli czasem dziecko pomoże wyczyścić schody w domu lub naczynia kuchenne.

Istotnie w kwestyi sług ma największe znaczenie objaśnienie o wartości ludzkiej pracy i uwolnienie od bezmyślności. Z naciskiem należy uwydatnić, że wartość pracy nie zależy od narzędzi ją wykonywujących, lecz od sposobu, w jaki zostanie wykonana, że najbardziej umysłowa praca może człowieka wewnątrznie uczynić gorszym, jeśli będzie wykonywana bez staranności i sumienności i na odwrót, że

praca fizyczna może być uszlachetnioną przez dodatni wpływ wykonywującego ją. Te wskazówki są też o tyle ważne w wychowaniu chłopców, że przyzwyczajają od zarania szanować domową pracę kobiety, zamiast osądzać wartość ludzkiego działania jedynie według stopnia oddalenia od pracy fizycznej. . . .

Różnicy między metodą abstrakcyjną a konkretną nie może na polu etyki nie lepiej zobrazować, jak stosunek dzieci do rodziców. We francuskich książkach umoralniających widzi się zawsze rodziców jako dwa nieporównane wzory: ojciec pracuje do późna w nocy dla rodziny, myśli tylko o żonie i dzieciach, w domu rządzi matka, anioł miłości i zapobiegliwości; któżby takich rodziców nie cenił i nie szanował? Tymczasem każdy wie, że to abstrakcja, takich rodziców niewiele pa świecie. Lepiej zatem dzieciom pomódz, aby czwarte przykazanie wykonywały nawet wśród ciężkich warunków. Gdy ojciec pije, albo siedział w więzieniu, rodzice żyją w ciągłej kłótni, lub kiedy dziecko pozna słabe strony ich charakteru, wówczas nie pomogą żadne rozkazy i ilustracje wzorowych stosunków rodzinnych. A przecież nauki moralne powinny raczej brać wzgląd na ciężkie stosunki, bo w normalnych, wzorowych rodzinach niepotrzebnym jest przykazanie »czcij i kochaj«. Prawdziwa nauka życia powinna zatem dziecku pomódz w wytłómaczeniu konkretnych doświadczeń jego życia, aby nie hamowały wykonywania przykazań, owszem ugruntowały świętość społeczeństwa rodzinnego, wymagającą pietyzmu dziecięcego bez względu na zachowanie się rodziców. Jeżeli rodzice sprzeniewierzają się swym obowiązkom, to już ich rzecz, ale nie wolno im ze strony dzieci odmawiać czci w tonie i zachowaniu tem bardziej, że nieraz w ten sposób sprowadza się słabych rodziców na tory obowiązku. Utrata uczucia miłości i szacunku dla rodziców z powodu jakichś bolesnych, odpychających wydarzeń, może doprowadzić do bankructwa moralnej egzystencyi dziecka. Naturalnie wychowawca nie może wów-

czas rozwijać uczuć, które nie mają podłoża, ale może zastąpić je innymi uczuciami n. p. głębszem uczuciem litości i odpowiedzialności, obudzić świadomość, że nie tylko dzieci rodzicom, ale i rodzice są dzieciom powierzeni i że właściwie dzieci przez swój takt mogą im w ciężkich stosunkach przyjść z pomocą. W nowszych czasach każe się szkole prowadzić walkę z alkoholem, ale czy zawsze pytamy się przy tem, co mają począć z czwartem przykazaniem wychowankowie, których rodzice piją. Z tej kolizyi widzimy, jak zagmatwaną jest w gruncie rzeczy sprawa etycznego nauczania, ile wymaga starannego przygotowania i ostrożności.

Trudność sytuacji odnośnie do czwartego przykazania nie zawsze jest tak wielką. Głównie potrzebną jest pomoc szkoły w tym względzie w latach dojrzewania, gdy pożądanie samodzielności prowadzi do zatargów ze zwyczajową powagą rodzicielską. W tym okresie będzie zatem rzeczą najważniejszą poważne omówienie znaczenia samodzielności i osobowości. Wyzyska się pedagogiczny popęd do emancypacji, ale też pogłębi pojęcie tego oswobodzenia wykazując, że kaprys i upór są oznaką słabej natury, a pokonanie samego siebie na korzyść pietyzmu prowadzi do siły wewnętrznej, dojrzałości. Należy również dorastającej młodzi wykazać, że życie rodzinne jest szkołą dla późniejszego życia w społeczeństwie. Stosunek do rodziców, do rodzeństwa da się z tego stanowiska porównać z późniejszymi stosunkami życiowymi. Rodzina, spełniając to wychowawcze powołanie, daje zarazem podstawę całemu życiu towarzyskiemu; kto to zrozumiał i objawia dobrowolnym szacunkiem i podporządkowaniem siebie, ten posiadał prawdziwe wykształcenie. Nawet jeśli ktoś dozna krzywdy ze strony rodziców, nie powinien unosić się zuchwałością, bo uszanowanie należy się rodzinie, jako uświęconemu porządkowi życia.

Cenną metodą etyki co do znajomości życia jest nauka o wzroście przyzwyczajzeń. Ileż ciężkich losów zawisło nad życiem ludzkim tylko skutkiem braku kontroli drobnych

przyzwyczajeni, bezmyślności postępowania. Zatem i tu zamiast bezowocnych napominań postawmy zasadę moralną, i podajmy środki pomocnicze dla samowychowania, przez które, ćwicząc się w drobnostkach, można sobie zapewnić wpływ na własny los. Na tem polu szczególnie koniecznem jest uzupełnienie nauki religii konkretną etyką. Katechizm ma do czynienia z dorosłymi błędami dorosłych, nam chodzi o niedorośle grzechy maluczkich. Przykazanie »nie zabijaj« jest dziecku zupełnie obcem; nie potrzebuje ono zwalczać pokusy do mordu, ale wiele poządliwości i namiętności, które po dorostnięciu mogłyby je doprowadzić do zbrodni. Dziecku trzebaby zatem przykazanie tak przetłómaczyć: »Niechaj nie krzewią się w tobie skłonności i przyzwyczajenia, mogące doprowadzić cię do zabijania«. Ukażmy mu, dokąd prowadzi niepohamowany gniew, żądza zemsty, wszelka poządliwość, te małe początki w świetle tragizmu życiowego.

Omówienia trzeba łączyć z obrazami. Mówiąc o tworzeniu się wielkich i małych przyzwyczajeni, można doskonale młodszym dzieciom stawić przed oczy obraz śpiącego olbrzyma Guliwera, którego karły krępują. Tak samo dzieje się z człowiekiem nie czuwającym nad sobą; najdrobniejsze nałogi pętają go w łańcuchy. Wogóle posiada nauczyciel mnóstwo obrazów, gdy chce mówić o sumie drobnych działań w świecie moralnym: budowa wysp koralowych, bakterye i t. p. Jak w wiekach średnich nauki przyrodnicze opowiadały tylko o potworach i osobliwościach, tak dzisiejsza etyka mówi do terażniejszości niemal tylko o wielkich czynach bohaterskich. Tymczasem bohaterstwo miłości i cierpliwości w drobnostkach i jego udział w postępie ludzkości powinno kroczyć na czele nauki moralności.

Na podstawie powyższych wywodów mógłby niejeden sądzić, że autor żąda zupełnego usunięcia teoretycznych pouczeń o moralności z nauki. Tak nie jest. Skrupulatna znajomość treści prawa moralnego jest konieczną, chociażby znajomość nie wywoływała jeszcze żadnego działania. Sama dobra

wola nie wystarczy, jeśli brak jasnej i konsekwentnej idei o sensie i doniosłości moralnego żądania. Sofistycznego obejścia prawa moralnego można uniknąć tylko w ten sposób, że się uwagę dziecka kieruje na konkretną treść i zakres przykazania. Braki dotychczasowej abstrakcyjnej pedagogiki moralnej tkwią w tem, że nie pamięta się o tem, iż pokusy życia nie polegają na bezpośrednim buncie przeciw przykazaniu i prawu, ale że pewną czynność chcemy wyodrębnić z poza ważności ogólnego prawidła, bo brak jej formalnie i zewnętrznie cech zakazu.

Pestalozzi poczynił takie spostrzeżenia z chłopakami wiejskimi odnośnie do przykazania: »Nie kradnij«. Powiada on, że chłopcy wiedzą doskonale, iż kraść nie godzi się, ale za każdym razem szukają coraz nowych wymówek: »On mi także ukradł«. »Gdyby mógł, samby wziął«. »Co mu to zaszkodzi«. »Przegrałby i tak w karty«. »Nie wezmę ja, weźmie kto inny«. »Jego majątek pochodzi też z kradzieży«.

W myśl powyższych uwag Pestalozziego będzie również stosownem omówienie sprawy, czy wolno okradać lub oszukiwać właściciela majątku, pod względem moralnym nie zbyt czysto zdobytego. Nacisk położymy naturalnie na fakt, że jednostkom nie wolno samym dokonywać konfiskat, bo otworzyłyby się wrota samowoli, pożądliwości, zemście, a społeczeństwo zamieniłoby się wkrótce w arenę walczących zwierząt; że owszem podstawa społeczeństwa opiera się o wspólne uznanie stałych norm posiadania i wywłaszczania dóbr ziemskich, i że te normy można zmienić, ale tylko w drodze ustawodawczej, nie zaś przez indywidualne lub zbiorowe akty samowoli. Ważna to rzecz te zapatrywania wyczerpująco i pogładowo ugruntować, bo jakże często n. p. praktykanci w wielkich, niezbyt uczciwie prowadzonych interesach sprzeniewierzają bezmyślnie drobiazgi, nie znając społecznego znaczenia bezwzględного zakazu, a uczciwość uważając jedynie za stosunek osobisty między sobą a dotyczącym przedsięwzięciem. W tem rozumieniu należy objaśniać przykazanie

prawdomowności, wskazując, co trzeba rozumieć pod dokładnym oddaniem rzeczywistości. Już sama próba wywołania fałszywego wrażenia u słuchacza jest kłamstwem. To samo dotyczy wszystkich innych przykazań. Już sam Chrystus podczas kazania na górze dał różnym przykazaniom szersze znaczenie, wykazując, ile pozornie niewinnych czynów w miarę tendencji podpada pod przykazania i jak powierzchownym jest występowanie do walki dopiero wówczas przeciw złemu, gdy ono ukaże się w najgorszej formie zniszczenia. Bardzo głębokie znaczenie ma n. p. podciąganie zelżenia brata pod zabójstwo; człowiek nie może bez poszanowania dla samego siebie tak samo żyć, jak bez serca i bez płuc. Kto zatem przez prostackie poniżenie zniszczy te tkanki bytu życiowego, może stać się winnym nie tylko fizycznego charłactwa, samobójstwa zelżonego, ale i jego moralnej śmierci. Niechaj zatem nauczanie okaże wszystko, co należy rozumieć pod zabijaniem, gdzie zaczyna się szacunek dla świętości ludzkiego życia i o ile można być winnym zabicia, chociaż się nie wykonało ostatniego aktu. Iluż ludzi pędzi drugich z zimną krwią ku śmierci przez bezliतोny egoizm i pychę, ileż gubi się istnień przez ustawiczne drażnienie, zgryzoty i to z lekkomyślności, lub bezmyślności i ślepoty. Przykładami trzeba także objaśnić, że można zabić lekkomyślnymi przyrzeczeniami, nadziejami budzonymi niesumiennie i niedotrzymanymi później, a naodwrot rozbudzać uczucie odpowiedzialności za każde nasze słowo i czyn.

Z tego samego założenia wychodząc, należy omówić inne przykazania. Nietylko mowa i obmowa przez wydawanie fałszywego świadectwa niszczy dobre imię, lecz już sama mina, dwuznaczne słowo, mała niedokładność lub ton nie-należyty w powtarzaniu opowiadania. Do przykazania sumiennosci należy również niepodawanie dalej pogłosek i podejrzeń, zanim naocznie nie przekonamy się, że podejrzania są niestety uzasadnione. Nawet, jeśli jest coś złego, lepiej łagodzić i wyjaśniać, zamiast drażnić. Ponieważ najczęściej

ludzie są lepsi, niż ich uczynki, samo surowe potępienie błędu, wykroczenia jest fałszywym świadectwem, pomijając już ten fakt, że prawo nie pozwala nazywać złodziejem tego, kogo raz na złodziejstwie przychwytno. Znakomicie da się tu wyzyskać nauka dziejów powszechnych. Jeden przykład z historycznej krytyki źródłowej okaże uczniom, jak to samo wydarzenie stosownie do subiektywnego zapamiętania zupełnie inaczej przedstawia się. W życiu codziennym widzimy podobne wypadki, jak w dziejach, dlatego trzeba zawsze posługiwać się odrobiną krytyki, docierającej do źródeł wobec objawów jakichkolwiek plotek.

.....

ETYCZNE WSKAZÓWKI DLA POSZCZEGÓLNYCH PRZEDMIOTÓW NAUKI.

Nauka etyki nie tylko wymaga dla siebie osobnej godziny, ale nadto powinna całą naukę szkolną przenikać, użyżniać i łączyć z najwyższymi interesami człowieka. Cały szereg poniższych przykładów można zużytkować podczas godzin różnych przedmiotów; przyczyni się to do etycznego wykształcenia i do ożywienia różnych gałęzi wiedzy przez nawiązanie do spraw codziennego życia.

Szczególnie ważnem jest takie łączenie w naukach przyrodniczych, gdyż nasza techniczna kultura służy nie do wzrostu sił moralno-duchowych, ale do wzmożenia żądzy użycia i »komfortu«. Wprowadzić więc trzeba przez odpowiednie kojarzenie wyobrażeń nauki przyrodnicze w ścisły związek z wyższymi ideałami życia, należy przytłumić nieco dumę z powodu wspaniałego rozwoju techniki uwagą, że można posługiwać się telefonem a pozostać barbarzyńcą i że bez kultury sumienia świetna władza nad przyrodą doprowadzi znowu do pierwotnego zdziczenia. Dwa poniższe przykłady mają posłużyć do uniknięcia przeceniania zewnętrznej cywilizacji; pierwszy nadaje się dla dzieci w wieku od 10 do 14 lat, drugi jest streszczeniem swobodnej pogawędki z maturzystami.

Odkrycia i wynalazki.

»W roku 2000«, »Podróż w przyszłość«, takie tytuły widzi się nieraz na książkach opowiadających, jakie cudowne

odkrycia i wynalazki pojawiają się w nowem stuleciu dla uprzyjemnienia i ułatwienia życia ludzkiego. Czasem wygląda to tak, jak gdyby cała szczęśliwość ludzi zależała od elektryczności, balonów do sterowania, i jakby wówczas wszystkie łązy i zgryzoty miały być usunięte. Czy tak jest w istocie? Na fantazyę odpowiadamy fantazyą o wiele piękniejszą i ważniejszą dla człowieka pod względem wewnętrznym.

Niejeden słyszał o tem, że chemia próbuje węgiel kamienny zamienić w pożywny bulion i chleb robić z drzewa? Jakżeby to było pięknie i jak można zazdrościć węglowi i drzewu, że ktoś chce z nich zrobić coś nowego, tak użytecznego. A ludzie jakżeż rzadko znajdują kogoś, ktoby wydobyl z nich najbardziej ukryte dary i siły, i zamienił na coś nowego. Dlaczegoż pragniemy wogóle węgiel zamienić w pożywną zupę? Bo wiemy, że węgiel zawiera te składniki, których do zupy potrzeba, tylko nierozpuszczone i w innych związkach. A czy i w nas niema pierwiastków do dobrego, tylko nierozpuszczonych, nieobudzonych, w połączeniu ze złem i fałszem? Czyż nie byłoby rzeczą piękną przy pomocy jakiej formułki czarodziejskiej z nieużytecznych robić ludzi użytecznych? Na cóż przyda się zamiana węgla i drzewa, jeśli nad nowym bulionem i chlebem będą siedzieli dawni ludzie, pełni kłótni, zazdrości? Czyż nie znajdziemy w przyszłości w obejściu z ludźmi sztuki uwalniania tajemnych sił dobrego z objęć złych pierwiastków? Przeczucie świętości podobnej sztuki mamy, patrząc czasem na człowieka pełnego łaski, w którego obecności czujemy się lepszymi, który tonem swym wszystko zdziała, co chce i do którego chcemy być podobnymi.

Kiedy ludzie zbudują nowy dalekowiedz, lub przedziwny mikroskop, wyłania się zaraz pytanie, czy też dojrzymy naszych braci na Marsie, lub najdrobniejszych wrogów ludzkości, nowe bakcyle. Ze smutkiem przychodzi myśl, jak mało to ludziom pomoże. Więcej niż od laseczników i od

gwiazd zależy nasz los od tego, co się dzieje w naszej własnej duszy, do której nie sięga żaden instrument optyczny. Gdybyśmy posiadli szkła powiększające, któreby nam ukazały najmniejsze złe skłonności, jak będą wyglądały za 20 lat, lub wynaleźli mikroskop zdolny do wykrycia w naszych mowach już zarodku kłamstwa, próżności, a w przyzwyczajeniach kiełki bezwzględego samolubstwa, wówczas byliśmy panami naszego istnienia. Może kiedyś, przez wspólną obserwację i zastanowienie nad sobą poznamy tak nasze wnętrze przez szkła powiększające, że pokonamy wiele wad i błędów, którym obecnie beznadziejnie ulegamy. Dzisiaj daleko nam do tego, gdyż spoglądamy na niebezpieczne popędy przez szkło pomniejszające, a widzimy je, gdy staną się tak wielkimi, że na ratunek już za późno. Oby się mógł znaleźć wynalazca, któryby podał pewny środek na uśmierzanie dzikich instynktów ludzkiego serca. Grad i pioruny nie zdołają zniszczyć tyłu plonów pracy, jak burza naszych własnych, niehamowanych namiętności.

Najwięcej oczekują ludzie na przyszłość od elektryczności. W kilku godzinach powiezie nas kolej elektryczna z Paryża do Petersburga, telefon opasze całą ziemię. Ludzkość zbliży się do siebie, uprzystępni wymianę myśli, będzie mogła natychmiastowo spieszyć z pomocą. Wszystko to bardzo pięknie, ale cóż pomogą odległe rozmowy z całą ziemią, jeśli mamy sobie prawie grubiaństwa, a obmowy będą rozchodzić się jeszcze szybciej po wszystkich stronach świata? Świątynią byłaby przyszłość, gdyby panowała miłość bliźniego w dosłownem znaczeniu, użyczyła słowa pociechy i pomocy w nieszczęściu, gdy brat nie zostawiłby brata w gniewie i niezrozumieniu. Wtedy serca zbliżyłyby się; bez tego, jakżeż zbyteczną wyda się sieć drutów od domu do domu, gwizd pociągów i dzwonki telefonów.

Spętany Prometeusz.

Kto czytał podanie o Prometeuszu, który dał ludziom ogień, stanie naturalnie po stronie Prometeusza. Od młodości jesteśmy przyzwyczajeni do takiego zapatrywania, a choć Prometeusz uczynił to bez pozwolenia Zeusa, chętnie przebaczymy, bo cóżbyśmy znaczyli bez ognia? Zapytajmy się teraz, jaki cel miało przykucie tytana do skał Kaukazu, i skąd to podanie o sępie codziennie szarpiącym wątrobę? Czyż ma być w ten sposób przedstawionym tylko ogromny gniew ojca bogów? Dlaczego widział Zeus tak wielką zbrodnię w czynie Prometeusza?

W całym podaniu mieści się głębsza myśl. Dusza ludu pojmuje w poezyi i podaniach życie melancholijnie, a upodobanie do tragizmu pochodzi stąd, że lud w swej prostocie bierze życie głębiej i prawdziwiej, niż t. zw. wykształcony człowiek. Przypomnijmy sobie, jak właśnie lud i poezya ludowa mimo czci dla bohaterstwa patrzą ze zgrozą na tytaniczną pychę, na każde oderwanie się człowieka od najwyższej pokory i samoograniczenia. W starożytnej poezyi wyraża ten nastrój nieraz chór, w średniowiecznym podaniu o Fauscie widzimy dziwną mieszaninę podziwu i pewności, że buntownik podpadnie piekłu. To samo spoczywa na dnie podania o Prometeuszu. W głębiach duszy ludzkiej inaczej odbija się czyn Prometeusza, niż w tych obszarach naszego wnętrza, które zwraca się ku chwilowym powodzeniom ludzkiej walki o byt i które wypełniają najbliższe potrzeby i żądania życia codziennego. Te głębinę dostrzegają ogromny dopływ sił i życia, wlewający się przez zdobycie panowania nad siłami przyrody w ludzkie społeczeństwo, ale zarazem przeczuwają ze zgrozą bezbrzeżną dumę, która owładnie człowiekiem u szczytu potęgi i bezgraniczne pożądanie, które rozpęta panowanie nad siłami świata. Jak niegdyś podczas poczynającego się rozwoju wielkiego przemysłu powstała w angielskim świecie robotniczym pieśń o parze, druzgocącej

wszystkie stosunki życiowe i wreszcie znajdującej samej grób w ogólnym chaosie zniszczenia, tak stworzyło tu podanie obraz człowieka tytanicznego, który ufny w swą siłę rwie się do władztwa nad żywiołami, lecz wyższe władze świata przykuwają go do kamienia; w głębszym rozumieniu staje się on niewolnikiem skutkiem bezgranicznej wolności, a sę szarpający ciało, to własne nienasycone żądze. Pandora, wszystko dająca, ucieleśnia złudę człowieka-tytana, że spełnienie coraz różnorodniejszych potrzeb jest darem bogów, znakiem doskonalenia, lubo w istocie wypuszcza ze swej puszkii całe wojsko zła.

Niejedni pomyśli, że występujemy przeciw Prometeuszowi, na obronę powie, że przecież nic złego nie powstaje z ujarzmienia żywiołów przez człowieka. Zupełnie słusznie, ale i podanie tego nie twierdzi. Zgroza streszcza się w niem przez to tylko, że ogień został zabrany w zuchwałym bunocie przeciw Zeusowi.

Bóstwo oznacza wyższy stopień sumienia i samoograniczenia żądającego od osobników ofiary z popędów i bezwzględnej samowoli. Podanie ubiera w proroczy obraz fakt, że niezmierną potęgą dostaje się w ręce człowieka przez tytaniczność jego własnej natury, przez duchową i społeczną energię i że skutkiem tego budzi się w nim zuchwała pewność siebie, niezmierny żądzę. Stąd wizya podania roz-snuwa dalszy tragiczny los tytana. Władza nad dobrami ziemskimi bez najwyższej pokory prowadzi tylko do naj-głębszego poddania człowieka pod panowanie materii. »Zbyt hojnie obdarzyłeś ludzkość«, powiada Hefajstos w dramacie Ajschylosa, przykuwając tytana do skały. I nieśmiertelny dramaturg nie widział w spętaniu tytana kaprysu wszech-potężnego ojca bogów, lecz tragiczny los cywilizacji, że mianowicie według odwiecznych praw życia odwodzi śmiertelnego człowieka oszałamiające panowanie nad żywiołami od zmysłu ofiary dla niewidzialnych wartości życiowych i przykuwa ostatecznie do materii.

Ale Ajschylos przepowiada spętanemu oswobodziciela, który boskość pojedna znowu z rodem śmiertelnych, syna bożego, łączącego siłę z pokorą, bogactwo życia z wolą zaparcia. Tytaniczność cierpiąca w człowieku przez własne nieograniczenie, będzie sama tęskniła za wybawieniem od zuchwałej pyszałkowatości, za podporządkowaniem pod świętości duszy, obrazu bóstwa. Mało podań ma tak głębokie znaczenie dla naszych czasów, jak podanie o Prometeuszu. Wszyscy zostaliśmy wciągnięci w tytaniczną pracę ujarzmienia przyrody, pracujemy wspólnie, by zdobyć dla człowieka siły nieba i ziemi. Wszyscy otrzymujemy puszkę Pandory z nienasyconą masą rozkoszy i ze snami o rozkoszach przyszłości. W walce o panowanie nad materią ulegamy pokusie zmaterializowania.

Niejednen zapyta: Czyż nie było i niema zawsze czcigodnych mężów nauki, którzy pełni głębokiej skromności i najwyższego poświęcenia wydzielali naturze tajemnice? Na cóż więc skała tarpejska i sęp? Prawda. Istniały i istnieją całe zastępy, pchające świat ludzkiej ekonomii na nowe tory. Czyż jednak bogactwa stworzone przez te idealne postaci stały się istotnie błogosławieństwem ludzkości, a nie pokusą w pierwszym rzędzie do rozpląnięcia ducha w zbytku? Czyż nie widzimy dzisiaj, że fala bezwzględnej żądzy użycia przerażająco wzrasta, a z nią brak charakteru i że to materialne przykrawanie życia, cały światopogląd rozkoszy usiłuje zwolna wszędzie usunąć idealną ofiarność i poświęcenie? »Jakżeż można w takich czasach pozostać wiernym wyższym ideałom życiowym«, zapyta niejednen. Odpowiedź jest jedna: Miejcie ustawicznie oczy otwarte na wielkość niebezpieczeństwa i oddając się w służbę wiedzy, nie zapominajcie nigdy o rzeczy najwyższej i najważniejszej: o hartowaniu charakteru. Kto codziennie nie ćwiczy się w zaparciu, w czynnej miłości, w umiarkowaniu, ten bez takiej walki nie zasłuży nigdy na rycerskie ostrogi męża prawdziwie wolnego.

Omawiając przy nauce astronomii ważność naukowego prawa Kopernika, można za nawiązanie posłużyć się omówieniem faktu, że najtrudniej przychodzi niedowierzać własnym pozorom. Któż na podstawie samego pozoru uwierzyłby, że ziemia obraca się, a słońce stoi w miejscu? A jednak pozór ludzi. Tak samo w życiu. Szukamy powodów kłótni i waśni u innych, widzimy ich miny, czyny, słyszymy ich słowa, a sami pozornie »stoiemy w miejscu«. Tu należy obliczyć się, zbadać, czy my nie daliśmy przyczyny. Gdy dotknie nieszczęście, coś się nie uda, nie zawsze trzeba wierzyć pozorom i sądzić, że myśmy do tego nie przyczynili się.

Wielkie etyczne znaczenie posiada również pouczenie o »osobistych błędach« przyrodniczego badania, szczególnie zaś w obserwacjach astronomicznych, jak najściślejsze stwierdzenie subiektywnych przyczyn niedokładnych spostrzeżeń. Na przykładach z życia można wykazać, jak wszyscy w tłumaczeniu naszych bliźnich i ich zachowania posiadamy pewne subiektywne źródła błędu (wrażliwość, niedowierzanie, przesady, próżność, samolubstwo i t. p.), które zamacają zupełne zrozumienie drugich.

O etycznym znaczeniu i użytkowaniu nauki historii powszechnej już nieraz i wiele mówiono, różne praktyki są też w używaniu. Może jednak za dużo bezpośredniego moralizowania, układania szematycznego pojęć o dobrem i złem. Byłoby o wiele korzystniejszym w miejsce zbyt rychłych sądów posługiwać się ostrożnością i psychologiczną starannością w ocenianiu skomplikowanych pobudek działających osób. Szczególnie gdy chodzi o wielkie historyczne starcia i przeciwieństwa, jest doniosłym ćwiczeniem w rozumieniu i sprawiedliwej ocenie; gruntowne poznanie faktów i przyczyn jest dopiero prawdziwą podstawą do ostrego zarysowania stosunku czynu i człowieka do najwyższych dóbr życia. Sama etyczna ocena wydarzeń dziejowych stanowi

bardzo trudne zadanie pedagogiczne. Słuszna, że dzieje powszechne są sądem świata, ale leży to po za sferą dającego się przeprowadzić dowodu, szczególnie w obrębie godzin szkolnych. W mięszaniu przyczyn i skutków można udowodnić wszystko i wszystkiemu zaprzeczyć. Jeśli ktoś n. p. twierdzi, że rewolucja francuska z powodu teroryzmu przyniosła więcej szkód niż pożytku, przeciwnik udowodni wręcz coś przeciwnego i tak bez końca. Nauczyciel pragnący rozszerzyć pogląd, że w życiu historycznym wszystko ulega sądowi, nie powinien zapuszczać się w historyczne dowody, ale ograniczyć do strony psychologicznej, t. zn. okazać, co może zdziałać przymoc w duszy działającego i podlegającego działaniu. Wówczas wychowanek pojmie, że istotny postęp w społecznym życiu polega na wzroście panowania poszczególnych osobników nad namiętnościami, a hamują go wszelkie gwałty, że prawdziwa kultura tam się rozpoczyna, gdzie z przemocy zrezygnowano.

Ważną jest również rzeczą zwrócić uwagę młodego pokolenia na kilka zasadniczych faktów i zespołów ludzkiego życia, któreby umożliwiły rozróżnienie pozoru od rzeczywistości, spraw istotnych od przypadkowych. Inaczej może stać się zapoznanie z historyczną przeszłością niebezpiecznym dla stałości sądów etycznych: za wiele olśniewającego powodzenia scenicznego czynów gwałtownych i krwawych, nieuczciwości, a za mało widocznego, namacalnego sądu. Ten fakt może z łatwością oddziaływać na całe stanowisko do prawa zwyczajowego, jak to już nieraz stwierdzono, że np. w czasach wielkich, bezprawnych aktów państwowych brak sumienia dawał się odczuwać we wszystkich tkankach społecznego życia.

Wychowawcy, któryby nie doceniał swego zadania pod powyższym względem, musielibyśmy zwrócić uwagę, jak w wysokim stopniu arena dziejów świata jest »moralnym zakładem« dla młodzieży i jak daremne jest prawić jej, że kłamstwo zawsze się wyda, wina będzie pomszczoną tu

na ziemi, że uczciwość jest najlepszą polityką, wielkoduszność najpiękniejszą zaletą i t. p., jeśli równocześnie daje się do zrozumienia, że w rzeczach »wielkich« i »tam, gdzie jest wielu« — kłamstwo i brak uczciwości popłacają najlepiej, a wspaniałomyślność uchodzi za polityczne samobójstwo. Podstawę do wyrobienia etycznego sądu dają zatem nie moralne frazesy, ale pobudzenie całej duchowej czynności uczniów do patrzenia na pełne chwały wydarzenia i osobistości dziejowe nie ze strony chwilowego efektu, do otwarcia oczu na podłożu własnych obserwacji życiowych na fakt, że przykład zdziczenia i zbrodni, mających powodzenie, zatruwa całe masy, że całe ludzkie społeczeństwo opiera się ostatecznie na wierności i wierze, że poczucie prawa i sumienie są kapitałami narodowymi, których nigdy nie wolno bezkarnie naruszać. Niech nikt nie zarzuca, że podobne objaśnienia, które swoją drogą nie muszą dotyczyć czasów teraźniejszych, mogą doprowadzić łatwo do zbyt krytycznego nastroju wobec uświęconych wielkości dziejowych: wszak niszczenie bożyszcz torowało zawsze drogę służbie prawdziwego Boga. Im czystszy pozostanie sąd moralny, tem głębszym będzie poszanowanie tego, co wielkie i godne czci.

Drobna rozprawka Carlyla o potędze i prawie, dochodząca do szczytu najniebezpieczniejszego zamięszania pojęć, dlatego właśnie nadaje się jako punkt wyjścia do pogadanek z młodzieżą o tych zagadnieniach. Czytamy tam: »Siła i prawo różnią się bardzo w ciągu jednej godziny do drugiej, — ale gdy je obejmujemy stuleciami, pokryją się wzajemnie. Do kogo należała Brytania? Do Boga, który ją stworzył, jego była, niczyją inną. Które z tworów boskich miało prawo w niej żyć, czy wilki i tury? Zapewne, dopóki się ktoś nie zjawił z lepszym prawem. Przyszedł Celt i twierdził, że ma lepsze prawo; postarał się też to udowodnić nie bez bólu dla turów. Miał większe prawo do tego kawałka boskiej ziemi, mianowicie lepszą siłę, by go wyzyskać. Tury znikły, Celtowie posiadli ziemię i uprawiali ją. Czy tak miało

zawsze pozostać? Ach, na zawsze nie jest kategorią, któraby mogła utrzymać się w doczesnym świecie. Żadna własność nie jest wieczną, z wyjątkiem własności Boga - Stwórcy; komu nieba pozwolą coś osiąść, ten ma i prawo ku temu».

Zapuszczanie się w wywody historyczne byłoby w tym wypadku bezcelowem. O wiele prościej będzie wskazać na to, że poszanowanie prawa słabszego należy do kamieni węgielnych każdej wyższej, żywotnej cywilizacji i że cywilizacja niszczy podstawy swej wyższości, jeśli w imię tej przewagi innych ludzi wyzuwa z praw i rabuje. Sama utracą najsilniejsze, duchowo-moralne spójnie swej wspólnoty, a chociaż doraźne powodzenie tego nie wyjawia, owszem wykazuje pewne wzmoczenie zewnętrznej energii, przecież musi na dłuższą metę wystąpić społeczny upadek. Że siła tworzy prawo, jest słusznem tylko co do zewnętrznych form prawa, nigdy jednak siła nie stworzyła usposobienia, prowadzącego do samoograniczenia na korzyść bliźniego, a z rozrostu tego nastroju powstała ostatecznie cała ludzka kultura prawna. Dlatego gwałtem żadna kultura nigdy nie utworzyła, tylko niszczyła, zaś narodowi, któremu historyczne warunki podają sposobność do ekspansji zaborczej, grozi zawsze niebezpieczeństwo, że zginie od moralnego charłactwa. Na co przyda się człowiekowi cały świat zdobyczy, jeśli odniesie szkodę na duszy? Ta »szkoda na duszy« urasta w czasie zawsze na szkodę kultury. Idąc za słowami Carlyla musimy powiedzieć, że lepsze prawo, by uprawiać boską ziemię, łączy się zawsze z postępem głębszego umoralnienia. Stąd to słowa: »Starajcie się o to pierwsze... a reszta wszystka będzie wam dana«. Cisi posiędą ziemię; tylko ci, którzy posiadają kulturę duszy, bo tylko strona ludzka a nie zwierzęca czyni nas panami ziemi.

Nauka literatury może pod względem celów etycznych zdziałać bardzo dużo cennego. Tylko trzeba wystrzegać się moralizowania i tendencyjnych zastosowań. Prawdziwa sztuka nie sprzecza się nigdy z prawdziwą etyką, owszem sama

działa umoralniająco, a uwydatnić to oddziaływanie powinien każdy pedagog, nie zapominając, że wpływ etyczny nie polega nigdy na samem ucieleśnianiu moralnych tendencji, idei i dlatego w wychowaniu nie może ujawniać się w wystawianiu na pokaz »myśli przewodnich«. Artysta jest jasnowidzem, który motory rzeczywistości głębiej i bystrzej pojmuje, gdyż przez intensywność własnego wewnętrznego życia widzi łańcuchowe połączenie losów ludzkich w jaskrawszem oświeceniu, niż inni śmiertelni. Ta głębsza znajomość przyczyn i skutków daje nam poznać rolę, jaką odgrywają nasze czynności w ogólnym związku życia i prowadzi do rozróżniania złego od dobrego. W tem rozumieniu nie może nigdy prawdziwa, realistyczna sztuka t. zn. opierająca się na gruncie rzeczywistości działać przeciw interesom etycznym. Rozróżnianie złego od dobrego należy samo przez się do rzeczywistości; w życiu mają pewne czynności nieubłagany stygmat przekleństwa, inne z natury swej przynoszą błogosławieństwo. Moralność daje nam tylko ostateczne sformułowanie tego przeświadczenia. Sztuka, oddając życie, z którego wyrosła, może pogłębić grunt etyczny, gdyż wielu ludzi przez powierzchowne patrzenie na życie może pobłądzić w rozumieniu istotnego znaczenia sądów etycznych.

Chcąc udostępnić młodzieży właśnie ten rodzaj etycznego oddziaływania sztuki, musimy powstrzymać się z całą surowością od wszelkich moralizatorskich zastosowań, — niech raczej wystąpi samo życie jako bezstronny świadek sądów, mających zapaść o ludzkim działaniu w imię moralności. Tendencyjność sprawia, że dziecko z góry traci wiarę, czy przemawia do niego niefałszowana, bez przykrawań prawda. Musi ono nieodzownie nabrać przekonania, że rzeczywistość wymaga sztucznych zmian, by świadczyć za moralnością — i w tem tkwi właśnie największe niebezpieczeństwo.

Poezja, dramat, powieść niechaj nie służy nigdy za płaszczyk do dania pytania: Czy bohater dobrze postąpił i t. p. — owszem ograniczmy się ściśle do strony psycho-

logicznej: Czy charakter bohatera zgadza się z prawdą życiową, czy są tacy ludzie w rzeczywistości, czy uczniowie spotkali się z podobnymi? Czy skutki jego czynów odpowiadają prawdzie, czy jego uroszczenia są uzasadnione, lub jednostronne, czy zgadzają się z jego charakterem i jego przygodami? Najważniejszym jest zaostrenie i rozszerzenie obserwacji życia u dzieci nie przez krytyczne, literackie, filologiczne wykładanie tekstu, ale przez odniesienie do rzeczywistości. Powiedziano, że cel sztuki polega na odciąganiu człowieka od siebie samego. Sztuka nie ma wogóle żadnego celu. Jest, istnieje tylko, a my mamy ją rozumieć i żyć jej życiem. Umożliwi się to wtenczas, gdy ją pojmiemy jako głębsze tłumaczenie naszego własnego życia, gdy dojrzymy, że w swych tworcach łagodzi przeciwieństwa, w których sami tkwimy. Prawdziwa sztuka uczy patrzeć na własne życie z wyższego stanowiska, pozwala innym rozumieć doskonalej. W tem tkwi też jej etyczna pomoc.

Kilka słów musimy jeszcze poświęcić nowszym dążnościom co do »sztuki w życiu dziecka«. Chociaż przytem współdziałał cały szereg pedagogów, którzy nic o sztuce nie wiedzą i cały szereg artystów, którzy nic nie wiedzą o dziecku, przecież z tych usiłowań zorganizowała się pewna liczba istotnie rozumnych usiłowań. O wiele też lepiej dla społecznego wykształcenia człowieka w najszerszym znaczeniu, jeśli rodzi się ono z głębokiego artystycznego współczucia ze wszystkimi istotami żyjącymi, niż gdyby budowało na sztywnych prawidłach moralnych, lepiej także dla wychowania w panowaniu nad sobą, jeśli wytworzy się z chęci twórczego przewyciężenia niższego życia, niż z czystego posłuszeństwa prawom obowiązku. „*Ama et fac quod vis*“ — kochaj i czyn co chcesz — powiada Augustyn. Bez wątpienia obydwie muszą istnieć w życiu: sztuka i moralność. Wiele jest bowiem natur, którym brak zupełnie daru twórczego, albo w których artyzm niedość jest rozwinięty, aby można na nim ugruntować wskazany stosunek do człowieka

i do panowania nad sobą. Dla nich nieodzowną jest moralność, skryształizowane doświadczenie życiowe całych pokoleń. Prawdziwie artystyczne wychowanie powinno zawsze nad tem pracować, aby młodych ludzi wprowadzić w ścisłą łączność z temi wielkimi osobistościami artystycznymi, które z nadmiaru sił żywotnych dążyły do najdoskonalszego opanowania swego »ja«, wyszły ponad naturę, z siebie samych coś wyższego stworzyły, ideały głosiły życiem i pismami: to jest »sztuka w życiu dziecka«.

W ten sposób należy pojąć zadanie, aby ująć etycznego niebezpieczeństwa wychowania estetycznego, a nie artystycznego. Estetyzm budzi uczucia, a nie siłę woli. Współczesna sztuka działa właśnie z małymi wyjątkami estetycznie, bo ją stworzyli ludzie słabi, złamani lub próżni. Sztuka jest głęboko skojarzoną z każdym dzielnym czynem woli i obcą biernej rozkoszy, która człowieka mimo nastroju znowu ciśnie pod jarzmo samej natury. Samo leniwe podziwianie natury niewiele oddziała, gdy przeciwnie natężenie sił w zwalczaniu przeszkód stawia nas niejako na równorzędnym stanowisku obok twórczych potęg przyrody. A więc akta woli przeciw własnej naturze doprowadzą tylko do pojęcia sztuki, inaczej grozi nam zniewieściałość. W dzisiejszym życiu nie brak ludzi żyjących w estecznym sybarytyzmie, w mniemaniu, że posiadli artystyczne pojmowanie życia, z którego wyżyn mogą spoglądać z litością na wszystko, co jest charakterem. Nie chcą oni widzieć, że piękna forma zewnętrzna, która ich zadowala, jest w sztuce tylko symbolem, naturalnym wyrazem wewnętrznego, istotnego czynu woli, twórczego przełamania materji przez ducha, natury przez duszę, losu przez siłę! Więcej bowiem życia artystycznego mieści praca nad własnym charakterem, niż zmysłowo-duchowe zachwyty!

SZKOŁA A PEDAGOGIKA MORALNA. WYCHOWANIE W DOMU.

Życie szkolne jest przygotowaniem do późniejszego, obszerniejszego życia społecznego. Wymaga całego mnóstwa sił etycznych do spełnienia swego zadania. Jak postępować z dzieckiem, by cel osiągnął skutek? Przeszłość rządziła postrachem, z nielicznymi wyjątkami w epoce odrodzenia panował surowy porządek, ale młodzież przywykła do niego dobrowolnie. Terazniejszość daje, zgodnie z duchem czasu, nieraz za wielką swobodę dzieciom, szczególnie w amerykańskich szkołach prywatnych. Słuszność każe przymus zatrzymać, ale nie zewnętrzny. I wychowawca na tem lepiej wyjdzie, gdyż gwałtowne postępowanie mści się najsrożej na sprawcy, — i na wychowanku. Prawdziwe wychowanie budzi siły, a nie łamie. Rozbudzanie dobrowolnej surowości względem siebie u dzieci jest też istotnem przygotowaniem do rzeczywistego życia, inaczej będzie wychowanie sięgało tylko na długość przymusu szkolnego.

Szkoła powinna zastąpić sztuczne środki porządkowe i przymusowe przez oddziaływania, mające trwałą dla życia wartość przez to, że oddają naturalne siły dziecka na usługę przełamania samego siebie, a myśli pozyskują dla słuchania różnych zakazów i nakazów. Trzeba psychologicznego i pedagogicznego pogłębienia prowadzenia i karności, nauki o warunkach najskuteczniejszego wpływania w okresie życia szkol-

nego dla młodzieży pod względem rozwoju charakteru najdonioślejszego. Pod słowem »ład szkolny« nie należy rozumieć zewnętrznej karności, ale wogóle pytanie, jak pokierować wspólnem życiem dziatwy podczas uczęszczania do szkoły, ich pracami, zachowaniem się wobec nauczyciela. Kieruje się dzisiaj duchowe siły wychowanków ku przeróżnym zagadnieniom i faktom, a pozostawia instynktowi, przypadkowym zdolnościom, niedojrzałemu myśleniu pobudki do pracy, punktualności, porządku, czystości, niebezpieczeństwa i zalety wspólnego życia koleżeńskiego, zadawała się wreszcie zewnętrznymi przepisami i karami, zamiast z góry zdobyć duchowe współdziałanie dzieci. Chociażby ktoś nie uznawał obowiązku wyposażenia dzieci na drogę życia obok wiedzy w sumienie, faktem jest, że szkoła jako zakład tylko do podawania nauk, nie mogłaby istnieć i działać bez współpracy różnorodnych jakości moralnych. Zawsze będzie zadaniem pedagogiki zapewnić sobie w najlepszy sposób te siły moralne.

Posłuży do tego poufna, serdeczna rozmowa nauczyciela z klasą, która omówi różne sprawy i starcia szkolne niezależnie od pewnych przewinień, bo wówczas obu stronom brak potrzebnego spokoju umysłu. Powiemy zatem dziatwie o lenistwie i jego skutkach, o sposobności do kształcenia woli przy pracy szkolnej, o postępowaniu wobec upośledzonych moralnie lub duchowo, o pijaństwie, niebezpieczeństwach zmysłowych, o rycerskości i wielkoduszności przy zabawach i na podwórzu szkolnem wobec słabszych fizycznie, o taktownem oszczędzaniu dzieci ułomnych, zniekształconych, jękających się, o łakotnisiostwie, kłamstwie, oszukiwaniu, o cudzej własności, o porządku i spokoju w klasie. Przy wszystkich takich pogadankach nie można prawić morałów, lecz wydobyć z samych uczniów sąd o pewnym postępku, ich własną bezmyślność sprostować przez głębsze wglądnięcie w skutki złego postępowania i w ten sposób ustalić opinię publiczną w klasie. Opinia stanie się w ten

sposób niewidzialną konstytucją, przy pomocy której każdy nauczyciel zdoła opanować choćby liczny zespół wychowanków.

Te same zasady wewnętrznego oddziaływania i nakłaniania obowiązują w wychowaniu domowym. Surowo i stanowczo, zapewne; ale dziecko ma samo pragnąć i pojąć znaczenie tej surowości i stanowczości, współdziałać w stosowaniu, lubo nań nie patrzą rodzice i wychowawcy. Trzeba nie tyle ganić i karać, upominać, zakazywać, ile w pełnych serca rozmowach dzieciom wskazać środki, drogi do urzeczywistnienia wyższych dążeń i ideały przetłómaczyć na język dziecienny, by pojęły, że nie muszą, ale właściwie same chcą iść drogą wewnętrznego doskonalenia się. Jakże wdzięcznym okaże się dziecie, jak podniesionem w godności ludzkiej, gdy je powołamy do współdziałania we własnym wychowaniu i gdy uznamy jego mały rozumek za godny podawania powodów przynajmniej odmowy tam, gdzie nie możemy jeszcze wyjaśniać przyczyn.

Hałas przeszkadza ojcu przy pracy. Wychodzi rozgniewany z pokoju i nakazuje szorstko milczenie. Jakież wrażenie u dzieci? »Jest starszy i silniejszy, może sobie rozkazywać, jak dorośniemy, zrobimy to samo«. Dlaczegoż nie miałby ojciec pomówić z dziećmi o »hałasowaniu«? Dzieci nie mają »nerwów«, nie pracują ciężko umysłowo, nie rozumieją zatem zupełnie skutków hałasów dla dorosłych. Czyż nie można im wskazać miejsca i czasu do hałaśliwych zabaw, a zarazem zachęcić, by szanowały cudzy spokój? Można by zacząć w ten sposób mniej więcej: »Czy wiecie, po czym poznaje się wieczorem, po powrocie z wycieczki, czy goście hotelu turystycznego są dobrze wychowani, czy nie? Po hałasie, wywołanym myciem, zdejmowaniem obuwia, zamykaniem drzwi, stukaniem po kurytarzach, chociaż inni już śpią. Po tem poznaje się dobre wychowanie niezawodniej, niż po pięknych ubraniach, laskach, eleganckiej mowie.

Jeśli proszę, byście mi nie przeszkadzały w pracy, czynię to dla was samych, aby potem w hotelu sąsiedzi nie powiedzieli o was: »A cóż to za nieokrzesani ludzie«. Takie rozmowy wymagają nieco czasu i trudu, ale działają głęboko na dzieci i na — ojca. Weźmy inny przykład. Matka siedzi w pokoju, syn wchodzi i zamyka drzwi z trzaskiem. Matka podnosi się z łajaniem i wyrzuca syna za drzwi. Jakiż skutek? Chłopiec udaje się do rodzeństwa i powiada: »Mama jest dzisiaj nerwowa«. W najlepszym wypadku nauczy się na widok matki drzwi cicho zamykać, ale o »etyce zamykania drzwi« nie będzie miał wyobrażenia. Lepiej poskutkuje serdeczna, pełna miłości rozmowa, poprowadzona w chwili, gdy syn przypadkowo wejdzie spokojnie do drzwi. »Brawo, to było pięknie, widzę, że jesteś prawdziwym gentlemanem, tak cicho zamknąłeś drzwi za sobą«. »Gentleman, cóż to jest właściwie?« »Wyraz angielski, którym w Anglii określają człowieka doskonale wychowanego, rycerskiego. »Gentle« znaczy łagodny, delikatny, a więc gentleman dosłownie: »człowiek łagodny«. Zdziwisz się zapewne i pomyślisz: rycerskim może być tylko silny, energiczny wojownik, wyraz »łagodny« brzmi nie po męsku. Brzmi tak, prawda, ale tylko dla niewykształconych, którzy nigdy nie przekonali się, że panowanie nad sobą wymaga wiele siły. Czyż nie potrzebujesz sam dużo siły woli, aby klamkę drzwi ująć silnie do ręki, gdy wpadasz z podwórza do mieszkania? Tak jest wszędzie: najsilniejszy mężczyzna jest równocześnie najłagodniejszym, bo sam siebie ujarzmi. Widzę, że sam tak czujesz, więc aby ci dopomódz, zrobię tak: Jeśli zapomnisz o swem postanowieniu i wejdiesz z hałasem, powiem tylko »za głośno« — wtedy wrócisz i zamkniesz drzwi po cichu. Przy gościach powiem ci to naturalnie później. Czy zgoda?« Któż wątpi, że ta metoda nie poskutkuje? Trzy momenta pedagogiczne zostały tu przez matkę użyte. Najpierw pochwaliła syna, że dobrze uczynił, co bez porównania jest skuteczniejsze, niż ganień, gdy źle zrobi, powtóre, sko-

rzystawszy ze sposobności, zaspokoiła jego potrzebę rycerskości, potrzebie ofiarowała pomoc, aby zamiar stał się stałym przyzwyczajeniem, przyjmując z góry, że on sam zechce wyleczyć się ze swej wady.

Niezmiernie doniosłym jest podobne postępowanie z dziećmi trwożliwymi, nerwowymi. Przypuśćmy taki wypadek, że dziecko boi się burzy i nie chce samo siedzieć w pokoju podczas grzmotów i piorunów. Co począć wówczas? Nowe prądy w wychowaniu powiedzą: »To objaw patologiczny, zróbcie światło, ustąpcie dziecku i pozostańcie przy niem, póki burza nie minie«. Dawni wychowawcy powiedzieliby: »Nie ustępować za żadną cenę, niech dziecko krzyczy, najlepiej zagrozić karą i wykonać ją«. Obydwa kierunki grzeszą zbytnią jednostronnością. Prawda, że chodzi tu o patologiczną słabość; burza drażni potężnie układ nerwowy dziecka. Ale gdy jeszcze wda się w tę sprawę ojciec i wystąpi z piorunami, narazi się na najcięższy szwank delikatne nerwy. Samo pozostawienie, bez łajania, też niedobre; dziecko nie dorosło widocznie do znoszenia burzy, inaczej nie byłoby w śmiertelnym strachu. Dlatego nie można pozostawić go własnej słabości woli, ale pomódz do jej wzmocnienia, dać wewnętrzny hart przeciw burzy, a to może stać się znowu drogą spokojnego omówienia sprawy, gdy matka siędzie na kraju łóżeczka i ujmie rękę dziecka w swoją.

Ważną troską domowego wychowania młodzieży jest postępowanie wobec figli i psot. Nie trzeba być zaskorupiałym i pedantycznym, ale przecież nieubłaganym wobec grubiaństwa, szorstkości i złośliwości, bo one dają strawę złym instynktom i szkodzą charakterowi. Zbyt zuchwałej ochocie młodzieńczej niewiele pomoże przymus, zakaz, jedynie spokojna perswazyja, która zwraca skłonność do psot ku innym celom, mającym podstawę również w uczuciach młodzieńczych. Wychowanie powinno zawsze tylko wyzyskiwać istotne siły i istotne życie dziecka. Skąd bierze się u niego chęć płatania figli? Z pewnością motywem nie jest szkodzenie

drugiemu. Szkoda wynika stąd, że dziecię chce chętnie być powodem wpadających w oko skutków w świecie zewnętrznym. Wybija szybę, nie żeby skrzywdzić właściciela, ale dla upustu sił, dla samego czynu. Nawiązując do tej właściwości, nauczmy dziecko doznawać radości z niespodzianek i żartów, lecz na polu miłości i ofiarnej pomocy.

Musimy jeszcze zauważyć, że rodzice oszczędziliby sobie wiele trudu, gdyby starszem rodzeństwem posługiwali się wydatniej w wychowaniu młodszego. W ten sposób można również dodatnio, lubo pośrednio, oddziaływać na starsze dzieci, uświadomić ich odpowiedzialność i wiele spraw omówić, pozornie przeznaczonych dla młodszych, a w istocie dla nich samych. Naturalnie powierzając takie odpowiedzialne zadanie, trzeba ze starszem rodzeństwem pomówić o należytej metodzie. Za wzór może posłużyć poniższy przykład:

Gdy w Indjach chcą oswoić dzikie słonie, zamykają je razem z już oswojonymi. U ludzi powinno być tak samo. Kiedy ojciec i matka wychowali 1—2 dzieci, mogliby przypuszczać, że nie potrzebują troszczyć się o wychowanie reszty, lecz poprzestać na tem, aby oswojone wychowały dzikie. Dzieje się tak, niestety, bardzo rzadko. Owszem dzikie stają się przez oswojone jeszcze dziksze, bo te korzystając ze swej siły, zabierają im zabawki i książki, płatają psoty, lub komenderują niemi, jakby kupionem zwierzęciem. Jeśli które z was mniema, że starsze rodzeństwo powinno zająć się wychowaniem młodszych siostr i braci, choćby dlatego, aby rodzicom sprawić radość, dam wam kilka rad. Bo takie wychowanie, to nie łatwa rzecz. Nie można młodszemu bratu powiedzieć: »chodź, będę cię wychowywać, tu masz jeden policzek za kłamstwo, ten za łakomstwo«. Starsze rodzeństwo nie powinno także rozpoczynać wychowania zmuszaniem zaraz młodszego do posłuszeństwa. Młodsze rodzeństwo podejrzewa wówczas, że starszym chodzi tylko o rozkazywanie i właśnie wtedy staje się uparte. Nie —

zblizcie się do niego po przyjacielsku i tak postępujcie, aby słuchoło z dobrej woli, bez przymusu.

Główna sztuka wychowania polega nie na ganiu i łajaniu, ale w ułatwianiu drogi do dobrego. Objasnijmy rzecz na przykladzie. Gdy braciszek bardzo zmęczy się spacerem i ledwo wraca do domu, z pewnością nie będziecie go łajały, ale pomożecie obudzając jego ambicję. Tak samo ma się ze złymi nałogami. Gdy coś z łakomstwa porwie, nie wychowacie go przezwiskami. Wówczas powie on sobie najwyżej: »Dobrze, jeśli jestem tak złym, będę jeszcze gorszym«. Nie — trzeba powołać jego wewnętrzne pomoce do walki z pożądlivościami, obudzić taką siłę woli, aby była dlań słodsza od najlepszej łakotki. Powiedzcie mu: »Kochany braciszku, jeśli pokonasz się i nie weźmiesz nic z talerza w kuchni, albo przejdiesz spokojnie koło szafki z konfiturami, powiedz mi o tem, a ja ci coś opowiem. Na drugi dzień wchodzi Jaś do pokoju niezmiernie dumnie. »Braciszku, pokażno twoje ramiona« — »Oto są«. — W istocie, wspaniałe, skądże wziąłeś, ty malcze, takie mięśnie?« »Codziennie ćwiczę się hantlami«. »Brawo, chociaż doprawdy nie chce mi się wierzyć w taką siłę, patrząc na twe małe nogi i usta«. »Naprawdę, a cóż zrobić, żeby to zmienić?« »Na nic się nie zdadzą wszystkie próby, brak ci jeszcze siły wewnętrznej. Nie posiadasz jeszcze siebie samego w mocy. Dzisiaj po raz pierwszy, gdyś wszedł, była zupełnie nowa pewność w kroku, a to dlatego, żeś się po raz pierwszy przewycięzył. Doskonale, posługuj się odtąd zawsze szafką z konfiturami, jak hantlami, celem wzmocnienia mięśni panowania nad sobą«. Jaś wybiega po tej rozmowie uradowany i z daleka słychoć jego kroki pełne dumy. Jeszcze trudniej postępować, gdy młodsze rodzeństwo skłamię, ale właśnie jest to wypadek dla starszego rodzeństwa, bo kłamstwo rodzi się z obawy przed tem, co rodzice powiedzą. Niema nic ważniejszego, jak zdobyć zupełne zaufanie u młodszych braciszków lub siostr, aby przed wami nic nie zataili. Przytulcie ich do

serca, jakby kłamstwo było nieszczęściem dla obu stron i szukajcie drogi, by na przyszłość go uniknąć. Najgorzej w takim wypadku powiedzieć: »odtąd ci nic nie wierzę«, nie, przeciwnie. Zaufanie uszlachetnia. W Anglii była raz szkoła, gdzie wszyscy uczniowie kłamali. Przyszedł nowy dyrektor, który każdemu wierzył na słowo. Jakież był skutek? Uczniowie postawili za zasadę: »tego nie wolno oszukiwać« i cała szkoła została uratowana. Poczucie honoru jest jedyną deską ratunku, po której człowiek może wydostać się na wierzch, gdy ta się złamie, wpada do wody. Pomoc nasza skieruje się zatem do obudzenia w braciszku chęci odwagi, potem omówi spokojnie kłamstwo i jego skutki, wreszcie poprosi go, aby zawsze przyznał się, gdy wymknie się mu z ust nieprawda. Gdybyście sami zapadli na tę chorobę, wypowiedajcie się wzajemnie i pomóżcie sobie. Trzeba jeszcze pamiętać, że małe dzieci wogóle nie rozumieją, dlatego nie wolno kłamać, choć pozornie oszczędza im ono nieprzyjemności; to błędne mniemanie należy sprostować.

Wkońcu jeszcze jedna rada. Chcąc brata odzwyczajzić od gwałtowności, postąpicie najskuteczniej, jeśli go poprosicie o przebaczenie, gdy sami okażecie się kiedyś niezbyt grzecznymi wobec niego. Takie postąpienie wywiera niesłychane wrażenie na dzieci, ucząc przez żywy przykład panowania nad sobą. Malcy chętnie naśladową starszych, widząc u nich wielką siłę woli, będą się starali w tem im dorównać. Pełen łaski jest wszelki, kto może mieć do wychowania młodsze rodzeństwo. Większa to radość, niż posiadanie małego ogródka. Niema na świecie nic wspanialszego, jak pomódz człowiekowi do wzrostu, odciąć niedobre pędy, dać żyzną glebę, słońce i wodę, a potem oglądać, jak dusza rozwija się.

Istnieje w pedagogice kierunek (przedstawicielami jego byli w Anglii Bell i Lancaster, w Szwajcaryi O. Girard

i częściowo Pestalozzi), który we wzajemnem uczeniu się dzieci widzi bardzo skuteczny środek dla uczącego i pouczanego, szczególnie pod względem oddziaływania moralnego. Bez wątpienia, w przyszłości to zapatrywanie zdobędzie sobie aż do uniwersytetów o wiele większe znaczenie, niż terażniejszość chce na to przystać. W każdym razie metoda wzajemnego pouczenia na polu etycznym ma w szkole i w domu dla uczestników doniosły wpływ, dotąd niedoceniany. Jednakowoż jedynie w związku z psychologicznie pogłębioną pedagogiką moralną; już bowiem podczas pierwszych projektów uczyniono zarzut, że uczącego wzbija w pychę. Takie niebezpieczeństwo zagraża szczególnie przy nauce moralności i można mu zapobiedz tylko przez silne i starannie dobrane przeciwdziałania. Kto uprzytomni sobie wszystkie powyższe zagadnienia i spotka się z niemi w praktyce, przyzna, że pole pedagogiki moralnej jest niezwykle trudne i odpowiedzialne. W następstwie nie będzie się załatwiał w sposób radykalny z dawnymi podstawami etycznego oddziaływania, które przecież wyrosły ze znajomości natury ludzkiej i doświadczenia życiowego.

NAUKA RELIGII A NAUKA MORALNOŚCI.

Zapatrywania wyrażone przez nas powyżej nasuną może niejednemu pytanie: Czyż nauka religii w dzisiejszej szkole nie daje dostatecznej podstawy do kształcenia uczuć i pojęć etycznych? Odpowiadając przecząco autor nie myśli wyrażać zdania, jakoby współczesna etyka prześcignęła religię i chrześcijaństwo i uczyniła je w wychowaniu niepotrzebnymi. Owszem, dla uniknięcia nieporozumień akcentuje z naciskiem największy szacunek dla niezmiernych sił etycznych chrześcijaństwa. Ale stanowisko moralno-wychowawcze nie pozwala ludzić się, iż nauka religii jako taka nie daje dosyć miejsca do szczegółowego omówienia konkretnych, moralnych spraw życia.

Sama nauka przykazań nie wystarczy, potrzeba nam dokładnego wyłożenia życia ludzkiego, nauki o duszy ludzkiej, okazującej jakie zachodzą stosunki między przykazaniem a objawami życia i codziennem doświadczeniem, szczegółowego poznania wszelkich psychologicznych pomocy. Geografia serca, fizyka namiętności, dynamika panowania nad sobą, medycyna postępowania z ludźmi, oto obrazy, oznaczające najwyraźniej istotę takiej nauki życiowej.

Szwajcarski poeta i nauczyciel ludowy, przytem wierzący chrześcijanin Jeremiasz Gotthelf wyraża się w jednym ze swych pism bardzo trafnie o tem, jak niezbędną jest podobna nauka o realnych faktach, o prawach życia i duszy, aby można formuły religijne zużytkować w ich rzeczywistem

znaczeniu, wyzyskać do samowychowania i samokrytyki. Powiada on:

»Mój ojciec czytał historię o Józefie i o jego braciach prawdopodobnie tak, jak wielu innych ludzi. Mruzczał słowa, nie rozumiejąc ich treści, a tem mniej ich zastosowania do życia i do własnych stosunków. Nie pojął zgoła, co to jest zazdrość, jak się budzi i jak czyni człowieka nieszczęśliwym«. Jak zaradzić temu? Tylko przez ukazanie istoty zazdrości, a przede wszystkim przez dość wczesne przeciwdziałanie. Ta duchowa pomoc jest najważniejsza. Przypuśćmy, że o jedno dziecko mniej się dba i okazuje mu czułości, niż reszcie rodzeństwa. Można mu powiedzieć: Czyż nie wiesz, że ludzie są jeszcze bardziej różnorodni, niż rośliny i że jedno dziecko potrzebuje do wzrostu najlepszej części swej duszy nieco zahartowania i pozostawienia samemu sobie, drugie natomiast jak największej pieczołowitości? Kogo nie pieszczą, ten łatwiej da sobie radę z życiem. Czy może twoja matka nie dlatego ma większą słabość dla młodszego braciszka, że widzi jego duchowe i cielesne wady, które mu kiedyś życie uczynią ciężkiem?

Moglibyśmy przytoczyć jeszcze cały szereg przykładów udowadniających, że rozchodzi się nie o zepchnięcie na dalszy plan pouczeń religijnych, ale o wprowadzenie do nich metody pedagogicznej. Powinny one mianowicie być więcej indukcyjne, t. zn. przez omówienie własnych spostrzeżeń i doświadczeń dziecka przygotować je z wolna do zrozumienia najwyższych zagadnień. Uwzględnijmy np. biblijne przedstawienie grzechu pierworodnego. Omówienie znaczenia grzechu wogóle, a grzechu pierworodnego w szczególności, nie powinno tego przedstawienia rozpoczynać, ale je kończyć, a to na podstawie następującego rozważania: Odrzućmy na razie religijny charakter grzechu, a zacznijmy od jego społecznego znaczenia. Czemże jest w tem rozumieniu historia grzechu pierworodnego? Symbolem tworzenia się ludzkiego społeczeństwa. To powstawanie jest określone nie od zewnątrz,

ale od strony wewnętrznej. Człowiek porzuca stan rajskiej niewinności, w którym nie było rozróżnienia między dobrem a złem, gdyż nie było społecznej wspólności, która mogłaby odnieść szkodę lub pożytek. Przez społeczny związek życiowy następuje w człowieku rozdwojenie: Nie wszystko jest niewinnem, owszem niektóre czyny muszą być potępione i to nie przez innych, ale przez siebie samego, bo samemu jest się członkiem wyższej wspólności życiowej, osądzającej postęпки indywidualne według ich wpływu na podstawy egzystencji społecznej. Moralny rozwój kultury wydelikatnia i coraz bardziej rozszerza ten sąd społeczny. Równocześnie rozdział między człowiekiem natury a uspołecznionym zaczyna być coraz głębiej brany ze strony religijnej, mianowicie jako przeciwieństwo naturalnego pożądanego do owego tajemniczego porządku życiowego, który posługuje się życiem społecznym dla kierowania człowieka ku wyższym celom. Temsamem pojmuje człowiek przekroczenie wyższego zakazu jako odpadnięcie od boskości, strona społeczna znika zupełnie ze świadomości.

Może ktoś powie: Nie męczmy dzieci podobnymi rzeczami, co one wiedzą o grzechu, żalu i zadosyćuczynieniu? Prawda, wiele dzieci nie ma zrozumienia dla tych rzeczy, ale i wielu dorosłych, a niejedno posiada go więcej, niż ludzie dojrzały. Niech tylko wychowawca nawiązuje starannie pojęcia do doświadczeń i spostrzeżeń dziecka, niechaj młodą duszę wyprowadzi ze stanu niehamującej się natury do stanu rozdwojenia samego siebie i do poznania różnicy między dobrem a złem, wszystko przez zwrócenie uwagi na najbliższe i najprostsze fakta i stosunki życiowe.

Weźmy do ręki jabłko i zapytajmy dziecko: Gdy ci je dam i zjesz je, z pewnością nie przyniesie to szkody nikomu, nieprawdaż? Ale gdy mama zabroni jeść jabłko, a ty zjadłbyś je, z pewnością mniej smakowałoby ci. Byłby to smak jabłka niedozwolonego. Gdybyś jabłko wziął komu innemu, czy mógłbyś zjeść je spokojnie, czy niepokój we-

wewnętrzny nie powiedziałyby: Czynisz złe. Wyobraź sobie inny wypadek: Dostałeś jabłko do zjedzenia w szkole. Chcesz ugryźć kawałek, nagle spostrzegasz głodne, proszące oczy biednego kolegi. Jeśli nie podzielisz się, z pewnością nie będzie jabłko smakowało ci bardziej, niż n. p. małpce. Może nawet zawstydzisz się z powodu swego skąpstwa. Pamiętaj, człowiek nie może wszystkiego czynić, co chce; jest w nas jakoby dwóch ludzi: jeden schlebiałby apetytowi i zachciankom, drugi myśli o bliźnich, o miłości i przyjaźni. Nawet zwierzę doznaje czasem niepokoju, trwogi, gdy zje coś zakazanego, ale jest to tylko przypomnienie kary. Człowiek posiada ostrzegawczy głos wewnętrzny, który go gani, choćby tego kto inny nie uczynił.

Jeszcze dam ci jeden przykład. Na Boże Narodzenie dostałeś duży talerz jabłek i zjadłeś odrazu połowę. Czyż nie możesz tak uczynić? Nikomu to nie zaszkodzi. Jabłka są twą wyłączną własnością. A teraz powiedz, czy sam nie wstydzilibyś się, gdybyś odrazu połknął tyle? Jest bowiem w tobie człowiek, który chce pokonać wrodzoną chciwość, wie, ile złego wywołują nieokiełznane żądze. Przekonałeś się, że istnieją dla nas dwa gatunki jabłek: jedno wolno nam jeść, drugie nie, bo głos wewnętrzny zabrania. Odzywa się ten głos zawsze, gdy drugiemu chcemy wyrządzić krzywdę, odmawiamy prośbie. Trzy lub cztery jabłka w wieczór wigilijny można jeszcze spożyć, przy piątym mruczy już głos wewnętrzny, szóstego zabrania, choćby cały świat zgadzał się. Zjadłszy je rozróżniamy odrazu co dobre, a co złe, czujemy doskonale różnicę między pierwszym a ostatnim jabłkiem, jakby było rwane z zupełnie innego drzewa, z którego nam jeść nie wolno. Gdy zakaz przekroczymy, pojmujemy własnym sercem, co to za drzewo było: mianowicie drzewo świadomości złego i dobrego.

Doszedłszy do tego momentu, można dziecku przeczytać biblijne opowiadanie o grzechu pierworodnym. W ten sposób zrozumie ono, że nie chodzi tu o bajkę z dawnych

czasów i odległych krajów, ale o wydarzenia z własnego życia, o Adama, który się w każdym z nas ustawicznie odradza. Opowieść biblijna przyczyni się tylko do pogłębienia i rozjaśnienia własnej świadomości. Lepsza część, odzywająca się w nas przeciw niskim pokusom, ucieleśni się w najwyższej mądrości twórczej, która światłość i ciemności, lądy i morza, dobro i zło w duszy ludzkiej od siebie oddzieliła.

Religia i etyka mają zatem przy wprowadzeniu dzieci do świadomości dobrego i złego następujące zadania: Najpierwej musi kroczyć czysto etyczne i społeczne rozważanie ludzkich uczynków; przy pomocy prostych przykładów należy okazać, jak głęboką jest różnica między dobrem a złem w istotnym życiu. Przez to rozwinie się i wyjaśni w dziecku etyczny samorząd, stworzy się podstawę wewnętrznemu doświadczeniu, bez którego nie zrozumie z korzyścią dla siebie biblijnego opowiadania. Zadaniem samej opowieści o grzechu pierworodnym będzie znowu potężne pogłębienie tych wewnętrznych doświadczeń, uczynienie z nich podwalin dla uświadomionego życia, a to przez przedstawienie ich jako wstrząsającego starcia Boga z upadłym człowiekiem, podobnie jak sztuka przywodzi nam intensywną świadomość życia, okazując rzeczywistość w odbiciu wielkiej duszy geniusza. O tem zapomina np. Comte w swem pozytywistycznym wychowaniu, mniemając, że biblię da się zastąpić przez samo wyłuszczenie naszych społecznych zależności. Jako objaśnienie i wprowadzenie przyniesie takie pouczenie pewną korzyść, ale najważniejszym pozostanie zawsze, aby człowiek o tych związkach życiowych nie tylko wiedział, lecz także swe sprzeciwianie się im sam w sposób tragiczny przeżył. To jedynie kształci cały wewnętrzny rozwój człowieka i takie przeżycie zapewnia nam duchowe obcowanie z losami geniusza, w którym przemawia »słowo boże«. A geniusza nie zastąpi żadna socjologia. Wracając do przykładów, czynimy jeszcze uważnymi na opowiadanie o misce soczewicy,

które tem silniej i skuteczniej wyrzyje się w pamięci dzieci, im oprzemy je bardziej na ich własnem życiu. Poniżej szkic omówienia:

Spór o pierworodztwo.

Każdy z was przyzna, że niemądrze postąpił Ezaw, bratu swemu Jakóbowi odsprzedając pierworodztwo za miskę soczewicy. Patrząc uważniej na własne i drugich życie, dojrzyście z łatwością, że ludzie często tak samo czynią, wy sami może codziennie. Dla chwilowej rozrywki unieszczęśliwiamy się na całe życie, albo poświęcamy rzecz, tysiakkroć droższą i trwalszą, niż to, co w zamian otrzymujemy. Dać wam tego przykłady? Przedewszystkiem ci, którzy wyrządzają niesprawiedliwość, są Ezawami. Sprzedają sumienie, cześć, szczęście życia dla zadowolenia przemijającej żądz. Pewien 15-letni chłopiec dostał się do więzienia, gdyż okradł w niedzielę ladę sklepową, aby módz popołudniu z przyjaciółmi zrobić wycieczkę. Miskę soczewicy prędko się zjadło, ale za jedno popołudnie zrujnował całe życie. Przypuśćmy, że żyłby 60 lat, a więc za jedno popołudnie darował ich 365×60 , czyli 21.900.

A wy sami, co robicie w domu? Jeden niszczy zdrowie przez zimny napój, drugi przez jakąś nieostrożność. Jeden wydaje pieniądze na przysmaki, zamiast oszczędzać, lub zjada coś zabronionego, co drażni przez dwie minuty podniebienie, a psuje sobie i rodzicom cały dzień, czyli 720 minut. Głód za miską soczewicy jest obrazem chwilowej podniety, wypełniającej nagle całą duszę człowieka kuszącymi obrazami tak, że zapomina zupełnie o własnej i drugich przyszłości. Podobnie jak w latarni czarnoksięskiej. Zaciemnia się wszystko w pokoju, aby figury na ścianie wyszły wyraźnie. Przeciw tej latarni własnych pożądań nie można się lepiej zabezpieczyć, jak przez ćwiczenie siły w walce z kaprysmami chwilowymi i nieustępowanie, dopóki pokój nie rozjaśni się, t. zn. dopóki nie ujrzymy nietylko obrazu cza-

rującego na ścianie, ale i jego smutnych owoców. Gdyby ktoś chciał nas namówić, aby np. wycieczkę okupić nieprawdą, rzućcie jaskrawy odbłask światła na skutki kłamstwa, a sami się przekonacie, że rozjaśni się i wasza dusza i zgaśnie magnetyczna siła rozkoszy wycieczkowych.

Częstokroć sprzedają się ludzie za miskę soczewicy tylko dla ślepoty, nie pozwalającej odróżnić rzeczy cennych od małowartościowych. Ślepotą pochodzi znowu stąd, że nie spytali się, co jest rzeczą najpierwszą i najważniejszą dla człowieka? W przeciwnym razie nie ulegaliby ludzie tak łatwo pokusom, tak samo, jak odrzuca złe książki ten, kto raz prawdziwie dobrą przeczytał i wie, ile z niej skorzystał. Powiedzcież teraz sami, co jest najwyższego i najcenniejszego w życiu? W dziennikach czyta się nieraz ogłoszenie: »Co jest najcenniejszem w życiu? Zdrowie, dlatego pijcie codziennie filiżankę kakao Blooke'a«. Czy słusznie twierdzi Blooke? Tak się zdaje, bo cóż człowiek pocznie, gdy mu zdrowia zabraknie?

Zdrowie jest zatem rzeczą najwyższą. Tylko czy dowód powyższy dostatecznie przekonywuje? Głos wewnętrzny mówi, że musi w tem tkwić błąd. Z równą słusnością możnaby bowiem powiedzieć: Kiedy człowiek nie je, nie może pracować, pomagać, kurczy się, jak balon, pozbawiony gazu. A więc jedzenie jest najcenniejszem w życiu, również spanie, bo bez wypoczynku nie można nic zdziałać. Nie, nieprawda; zdrowie jest tylko jednym z warunków życiowych, ale nie najcenniejszem w życiu, tak, jak cegły nie stanowią wartości domu, choć na nich spoczywa. Zróbmy taką próbę: Że istnieje coś wyższego od zdrowia, widzimy w dziejach ludzkości. Iluż ludzi o kwitnącem zdrowiu dopuściło się najdzikszych czynów, albo żyli bez pożytku dla drugich, gdy tymczasem inni, w pełni, mimo przedwczesnej śmierci dokonali czynów bohaterskich. Na co zresztą daleko szukać. Gdyby któremu z was podczas ślizgawki brat wpadł do wody, a wy umieliście pływać i byli dość silni, by ratować,

czyż przyszłoby wam na myśl powiedzieć: »Nie pójdę do wody, gdyż zimna kąpiel zaszkodziłaby zdrowiu«. Gdyby bez waszego ratunku braciszek utonął, musielibyście przyznać, żeście dla misy soczewicy, t. j. zdrowia, poświęcili coś droższego, sumienie, cześć i miłość braterską.

No, może bogactwo należy uważać za najwyższy cel życia? Istotnie bardzo wielu gromadzi tylko pieniądze z poświęceniem delikatności uczuć, miłosierdzia i sumienia. Przecież, czyż pieniąż nie jest podobnym do owego uczynnego ducha w bajce, który wypełnia wszelkie życzenia? Niejeden marzył o wielkim losie na loteryi i co kupi za wygraną. Ach gdyby pieniąż spełniał wszystkie życzenia, byłby naprawdę wielkim. Niestety pobudza on tylko apetyt. Im kto bogatszy, tem ma więcej potrzeb, a te rodzą nowe pożądanja. Na cóż więc bogactwa, za pieniądze nie kupisz wszystkiego.

Nie mówię ja wcale, aby bogactwo było czemś złem i niepotrzebnem. Błogosławieństwem staje się jednak tylko w rękach miłości i skromności. Gdy zajmie pierwsze miejsce z poświęceniem dlań miłości i skromności, zamienia życie w smutną pustkę. Do szczęścia potrzeba człowiekowi raczej serca i czystego sumienia, niż nabrzmiałej sakiewki. Kto z tego raz zdał sobie jasno sprawę, nigdy nie da się skusić do sprzedania za miskę soczewicy bogactwa najlepszej części życia, t. j. stałego charakteru, czystości serca.

Za najważniejszy brak obowiązującej dzisiaj pedagogiki moralnej uznaliśmy fakt, że zadanie moralnego oddziaływania zapomocą nauki uważa za prostsze, niż ono jest w istocie. Nie zwraca się dostatecznie uwagi na to, że skuteczne przeniesienie praktycznych zasad i pobudek w świat uczuć i pragnień wymaga bardziej zawiślanego pośrednictwa umotywowanych pojęć pomocniczych, niż wpojenie samych intelektualnych wiadomości. Tą wadą odznacza się nieraz nie tylko etyczne wpływanie w szkole, ale i moralne duszpa-

sterstwo Kościoła. Głównym jego zadaniem jest pobudzenie i wzmacnianie moralnego życia przez odniesienie do ideałów religijnych i do porównań i nauk z dziejów biblijnych. Tymczasem zdarza się wielokrotnie, że odrzuca się podstawowe wymagania pedagogicznej psychologii i nawet nie próbuje istotnego, organicznego połączenia materiału naukowego z treścią duszy dziecka, t. zn. przypuszcza się, że prostsze przedstawienie treści biblijnej musi samo przez się oddziaływać na duszę dziecięcą. Prawda, że nie jest rzeczą złą, jeśli dziecię przekona się, że muszą istnieć rzeczy, których na razie nie pojmują, a których zrozumienie przynosi ze sobą dopiero dojrzałość życiowa, ale czyż trzeba w całym duszpasterstwie tak postępować? Autor nie stawia zarzutów jako wróg Kościoła. Przeciwnie, wierzy, że nie tylko religia, ale i Kościół pozostaną wiecznie potrzebą ludzi. Jednakowoż, gdy w całej pedagogice obowiązuje zasada kroczenia od rzeczy znanych do nieznanych, od najbliższych do dalszych, jedynie w etyce chcemy rozpocząć od nieznanego, by uprzystępnić najbliższe. Jeszcze dzisiaj używana metoda nauki religii bez nawiązywania do istotnego życia i do danego zakresu doświadczeń i interesów dziecka przeszkadza głębszemu moralnemu oddziaływaniu i nie daje dostatecznej podstawy do religijnego odczucia i wewnętrznego zrozumienia ewangelii.

Patrząc na dzieje biblijne ze strony ludzkiego życia, znajdzie się natychmiast stosowne pedagogiczne nawiązanie. Dzieje męki Pańskiej odnoszą się do życia jako do takiego i młodzież może je przeżyć we właściwym ich rozumieniu, choćby na bardzo małą skalę. Z chłopca n. p. nawiązują się, zarzucając tchórzostwo, gdyż nie bierze udziału w grubiaństwach, na zniewagi nie odpowiada zniewagami. Ciężka pokusa dla niego, by wyrzec się odosobnienia i wrócić do gromady. Nawiążmy do tego wydarzenia i wykażmy niezależnie od ewangelii, że człowiek powinien być słabym i pełnym miłości nie przez wzgląd na drugich, ale z miłości ku rzeczom wyższym, by siebie samego uchronić

od gburowatości, że drugiemu istotnie pomożemy i damy dobry przykład, znosząc niesprawiedliwość i prześladowanie. Prawdziwa dobroć wymaga ogromnej siły zaparcia, musimy uczyć się znoszenia niewdzięczności i osamotnienia. Gdy w ten sposób przed młodem serduszkiem, krok za krokiem, otworzymy horyzont ludzkiej świadomości, nauczymy głębiej pojmować wydarzenia z jego własnego życia, wtedy ukaże się mu życie i nauka Chrystusa w innym świetle, w ścisłym związku z wymaganiami i trudnościami realnego życia, a niezmierne dzieło boskiego wzoru wyda się mu wobec własnej chwiejności czemś tak olbrzymiem, jak wysokie góry w porównaniu ze wzrostem człowieka.

Stąd znajdzie się też punkt wyjścia dla nauki o wiecznym życiu i zmartwychwstaniu, a to nie przez zupełne jej wyczerpanie, ale przez nawiązanie do pewnych prostych składników wewnętrznego doświadczenia. »Gdy cię wyśmieją, lub obrażą dlatego, że sam siebie przewyżdzasz, nie myśl, by twój trud miał być nadaremny. Zważaj, o ile sam wolniejszym staniesz się przez każdą ofiarę z samolubstwa, o ile życie duszy wzmoże się po każdym zwycięstwie nad zwierzęciem w tobie, jak uczucie spokoju i niewzruszonej stałości całą twą istotę przeniknie. Kto raz tego zakosztował, nie wrócił do dawnej niewoli. Co dobre i wyższe będzie zawsze wbijane na krzyż i grzebane, ale tylko pozornym jest upadek, w rzeczywistości żyje wiecznie i zmartwychwstanie. Kto bierze krzyż na siebie, będzie wywyższony, t. zn. kto w wyższym rozumieniu znosi cierpliwie przeciwności losu od ludzi i miłością na nie odpowiada, ten dojrzał do szczytów życia. Czyż to tak trudno pojąć? Spróbuj jednego, jedynego czynu miłości przeciw twemu uporowi i pożądaniu, a pojmiesz wszystko«!

Nauczając w ten sposób zdusi się także w zarodku szeroko rozpowszechnione mniemanie, że przy nauce o wiecznym życiu rozchodzi się tylko o moral samej zapłaty, na grody, gdy naprawdę chodzi o niewypowiedziane stany we-

wewnętrzne, będące nieodłącznym skutkiem duchowego przewyciężenia człowieka zmysłowego, a które stosownie do nauki religii (przeczone już zresztą przez Platona) przygotowują przyszłe nieograniczone obcowanie duszy ludzkiej z wiecznością. Nauka o życiu wiecznym przedstawia zatem stosunek człowieka dążącego wyżej do świata przemijającego, a nie kontrakt między Bogiem i człowiekiem co do zobowiązań i powinności.

Zwracając szczególniejszą uwagę przy kwestyi naprowadzania dorastających, celem zrozumienia męki Pańskiej na osobiste wywyższenie, nie chciał autor bynajmniej tem wyrazić, że bezpośrednie żądanie takiego »zmartwychwstania« przez samozaparcie ma być kierującym motywem wychowania do poświęceń. Nie — pożądanie ofiary, gotowość do niej musi w pierwszej linii umieć obudzić powolne rozszerzenie współczucia i obudzenie radości z panowania nad sobą. Właśnie bowiem zdarzają się pośród młodych ludzi, w okresie dojrzewania silne, swem indywidualnem życiem zupełnie pochłonięte osobniki, u których nie wystarczają zwykłe środki do obudzenia współczucia; instynkta społeczne są słabo rozwinięte, a nawet, jeśli są, budzą niedowierzenie jako coś łamiącego indywidualizm. Wpływ Nietzschego wzmoenił ten nastrój wśród młodzieży tak dalece, że samą etyką społeczną nic nie można zdziałać. W takich wypadkach zdoła pomódz jedynie silne i wyraziste wskazanie na stosunek ofiary i przełamania siebie do życia indywidualnego. Nietzsche pojął zresztą fałszywie Chrystusa i chrześcijaństwo twierdząc, że ewangelia jest dobra dla ludzkiego »stada«. Nie przypadek zrzędał, że chrześcijaństwo wywierało od dawna głęboki wpływ pociągający na osobistości silne, przedstawiając ofiarę jako potężny wyraz wzbicia się ponad powszedniość życia a wyrzeczeniem się samolubstwa otwierając tajemnicze wnętrza, które obiecywały człowiekowi nadziemskie wieczne życie. U ludzi ze stada o silnych instynktach społecznych a mało rozwiniętej samoświadomości nie

wymaga poświęcenie własnego ja takich przedstawień, spalenie egoizmu nie daje tyle płomienia, co u natur silnych, o mocnych popędach życiowych. Płomień ofiary, rozjaśniający całe niebo zwiastuje pokrewnym naturom, że tu ginie coś przepotężnego, by powstać z popiołów w zmienionej, ale chwalebniejszej postaci. Jesteśmy dzisiaj co do przestrzeni i czasu daleko od owych miejsc, gdzie bezpośrednio wrażenie takich wydarzeń trwało, tem więcej musimy je młodzieży we właściwym rozumieniu przybliżyć, a jest to możliwe wyłącznie przez zwrócenie się do jej własnego doświadczenia, a potem przez wyzyskanie doświadczenia do tłómaczenia symbolów.

Celem pedagogicznego wprowadzenia do nauki o wieczności i zmartwychwstaniu podajemy wyjątek z przemówienia autora w dzień wigilijny do 11—12 letnich dzieci robotników:

»Przed dawnymi laty żył potężny król, który wpadłszy z wielkiem wojskiem do obcego kraju palił wsie i miasta, mieszkańców pędził w niewolę. Czyny swe kazał ryc na skałach, a gdy czuł, że śmierć się zbliża, polecił wykuć z głazów komnatę grobową, ciało namaścić kosztownymi balsamami. Jego imię nie żyje jednak między nami, nasze oczy nie błyszczą, serce nie bije żywiej, gdy o nim nam opowiadają. Nadejdzie dzień, gdy pioruny i deszcz zniszczą ostatni szczątek jego grobu, gdy piasek pustyni zatrze wszelki ślad, jak gdyby nigdy nie istniał.

»Przed dawnymi laty żył drugi król, który krwi nie przelewał, domów nie palił. Nazwiska swego nie rył na skałach, ale w sercach ludzkich. Grzesznikom podawał rękę, chorym ścierał pot z gorącego czoła, oświetlał światłem miłosierdzia niedolę ubogich i dotrwał aż do krzyża w cierpliwości i przebaczeniu. Nie budował domu grobowego, jak dawni królowie, a dzisiaj widzicie wszędzie po wielkich miastach i małych wioskach domy jego pamięci poświęcone, nawet ponad ludzkimi mieszkaniem u granic wieczystego

śniegu wydzwania kapliczka pamięć jego dzieła miłości, a dzisiaj obchodzi cały świat świętą noc jego narodzin.

»Potęga dobroci jest trwalszą i silniejszą, niż zgiełk wojenny całego świata. Błądzącego prowadzi ona jak światełko w ciemnym lesie. Nie lękajcie się nigdy, że okazanie serca pójdzie na marne. Łagodne słowo, wielka miłość są nieśmiertelne, zwyciężają naigrawanie i bywają czczone w zakątkach serca opuszczonych i nieszczęśliwych«.

Wracając jeszcze do kilku innych ważnych punktów w nauce religii pod względem moralno-pedagogicznym, zauważamy, że nie na wiele przydadzą się dzieciom najwznioślejsze nauki z kazania na górze, jeśli przeciw własnym naturalnym zarzutom nie otrzymają odpowiedzi na podstawie i przy pomocy własnych obserwacji i doświadczeń życiowych, a zarazem nie zostanie obudzone zrozumienie bogactwa znajomości życia, zawartego w tem kazaniu? Niewątpliwie niejeden człowiek dojdzie w dojrzałym życiu po ciężkich doświadczeniach w walce z ludźmi do przekonania, iż kazanie na górze ma rację, ale wówczas bywa zwykle już za późno. Chodzi właśnie o to, aby dorastający poznali nie tylko prawa działania sił elektrycznych, chemicznego oddziaływania związków, lecz fakta i prawa wzajemnego oddziaływania ludzi na ludzi, by wiecznie nie powtarzała się ta sama krótkowzroczność.

Aby uwydatnić skreśloną powyżej konieczność pedagogiczną, musimy przypomnieć fakt kulturalny i historyczny bardzo ważny dla wychowawcy, niestety w etycznym oddziaływaniu zbyt skoro pomijany: Ile czasu potrzebowała sama ludzkość, ile doświadczeń zużytkowała, zanim najdojrzalsze umysły pojęły wreszcie prawdziwą rolę gwałtu w ludzkim życiu! Iluż ludzi jeszcze dzisiaj w swych zapatrywaniach na przemoc stoi na poziomie czasów homeryckich. Czyż więc nie trzeba z dzieckiem powtórzyć dziejów wycho-

wania rodu ludzkiego, nauczyć je pojmować stopniowo doświadczenia, które zniszczyły naiwną wiarę w zbawienną siłę rozlewu krwi i odpłaty.

W związku z podaniami greckiej starożytności i z lekturą klasyczną da się, szczególnie starszym chłopcom, wiele wrażeń wpoić. W światopoglądzie Homera widzimy jeszcze pełną naiwności radość z czynów gwałtownych. Inaczej Eschyl — przedewszystkiem w swej Oresteji. Gwałt jest tu pojęty już tragicznie. Głębokie przerażenie przed ciennymi skutkami czynów krwawych, zwierzęcych przenika całą tragedję. Sam ród Agamemnona jest przedstawicielem całej klątwy mściwego gwałtu. »Nie zapomina Bóg o mordercy ludów«, czytamy tam; Eschyl dobrze rozumiał i widział życie — śledził przemoc do głębin rzeczywistości i znalazł tam jej wieczny sąd.

Herakles Eurypidesa jest może najciekawszym dokumentem »przewartościowania wartości«, które dokonało się już wówczas w mniemaniu umysłów kierowniczych o czci siły. Herakles był bohaterem epoki, w której wybijała się zasadniczo na czoło walka z dzikimi zwierzętami i barbarzyńcami, a zwierzęca energia była podstawą bytu; tymczasem nadeszły nowe czasy, w których cenie moralnej wartości sprzyjało pokojowemu współdziałaniu i rozwinięciu delikatniejszych stron duszy. Eurypides broni wymownie tej przemiany, zwraca się przeciw Heraklesowi, każe bohaterowi umierać z szałenstwa, niezesłanego przez Herę, ale wybuchającego z oparów krwi i nieokiełznania czynów gwałtownych. Siła jest w gruncie pełną słabości, choćby zewnętrznie i pozornie była twórczą, bo czyni człowieka powolnym dla własnych dzikich namiętności i grzebie przez to porządek towarzyski i stałość indywidualną, — oto nauka Eurypidesa, w której dziwnie spotyka się z tem, co Dostojewski mówi w swym »Martwym domu« o oddziaływaniu uczucia siły na człowieka gwałtownego.

W Dantego »Boskiej komedyi« siedzą gwałtownicy w najniższej części piekła — na zawsze wykluczeni od twórczego działania w życiu. W dramatach historycznych, w »Makbecie«, »Hamlecie« złożył Szekspir wiele porywającego doświadczenia życiowego o całej ułudzie siły. Hamlet, to człowiek głęboko widzący, który nie może dokonać zemsty w całości, bo przejrzał rzeczy do dna i wie, że ten środek nic nie naprawi; słabym nie jest, uciekając od gwałtu, ale też nie jest jeszcze całkowicie chrześcijaninem, wahając się między oboma potęgami życiowymi.

Przy pomocy wielkich poetów i znawców życia można starszym uczniom rzucić pomost między najwyższą mądrością Chrystusa a faktami i prawami istotnego życia, zaś następnie poprowadzić ich od naiwnego stanowiska odwetu do dojrzalszego poglądu i wykazać, że nauka Chrystusa jest nauką rzeczywistości. W tem rozumieniu będzie też najważniejszym przygotowaniem do zrozumienia kazania na górze przez przeprowadzenie całego szeregu rozmyślań, wziętych z rzeczywistości, a zarazem okazujących skutki gwałtów.

Za ilustrację metody niechaj posłuży jeden przykład. Uwzględnijmy z kazania na górze zdanie: »Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie«. Dzieci nie rozumieją absolutnie treści tego błogosławieństwa. Doświadczenie poucza je, że cierpienie jest cierpieniem, przynoszącem zniszczenie i hamuje tok życia, a nie zawiera w sobie żadnej szczęśliwości. Żeby młodzież pojęła wewnętrzną treść owych słów musi moralna pedagogika przerzucić z najwyższych szczytów duchowego władztwa ludzi ponad życiem most do prostych wrażeń dziecka. Jak cel osiągnąć? Opowiedzmy bajkę o małym garbusku, wyśmiewanym przez kolegów za życia, a w którego garbie znaleziono po śmierci dwa skrzydełka anielskie. Niechaj następnie dzieci przy pewnej pomocy dojdą do znaczenia życiowego tego fantastycznego opowiadania, że mianowicie bardzo wielu z ludzi dźwiga przez życie taki garb: ciężkie kalectwo, kłopoty, troski, straty, rozczarowania. Czy

z garbu wyrosną skrzydła, t. zn. czy ten ciężar rozwinie ich wyższe siły duchowe, uskrzydli duchowe doskonalenie, zależy od tego, jak zużytkują cierpienie do pomnożenia w sobie cierpliwości, współczucia i łagodności. Czyż niema w życiu dziecka podostatkami losów i sytuacji, pobudzających do prób na samym sobie? Ciężka choroba, śmierć ojca, matki, starszego rodzeństwa zmusza często do zastąpienia utraconych i do stania się podporą, mniejsze cierpienia dają sposobność do duchowego wzniesienia się ponad niepowodzenie i do ćwiczenia sił duszy; — wszystkie takie przykłady z własnego życia młodzieży przykuwają, szczególnie gdy otwierają nowe horyzonty przezwyciężania trudności. O to zatem chodzi, aby nie podawać samej nauki, ale konkretną treść życia, zawartą w nauce, aby nauczyciel był tylko pośrednikiem, a rzeczywistość życiowa działała sama przez się na wychowanka.

Wszystkie powyższe poglądy pedagogiczne można jeszcze pogłębić przez historyczne rozważanie. Nie ulega wątpliwości, iż etyczny rozwój otrzymał ze strony religii wiele pobudek i wzmocnień, i że naodwrot religii najgłębsza treść pochodzi od etycznych wydarzeń w życiu człowieka. Czyż na pierwszym stopniu cywilizacji nie była religia wyłącznie kultem sił przyrody, symbolem bezlitośnego rządzenia potęg elementarnych, pozostających w najsilniejszym przeciwieństwie do wyższych uczuć etycznych? Z wydelikatnieniem społecznej i etycznej kultury rozdźwięk rósł, aż doprowadził u greckich poetów do otwartego buntu sumienia przeciw przekazanej religii. Postać Orestesa ucieleśnia w sposób wrzuszający bunt etycznego poczucia przeciw prawu boskiemu. Jest to oczyszczony rozwój etyczny, przygotowujący podłoże pod nowy światopogląd religijny. W głęboko religijnej duszy Eschyla dokonała się przemiana czysto kosmicznej idei bóstwa w poczucie związku człowieka z wyższym światem

poza sferą świata zmysłowego. U Eschyla występują dawne bóstwa jako postacie teatralne, za nimi kroczą już nowe moce niebieskie. W księdze Joba widzimy to samo przejście od Boga kosmicznego do psychicznego: Job przekonał się, że rządy natury pozostają w przeciwieństwie do wyższych uczuć człowieka — popada w głębokie milczenie i poznaje w nim, czym jest Bóg. Chrześcijaństwo jest najwyższym stopniem jasnego zrozumienia istoty Boga. »Królestwo Boże jest wewnątrz was samych«. Boga pojmuje się przez wewnętrzne doświadczenie, a nie wywodzi od zewnętrznych wydarzeń.

Jeśli wychowanie całego rodu ludzkiego szło tą drogą, będzie ona ważną dla pedagogicznego wychowania jednostki. Naiwny człowiek nie zdoła religii tak wewnętrznie pojąć i zrozumieć, aby go sama przez się uszlachetniła. Trzeba najpierw obudzić i rozwinąć jego wewnętrzne życie przez prostsze oddziaływania, musi on poniekąd posiadać wewnętrzne doświadczenia etyczne, aby pojąć religię jako żywą prawdę. Musi doświadczyć i przecierpieć przeciwieństwa natury i ducha, aby zrozumieć, że religia nie pragnie ludzkiej niewoli, ale wolności.

W tem rozumieniu powstała religia na swych najwyższych szczeblach z moralnych potrzeb człowieka. Wynika stąd, że etyczne ćwiczenia są nieodzowną drogą do wychowania religijnego i że zarazem celem najwyższego udoskonalenia i utrwalenia strony moralnej nie może braknąć momentu religijnego. Religia byłaby zginęła wraz z bóstwami natury, zamiast przybrać coraz potężniejsze formy, gdyby nie owa moralna walka człowieka ze samym sobą, która stawiając coraz wyższe żądania, tem mniej miała szans wygranej przy pomocy samych etycznych reguł obowiązków. Domagała się więc etyka dla swych najistotniejszych potrzeb religii.

Powwyższego związku nie uwzględniają należycie n. p. wolnomyślni głosiciele chrześcijańskiej nauki o łasce. Inaczej

nie nazywaliby jej krokiem wstecz wobec starożytnej etyki, która wierzyła, że człowiek może sam, mocą własnej siły moralnej zbawić się. Owszem, nauka o łasce, obrazująca najdobitniej istotną różnicę między etyką religijną a naturalną jest wielkim, długo przygotowywanym postępowaniem rozwoju etycznego. W tem spoczywa jądro i istota darów, jakie może dać religijny światopogląd w uzupełnieniu naturalnej etyce: Religia rządzi i szafuje doskonałem, etycznie przeżytem życiem. W tem był już Budda wyższym od systemów czysto spekulacyjnych, tem będzie zawsze religia chrześcijańska pobijała etyki umiejętne. Życie jako takie jest potężniejszym faktem, niż przemyśliwanie nad niem.

Zamykając uwagi o nauce religii i etyki musimy jeszcze ze szczególnym naciskiem zwrócić uwagę na zjawisko ogólnie znane, ale w wychowaniu młodzieży za mało uwzględniane. W wieku naszym panuje bardziej, niż kiedykolwiek u młodego pokolenia niewiara we wszelką powagę, rozkładając fundamenta, na których opierała się dotychczas pewność etyczna. Coraz konieczniejszem jest też, aby rodzice dawali dzieciom na drogę życia religijny grunt pod etykę, a także uzbrajali je w poglądy i uczucia niezależne od wyobrażeń religijnych, zatem dające ostoję, gdy tamte zawiodą. Największe niebezpieczeństwo zagraża młodzieży naszego stulecia przez to, że przekazane podstawy sumienia właśnie wówczas muszą przetrzymać najzaciętsze duchowe ataki budzącego się myślenia, kiedy młody człowiek potrzebuje najbardziej stałych i jasnych przekonań. Dzieje się to w krytycznych latach wystąpienia popędów zmysłowych z żywiołową siłą na czoło życia cielesnego. Nie można zatem znaleźć dość słów na wyrażenie znaczenia takiego uzupełnienia religijnego uzbrojenia przez etyczną i społeczną znajomość życia.

MORALNO - WYCHOWAWCZE PRÓBY.

A m e r y k a.

1. Szkoła Towarzystwa etycznej kultury w Nowym Jorku.

Idea wspólnej nauki moralności dla dzieci bez różnicy wiary została najpierw urzeczywistniona w Ameryce, w szkole nowojorskiego towarzystwa etycznej kultury, założonej przez profesora Feliksa Adlera. Nie nastąpiło to przypadkowo, ale stało się ze względów kulturalnych i pedagogicznych, które odpowiadają zasadniczo demokratycznym podstawom amerykańskiego ustroju. W szkołach publicznych nie udziela się wcale nauki religii, bo niema w państwie wspólnego wyznania, a wszelkie wprowadzenie do publicznej instytucji jednego światopoglądu zostałyby odrzucone z miejsca, jako zamach na demokratyzm. Przecież właśnie w Ameryce, mimo wielkich pokus materyalnych, odczuto silniej, niż gdziekolwiek indziej, konieczność dawania młodzieży szkolnej na drogę życia coś więcej nad sam materiał intelektualny. Adler ogranicza się w swej niewyznaniowej nauce etyki do pobudzenia sumienia przez apel do wspólnych uczuć, myśli i doświadczeń. Omawiając n. p. z uczniami przykazanie prawdomowności, usiłuje przede wszystkim wpoić w nich cześć dla strony etycznej. Później rozjaśnia sąd ucznia o tem, co dobre, a co złe, w tym wypadku o prawdomowności i o kłamstwie. Rozróżnia rozmaite rodzaje kłamstwa i ostrzega wy-

chowanków, by się mieli na baczności przed duchem kłamstwa, choćby skrytym. W dalszym ciągu wykazuje, że można stać się winnym nieprawdy, wywołując celowo fałszywe wrażenie i próbuje tak wydelikatnić sumienie, aby dzieci unikały tak lubianych przez siebie dwuznaczności. Ugruntowawszy moralne uzdolnienie do prawdomowności, podaje Adler uczniom najczęstsze przyczyny kłamstwa. Tchórzostwo jest zwykłą pobudką kłamliwości; gdy wzbudzimy wstyd przed pierwszą wadą, wyleczymy częstokroć z drugiej. To samo dotyczy nieokiełznanej fantazy, zazdrości i głównej podniety kłamania: egoizmu we wszystkich formach. Należy również wyjaśnić wychowankom skutki nieprawdomowności: brak zaufania u drugich, szkody wyrządzone innym, rozluźnienie węzłów wzajemnego zaufania w ludzkim społeczeństwie, utrata szacunku przed samym sobą, smutna konieczność wynajdywania nowych kłamstw itp.

Adler nie ukrywa ani na chwilę, że sama osobistość nauczyciela jest głównym czynnikiem moralnego wpływu w szkole i że różne przedmioty nauki, jak: gry i zabawy, gimnastyka, nauka zręczności dają sposobność do obudzenia i wzmocnienia u uczniów lepszych przyzwyczajzeń. Najtrudniejszą rzeczą jest naturalnie zręczny rozdział materiału i wybór dla rozmaitych okresów życia. Adler broni zasady, że w każdym okresie powinien pewien obowiązek stać się osią rozważania, a to obowiązek dla danego okresu najważniejszy. W wieku dziecięcym będzie nim np. posłuszeństwo rodzicom, nabywanie wiadomości, obowiązek panowania nad sobą i inne powinności społeczne. Omawiając poszczególne obowiązki zwraca uwagę na stronę konkretną, a nie na moralną abstrakcję. Ideę sprawiedliwości i miłości bliźniego tłumaczy n. p. następująco: »Bądź sprawiedliwym« znaczy: nie przeszkadzaj rozwojowi bliźniego. »Bądź pełen miłości« znaczy: pomagaj chętnie rozwojowi bliźnich. Przy wyjaśnianiu miłości bliźniego powinien nauczyciel mówić o dawaniu jałmużny, o odwiedzeniu chorych, a także o tysiącnych do-

owych usługach, o dobrodziejstwie przyjaznego spojrzenia i o najszlachetniejszym rodzaju miłości, objawiającym się w podnoszeniu upadłych i zbłąkanych.

Metoda nauki Adlera posługuje się na najniższym stopniu powiastkami, ale bez moralnej tendencji, tylko dla rozwinięcia wyobraźni i współczucia, na następnym stopniu bajkami, dla wyraźnego oświetlenia pewnych faktów moralnych, później następują podania z czasów starożytnych i opowiadania ze starego testamentu celem wprowadzenia do świata ludzkich charakterów. Przy pomocy powyższych opowiadań ma się wykształcić moralne spostrzeganie dziecka, zanim przystąpi się do pojęć.

Przy właściwej nauce o obowiązkach wskazuje Adler następujący podział: 1) obowiązki względem samych siebie, 2) obowiązki względem ściślejszego otoczenia i 3) względem wszystkich ludzi. Pierwszy rozdział obejmuje znowu obowiązki: a) ducha (powody, dla których należy uczyć się); b) uczucia (panowanie nad uczuciami); c) fizyczne (samobójstwo, czystość itp.). Uwzględnienie samobójstwa nie zdziwi nikogo, gdy się zważy, o ile wzrosła w ostatnich latach liczba młodocianych samobójców. Naturalnie trzeba w sposób konkretny rozebrać powody prowadzące do samobójstwa i wskazać, że niema cierpienia, w któreby człowiek nie zdołał przez cierpliwość i poświęcenie pomódz bliźniemu.

Naukę obowiązków względem innych rozpoczyna nauka o obowiązkach dziecka. Adler odrzuca stanowczo omawianie obowiązku miłości dla rodziców, a chodzi mu tylko o to, aby dzieci zastanawiały się, jak mają w codziennem życiu okazać rodzicom miłość, wdzięczność i szacunek. Słusznie też zauważa, że właśnie nauczyciel, jako czynnik bezstronny może uczucia rodzinne wzmocnić i pogłębić. Uczeń ma, powróciwszy ze szkoły, patrzeć na rodziców w nowem poczuciu tego, co im zawdzięcza, okiem żywej tkliwości. Na końcu uwzględnia się obowiązek względem wszystkich ludzi. Rozdział miłosierdzia obejmuje następujące punkta: 1) Pomagaj

potrzebującym, sam unikając niepotrzebnych wydatków. 2) Rozweselaj smutnych. 3) Pocieszaj zasmuconych. 4) Pomagaj upadłym. 5) Ćwicz się w dobroczynności duchowej.

Fałszywym byłby jednak nasz sąd o pedagogicznych dążnościach nowojorskiego towarzystwa, gdybyśmy mniemali, że samo wprowadzenie nauki moralności do planu jest istotą całej nowości. Osią zapatrywań Adlera jest przekonanie, że cała nauka tej wiedzy musi być podporządkowana kształceniu charakteru, aby szkoła odzyskała wewnętrzną jedność, jaką posiadała za czasów panowania Kościoła, gdy nauka służyła wychowaniu wierzących chrześcijan. W myśl podporządkowania materiału naukowego jednej idei przewodniej uczy się w szkole Adlera każdego przedmiotu w ten sposób, że dzieci muszą wiadomości przyjmować nie bezmyślnie, ale zdając sobie sprawę z ludzkiej, pełnej poświęceń pracy, która w tychże wiadomościach się streszcza. Uczą się n. p. nauk przyrodniczych nie jako sumy pewnej wiedzy, ale wprowadza się je do dziejów ludzkiej świadomości, mówi o ich błędach, męczeństwie, ustawicznym postępie skutkiem wspólnej pracy całych narodów i pokoleń. W nauce historii wysuwa się na czoło stronę cywilizacyjną, powstawanie narodowych organizmów. Zadaje się pytanie, jakie cywilizacyjne i polityczne dary zawdzięczamy innym narodom, a jaką misję ma nasz naród we wzbogaceniu kultury? Adler jest przekonany, że nauki przyrodnicze mogą szczególnie przysłużyć się do utrwalenia prawdomowności, bo tu uchwytna natura faktów pozwala dostrzedz najmniejsze zboczenie od prawdy. Nauczyciel powiada np.: Przypatrz się dokładnie temu ptakowi i powiedz, co widzisz; jaka jest długość szyi, zakrzywienie dzioba, barwa upierzenia i t. p. Dziecko odpowiada, nauczyciel mówi: Niedokładnie przypatrzyłeś się, barwa nie jest taką, jak ją opisałeś. Przypatrz się jeszcze raz. Musisz dokładnie powiedzieć, co widzisz. Słowa muszą odpowiadać rzeczywistości. Taki realistyczny sposób uczenia prawdomo-

wności oddaje dobre usługi szczególnie wobec dzieci, dla żywej wyobraźni skłonnych do kłamstwa.

Osobliwą wartość moralną i pedagogiczną przypisuje szkoła Adlera nauce zręczności. Opiera się ona pod tym względem na doświadczeniach, poczynionych w zakładach poprawczych dla dzieci zaniedbanych. Adler udowadnia, że dzieci łatwo pobudliwe, o słabej woli, mają niedostatecznie w mózgu rozwiniętą kontrolującą funkcję duchowej energii w stosunku do ośrodków ruchu i że temu brakowi można najprościej zapobiedz przez zawiłe zadania nauki zręczności. Prace wyłącznie intelektualne nie naruszały stosunku ducha do czynu, a właśnie rozchodzi się o wzmocnienie tego stosunku. Konkretnie zainteresowanie pracą ręczną pobudza dziecko, aby swe czynności dostosowało do wyłącznego celu, dość skomplikowanego — i to jest początkiem odrodzenia. Co ważniejsza, dzieci podupadłe intelektualnie, a mające wielką zręczność do robót fizycznych, odzyskują szacunek samego siebie, który utraciły przez uposiedzenie na innym polu.

Inne towarzystwa poza obrębem Nowego Jorku poza-
kładały jedynie etyczne szkoły niedzielne. W krótkim streszczeniu przytaczamy zapatrywania, wyrażone przez W. Sheldona, przedstawiciela etycznego towarzystwa w St. Louis, w interesującym sprawozdaniu o stanie tych szkół: Sheldon posługuje się do 9—10 roku życia głównie opowiadaniem biblijnymi, dopiero na pierwszym kursie nauki moralności mówi »o przyzwyczajeniach«. Omawia jedną skłonność za drugą, próbuje wydobyć od dzieci własne spostrzeżenia i uzupełnia je własnym dojrzałym doświadczeniem. Rozmawiając np. o »przesadzie« zapytuje, co dzieci o tem wiedzą, jakie przykłady mogą dać z własnego życia. Potem pyta, co popycha do przesady? Omawia następnie oddziaływanie przesadności na cały charakter, na zaufanie ludzkie do nas, tak, że dzieci natychmiast pojmują, jaką rolę odgrywa to przyzwyczajenie w istotnym życiu.

W 11 roku staje się osią omówień »dom«, stosunek wzajemny członków rodziny: czem jest posłuszeństwo, czem się różni prawdziwa powolność od pozornej, że całe życie polega w wysokim stopniu na dobrowolnem podporządkowaniu woli. Stosunek rodzeństwa omawia się na zasadzie wzajemnej usłużności, bada się przyczyny swarliwości i t. p. Dalszym przedmiotem rozmówek jest stół rodzinny: co przemawia za wspólnem jądaniem i jak każdy członek rodziny swem zachowaniem powinien przyczynić się, aby obiad, czy wieczerza stały się istotnie źródłem posiłku. Mówi się także z dziećmi o »chorobie i zmartwieniach«, co należy wówczas czynić i jak się zachować.

Niezależnie od prób na polu etycznego ruchu podnosi też John Dewey, profesor uniwersytetu w Chicago z naciśkiem konieczność wprowadzenia pouczeń moralnych do planu szkoły. Zapatrywania swe uzasadnił gruntownie w nader pouczającej książce »School and Society«, gdzie odrzuca metodę szkoły oderwanej od życia, a za cel wychowania szkolnego uważa przysposobienie wychowanków do życia społecznego. Z energią zwraca się przeciw rodzajowi nauki moralności, jaki spotykamy najczęściej we francuskich podręcznikach. Metoda francuska opiera się mianowicie na najzupełniej błędnej zasadzie, że dziecku powinno się narzucać i wpajać w nie regułki moralności, co na wykształcenie charakteru wywiera tak mały wpływ, jak przyswajanie formułek astronomicznych. Według Deweya powinien np. nauczyciel w ściśle oznaczonym wypadku zapytać się, jakby można zaradzić widocznej nędzy. Pytanie powinno mieć cechę wyłącznie praktyczną z zupełnem wykluczeniem wszelkich gotowych formułek moralnych. Nie należy dopuścić uczniów do dysputowania, czy należy komu coś dać na podstawie jakiejś oderwanej zasady dobroczynności. Główną rzeczą będzie, by z pominięciem pięknych słówek pytania nauczyciela pomogły uczniowi do uprzytomnienia sobie samemu scen nędzy za pomocą własnej wyobraźni. Gdy chłopcy

omawiają plan działania, nie należy dopuścić do uogólnień, ale zmuszać do konfrontacji pomysłów zawsze z samym wypadkiem. Profesor Dewey zapytał w pewnym wypadku uczniów, z jakiego punktu widzenia należy oryentować się w sytuacji. Ci postawili takie pytania: 1) Czy nędza jest istotną, czy udaną? 2) Co jest przyczyną, czy brak energii, choroba, nieszczęście, brak uzdolnienia, uwolnienie od pracy bez własnej winy, zbrodnia, czy nieumiarkowanie? 3) Jaka była przeszłość nędzarza, jego rodzina, sąsiedzi, zajęcie itp.? 4) Jakimi środkami co do sił, czasu rozporządza potrzebujący pomocy? Jak widać z powyższego specjalnie dobrana sytuacja pozwala uczniom stopniowo wyobrazić sobie cały szereg typowych związków i połączeń z rzeczywistości, oznaczyć dokładnie rolę uczucia i rozumu w etycznym działaniu, uchronić od ślepej litości. Także wybuch strajku wybiera profesor Dewey za przykład, aby zobrazować łączność wszystkich członków społeczeństwa. Jak widać z powyższego wchodzi tu w grę raczej już socjologia, niż etyka w ścisłym znaczeniu.

Trudno jednak pogodzić się z Deweyem, gdy żąda, aby usunąć z nauki etyczne ideały i drogowskazy; dziecko nie obejmie życia w społecznym związku tak, by stąd wy dobyło dla wychowania samego siebie stały kierunek, którego nadanie jest w młodych latach rzeczą rozstrzygającą.

2. Pedagogika moralna w prowadzeniu i w karności szkolnej.

W żadnym innym kraju nie znajdziemy w literaturze pedagogicznej i w sprawozdaniach władz tak jasno określonego stosunku szkoły do politycznych warunków i zadań narodu, jak w Ameryce. Odnosi się to szczególnie do karności szkolnej. W Europie, nawet w krajach liberalnych, nie zawiera porządek szkolny pierwiastków konstytucyjnych, lecz wszędzie panuje nieograniczona dyktatura nauczyciela, skutkiem czego młodzież po ukończeniu szkoły wchodzi nie-

przygotowana w atmosferę odpowiedzialności własnej i samorządu. Inaczej w Ameryce. Tu całą karność szkolną przenika idea »self-government«, często nawet wychowanie uczniów w samorządzie i dobrowolnym podporządkowaniu uważa się za coś o wiele ważniejszego, niż podanie wiadomości, gdyż tych można nabyć i przez naukę prywatną, a szkoły jako zakładu przygotowującego do życia społecznego nie da się w istocie niczem zastąpić. Kto po raz pierwszy zwiedza jakąkolwiek ludową szkołę amerykańską, zdziwi się niepomierne, patrząc na stosunek nauczyciela do uczniów, ugruntowany na wzajemnym poszanowaniu i swobodnej ocenie sytuacji. Tu dopiero nabiera się pojęcia o doniosłości oddziaływania ładu, o złagodzeniu obyczajów, wynikłego z apelu do poczucia honoru, z postępowania pełnego ufności. Wszędzie spotyka się słowa »szacunek przed samym sobą«, »samorząd«, »samodzielność«. Przenikającą wszystko zasadą jest rozpętanie własnych sił ucznia i ich zużytkowanie do dobrowolnej karności. Kilka opinii powag na polu wychowania niechaj wykaże, jak wyraźnie i świadomie pojmuje się tę karność szkolną.

»Class Management Monograph« wyraża się: »Jedynym rządem zasługującym na tę nazwę wogóle, jest samorząd. Do jego urzeczywistnienia powinny zmierzać wszystkie drogi nauczyciela na polu pedagogicznym«.

Hervey, członek komisji egzaminacyjnej w Nowym Jorku pisze w »New-York Teacher Monograph«: »Najgłębszą i najcenniejszą jest u dziecka dążność, by być samem sobą. Pierwszem i największem przykazaniem powinno zatem być dla nauczyciela uszanowanie tego popędu do samodzielności. Zadanie wychowawcy polega nie na łamaniu samodzielności, ale na jej oczyszczeniu, uduchowianiu«.

Bardzo wyraźnie występuje ta sama dążność wychowawcza w książce prof. Deweya p. t.: »Szkoła a społeczeństwo«. Czytamy tam: »Nasze społeczne życie doznało bezsprzecznie głębokiego przewrotu. Jeśli wychowanie ma mieć

wogóle znaczenie dla życia, musi w niem dokonać się taki sam przewrót. W istocie tak jest. Wprowadzenie nauki zręczności, zmiana w moralnym duchu szkoły, w stosunkach między nauczycielem a uczniem, w karności, wprowadzenie czynników prowadzących do samodzielności — wszystko to nie są przypadkowe usiłowania, ale konieczności zwiększonego rozwoju społecznego. Trzeba tylko te czynniki zorganizować, pojąć je według istoty, dozwolić zasadom w nich streszczającym się niepodzielnego panowania nad szkolnictwem, aby każda szkoła była społeczeństwem na małą skalę...»

Bardzo charakterystyczne doświadczenie co do »self-government« podaje »Elementary school Teacher«. Sprawozdanie ułożone przez samą klasę brzmi w streszczeniu: »Nasz nauczyciel mówił z nami o różnych formach rządu. Są 4 rodzaje: anarchia, despotyzm, rządy patryarchalne i samorząd. Zapytał nas, który rodzaj najbardziej się nam podoba. Głosowaliśmy wszyscy za samorządem, bo uśmiechało się nam, że możemy robić, co chcemy. Z początku było z nowością dobrze. Lecz później zaniedbaliśmy poszanowania wzajemnych praw i staliśmy tuż przed anarchią. Nauczyciel zwrócił uwagę, że nadużycie wolności oznacza zawsze nadchodzącą utratę wolności i pojawienie się despoty, ale słowa jego odeciągnęły tylko nieco smutny koniec. Pewnego popołudnia, gdyśmy zostali sami, zapanował u nas ogromny hałas. Nagle wszedł do klasy dyrektor i zapytał: »To tak umiecie rządzić się sami?« Po nim przyszedł nauczyciel, przypatrzył się nam milcząc i rozpuścił do domów w milczeniu. Na drugi dzień odczytaliśmy takie rozporządzenie na czarnej tablicy: »Osoby, które nadużywają wolności, będą zmuszone do poszanowania prawa. Pierwsza klasa okazała niejednokrotnie, że nie jest zdolną do samorządu, dlatego stawia się ją teraz pod rozkazy prawa. Wszyscy uczniowie tej klasy mają odpisać następujące zarządzenia: Odtąd wam się nie wierzy; wszystko macie czynić pod osobistym kierownictwem nauczyciela. Na końcu każdej godziny pozosta-

niecie na swych miejscach, dopóki nauczyciel nie wyprowadzi was do innej klasy«.

Następowało jeszcze kilka innych przepisów; istotnie prowadzono nas wszędzie jak więźniów. Po kilku dniach umieszczono tych, którzy się lepiej sprawowali na t. zw. »wolnej liście«. »Wolni uczniowie«, mówiło nowe rozporządzenie, »żyją na wolności zamiast pod prawem; t. zn. kierują się dobrowolnie całym szeregiem zasad, które sami ułożyli i uznali, zamiast przepisów, w których ułożeniu nie brali udziału i których muszą słuchać przymusowo. Wierzy im się, zamiast czuwać nad nimi. Uważają nauczycieli za przyjaciół, a nie za policyantów. Wogóle będą się poprostu trzymali zasad, obowiązujących między dżentelmanami. W szczególności będą rządili się konstytucją, którą sami ułożą«.

Kiedy ogłoszono te zalety swobody zasługiwało sobie coraz to więcej uczniów prawa »wolnych« — aż wszyscy wolność odzyskali. Doświadczenie przekonało nas, że jedynie samorząd wykazuje, co znaczy właściwa wolność i ile wymaga panowania nad sobą, poczucia honoru i otwartości«.

Charakterystycznym dla nowej metody moralnej jest postępowanie pewnego nauczyciela, który uczniów zapytał: Kto właściwie wydał postanowienia o karności szkolnej? Uczniowie zgadywali, że dyrektor, rada miejska, państwo. »Nie« brzmiała odpowiedź »te postanowienia wynikają poprostu z samego celu szkoły. Jeśli pragniecie rozwoju waszej duszy i chcecie, żeby wam w tem pomódz, musicie tym prawom poddać się. Samo przez się rozmawianie w szkole nie jest złem, lecz sprzeciwia się celom szkoły...«

Jeden z najgorętszych zwolenników nowej karności szkolnej, niedawno zmarły pułkownik Parker w Chicago zwykł był pytać uczniów na ogólnem zebraniu rano przed nauką: »Jak się nazywa to wielkie, wielkie słowo?« »Odpowiedzialność« brzmiało ze wszystkich stron. »Tak, odpowiedzialność — od tego chłopca tu stojącego i od tamtej

dziewczynki będzie zależało, jak dzisiaj pójdzie nauka«. Prawda, że w każdej klasie znajdują się tacy, od których podobny apel odbije się bez wrażenia. Nauczyciele i nauczycielki zapytani, jak sobie radzą z podobnymi żywiołami, odpowiadają: »Przy pomocy opinii publicznej«. Przez wyrozumienie i rycerskość postępowania sprzymierza się wychowawca z większością wychowanków i im pozostawia podporządkowanie zuchwałej mniejszości pod ducha całości. Gdy nikt w klasie nie śmieje się i niespokojni tracą ochotę do śmiechu. Zupełnie bez karania nie można się obejść, ale i tu self-government zyskuje swe prawa, rządony współdziała sam sobie naznaczając karę, lub nauczyciel usiłuje conajmniej dostosować środki dyscyplinarne do uczucia honoru i sprawiedliwości uczniów. Aby do tego celu poznać poglądy uczniów, dają nauczyciele przygodnie zadania, w których przedstawiają ocenie klasy jakies zmyślane wykroczenie przeciw karności i zapytują, co w tym wypadku należy uczynić. Wiliam Monroe dla tego celu spowodował, że 2972 dzieciom w wieku od 7 do 16 lat w Massachusetts opowiedziano następujące wydarzenie: Nauczycielka zakazała dzieciom w szkole głośno śmiać się. Gdy raz była bardzo zajęta, ktoś się w kącie roześmiał. Na zapytanie nauczycielki kto to był, nikt się nie odezwał. Dzieci wezwano, aby napisały, czy i dlaczego odmówienie odpowiedzi było uzasadnione. 1647 wyraziło zdanie, że posłuszeństwo względem nauczycielki byłoby lepszą rzeczą; 1318 pochwaliło odpór. Dziewczęta okazały większą skłonność do wydania sprawy, tak samo dzieci młodsze. Z odpowiedzi pierwszej grupy są ciekawe następujące uzasadnienia wydania winowajcy: 1) Podejrzenie nie powinno padać na niewinnego. 2) Trzeba mówić, gdy pytają. 3) Należy być posłusznym. 4) Winny powinien był sam przyznać się, a że tego nie zrobił, nuszają powiedzieć inni za niego. W drugiej grupie powtarzały się najczęściej takie motywa: 1) Nie czyni drugiemu, co tobie

nie miło. 2) Donoszenie jest brzydką rzeczą. 3) Nie do dzieci należy wyszukiwać winnych. 4) Chcemy przeszkodzić ukaraniu.

Stwierdzając powyższy wynik Monroe słusznie czyni uwagę: Choćby dziecinem i niedojrzałym było rezonowanie, niepodobna osiągnąć dobrych wyników w karności szkolnej, jeśli dziecko zmusza się do słuchania postanowień sprzeciwiających się temu, co ono uważa za słuszny kodeks etyki. Nietrudno rozwijać w dziecku nową wiarę moralną zupełnie różną od dawnej. Główna wartość metody zbadania natury wychowanków odnośnie do karności szkolnej polega na dokładnem określeniu stanowiska dziecka i podstawy jego wiary w słuszność lub niesłuszność pewnego sposobu postępowania, by nauczyciel wiedział, od czego zacząć stosowne pouczenie.

W ścisłym związku z dążnością do uwzględniania w karności poczucia honoru dziecka pozostaje zupełne wykluczenie niemal ze wszystkich lepszych szkół amerykańskich kary cielesnej. W odpowiedzi na ewentualny zarzut, że przecież natury wychowanków są różne, niechaj posłuży wypadek z Toronto. Inspektor wchodzi do szkoły, gdzie biją i mimo to stwierdza, że ściany są posmarowane i porysowane w sposób nieprzyzwoity. Wskazuje więc dyrektorowi sąsiednią szkołę, gdzie z zasady nie biją, a gdzie przecież panuje wzorowa karność. Dyrektor broni się, że tam są inni, lepsi uczniowie, nie potrzebujący takich środków... Inspektor poddaje myśl zamiany. Bijący dyrektor zostanie na rok przeniesiony do szkoły sąsiada, a sąsiad obejmie jego wychowanków. Po roku wzorowa szkoła stanęła na poziomie jak najgorszym, a nieład szkoły, gdzie poprzednio bito, znikł pod nowym kierownikiem w ciągu kilku tygodni.

Główne momenta »nowej« karności w Ameryce dadzą się ująć w następujące punkta: 1) Większa swoboda dzieci. 2) Dążność do zamienienia rządu w samorząd. 3) Zmiana metody w przykuciu uwagi; dzieci nie drażni się ciągłym wywoływaniem, a stara się naukę uczynić pociągającą. 4) Usu-

nięcie kary cielesnej. 5) Współdziałanie dzieci w oznaczaniu środków dyscyplinarnych. (W niektórych szkołach najcięższa kara polega na tem, że winnemu nie wolno przez kilka dni rozmawiać z kolegami).

Niewątpliwie w niektórych szkołach panuje przesada co do stosowania nowych poglądów i daje się za wiele wolności ze szkodą karności, ale przyczyna nie spoczywa w istocie nowego systemu, który nie pragnie zmiany karności jako takiej, ale jej środków. Posłuszeństwo nie ma ustać, lecz stać się dobrowolnem. Do tej doskonałości można dojść tylko przez bezpośrednią naukę etyki, któraby wszechstronnie wyjaśniła prawdziwość tej głębokiej zasady, że podporządkowanie nie jest ofiarą, owszem najwyższym tryumfem indywidualnem.

3) Nauka moralności dla młodzieży robotniczej.

W krajach angielskich powstały z uniwersytetów »university extension« — u nas uniwersytety powszechne — w Ameryce rozpoczyna się rozszerzanie nauki etycznej na pozaszkolną młodzież robotniczą. Dzieje się to przedewszystkiem w Nowym Jorku, a rozchodzi o wychowawczo bardzo ważne i trudne zadanie, o próbę, która z pożytkiem i u nas mogłaby znaleźć zastosowanie. Ponieważ rzecz dotyczy rodzin, które utraciły łączność z Kościołem, dla chrześcijańskiego światopoglądu są wrogo usposobione, ze względów ekonomicznych niemal rozpadły się i żyją w środowisku przesiąkniętym zewsząd niemoralnymi miazmatami, właśnie dla takich rodzin ważną jest rzeczą, aby ich młodzież zebrać raz na tydzień na pogadankę, gdzieby zapoznała się z podstawową niejako geografią społecznych związków, oczyściła swój sąd moralny, rozwinęła własne lepsze siły i popędy. Pogadanki nie unicestwią zgubnego wpływu środowiska, nie rozwiążą kwestyi społecznej, ale polepszą nieco tę ceną, heroiczną częśćką, która drzemie w sercu dziecka ludu, utrwalą, skierują na właściwe tory, otworzą oczy na przy-

czyny i skutki ludzkich działań. Kto raz przeglądał materiały z młodocianego świata zbrodniarzy, wie, jak wielki procent dopuścił się ciężkich występków nie z powodu zwyrodnienia, ale nieświadomości i lekkomyślności, lub nieościeżnienia, wynikłego z zupełnego braku pobudek moralnych.

Etyczne kursa, istniejące od kilku lat we wschodnich dzielnicach Nowego Jorku, zawdzięczają początek poczęści podniętom, jakie wyszły z kół samej młodzieży. Młodociani pracownicy i robotnicy założyli »Down - town - Ethical - Club«, który postawił za cel urządzenie dla młodszego rodzeństwa członków i sąsiadów regularnych kursów etycznych. W okółniku uzasadniają twórcy swój zamiar w następujący sposób: »Nowe towarzystwo wyniknęło z konieczności nowego ruchu moralnego w dzielnicach robotniczych Nowego Jorku. Dla młodych mężczyzn i kobiet straciła dawna wiara swą siłę, uważa się ją za przeżytek, nie łączący się z myślami i warunkami terażniejszości. Wymowni w krytyce wszystko burzącej, nie mają nic, coby mogli postawić w miejsce dawnego porządku; jedni o silnych potrzebach duchowych rzucają się w ramiona radykalnego materyalizmu, innym brak wogóle energii, by pomyśleć nad tą sprawą. Wyniki tego etycznego i religijnego chaosu są nad wyraz smutne. Czystość rodziny ginie, a z nią wpływ domu na dzieci. Bezradna młodzież jest pozostawiona najzupełniej sama sobie... Celem naszym odrodzenie na podstawie etycznej kultury, planem wychowanie w najszerszem znaczeniu i praktyka społeczna. Ponieważ sami potrzebujemy gruntownego wykształcenia, zaczynamy systematyczną naukę zasad i »filozofii« ruchu etycznego od siebie... Później założymy etyczną szkołę niezależną dla dzieci o wszystkich stopniach...«

Wszystko, co zawiera powyższy program można dokładnie zastosować w wielkich miastach Europy. Niema nic pilniejszego, jak dać głębszy pogląd na realność moralnych faktów i spraw, ożywić interes do samowychowania u chłopców i dziewcząt, którzy wcześniej imają się pracy zawodo-

wej, wszędzie napotykają pokusy życia, polegającego na użyciu i w najniebezpieczniejszym wieku cielesnego rozwoju przechodzą okres religijnego zwątpienia. Członkom »klubu« udało się dzięki własnym usiłowniom i hojnym zapisom wynająć piękny dom, gdzie w dni powszednie i niedziele udziela się dla wszystkich stopni wieku »ethical instruction«. Dr. Förster miał sposobność przysłuchać się lekcji udzielanej przez pewną damę 10—12-letnim dziewczątkom. Tematem była »czystość«, czystość odzieży, rozmów i wypożyczonych książek. Myśl przewodnia pogadanki, budzącej ogromne zainteresowanie przenosiła stronę zewnętrzną na wewnątrz, udawadniała, że przez czystość odzieży można obudzić coś wewnętrznego, mianowicie pożądanie charakteru bez zmayı.

Innem ogniskiem etycznych i społecznych oddziaływań jest t. zw. »Hudson-Guild«, klub liczący 300—400 chłopców ze stanu robotniczego, którzy przy pomocy datków wynajęli cały dom w irlandzkiej dzielnicy, gdzie odbywają naukę. Tam rozmawia Dr. Elliot, twórca pomysłu n. p. z 30 chłopcami, czternasto- i piętnastoletnimi o »dotrzymywaniu przyrzeczeń«. Self-culture-Hall w St. Louis ma podobne cele. Pisemko wydawane co miesiąc omawia szerzej podane temata. »Kuchnia«, powiada jeden z artykułów dla dziewcząt »jest najprzyjemniejszym miejscem w całym domu«. Następuje bliższe umotywowanie: ile daje możliwości osobistym pomysłom, jak można czas należycie podzielić w kuchni, jak się ubrać do pracy. »Zła to oszczędność nosić tanie obuwie, jeśli musi się pracować wiele stojąco«. Potem czytamy: »Ileż pociechy daje praca fizyczna. Jakżeż rozumie matkę, która całą kuchnię gruntownie oczyszczała w rocznicę dnia śmierci jej jedynaka«.

Dr. Förster podaje też zręczny przykład pedagogicznego nawiązania, o którym dowiedział się w Nowym Jorku, gdzie młody współpracownik wobec klubu Irlandczyków omawiał jakiś temat etyczny i rzucił pytanie: »Czy można

mimo ubóstwa prowadzić życie nienaganne?« Chłopcy, synowie socjalistów, odpowiedzieli jednoznacznie: »Nie, najpierw trzeba zmienić dotychczasowe stosunki, potem będą ludzie dobrzy«. Nauczyciel odpowiedział: »Zapewne. Macie rację, stosunki muszą się zmienić, za wiele dzisiaj ciężkich pokus. Wy wszyscy, jak tu siedzicie, powinniście pomódz, żeby się zmieniły. Jednakowoż społeczne odrodzenie całego życia jest dziełem świętem dla ogromnej odpowiedzialności, jaką każdy współpracownik na siebie bierze chcąc stworzyć coś nowego, świętem dla nadziei, jaką budzi się u wszystkich strudzonych i obciążonych. Kto chce jąć się pracy nad takim dziełem, musi najpierw oczyścić siebie z brudnych namiętności, gburowatej niecierpliwości, samolubstwa, aby przyszlą budowę uchronić od zarodków chorobowych przeszłości«. Powyższą myśl rozwijały jeszcze przykłady z życia codziennego. Jeden z chłopców tak czuł się dotkniętym w swym osobistym trybie życia, że później zapytał: »Kto mu o mnie to wszystko powiedział?«

Z całym naciskiem trzeba zaznaczyć, że takie omówienia właśnie dla wykształcenia mas są o wiele konieczniejsze, niż wykłady uniwersytetów powszechnych bez żadnego związku. Nasza kultura wymaga niezbędnie etycznej nauki życia; to konieczny rodzaj pracy »oświatowej«, nie tylko dla niewierzących, ale i dla wierzących. W dzisiejszych, pod względem intelektualnym niespokojnych i rozkładowych czasach rodzice nie mogą nigdy naprzód przewidzieć, czy ich dzieci dzisiaj lub jutro wiary nie utracą.

4. Kształcenie charakteru a szkoła publiczna.

Zainteresowanie wyższych czynników miarodajnych zadaniami moralnymi i pedagogicznymi współczesnej szkoły stwierdza cały szereg wyrażonych drukiem zapatrywań. Prezydent Benjamin Andrews powiada w »Educational Rewiew«: »Nasze szkoły nie spełniają na polu etycznym wymaganych życzeń... Skutkiem tego budzi się u pewnej części publicz-

ności pragnienie, aby tak kosztowna maszynerya jak szkoła publiczna oddawała skuteczniejsze usługi społeczeństwu, tworząc jego moralne podwaliny. Stoimy u progu nowego rozwoju. Zbliży się już czas, w którym szkoły publiczne potrafią uczyć zasad moralności w sposób pozytywny. Dotąd nie chciano na to pozwolić, bo najprostsza nauka moralności wydawała się nierozłączną od dogmatów religijnych. Obawa okazuje się płonną, i prawdopodobnie wnet zniknie. Dla celów bezpośrednio praktycznych można uczyć moralności nie dotykając zupełnie spraw religijnych. Publiczna opinia byłaby z pewnością już dawno po naszej stronie, gdybyśmy od razu zaczęli systematycznie pouczać o czystości, umiarkowaniu, odwadze, wytrwałości, prawdomowności, poszanowaniu rodziców, o prawie słabszych. Katolicy i niekatolicy powitaliby ją chętnie, a nikt nie bałby się zatargów z dogmatem wiary, lub naruszenia życia kościelnego....»

W podobny sposób wyraża się Skinner: »Z powodu wzrastającej ilości dzieci, nie posiadających naprawdę żadnego ogniska, pozbawionych uszlachetniającego wpływu wykształconego i uporządkowanego życia rodzinnego, potrzeba nam koniecznie więcej pouczeń etycznych w szkole ludowej«. Niedawno znany pedagog W. H. Faunce zabrał głos w »Educational Review« ogłaszając odczyt »O nauce moralności w publicznych szkołach«. Skarży się, że religijna obojętność szkoły doprowadziła do obojętności moralnej. A przecież dałoby się wiele cennych etycznych wskaźników przyswoić nie naruszając odmiennych uzasadnień religijnych lub filozoficznych. Czy nakaz spełniania obowiązków wywiedziemy w sposób teologiczny, czy według Kanta, jest rzeczą obojętną; wszyscy anarchiści zgodzą się na jedno, że drogą obowiązku kroczyć trzeba.

A n g l i a.

Również w Anglii towarzystwa działające od 10 lat spowodowały ruch, mający na celu wprowadzenie nauki

moralności do szkół. »Moral instruction League«, licząca między swymi członkami cały szereg duchownych, nie miałaby też całego szeregu zwolenników pośród poważnych polityków, gdyby nie dawała odpowiedzi na pewne, ważne sprawy i potrzeby współczesnego angielskiego szkolnictwa. Rozchodzi się tu o tę samą sprawę, która w Ameryce doprowadziła do zniesienia państwowej nauki religii: czy i w jaki sposób można pogodzić naukę według pewnego światopoglądu religijnego z bezwzględną bezstronnością szkoły publicznej. Na podstawie t. zw. kompromisu z r. 1870 zneutralizowano w Anglii istotnie naukę religii w szkołach publicznych, chociaż z pewnymi ograniczeniami, ale to nie zadowoliło naturalnie ani wierzących, ani wolnomyślnych. Wierzącym zabrakło w takiej połowiczności istoty rzeczy, niewierzący narzekają znowu na stronniczość religijną. Wyjście z tego zatargu szuka obecnie społeczeństwo angielskie w ten sposób, że żąda uczenia dzieci z moralności tylko tego, na co wszystkie zapatrywania religijne godzą się.

»Moral instruction League« zajęła się mniej ujemną stroną konfliktu, ile raczej pozytywnymi zadaniami. Zażądała wprowadzenia systematycznej, szczegółowej nauki etyki z następujących względów: »Społeczeństwo roi się od moralnych zagadnień. Wszędzie wołają o reformę, wszyscy szukają ratunku w etyce. Nietylko nasze czyny są fałszywe, ale i idee zagmatwane. W głębi serca czi naród zapewne prawo słuszności, jednakowoż w zastosowaniu tego prawa do działań indywidualnych i społecznych panuje rozdzwięk. W życiu domowym, w zawodach, w literaturze — wszędzie brak moralnej jasności i ładu. Młodzi ludzie zawierają małżeństwa bez wewnętrznego przygotowania, nie mają rozwiniętego współczucia, jasnego poglądu na sprawy ludzkie, zaostrzonego sumienia. Obudzono w nich i wzmożono duchowe zręczności w używaniu narzędzi i różnych pomocy zarobku, ale pozostali obojętnymi w pojmowaniu zobowiązań; zaniedbano ich etycznego wychowania«.

Jak już wspomnieliśmy »Moral instruction League« pracuje obok propagandy także przede wszystkim na polu wychowawczych doświadczeń. I. F. Gould urządził od lat etyczne szkoły niedzielne i swe spostrzeżenia wydał oddzielnie p. t.: »O nauce etyki w klasie«. Przede wszystkim zbija tu zwykłe zarzuty, czynione systematycznej nauce na tem polu: Udziela się przecież dzieciom ustawicznie pouczeń moralnych mówiąc do nich np.: »Wyznałeś prawdę, jak prawdziwy mężczyzna«, »nie odzywaj się szorstko do żebraków«, »obchodź się z wszystkimi grzecznie« i t. p. Czyż mniej się działa, udzielając podobnych informacji spokojniej i szczegółowiej, łącząc je bardziej z ogółem życia a przede wszystkim przed społeczeństwem złożonym z dzieci, które poznają przytem własne troski i konflikty? Gould zaleca przy nauce środki uzmysławiające. Jeśli np. powiemy: Jest twym obowiązkiem odwiedzić i pocieszyć chorego kolegę, upomnienie odniesie niewiele skutku. Ale kiedy ukażemy ponury krajobraz, oświetlony wspaniałą tęczą i powiemy: staniesz się podobnym do tej tęczy, uprzyjemniając życie choremu towarzyszowi, wówczas pobudzimy równomiernie oko i serce. Często wystarczą najprostsze środki poglądu: »Narysuj kredą na tablicy linię prostą. To jest droga człowieka otwartego i uczciwego«. Niech potem inny uczeń narysuje drogę kłamcy i oszusta. Będzie to linia zygzakowata. Gould wydał także podręcznik dla nauczyciela do nauki etyki, podający metodę w 50 wzorowych lekcjach. Za dużo w książce może materiału anekdotycznego, ale i szereg wcale udatnych przykładów, które okazują, jak powiązać etykę z wyłącznym interesem dziecka. Przytoczymy drobny urywek takiego przykładu: Do małej chatki, stojącej samotnie wśród dzikich puszczy amerykańskich wchodzi Indyanin. Po chwili wypada krzyżąc z przerażeniem, że był tu złodziej, który mu skradł suszone mięso. Biegnie więc za człowiekiem, który mu zabrał jego własność. Po chwili spotyka w lesie gromadę białych, odbywających wspólnie ciężką

podróż przez las dziewiczy. Zapytuje ich szybko, czy nie widzieli starca, który szedł z krótką strzelbą, mając przy sobie małego psa o obciętym ogonie. Dodaje, że on, a nie kto inny, ukradł mu mięso. Biali potwierdzają, że przechodził tędy i dziwią się, dlaczego Indyanin nie przytrzymał go schwytawszy na gorącym uczynku. Indyanin wyznaje, że go na oczy nie widział. Biali zdumieni badają, skąd wie z taką dokładnością szczegóły dotyczące złodzieja. »Skąd wiesz, że był starym?« »Bo zostawił krótkie ślady na pożółkłych liściach«. »A że miał krótką strzelbę?« »Poznałem po rysie na drzewie«. »Skądże wnosisz, że miał małego psa o obciętym ogonie?« »Poznałem ze śladów i z odcisku w pyłe, gdzie pies siedział, gdy jego pan kradł mięso«. I pobiegł Indyanin dalej, szukając człowieka, którego nigdy nie widział, ale którego dobrze zbadał. Czyż tylko Indianie powinni tak uważnie wszystkiemu przyglądać się? My wszyscy powinniśmy to samo czynić. Świat, w którym żyjemy, zmienia się wraz z ludźmi ustawicznie, coraz nowe obrazy tworzą się przed oczami. Ludzie leniwi nie trują się, by patrzeć na te zmiany uważnie. Nie widzą kamienia przy drodze i potykają się o niego, nie dostrzegają czarnych chmur na niebie i wracają do domu przemoczeni; nie przychodzi im na myśl, że biedna matka siedzi chora i smutna, lecz dręczą ją krzykami i hałasami...« Mamy tu bardzo pobudzające nawiązanie do pojęć, zawsze dziecko zajmujących (Indyanin, wysoki rozwój zmysłów), a to zainteresowanie można oddać na usługi współczucia i delikatności, przedstawiając взгляд na potrzeby bliźnich, jako niezwykle udoskonalenie i zastrzenie zmysłów. Jednym z najpożyteczniejszych urządzeń wspomnianej ligi jest co 14 dni odbywające się Moral-instruction-circle, publiczne zebranie wychowawców i nauczycieli, podczas którego odbywają się lekcje próbne z etycznych pogadanek z dziećmi, następnie zaś ich krytyczna ocena. Celem zebrań udowodnienie niewierzącym, że i jak można moralności uczyć. Lekcje próbne ocenia się mniej więcej

według następujących punktów: Czy lekcja była interesującą? Czy zaostrzyła moralny sąd dzieci? Czy napełniła miłością dla dobrego? Czy dzieci przekonała? Czy wreszcie można podobne lekcje zmieścić w ramach szkolnego planu naukowego?

Jeden z nauczycieli etyki Quilter ogłosił niedawno ciekawy artykuł o sprawie, czy można moralności nauczyć? Załatwia się w nim przedewszystkiem z twierdzeniem, że oddziaływać można etycznie podczas wszystkich godzin nauki, a nie należy na naukę moralności przeznaczać osobnej godziny. »Każdy psycholog«, odpowiada Quilter, »wie, że praca duchowa wtedy daje korzyści, gdy wszystkie siły umysłowe skierujemy w oznaczonym czasie na pewien przedmiot. Dlaczegoż więc wiedzę etyczną gromadzić tylko przygodnie? Dawniej uczono u nas dziejów starożytnych i geografii tylko przez przygodne zboczenia podczas lektury klasyków, osiągając w istocie bardzo nikłe rezultaty; czy przy podobnej metodzie inaczej stanie się z nauką moralności?«

Quilter wskazuje również na to, że najgwałtowniejsi przeciwnicy nauki etyki, sami jej codziennie udzielają: niestety, w momencie psychologicznym jak najniekorzystniejszym. Łajają i prawią kazania, gdy dziecko już coś złego popełniło i obie strony są pełne wzburzenia, gniewu, lub uporu i przygnębienia. O prawach moralnych dowiaduje się zatem dziecko dopiero wówczas, gdy w ich imieniu dyktuje się mu karę. Nowa pedagogika przeciwnie wybiera do omówienia podobnych spraw z życia stosowną chwilę psychologiczną i daje nie oderwane, do pewnego przekroczenia zastosowane napomnienia, ale uwagi mniej osobiste, więcej wnikające w dal ludzkiego życia. Tak zw. grzecznym dzieciom, dającym rzadko sposobność do wkroczenia pedagogicznego mogą bardzo przydać się podobne pouczenia, gdyż w późniejszym życiu znajdują się łatwo w położeniu, na które pod względem moralnym nie przygotowały ich młodociane lata.

Za dowód, że nowe zapatrywania wniknęły do urzędowej praktyki szkolnej, niechaj posłużą pytania, jakie dawano już w r. 1902 podczas egzaminu na nauczycieli ludowych w Londynie: 1) Jaka jest najważniejsza przeszkoda w rozwoju charakteru u uczniów? Czy nauczyciel może przełamać te trudności? 2) Podać z nauk przyrodniczych kilka przykładów zrozumiałych dla dzieci dziesięcioletnich i wykazać, jakie momenty etyczne należy w nich uwzględnić. 3) W jaki sposób możnaby całej klasie przyswoić pewne pojęcie moralne n. p. by przekonać 12-letnich uczniów, że nie wolno poza plecami sąsiada nic złego o nim mówić?

F r a n c y a .

Francya jest pozornie klasycznym krajem nowej pedagogiki moralnej. Od r. 1882 wprowadzono tam naukę moralności do szkół publicznych, dotąd ukazało się z górą 200 podręczników do czysto ludzkiej nauki o obowiązkach. Niestety, całą kulturalną i pedagogiczną wartość tego przedsięwzięcia zakwestyonowano właśnie we Francyi jak najenergiczniej dla politycznego i psychologicznego punktu wyjścia ruchu. Nauka moralności stała się mianowicie środkiem walki dla nowo utworzonej republiki, opierającej się na racjonalistycznych tradycjach rewolucyi francuskiej, atutem wygrywanym przeciw dawnemu społeczeństwu francuskiemu, w obrębie kół kościelnych i stronnictw rojalistycznych okazującemu siłę żywotną i działającemu przeciw nowemu porządkowi rzeczy. Swego pochodzenia od namiętnych i jednostronnych dążeń politycznych nie mogła nowa francuska pedagogika przewyciężyć, brak jej szerokich i głębokich podstaw, a co ważniejsze, skompromitowała się, stając się punktem programu radykałów przeciw tradycjom religijnym i kościelnym. Powyższy rozwój był również powodem, że nowa pedagogika w swej istocie zbudowana na racjonalizmie intelektualizmu z góry wyrzekła się w etycznym uzasadnieniu współdziałania wielu głębszych sił umysłu. Uprzytom-

niwszy sobie fakt, że w podręcznikach państwowej nauki moralności rewolucya francuska zajmuje to samo uświęcone stanowisko, jak w etyce chrześcijańskiej najwznioślejsze miejsca z Męki Pańskiej i że większość tych katechizmów wypełnia wprost naiwny szowinizm, musimy przyznać, że autorzy zbyt lekko i łatwo wzięli tę prawdę do serca. Musimy to powiedzieć z całą otwartością, bo przeciwnicy nowej pedagogiki moralnej posługują się chętnie rażącymi błędami odnośnych metod francuskich, by nazwać całe przedsięwzięcie zbytecznym.

Rzućmy okiem na istotę i organizację francuskiej nauki moralności. W »Programme officiel« z r. 1882 czytamy taką definicję ogólną: »Nauka moralności ma inne przedmioty uzupełniać, łączyć, podnosić i uszlachetniać. Inne przedmioty rozwijają osobliwe zdolności i pożyteczne wiadomości, ta nauka dąży do wykształcenia w człowieku samego człowieka t. zn. jego serca, inteligencji, jego sumienia... Nie wystarczy uzbroić ucznia w jasne pojęcia i mądre sentencje; w sercu musi obudzić się szczerze i silne uczucia, ażeby później w życiu był panem żądz i namiętności. Nauczyciel nie powinien przystrajać pamięci ucznia, ale uchwycić duszę«. Odłączanie nauki moralności od religii miało, podług zamiaru twórców, oznaczać nie wzięcie w obronę przez szkołę państwową ateizmu, ale urzeczywistnić bezstronność państwa wobec różnych wyznań. Ostatecznie neutralności nie przeprowadzono konsekwentnie w podręcznikach o tyle, że na końcu jest zawsze dodany rozdział o obowiązkach wobec Boga i religijne uzasadnienie obowiązku. Te religijne rozdziały mogłyby bez szkody dla religii zostać wyrzucone, tyle w nich bezbarwnego teizmu. W jednym katechizmie znajdujemy np. na pytanie: »Kto to jest Bóg?« odpowiedź: »Tego nie wiemy« — a więc załatwienie sprawy, które musi obrazić uczucia wychowanych w niezłomnej wierze w Boga.

Zewnętrzne uporządkowanie materiału naukowego od-
powiada podziałowi francuskich szkół ludowych na stopień
niższy, średni i wyższy (3—5 godzin tygodniowo). Niższy
kurs, trwający mniej więcej do 8 roku, nie pobiera systema-
tycznej nauki, raczej swobodne, pogładowe pogawędki na
tle opowiadań, bajek, przykładów z życia. Kurs środkowy,
odpowiadający wiekowi od 9—11 lat, omawia podobne obo-
wiązki życiowe, jak poprzednio, ale z wyższego stanowiska.
Ogniskiem pouczeń jest jednakowoż samo dziecko i jego ści-
ślejsze stosunki życiowe, jak np. obowiązki względem rodzi-
ców, nauczycieli, kolegów, służby itd. Na stopniu wyższym
rozpoczyna się systematyczna nauka o odpowiedzialności
w życiu, wraz z t. zw. »instruction civique«, która podaje
mnóstwo pożytecznych wiadomości z zakresu ustroju spo-
łecznego, rządu, prawa, administracji. (Podobne wiadomości,
tylko w skromniejszym zakresie, podają książki do nauki
języka polskiego dla galicyjskich szkół ludowych).

Co do samej metody, trzeba niestety wyznać, że naj-
większa część podręczników używanych do nauki zdaje się
pochodzić od wychowawców, którzy na polu nauki moral-
ności nie mają za sobą żadnej praktyki. Wykład nie wy-
chodzi od dziecka i od życia, ale od oderwanych nakazów
moralnych, ich działów i poddziałów. Mimo wplecenia anek-
dotek i bajeczek, przeważa ogólny ton suchy. Przeczytajmy
np. rozdział o służących w »cours supérieur« Mabileau'a.
Przy nauce moralności powinien właściwy morał stać na
końcu, być niejako ostatniem pojęciowem sformułowaniem
pewnych zapatrywań. Kwestya obchodzenia się ze służbą
nie powinna zatem zaczynać się od oderwanych zdań (éga-
lité, fraternité, liberté), lecz od konkretnych osób, ich poło-
żenia, trudności zawodu i niebezpieczeństw dla charakteru.
Pod względem wychowawczym jest następnie niezmiernie
ważnem dla stwierdzenia konkretnych faktów i praw ludz-
kiego życia wyjaśnienie, jak różny sposób obejścia się ze
służbą oddziaływa na tych, którzy każą się obsługiwać. Na

końcu możnaby omówić przyczynę, dla której podział pracy jest koniecznym i jakich wymaga etycznych równoważników. Tymczasem Mabileau rozpoczyna historycznymi uwagami o niewolnictwie i ostatecznej emancypacji, wychwalając szczególnie zasługi rewolucyi francuskiej. Z historycznego rozwoju wyprowadza konieczność postępowania ze służącymi jako z wolnymi obywatelami. Potem podaje cały szereg wzruszających opowiadań o wiernych sługach; na wzory prawdziwie ludzkich chlebodawców brakło mu naturalnie miejsca. Na końcu upomina dzieci, aby szanowały godność ludzką sług, nie wyśmiewały się z nich, nie dokuczały. Po tem wszystkiem następuje co najmniej dziwna konkluzya: Dla uniknięcia zatargów radzi dzieciom, by nie zaglądały do kuchni, gdyż mogłyby tam usłyszeć »niestosowne« wyrażenia. Mimo nauk o prawach i godności ludzkiej pozostanie zatem z całego pouczenia dla dzieci to wrażenie, że ostatecznie służący są ludźmi, używającymi brzydkich wyrażen, których obcowania należy unikać, aby nie zdziczeć. Takich jaskrawych przykładów możnaby przytoczyć o wiele więcej; wszystkie wskazują, że francuska nauka jest dotychczas na tem polu tylko moralnem szkolaremstwem. Musimy to wyraźnie stwierdzić wobec fatalnej pewności siebie, z jaką przedstawiciele świeckiej etyki we Francyi sądzą, że pedagogikę kościelną prześcignęli, tworząc coś praktycznego, uniwersalnego.

Szowinizm przenikający z nader małymi wyjątkami francuskie podręczniki moralności okazuje niebezpieczną powierchowność w całym uzasadnianiu etyki. Cały głębszy postęp kultury polega przecież na zabezpieczeniu osobistego sumienia przed zarażeniem się namiętnościami, interesami i sofizmatami państwowego środowiska. Tylko przez takie utwierdzenie przekonań i wyobrażeń, stanowiących trwałą, nienaruszalną potrzebę wszystkich ludzkich społeczeństw, jakoteż dusz jednostek, można ustrzedz państwowy i narodowy organizm od pogrążenia w chwilowych interesach

i pobudkach. Jeśli natomiast wnosi się do nauki wzruszenia narodowe i nastrojowe dreszcze, i to do nauki, która ma wszczepiać głębokie myśli i uczucia, przedstawiać stosunek rzeczy wiecznie stałych do zmiennych — wówczas stajemy w istocie przed niebezpieczną otchłanią. Nie możemy też wówczas mieć powodu do chwalenia się postępowaniem wobec wychowania kościelnego, które przynajmniej spełniało niesłychanie ważną czynność utrwalania w ludziach wartości zasad wiernych i trwałych wobec instynktów i pobudek chwilowych. W nowych podręcznikach świeckiej nauki moralności widzimy ideę odwetu, zemsty i wszelkie narodowe uczucia, wzruszenia w miejsce dojrzałej i konsekwentnej logiki. Wogóle zagraża niebezpieczeństwo etyki, podanej i uczonej przez każdego, kto i jak zechce. Jeśli tak dalej we Francji pójdzie, moralność zupełnie zeświecczy się t. zn. zostanie na wszystkich polach wydana na łup oportunistycznych pomysłów, nastrojów i względów. Dlatego też w najświeższych czasach słusznie uczynili biskupi francuscy, wzywając usilnie rodziców - katolików, aby nie posyłali dzieci do neutralnych szkół publicznych, lecz do szkół katolickich.

Szwajcarya.

W kraju Pestalozziego żyje silna tradycja moralno-pedagogiczna. Naturalnie nie w tem rozumieniu, aby już Pestalozzi narzucił sprawę etyki oderwanej od sankcji religijnej; religijny i kościelny proces rozkładowy nie ogarnął jeszcze wówczas szerszych warstw ludu. Mimo to w ogólniejszym znaczeniu należy uważać Pestalozziego poniekąd za pioniera modnej, pedagogicznej teorii i praktyki. We wszystkich swych pismach podnosił ze szczególnym naciskiem, że zadaniem szkoły jest w pierwszym rzędzie nie podawanie wiadomości, lecz »kształcenie ludzi«. Nadto co dotyczy sposobu i metody etycznego oddziaływania doprowadził osobliwie w swem dziele »Lienhard i Gertruda« do absurdu czy-sto oderwaną metodę nauki religii i moralności. Za wzór

nauki, wychodzącej od konkretnych stosunków życiowych do coraz wyższych poglądów na obowiązki życia uważa postępowanie proboszcza z »Lienharda i Gertrudy«. Umiał on połączyć przez swój sposób nauczania religii każdą mądrość życia ze siłą nauki boskiej. Jednym słowem umiał postawić na nogi tych, których dotknęło nieszczęście w polu lub w oborze, matki, którym dzieci i dzieci, którym matki umarły, wyzyskiwał wydarzenia i okoliczności, wywierające silniejsze wrażenie na poszczególne jednostki gminy, aby te wrażenia naprostować, uszlachetnić.

Jakież są ogólne widoki i stan pedagogiki etycznej w Szwajcaryi dzisiaj? Synod szkolny kantonu zurychskiego z września 1902 roku dał na te pytania cały szereg interesujących odpowiedzi, streszczonych w referacie Dra Fürstera o »znaczeniu i metodach nauki moralności«. Główne punkta tego referatu były następujące: 1) Obowiązkiem szkoły jest obok podawania wiadomości pracowanie nad wyrobieniem takiego charakteru, bez którego duchowe zręczności nie mogą przysporzyć błogosławieństwa ani jednostce, ani ogółowi. 2) Moralne oddziaływanie szkoły nie powinno polegać na improwizacji i przypadkowem uzdolnieniu nauczycieli, ale moralna pedagogika ma stanowić osobny przedmiot w kształceniu nauczycieli. 3) Wprowadzanie etycznych kwestyi do wszystkich przedmiotów nauki jest wprawdzie bardzo pożądanem, ale dla uzupełnienia i pogłębienia wymaga omówień w związku, w osobnej godzinie nauki. 4) Etyka tak pomyślana ma przedstawiać nietylko oderwane nakazy, lecz również dawać taką orientację w życiu rzeczywistem, obudzać te zdolności współczucia i rozumienia, podawać te duchowe pomoce do panowania nad sobą, bez których nauka moralności w życiu dziecka nie zapuści nigdy głębszych korzeni. Staranne wykonanie powyższego zadania musi doprowadzić do wzbogacenia i pogłębienia pedagogiki moralnej w nauce religii. 5) Nauka moralności ma dla karności szkolnej szczególne znaczenie, gdyż spokojne omówienie odnoś-

nych wymagań skuteczniejsze wywrze wrażenie, niż postępowanie dyscyplinarne.

W uzupełnieniu powyższych punktów wskazał drugi referent Egli na fakt, że wskutek wzrastającego rozdziału i rozkładu religijnego szkoła państwowa musi pozostawić naukę religii gminom religijnym, bo poprostu nie można znaleźć formy, w której dałoby się kwestye religijne w szkole tak omówić, aby dzieci rozmaitych wyznań pobierały wspólną naukę. Na wyższych stopniach tyle wpływało próśb o uwolnienie od nauki biblii, że ten przedmiot udało się z trudem utrzymać. Lubo zatem referent i bardzo wielu nauczycieli żałuje, że pierwiastek religijny znika ze szkoły, mimo to, dopóki nie nastąpi w ludzkim społeczeństwie wzmocnienie wiary, musi się przemawiać za koniecznością uznania nauki etyki w szkole publicznej jako osobnego przedmiotu, poświęcić mu większą uwagę i dać szerszą podstawę wykształceniu odpowiednich sił nauczycielskich.

To, o czym mówiono w kantonie zurychskim, można śmiało zastosować do bardzo wielu innych kantonów szwajcarskich, za wyłączeniem kantonów czysto katolickich, gdzie udziela się w szkole publicznej nauki religii katolickiej. Tu i ówdzie poczyniono już próby, jakby ułożyć naukę tej konkretnej moralności. W kantonie zurychskim i berneńskim istnieje nawet odpowiedni dział pod nazwą »religia i nauka moralności«, lub »dzieje biblijne i etyka«. Nauczycielowi wolno tu uczyć religii ile chce, że jednak urzędownie i zasadniczo nie uznano jeszcze tego działu za naukę moralności, brak w tym kierunku literatury podręcznikowej, któraby podawała metodę. Dlatego ważnem jest, że praktyczny wychowawca profesor Milliod z Lozanny wprowadził we wszystkich klasach miejscowego realnego gimnazjum od kilku lat naukę moralności. W odczycie zdał sprawę ze swych doświadczeń i uzasadniał konieczność tej nauki z różnych punktów widzenia. Między innemi wyraża się tak: »Któż lepiej jak nauczyciel może przyczynić się do zespolenia intelektu-

alnego i moralnego kształcenia? Czy może rodzina? Czy ojciec ma czas na to, czy rozumie swe zadanie, czy sam posiada dość wykształcenia?... Ilość rodziców, pozwalających rósć dzieciom jak pokrzywom, jest niestety znaczną... Moralna kultura nie przychodzi sama z siebie. Nasi uczniowie przynoszą wiele dobrej woli, ale ileż niedojrzałych idei, przesądów, błędnych zapatrywań. Zapytajmy klasę, co znaczy uczciwość. Większość odpowie: »Jeśli się nic nie ukradnie...« Jest koniecznością, aby uczeń lepiej rozumiał szkołę, siebie samego i był przygotowanym do zrozumienia życia...«

Najważniejszy postęp na tem polu oznacza bądź co bądź zasadnicze uznawanie zagmatwanego charakteru całego zadania, jasne zdawanie sobie sprawy z faktu, że oddziaływanie moralne nie jest rzeczą prostą, owszem, że należy do najtrudniejszych i najwdzięczniejszych zagadnień pedagogiki. Pogodziwszy się raz z tą prawdą, uznamy sami konieczność rewizyi całej szkolnej karności ze stanowiska moralnej pedagogiki. Tem powodowany rozdziela prof. Millioud wszystkim uczniom nowo wstępującym do zakładu drukowaną broszurę, w której przedkłada wychowankom wymagania karności szkolnej nie w tonie policyjnych postanowień, ale na podstawie spokojnego uzasadnienia. Czytamy tam np. w rozdziale »Czystość«: »Czystość jest zewnętrzną oznaką szacunku przed samym sobą, obawa przed zimną wodą początkiem tchórzostwa. Wstydem byłoby, gdyby nauczyciel musiał na nią uczniom zwracać uwagę. Czystość cieszy oko, utrzymuje zdrowie. Jest częścią wychowania fizycznego, gdyż ciało, narzędziu duszy, daje dostateczną siłę i elastyczność. Obowiązek czystości rozciąga się do odzieży, zeszytów i książek szkolnych, do sali szkolnej i do całego budynku; każdy uczeń jest gościem odpowiedzialnym za materyał wypożyczony przez państwo. Trzeba więc okazać się godnym zaufania«. W rozdziale »Praca« znajdujemy znowu doskonałe stopniowanie motywów: »Praca jest na dzisiaj tylko zadowoleniem rodziców i nauczycieli, jutro waszem dobrodziej-

stwem i zapewnieniem bytu, zawsze wypełnieniem ducha i źródłem wielu rozkoszy, przedewszystkiem zaś jest w każdej godzinie szkołą charakteru«.

Zbierając wynik poglądów ruchu moralno-wychowawczego w różnych krajach przekonamy się, że dążności mają dwa zasadnicze punkta wyjścia: Przedewszystkiem wybija się na czoło praktyczna potrzeba społeczna konsekwentnego równouprawnienia wszystkich światopoglądów i żąda celem rozwiązania zatargów religijnych w szkole publicznej niezależności nauki moralności od walki o poglądy filozoficzne. Stąd w wielu niestety wypadkach stopiła się sprawa pouczeń etycznych z walką między państwem a Kościołem w jedną całość. Tem ważniejszym będzie przeto uwydatnienie głębszego i właściwszego punktu wyjścia całego ruchu opierającego się na potrzebie uczynienia z etycznego oddziaływania na młodzież w obrębie religijnego, kościelnego świata, zarówno jak i poza nim osobnego przedmiotu w psychologii i pedagogice. Potrzeba staje się z każdym dniem coraz bardziej piekącą nawet dla rodziców wierzących, bo muszą dzieci słać w świat zwątpień i tysięcznych prób. Widzą też chyba jasno, jak niezbędnem jest przedstawienie wyższych celów życia i ludzkich stosunków nie w świetle niezrozumiałej tradycji, ale w pełnej rzeczywistości. Zadanie wymaga od nauczycieli i od duchownych gruntownego wykształcenia t. zn. teoretycznego i praktycznego zapoznania się ze sztuką, która na polu etycznego wychowania prowadzi od rzeczy prostych, najbliższych do zrozumienia zawikłanych i odległych.

PRZYKŁADY DO STOSOWANIA PRZY NAUCE MORALNOŚCI.

Młodzi wychowawcy zabierając się do nauki etyki rozglądają się zwykle najpierw skrzętnie za literaturą pomocniczą. Tymczasem z całym naciskiem musimy powiedzieć, że najniezbędniejszym źródłem przygotowania pozostanie zawsze samo życie. Dzieci spostrzegają natychmiast, czy czerpie się z rzeczywistości, czy z książek. Napozór wydaje się rada sama przez się zrozumiałą; gdyby tak w istocie było, nie szukałoby tytuł natchnienia i materiału w książkach. Współczesny człowiek utracił skutkiem oderwanego myślenia zdolność do bezpośredniego spostrzegania ludzi i życia; odczuje to każdy na sobie, skoro będzie musiał dzieciom opowiadać o życiu i o ludziach. Braknie mu materiału, znajdzie się w kłopotcie, całe bogactwo życia rozciąga się przed nim, żył w niem, obserwował, a nie potrafi go przedstawić. Dlaczego? Bo naprawdę ani nie żył, ani nie badał życia, czas zajmowały mu studia i abstrakcy samych »światopoglądów«, brakło natomiast poglądu na ludzi. A przecież zawsze pozostanie najważniejszą rzeczą studyowanie ludzi, szczególnie zaś, gdy mamy zdawać z tego studium sprawę dzieciom. Na abstrakcyi poznają się natychmiast. »Wszyscy ludzie są braćmi, wolnymi, równymi«. Z tem zdaniem z francuskiego podręcznika moralności dziecko nie wie, co począć. »Czyście widzieli, jak ludzie wchodzą i wychodzą z tramwaju? Jak rozmaicie przytem zachowują się?« Takie pytanie

budzi ogólne zaciekawienie, można do niego nawiązać całą etykę. Jednakowoż, żeby mózdz dawać podobne pytanie, trzeba je sobie najpierw samemu umieć zadać, wyjść od spostrzeżeń, być wrażliwym na rzeczywiste życie, czyli jak w dzisiejszych warunkach sfer wykształconych zupełnie »przekształcić się«. Najważniejszym, najtrudniejszym, ale i najniezbędniejszym przygotowaniem do etycznej nauki jest i będzie ubieranie naszych oderwanych przekonań w konkretne obrazy. Nauka może trwać długo, ale trudnościami nie należy się zrażać. Wyjdzie to i dzieciom i nam na dobre; pojęcie życia chwyci znowu korzenie w istotnem życiu. Pomocniczą literaturą w tem samokształceniu mogą stać się dzieła wielkich wieszczów i znawców życia, lubo i tu wskazaną jest pewna ostrożność.

Musimy jeszcze zauważyć, że poniższe przykłady nie są przeznaczone do zużytkowania wprost przez nauczyciela; przeszkadzałyby to bezpośredniości jego wpływów. Przykłady mają jedynie początkującym wychowawcom, obawiającym się o suchość materiału wskazać metodę, jak można zużytkować obfity materiał życiowy, zebrać obrazy, porównania. Mówiąc n. p. o postępowaniu z gwałtownymi i nerwowymi, rozszerzy się zakres do wrażliwych, nieszczęśliwych, starców, niedowierzających, głównie na podstawie własnych doświadczeń i spostrzeżeń, uzupełnionych przez dzieci. Wogóle nauczy się sam nauczyciel jak najwięcej, pytając dzieci o ich własne obserwacye. Z początku napotka może trudności, bo dzieci nie są przyzwyczajone do zdawania rachunku przed drugimi z własnych wrażeń, ale gdy raz uprzedzenia przełamają się, gdy dzieci pojmą, że tu chodzi o nie same, nie znajdziemy nie bardziej oryginalnego i przykuwającego, nad te myśli dziecka o ludziach i o życiu. Pozostając zaś zawsze przy rzeczach konkretnych, przeszkodzimy z góry przemądrzałemu mówieniu przez dzieci o rzeczach, których nie rozumieją i unikniemy moralnej frazeologii.

Samoistność.

Apelowanie do samoistności jest najlepszą metodą przy etycznym oddziaływaniu na młodzież. Niechaj dziecko nie ma uczucia, iż musi dźwigać na sobie moralną tradycję dorosłych jako ciężar, owszem świat moralny powinien przedstawiać się mu jako świat sposobności do rozwinięcia własnych sił. Zamiast ślepego naśladowania wzorów, ustawicznego ścieśniania i przykrawania własnego życia przez rozliczne zakazy, niechaj pozna istotę życia, do którego powinno dążyć.

Głuchoniemi.

Niejeden z was był zapewne w zakładzie dla głuchoniemych? Jacyż oni biedni. Wszystko piękne i czułe, co jeden człowiek drugiemu może powiedzieć, lub usłyszeć, dla nich nie istnieje. Z trudnością, sztucznie obeują z ludźmi, jakby więźniowie. Los nie do pozazdroszczenia. A iluż ludzi nie głuchych i nie niemych, prowadzi takie życie, jakby nigdy nie uczyli się czynienia użytku z uszu i z ust. Tak są sobą zajęci, że słyszą tylko to, co ich samych dotyczy. Słyszają wybornie, gdy ich wołają na obiad, lecz gdy matka prosi o spokój skutkiem choroby i zmęczenia, słuch odmawia posłuszeństwa. Że siostrze dokuczylili, słyszą dobrze, gdy głośno płacze, nieczułyimi są na jej cichy głos, skarżący się, że obeszlili się z nią źle. Umieją biegać po lasach, wybierać gniazda, poznawać śpiew ptasi, lecz na ton mowy ludzkiej są wprost głuchymi. Słyszeliście o Indyanach, mających tak uszy wyćwiczone, że na odległość rozróżniają tętent koni, przyłożywszy ucho do ziemi i zbliżanie człowieka po szeleście liści. Nam nie potrzeba dzisiaj uczyć się takich rzeczy, ale przecież przydałoby się nauczenie uszów kilku sztuczek. Możliwe np. słuch tak zaostrzyć, by z tonu głosu rozpoznawać, co dzieje się w sercach bliźnich, czy są smutni, znużeni, zniecierpliwieni, obrażeni. Przy uwadze nauczyć się

łatwo, zauważyć wszystko, podobnie jak aktorzy studyują pilnie, chcąc głosem wyrazić różne uczucia serca. Indianin wydelikaca uszy, by zabić nieprzyjaciela, lub przed nim w porę uciec, my powinniśmy zaostrzać słuch, by nie sprawić przykrości, bezwiednie nie naprzykrzać się tym, których kochamy.

Przypatrzcie się n. p. kiedy dokładnie, jak postępuje człowiek, gdy mu powiecie coś nieprzyjemnego, a on nie chce dać poznać tego po sobie. »Połknął pigułkę, zgryzł w sobie«, powiadacie w takich wypadkach. Po głosie można poznać to połykanie i dostrzedz, że stała się krzywda. Głuchy nie usłyszy naturalnie nic, owszem będzie z cudzej męki cieszył się. Przy takich sposobnościach traci się często najlepszych przyjaciół, lub zyskuje nowych i to całkiem bezwiednie. Szczególnie przy odwiedzeniu chorych jest ważną rzeczą mieć dobry słuch i wyczuć znużenie wcześniej, nim sam chory zda sobie z niego sprawę. Są także ludzie dobrze wychowani, którzy mimo pilnego zajęcia i braku czasu przyjmują odwiedziny z uśmiechem na ustach; — kto ma wrażliwy słuch, wyrozumie z ich głosu, że z trudem udają uprzejmość. Kto tego nie zauważy, będzie siedział całemi godzinami, choć tamten ziewa i daje wprost do zrozumienia, ile mu na czasie zależy. Nie trzeba zatem nigdy zapominać o tem, że uszy mamy nietylko po to, aby kapelusz z głowy nie spadł, ale aby wykonywały służbę wywiadowczą, w porę doniosły, gdzie i kiedy potrzeba dobrego słowa, serdecznego uścisku dłoni, prośby o przebaczenie.

Przejdźmy teraz do niemych. Do nich stosują się słowa: »Uczucia bez słów i głos bez dźwięku«. Są nimi ludzie, którzy nigdy w porę nie potrafią wymówić słowa uprzejmego, wdzięczności, lub nie uważają za wskazane zdradzać się ze swemi uczuciami. Jak często zaniedbuje się sposobność powiedzenia słów pociechy, współczucia, gdy ktoś martwi się, utraci kogoś drogiego. Milczymy jak głąz, chcielibyśmy może coś powiedzieć, ale brak nam wyrażień. A słowo po-

ciechy, to wieniec złożony na grobie. Cóżbyście powiedzieli, gdyby wasza matka utraciła siostrę, czy matkę? Z pewnością tak: »Droga mamo, będę cię odtąd jeszcze goręcej kochał«. Albo gdy kolega przyjdzie do klasy po dłuższej nieobecności z powodu śmierci ojca? Przystąpimy do niego i powiemy ująwszy delikatnie za rękę: »Ogromnie mi żal, że jesteś tak nieszczęśliwy; odwiedź mnie i opowiedz o swym ojcu«. Niejeden wyjeżdża znowu z domu, serce mu się kraje z powodu rozdziału z krewnymi i przyjaciółmi, ale nie daje po sobie poznać żalu. Czyżby go tak wiele kosztowało, gdyby otworzył usta i ulżył sercu. Inny dokuczył drugiemu, czuje to doskonale, ale nie przyzna się, nie przeprosi, że źle zrobił. Woli poczekać, aż gniew obrażonego uśmierzy się, spłynie jak woda po deszczu nawalnym. Niestety uraza nie spływa jak woda, żre duszę dalej, niby trucizna, i zabija miłość. Wszystkiemu winno milczenie. Usta służą nie tylko do jedzenia, serdeczne, ciepłe słowo powiedziane w porę nadaje im dopiero piękną linię. Naturalnie nie zawsze trzeba mieć serce na języku, bo prędkoby wyziębło, lecz z drugiej strony należy umieć w porę pozbyć się fałszywej nieśmiałości i opieszałości w mówieniu. Najtrudniejszy początek. Gdy jednak raz przewyćziemy się, aby powiedzieć życzliwe słowo, prosić o przebaczenie, reszta pójdzie łatwo. Inaczej nie staniemy się nigdy artystami, tylko partaczami mowy ludzkiej i pozostaniemy nimi.

Ważną i ożywczą pobudką jest również na tem polu omówienie sprawy »trudnych listów«. Zwróćmy myśli dzieci na listonosza, który co rano przynosi listy do domu. Gdyby można widzieć twarze wszystkich czytających. Jaka to sztuka tak pisać, aby innych nie urazić, nie nudzić. Dlaczego tak to trudno? Bo nie słyszy się głosu piszącego, nie widzi jego twarzy. Twarde słowo, obrazę, nieporozumienie po napisaniu trudno naprawić. Słowo pisane pozostaje długo,

działa nawet na tych, którzy je czytają po śmierci adresata. Jakżeż starannie trzeba każde słowo odważyć, jak ostrożnie szukać wyrażen. Niechaj dzieci same wyszukują listy trudnej treści np. list, w którym czynimy wyrzut, odmawiamy prośbie; listy, w których chcemy pocieszyć, lub ofiarować dobrodziejstwo. Listy łatwiejszej treści dają też sposobność do zastanowienia się nad naturą otrzymującego i do okazania prawdziwej miłości i serdeczności. Można niezmiernie ożywić treść listów, wskazując dzieciom na sposobność do okazania samodzielności, do zamienienia niemiłego obowiązku w pracę twórczą. Układanie trudniejszych listów można wreszcie wyzyskać przy pisaniu zadań, tylko temat niech nie wykracza poza zakres świata dziecka i nie przedstawia sytuacji, nie wiążących się z jego własnymi spostrzeżeniami.

Panowanie nad sobą.

Dostosowania jednostek do życia społecznego nie można wyobrazić sobie bez zdolności wyodrębnienia własnych czynów z czysto instynktowej reakcji i bez kontroli osobistego świata wyobrażeń. Wielu ludzi wyposażonych w motywa społeczne ginie w życiu, bo nie nauczyli się poddać w porę impulsywności pod karby ducha. Chodzi tu o ćwiczenie w latach rozwoju, niestety dzisiaj nie zajmujące należnego stanowiska w wychowaniu, lubo wczesne zwalczanie i łagodzenie zapobiegłoby wielu patologicznym skłonnościom. Jednakowoż przez brak wychowania w panowaniu nad sobą mogą i ludzie zdrowi, normalni popaść w stan chorobliwy, bo pokusa niekrepowania się zarzuca dzisiaj sidła na każdego człowieka we wszelkiej formie a dawne ideały wstrzeмиężliwości, zaparcia się, poświęcenia stają się wprost śmiesznymi.

Rosnąca nerwowość, przeczulenie pochodzi w niemałej części stąd, iż w naszych czasach ludzie bez hamulca uderzają na siebie i powodują się wszelkiego rodzaju kapryсами. Wzajemnie niszczą ludzie nerwy, zasada szumienia

panuje wstydliwie i bezwstydnie nad stuleciami. Coraz głośniej mówi się o nadchodzącym wspaniale wolnym człowieczeństwie, ale nikt nie podaje uchwytnych środków, przy pomocy których ma człowiek tak się przerodzić, a tymczasem stajemy się coraz podobniejszymi do zwierząt.

Nauczycielowi, któryby chciał przygotować się do pouczeń na tem polu, podajemy następujący wzór do zbierania materiału: I. Na czem zasadza się panowanie nad sobą? a) Panowanie nad ciałem: 1) nad członkami (gimnastyka, turystyka, postawa); 2) nad dolegliwościami (nerwowość); 3) nad potrzebami (głód, pragnienie, popędy zmysłowe, lenistwo); b) Panowanie nad siłami duszy: 1) namiętności (nienawiść, gniew, zemsta, namiętność sportowa); 2) uczucia (antypatya, zazdrość, fałszywe współczucie); 3) pobudki (do śmiechu, rozmowy); 4) upór. II. Jak wytwarza się panowanie nad sobą? a) Moment fizjologiczny (pobudliwości i ich przeciwdziałanie; fizjologiczne podstawy moralnej wolności. Jak utracą się kontrolę nad samym sobą? Działanie alkoholu na mózg; niebezpieczeństwo usamowolnienia obwodowych grup nerwów: przykłady z życia płciowego, morfinizm). b) Moment kulturalny i historyczny. (Konieczność dostosowania do życia społecznego. Zemsta i przebaczenie (n. p. w dramatach Eschyla i Szekspira). Dzieje ascetyzmu w Indyach, w starożytności, u chrześcijan. Posty i umartwienia we wszystkich religiach. III. Co mówi życie o panowaniu nad sobą? a) Społeczne prawa życia: 1) Niema społeczeństwa bez panowania nad sobą. Przykłady. 2) Przyjaźń i miłość a panowanie nad sobą. b) Prawa indywidualne. Niebezpieczeństwo samozniszczenia przez nieokiełznane popędy (moc przyzwyczajęń, skąpstwo, gniew, namiętności) na polu fizycznym i duchowym. IV. Jakie motywa wyzyskać? a) Pożądanie siły; b) wolności i samodzielności; c) rycerskości; d) odpowiedzialności wobec przyszłości. V. Jakie istnieją środki do panowania nad

sobą? a) Ćwiczenia na różnych wyżej wskazanych polach; b) dyeta ciała; c) unikanie pokus.

Nie radzimy nauczycielowi jednakowoż, aby powyższe punkta uważał za wytyczne przy samej nauce. Takie skrupowane podziały są niebezpieczne dla żywego oddziaływania. Pouczenia powinny, co prawda, pozostawać w związku, lecz z pominięciem związku sztucznego według systematycznie obmyślanego planu, przeciwnie wyrastać z naturalnego, żywego, wewnętrznego zespołu, będącego wynikiem przejęcia się nauczyciela swym przedmiotem. Poniższe przykłady są obliczone na dzieci 10—14-letnie, lecz ubrane w kunsztowniejszą formę i gruntowniejsze uzasadnienie, mogą nadać się dla starszych. Panowanie nad sobą stanowi w pedagogice bardzo ważny dział; zadawszy sobie pracy, można odrodzić duchowo dzieci względnie ubogie w etyczne pobudki. Nadto może tu nauczyciel nawet w klasach przepełnionych działać indywidualizująco, uwzględniać temperament, otoczenie uczniów.

Czy jest potrzebnem panowanie nad sobą?

Panowanie nad sobą — to suche słowo; brzmi jak nieprzyjemne lekarstwo, które dorośli dzieciom zapisują. Przecież choćby nie było dorosłych, ani nauczycieli, a dzieci żyły same na wielkiej wyspie, już po kilku tygodniach przekonałyby się, że panowanie nad sobą należy do najcenniejszych darów życia. Ludzie mogliby się obejść bez kolei, telegrafów, gazu, światła elektrycznego, lecz bez panowania nad sobą nie. Wyobraźcie sobie, że po rozbiciu okrętu, dostaliście się na odludną wyspę i macie wspólnymi siłami zbudować mieszkanie, szukać pożywienia. Czy myślicie, że do budowy wystarczą kamienie, drzewo i zdrowe ręce? Nie, o wiele ważniejszym będzie, gdy każdy nauczy się panować nad sobą. Inaczej w ciągu godziny wszystko rozbiłoby się skutkiem niezgody. Do wspólnego pożycia potrzeba ludziom tak samo tego panowania, jak gwiazdom na niebie praw

obrotu. Tylko że gwiazdy nie muszą szukać same swych dróg, podczas gdy ludzie z trudem po wielu starciach uczą się pamiętać o tem, że nie sami są na świecie. Pomówimy zatem o tej sprawie, abyście odrazu znalazły należytą drogę, nie narażając się na zderzenia, z których nie zawsze wychodzi się cało. Słyszaliście już zapewne, że w świecie zwierzęcym i roślinnym te osobniki najprędzej giną, które nie potrafią dostosować się do swego otoczenia. Gdyby lew był niebieski, widziałyby go inne zwierzęta na pustyni z daleka i nie upolowałyby zdobyczy. W ludzkim społeczeństwie istnieje takie samo dostosowanie. Czemu dla lwa zęby, dla ptaka oczy i skrzydła, tem dla człowieka jest panowanie nad sobą. Kto nie ma tej zdolności, ginie w społeczeństwie tak, jak ten, co nie umie pływać. Co prawda, społeczeństwo ludzkie nie jest tak bezwzględne jak przyroda. Komu braknie panowania nad sobą, nie zaraz upada, owszem dodatkowo wychowuje się go. Idzie do zakładu poprawczego, albo do surowego instytutu wychowawczego, lubo już go się nie szanuje, jak przedtem. Ostatecznie i cierpliwość wyczerpuje się; kto sam sobą nie władnie, bywa wyłączony ze społeczeństwa, odosobniony. Można to zauważyć już w szkole. Uczeń gwałtowny, nie naginający się do życzeń innych, nie ma przyjaciół. Ze szkoły wychodzi źle uzbrojony do życia, a jeśli dość wczesnie nie postrzeże się, ginie marnie.

Przypatrzmy się też poszczególnym wypadkom z życia, gdzie szczególnie żałujemy, że sami sobą nie władniemy. Cóżbyście powiedzieli o człowieku, któryby nie panował nad swemi mięśniami. Dziecko wpada do wody, chce je uratować, ale ramiona odmawiają posłuszeństwa w niewielkiej od tonącego odległości. O wiele więcej nieszczęścia spotyka człowieka nie posiadającego dość sił, by utrzymać na wodzy namiętności, złe skłonności. Najlepszym przykładem jest pijak dobrze widzący drogę zagłady, a jednak za słaby, by oprzeć się. Wybierzmy jednak przykłady i z waszego życia. Każdy chce mieć choćby jednego wiernego przyjaciela. Jakże

go pozyskać? Tylko przez udowodnienie, że się myśli nie o sobie jedynie, lecz i o drugich. Gdy np. widzę, że kolega nie dostał owoców do szkoły, a sam mam piękne, soczyste jabłko, oddam mu połowę, choćby nawet całe. Ten widzi, iż okazałem mu serce, odwzajemnia miłością i z małych początków wytwarza się przyjaźń. Jednakowoż bardzo często znajdzie się przeszkoda, dla której nie chcemy jabłka podarować. Czegoż brak? Panowania nad sobą. Sami chcemy jabłko zjeść i stąd gotowa przeszkoda przyjaźni. Trzeba zatem dość wcześnie ćwiczyć się w przewyciężaniu apetytu, łakomstwa, jeśli chcemy zdobyć przyjaciela. Zgadnijcie, kiedy jeszcze trzeba najwięcej powściągliwości i kiedy najbardziej żałujemy, że jej nie mamy: Gdy komuś przyrzekniemy, że dotrzymamy tajemnicy. Pod pieczęcią tajemnicy zwierzone coś Józiowi, ten zaledwie wrócił do domu siada, szepcząc, przy siostrze i słysząc jak mówi: Tylko nie powiedz tego nikomu. Siostra powtórzyła naturalnie wszystko zaraz przyjaciółce, ta bratu, a ten głośno papie nazajutrz o tem w klasie. Już niejeden chłopiec żalił się, że nie może znaleźć przyjaciela, nie podejrzewając, że przyczyny należy szukać w jego gadatliwości. Kto szuka przyjaciela, żąda w nim człowieka, któremuby mógł całkowicie zaufać. Jeśli zauważy chociażby raz, że wyjawia nawet drobnostki, tworzy się rysa na jego sercu; widzi z żalem, że temu człowiekowi nie można ufać. Trudno bowiem budować na takim, kto nie umie panować nad sobą. Dlatego trzeba ćwiczyć się w milczeniu, aby chęć stania się dobrym przyjacielem była silniejszą od chęci szerzenia plotek.

Powyższe przykłady chyba wam wystarczą. Pamiętajcie to jedno jeszcze dobrze: Panować nad sobą znaczy, że człowiek jest panem w swym domu cielesnym, nie słucha sług, t. zn. mięśni śmiechu, nerwów żołądka, języka itp. Służba musi dać się kierować swemu panu, bo on ma przegląd całości, oblicza wydatki i dochody.

Zły humor.

Istnieje jedno przyzwyczajenie, które niestety zbyt często zdarza się u małych dziewczynek i niejednemu już życie zatruło. Jest niem zły humor. »Wstałaś dzisiaj widocznie z łóżka lewą nogą«, mówimy, widząc, jak dziewczynka na wszystko krzywi się, kaprysi, chodzi ponura, jakby ją życie nie cieszyło. Przyczyną bywa zwykle błaha drobnostka. Mleko było przypalone, spodziewany list nie nadchodzi, brat za silnie stuknął we drzwi, mama nie pozwala popołudniu iść do przyjaciółki na plotki. Co począć? Nie dobrze, gdy wówczas wszyscy na nią się rzucają, a braciszek mówi przy obiedzie: »No, ale jesteś dzisiaj krzywa i kwaśna, jak ocet. Psujesz tylko apetyt«. Takie uwagi nie pomogą; ona sama wie, że jest nieznośną, wie i to doskonale, jak niebezpiecznym może stać się podobne przyzwyczajenie i wyręć rys nieprzyjemny na twarzy, a przecież nie może odzwyczaić się, bo nie zna środka na odpędzenie humorów. Dzisiaj dam więc radę dla was samych, waszych przyjaciółek i przyjaciół, bo myliłby się ktoś, mniemając, że niema kapryśnych chłopców i mężczyzn. Z humorami ma się rzecz tak samo, jak z rwącą wodą górską. Nie wystarczy zbudować tamy, trzeba iść do źródeł i wodę w porę rozdzielić, by nie uderzyła z całą siłą o ludzkie mieszkania. Nie pora zmuszać się do uprzejmości i wesołości, gdy zły humor już nadpłynął i zaleje duszę, owszem, trzeba postarać się, aby wylew gniewu zaraz w początkach rozdzielił się. Jak to rozumieć? Wyobraźcie sobie, że macie zrobić wycieczkę z przyjaciółmi. Matka w obawie, że się zaziębiecie, szuka tak długo ciepłych okryć, aż się spóźnicie. Pędzicie bez tchu na dworzec, a tu pociąg ucieka z przed nosa. Prawdziwa rozpacz, a zawiniła mama przez swe przesadne obawy. Na duszę spada jakby deszcz i ze wszystkich stron spływa w postaci gniewu. Po- stanawiamy siedzieć całymi godzinami milcząco, z twarzą zadąsaną. W podobnych wypadkach najlepiej powiedzieć

sobie: Nie. Przykrość stanie się dla mnie i dla drugich źródłem błogosławieństwa. Postanowię przyswoić sobie jakieś dobre przyzwyczajenie, np. wczesne wstawanie, lub oduczyć czegoś złego n. p. niezamykania drzwi, walania zeszytów. A może zdobędę się też na sprawienie szlachetnej niespodzianki komuś, kogo kocham, a kto jest w smutku, w potrzebie. Spróbujcie raz tylko, a przekonacie się, że przykrość rozplynie się u źródeł. Uczucie nieprzyjemne zamieni się odrazu na przyjemne. Przysłowie włoskie powiada: »Komu Bóg drzwi zamyka, temu otwiera okno«, t. zn. z każdego niepowodzenia można uczynić coś dobrego dla siebie i dla innych, jeśli nie działa się bezmyślnie.

Gdy spotka nas coś smutnego, tak że upadamy pod ciężarem złego humoru, jest również dobrym środkiem przypomnieć sobie o tych wszystkich, którym o wiele ciężiej w życiu, niż nam. Gdy lokomotywa ma ciągnąć pod górę, palą pod kotłem całą siłą. Rano wstawszy w rozdrażnieniu, w niehumorze, starajcie się być jak najuprzejmiejzymi. Węgłem opałowym muszą być myśli, wyżej określone i to w takiej ilości, by ich wystarczyło na cały dzień. Wielu ludzi traci zaraz z błahaego powodu humor; jakżeż miło, gdy chociaż ktoś jeden znajdzie się, z którego można brać wzór.

Jest piękna powiastka o małej sierotce ze wsi, która mimo głodu i chłodu tak była pełną wesołości i uprzejmości, że cała wieś za nią przepadała. Gdy szła ulicą z piosnką na ustach, wybiegały naprzeciw niej dzieci, dorośli stawali we drzwiach, chorzy otwierali okna; wszystko patrzyło za nią. Nikła dziewczynka była błogosławieństwem całej wsi. Pamiętajcie, abyście i wy królowali w państwie wesołości serca.

Drogocenne skrzypce.

Słyszeliście o istnieniu starych, cennych skrzypców, na których wielcy artyści tak długo i tak pięknie grali, że one przy dotknięciu nawet niezręcznego grajka czysto i pięknie

brzmia? Skąd to pochodzi? W fałdach i liniach ludzkiej twarzy odbijają się wszystkie usposobienia i stany duszy i w końcu przybiera twarz ten wyraz, który najczęściej w jej rysach rzeźbił się. Tak samo dzieje się z delikatnymi włóknami drzewa pudła od skrzypców. Brzmia ciągle tonami pięknymi i czystymi, tak się nareszcie dostrajają, że odpowiadają szlachetnymi drgnieniami, lub pociągnięcie smyczka nie było zupełnie czyste. Podobnie dzieje się w duszy ludzkiej. Trudno człowiekowi źle wychowanemu, grubiańskiemu odpowiedzieć spokojnie i uprzejmie, lub na postępowanie drażniące nie odpłacić równą miarką, jeśli duszę wypełniają myśli złośliwe, samolubne. Wasza dusza — to skrzypce, a wy muzycy. Jeśli graliście na niej myśli dobre, uprzejme i pobudzaliście jej włókna do drgnień pełnych wspaniałości i współczucia, nie wyda tonów fałszywych, brzydkich, nawet gdyby ktoś nieumiejętnie zagrał. Może tylko smutno jęknie, ale nie krzyknie okropnie. Najsilniejszym jest człowiek, który nagromadził tyle delikatności i dobroci w duszy, że nikt nie zdoła wyprowadzić go z równowagi, wszystkiego słuca ze spokojem, w odpowiedziach kieruje się czystą miłością. Na zdobycie takiej siły trzeba całych lat pracy, wcześniej rozpoczętej, bo im później, tem gorzej. Jakże uczynić początek? Nie trzeba popadać w ślepy gniew, zaciskać zęby i ręce mówiąc: »Ach, gdybyś mógł przeczuć, jak chętniebym cię zbił, ale powstrzymam się tym razem«. Takie postępowanie męczy i jest pozornem przewyciężeniem gniewu. Nie, raczej dowiedzmy się, czy o chłopca nas gniewającego dbano z taką czułością, jak o nas, czy nie jest słabowitym i nerwowym, czy miał sposobność dostania do rąk dobrych, pouczających książek? Słowem, jeżeli rozejrzemy się po jego życiu, pozałujemy nieraz niemal, żeśmy byli niecierpliwi względem niego i oburzenie zamieni się w litość. Kiedy otrzymacie na imieniny w podarunku ptaszka lub inne zwierzątko, pytacie się ciekawie, z jakiego kraju pochodzi, czem się żywi, czego nie lubi, jak się z nim obchodzić. Otrzy-

mawszy człowieka za towarzysza zabaw, nie zastanawiacie się wcale nad tem, w jakim otoczeniu wyrósł, czego mu brak, jak żyje, jaką strawę dotąd jego serce otrzymywało. Nic zatem dziwnego, że potem całymi tygodniami źle żyjecie ze sobą, łajecie i bijecie się. W ten sposób wyrządzacie też sobie przedewszystkiem największą krzywdę, bo duszy stają się obce myśli przyjazne i pełne przebaczenia, a z twarzy waszej można wyczytać, iż źle gracie na skrzypcach.

Jak odpłacać za złe?

Każdy z was pamięta zapewne nieśmiertelne słowa: »Gdy cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu lewy«. Czy kto z was wykonał, choćby jeden raz to przykazanie? Nieprawdaż, że zdaje się ono przechodzić siły ludzkie? Pewien sławny malarz wyraził się: »Gdy kto cię uderzy w prawy policzek, oddaj mu dwa w lewy«. Tak samo myślicie prawdopodobnie wszyscy. Gdy kogo uderzą, do tego jeszcze w twarz, napływa mu krew do głowy i nakłania go ze ślepą potęgą do odpłaty. Powiadam ze ślepą potęgą, bo prawdopodobnie słyszeliście, że ludzie, którzy drugich zabili w gniewie, opowiadali później, iż działali jakby w ciężkim śnie. Ludzie tacy podobni do automatów z czekoladką: do otworu w górze wrzuca się pieniądze i zaraz dołem wysuwa się czekolada. Tak samo złościcy: ktoś uderzył ich, powiedziało obraźliwe słowo, w duszy ich przez chwilę słychać zgrzyt i następuje odpowiedź. Czyż człowiek ma być automatem, niewolnikiem, naśladowującym co drudzy czynią, byle nie być posądzonym o tchórzostwo? Czyż nie większej trzeba siły, aby nie dać się zarazić, lecz czynić to, co sami uznamy za dobre i piękne? Wyobraźmy sobie, że jakiś chłopczyk postanowił być delikatnym, nigdy drugich nie bić i nie przezywać. Kilku jego kolegów schodzi się i powiada: »Rozpowiadał, iż nienawidzi bijatyk i przezywań, załóżmy się, czy w 5 minutach nie zmieni swych zapatrywań«. Jeden podbiega doń z tyłu, daje policzek i mówi obraźliwe słowa.

I patrzcie, uderzony zapomina o swych postanowieniach, oddaje policzek, a chłopcy wybuchają okrzykiem radości. Ten teraz dopiero spostrzegł, do czego koledzy zmierzali i płacze gorzko ze wstydu. Sprzeniewierzył się samemu sobie, dał się przez innych sprowadzić z prawej drogi. Jeśli zatem koledzy będą nas podmawiać, zachęcać do odpłaty, przypominajcie sobie, że krzywda będzie jeszcze większą, a kolega wyśmiewa, że ma tak pojętnego ucznia, który skacze, jak mu zagrają. Nie, bądźcie samodzielnymi i nućcie własną melodyę. Pewien chłopczyk zapytany, dlaczego Chrystus kazał odpłacać dobrem za złe, odpowiedział: »Bo inaczej sami stalibyśmy się złymi«. Chciał przez to powiedzieć, że policzek przez nas wymierzony, nam samym najbardziej szkodzi, przyzwyczajając do dzikości. Niestety, zaślepieni gniewem ludzie nie chcą o tem pamiętać. Tymczasem wystarczy podczas gniewania się spojrzeć na własną twarz do zwierciadła, aby przekonać się, kto komu wyrządza szkodę.

Widzicie więc, że słowa o prawym i lewym policzku nie są tak niezrozumiałe i niepożyteczne, jak się na pozór wydają. Może przecież niejedyn z was powie: Dobrze, przyznaję, że lepiej będzie dla mnie samego, nie odpłacać złem za złe, ale żeby jeszcze nadstawiać policzek do drugiego uderzenia, to trochę za wiele. Prawda, ale nie trzeba tych słów brać zupełnie dosłownie. Dlaczegoż nie należy odpłacać za złe złem? Bo sami się niem zarazamy. Postępując inaczej, tylko złe zdwajamy. Gdy zaś, doznawszy krzywdy, drugiemu odpłacimy dobrem, zamiast dać się zarażać złem, zdwajamy dobre, które opanowuje dwa serca zamiast jednego. Jak to uczynić? Przez przykład i tylko przezeń. Dobre zaraża tak samo jak złe. Jakże zakłopotanym będzie chłopiec, który uderzywszy kolegę usłyszy od niego odpowiedź: »Jeśli ci to sprawia przyjemność, uderz jeszcze raz; nie bój się, ja nie będę ciebie naśladował«. Czyż nie sądzicie, że potrzeba na to o wiele więcej siły i męstwa, niż do odpłacenia grubiaństwa równą miarką. Czyż taka wspaniałomyśl-

ność i pokora nie doprowadzi sprawcy złego do upamiętania, do wewnętrznego zawstydzenia, chociaż nie da tego poznać po sobie? Gdy postąpicie tak samo, jak on, nie nauczy się niczego od was, a przy najbliższej sposobności powtórzy krzywdę. Kto zatem dobrem za złe płaci, za obrazę przebaczeniem, nie jest tchórzem, owszem zwycięzcą, pokonywującym innych i udzielającym swą częśćką delikatności, naodwrot, kto mści się, staje się niewolnikiem złego przykładu.

Ujarzmienie sił przyrody przez człowieka.

Czytając w dziejach o ciągłym rozlewie krwi, począwszy od zdobycia ziemi Kanaan, do ostatniej wojny rosyjsko-japońskiej, pomyślicie zapewne, że cała historia ludzkości obraca się właściwie około wiecznego mordowania się wzajem i że ludzie nie są lepsi od zwierząt. Gdyby istotnie dzieje powszechne miały taką treść, możnaby oddać się rozpaczy. Jednakowoż niejedyn z was, obok opowiadań o przygodach Indyan, musiał czytać księgę odkryć i wynalazków. Z niej dowiedzie się, jak zdala od zgiełku wojennego rozgrywają się prawdziwe losy świata. Wyobraźcie sobie, jak bezradnym i drżącym był człowiek dziki wobec sił przyrody, jak następnie krok za krokiem duch ludzki i społeczeństwo ujarzmiły żywioły i odkryły pana wszechświata. W tej księdze zobaczycie, jak znikał las dziewiczy i dzikie zwierzęta, jak powstawały potężne budowle, żelazne mosty przez ogromne rzeki, jak dyszące maszyny przędą w kilku minutach największe zwoje wełny, jak człowiek opanował siłę elektryczną; przeczytacie o śnieżnym świetle, zamieniającem noc w dzień, o parze posłusznej lekkiemu naciskowi ręki maszynisty, dźwigającej niezmierne ciężary, unoszącej pływające pałace po morzu, o dynamicie otwierającym góry i skały dla zbliżenia narodów. Czyż to nie mówi więcej o sile człowieka, niż sprawozdania z wielkich bitew? Dzieje pracy, nauk i wynalazków są istotnymi dziejami ludzkości.

W ostatnim wieku dokonali nasi ojcowie i dziadkowie wprost niesłychanych rzeczy w podbiciu sił przyrody. Całą ziemię opasali siecią szyn, drutów telegraficznych i telefonicznych. Jakaż was czeka praca? O wiele cięższa, ale też nieskończenie ważniejsza i donioślejsza. Gdy tego zadania nie wykonacie, ta wspaniałość techniczna nie będzie posiadała żadnej wartości, stanie się przekleństwem ludzkości. Musicie nareszcie zabrać się do pracy nad ujarzmieniem w ludzkim wnętrzu dzikich pierwiastków, które na wzór złych duchów burzą i niszczą, co rozum i miłość stworzyły. Uśmierzyć siły przyrody we własnym sercu, poddać je pod władzę rozsądku — oto dzisiaj rzecz o wiele konieczniejsza, niż nowe tunele i wynalazki elektryczne. Na co przyda się ludziom telefonowanie z Warszawy do Paryża, jeżdżenie automobilami, centralne ogrzewanie, jeśli sami mają pozostać dzikimi zwierzętami? Spójrzycie, jak w świecie mimo światła elektrycznego rządzi jeszcze ciągle ciemna rządzi chciwość, jak narody mimo parowców i telegrafów nie mogą się ścierpieć, jak ludzie mordują się wzajemnie, lub ciała innych rozdzierają bombami!

Chiński poseł w Londynie wyraził się raz, iż Europejczycy mimo kolei żelaznych i hoteli nie stali się lepszymi ludźmi. Natomiast przez swe wynalazki mogą o wiele więcej szkody wyrządzić, niż inne ludy. Czyż nie miał racji? Słyszeliście nieraz przecież od rodziców, co się dzisiaj na świecie dzieje. Weźcie te słowa do serca i rozważcie je. Powinniście zawsze wyobrażać sobie, że jesteście królewiczami, którzy kiedyś przyjdą do władzy i teraz w cichości poweźmijcie dobre postanowienia, jakby w przyszłości swą wielką władzę obrócić w błogosławieństwo drugich. Prawda, że w przyszłości nie będziecie rozkazywali w pięknym pałacu, ale każdy człowiek dający z siebie wielki przykład, rozpalający nowe światło w swem życiu, siedzi na tronie królewskim, z daleka widzialny, władający ludźmi, chociażby był biednym szewcem.

Trzeba przyznać, że już obecnie czyni się niejedno, by poskromić wolę, okiełznać pożądania. Zaczyna się różgą, a wiele dobrych nauk towarzyszy człowiekowi aż do śmierci. Wiemy jednak wszyscy, że bicie, prośby, karania nie wiele pomogą. Niejeden wiele dałby za to, gdyby mógł opanować własną dzikość, tylko nie wie, jak wziąć się do tego. Dokładnie obliczono i wypróbowano, do jakiego stopnia można ogrzać kocioł z parą wodną, aby nie wybuchnął, ile pary trzeba wentylem wypuścić z lokomotywy, by szła prędzej, lub powolniej. Nie przekonano się jednak dotąd dostatecznie i nie zbadano, jak należy postępować z bliźnim, aby nie eksplodował, jak nad samym sobą czuwać, by nie stracić równowagi.

Ujarmione siły przyrody są dla człowieka błogosławieństwem, rozpętane klęską. Umieemy obecnie wzbudzić i przechowywać siłę elektryczną, zamienić ją w ruch i pracę, lecz nie posiadamy wiedzy uczącej obchodzenia się z siłami popędowymi ludzkiej duszy, nie wiemy jak wytwarzają się, jak je należy wyzyskać, by obróciły się na użytek, a nie na szkodę. Czynią się też wielkie próby, aby potężną siłę, spoczywającą w dynamicie, rozłożyć na spokojne, niewybuchowe działanie, któreby dało maszynom popęd zamiast pary. Nikt jednak nie łamie nad tem głowy, jak należy oswobodzić i skierować ogromną siłę, drzemiącą w ludzkiej woli i namiętnościach, aby nie marniała w dzikich wybuchach, lecz poddana pod władzę rozumu spełniała szlachetną pracę i służyła duchowi.

Przypomnijcie sobie wasze usposobienie po wybuchu gniewu. Jesteście znużeni, a nie zyskaliście nic, owszem sprowadzili nowe zawiłanie. Namiętności spływają nakształt wezbranych wód górskich, miecąc kamienie i piasek na ogrody, pola, niszcząc wszystkie drogi. Co czynią ludzie przeciw powodzi? Sprowadzają inżynierów, regulują rzeki, budują tamy. Rozum i sztuka ujarzmia w ten sposób siły przyrody i obraca je na użytek. Dlaczegoż tak samo nie

postąpić z namiętnościami? Rzecz dziwna doprawdy, że już w szkole uczymy się, jakie pierwiastki wchodzą z innymi w chemiczne połączenie, a które nie, jak działają kwasy na różne metale, ale nie chcemy nic wiedzieć o tem, jakim obejściem wpływa się na ludzi, jak postępować z nimi wśród różnych okoliczności, lubo to jest rzeczą najważniejszą w życiu i bardziej należy do wykształcenia, niżli nauki przyrodnicze. Wielu mniema jeszcze ciągle, że gburowatością i gwałtownością więcej osiągnie, niż grzecnością i dobrocią.

Co się powiedziało o namiętnościach, można również odnieść do wszystkich popędów, skłonności, które wyłamują się z pod władzy rozumu. Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Wiecie bardzo dobrze, że sama znajomość prawej drogi nie wystarcza, trzeba umieć nią kroczyć. Sama wiedza o sile pary i panowaniu nad nią nie wystarczy, jeśli technik nie zbuduje maszyny i kotła. Tak samo ma się z postępkami. Nie wystarczy wiedzieć, jak ludzie na siebie wzajem oddziałują, co szkodzi, co pomaga, jak dzikość wyczerpuje się na pierwszy rzut oka, musi się również nabyć wprawę w poskramianiu opornych popędów, w sztuce wykonania.

Największa siła.

Czy największą siłą świata nie jest przypadkiem elektryczność? Widząc, jak ciągnie obciążone wagony kolei górskich, jak porusza tysiące kółek, w nocy rozświeca niebo, możnaby skoro mniemać, że tak jest w istocie. Zanim Achilles przywiązał ciało Hektora do swego wozu i włóczył około miasta, mniemała cała Troja, iż Hektor jest najsilniejszym bohaterem. Kogo jednak schwycono i spętano, nie może być najsilniejszym. To samo stało się z elektrycznością: człowiek ujarzmił ją, więc w nim spoczywa większa siła. Cóż to za siła, czy myślenie? Ależ i myślenie nuży się, a wtenczas przychodzi mu do pomocy nowa siła, która pobudza je dalej i dalej, nie pozwala na opuszczanie rąk. Cóż to

więc za siła? Cierpliwość! Wiele, bardzo wiele można zdziałać przy pomocy hartu woli, ale nikt wśród znojów i trudów nie obejdzie się bez — cierpliwości. Gdyby ją można odmalować, przedstawiłbym ją jako pokorną postać o wybladłej twarzy, przemęczonych oczach, wązkich, białych palcach. Mimo wątłego ciała wybudowała w Egipcie piramidy, olbrzymie kościoły, najwspanialsze dzieła sztuki. Wielkie odkrycia i wynalazki także jej zawdzięczamy. Żeglarze Kolumba powiedzieli po czterech tygodniach: Mamy dość tego, wracamy do domu. Lecz u niego zbudziła się cierpliwość, kazała wszystko znieść, dopóki nie ujrzał ładu Ameryki.

Wiecie kto pierwszy przekonał się, że ziemia obraca się wokoło słońca? Polak z Torunia rodem, Mikołaj Kopernik, który przez całe życie czynił obliczenia, aż na łożu śmierci ukończył swą pracę. Pomyślcie, jak prędko sami tracicie cierpliwość, gdy wypadnie przysiedzieć fałdów przy rachunkach, a nie można wyszukać błędu.... Prawdziwa cierpliwość jest największą siłą, nigdy nie gasnącą, podobną do wiecznego światła gwiazd. Są ludzie o ogromnej energii i gorącym zapale; przedsięwiorą jakiś zamiar, ale nie idzie zaraz wszystko po ich myśli, więc wszystko rzucają. Nieraz pragną znowu zmiany, różnaitości, obrzydnie im dzień w dzień to samo czynić. Istnieją również ludzie, którzy potrafią znieść wielki ból nie drgnąwszy okiem, ale kiedy cierpienie za- wiśnie nad nimi przez całe lata i wiedzą, że się go całkowicie nie potrafią pozbyć, wtedy tracą spokój i płaczą jak dzieci. Cierpliwość każe człowiekowi niespokojnemu powiedzieć sobie: »Będę spokojnym, przetrwam«.

Skąd nabrać najłatwiej tej siły? Wiecie, że siłę elektryczną wytwarza się w osobnych komorach i stamtąd przesyła dalej. Cierpliwość wytwarzają również osobne komory, są nimi izby chorych. Tam napaja ludzi przykład wzruszającej cierpliwości i poddania się tej wielkiej siłą, stanowiącą popęd wszystkiego, co wzniosłe na świecie. Przykład dają nie tylko chorzy, ale i ci, którzy chorych dzień i noc bez

znużenia pielęgnują, wchodzą zawsze z twarzą uśmiechniętą, lubo pacjent niecierpliwi się i zżyma. Jest wielu ludzi, którzy nigdy nie tęsknili za koroną królewską, ale niema takiego, któryby bodaj w jednej godzinie swego życia nie czuł, jak nieszczęśliwym można stać się bez cierpliwości.

Jak długo młodość sprzyja, można nauczyć się cierpliwości i to nie w osobnych godzinach, ale zupełnie przygodnie. Gdy wam na lekcji gry na skrzypcach lub fortepianu braknie cierpliwości, pamiętajcie, że cierpliwość jest ważniejszą od muzyki, bo muzyka uprzyjemnia nam niejedną chwilę i spędzi nieraz troskę z czoła a cierpliwość da siłę do znoszenia z łatwością wszelkich przeciwności życia. Nauka cierpliwości musi rozpocząć się od rzeczy najmniejszych. Dam wam mały przykład, — inne wymyślcie sami. Gdy rano wdziewamy trzewiki, a znajdziemy poplątane sznurowadła popadamy w gniew, przeklinamy, wreszcie chwytamy za nóż, albo rzucamy trzewiki w kąt. Jest to szkoła próby dla tych wszystkich, którzy później w życiu nigdy daleko nie zajdą i braknie im sił do walki z trudnem położeniem. Ale również jest pewną rzeczą, że sznurowanie bucików można uważać za środek do wzbudzenia dobrego ducha cierpliwości. »Powiedz mi, jak radzisz sobie z trzewikami, a powiem ci, co z ciebie wyrośnie«, możnaby zmienić znane przysłowie. Spróbujcie rzemyki spokojnie, a szybko bez krzywienia się rano zawiązać, a można wam powinszować. Zgrozmadziła się bowiem w was wielka siła, nie wybuchowa i przemijająca, ale spokojna, olbrzymia siła stałości, nigdy nie nużąca się i czyniąca was panami losu.

Jak panować nad samym sobą?

Mówiliśmy już, dlaczego panowanie nad sobą jest dla każdego ważnem. Każdy przyzna mi rację, ale zarazem zapyta, co począć, by do tego dojść? Chętnieby chciało się, ale nim człowiek opatrzy się, zapomni się, przyjdzie napad gniewu lub innej namiętności i zniweczy wszystko. Czytamy

o dawnych Rzymianach, że mieli taką dziwną siłę, n. p. że Mucyusz Scewola spalił własną rękę nad ogniem, aby dać wrogowi przykład rzymskiej siły woli. Wszystko to brzmi pięknie i chciałoby się dorównać bohaterom przeszłości, ale nie wiemy, jak wziąć się do tego, bo przecież trudno ślepo ich naśladować. Czyście zastanawiali się nad środkami, pomocami i ćwiczeniami w panowaniu nad sobą? Podam wam dzisiaj kilka takich ćwiczeń; spróbujcie odnieść parę małych zwycięstw nad ciałem, a raz zakosztowawszy radości z tego powodu, będziecie pożąдали rzeczy coraz wyższych.

Panowanie nad śmiechem. Przypominam sobie o wcale niezłej zabawie między chłopcami: dwóch patrzy na siebie i próbują, który też z nich dłużej wytrzyma bez roześmiania się. Można się przytem nauczyć panowania woli nad mięśniami śmiechu. Pamiętam również, że to ćwiczenie można wytrzymać bardzo długo, jeśli zmusimy się całą siłą do myślenia o czem innem. Zabawę da się jeszcze utrudnić. Niech jeden kolega opowie kilku innym wesołą historyjkę, a ci niech próbują słuchać jej poważnie. Rzecz niezmiernie trudna, gdy kilku jest razem, a powiastka wesoła, ale ćwiczenie wspaniałe. Ćwiczenie takie przyda się i wówczas, gdy ktoś musi pracować wśród wrzawy a nie posiada dość siły, aby myśli skupić na jeden przedmiot.

Głód i pragnienie. Inny rodzaj ćwiczenia polega na tem, aby podczas wycieczek wytrzymywać długo pragnienie. Będzie to z pożytkiem dla zdrowia, bo podczas marszu nie dobrze jest pić zbyt wiele. Od czasu do czasu można spróbować w domu, czy jest się panem samego siebie. Przykazanie zachowywania postów, istniejące w tylu religiach, ma tę dobrą stronę, że daje ludziom sposobność do ćwiczenia siły woli. Podobnie jak wasi dorośli rodacy odbywają co roku kilkotygodniowe ćwiczenia wojskowe, aby nie zapomnieli władać bronią, tak samo i wy powinniście od czasu do czasu ćwiczyć się w dobrowolnych postach.

W pewnym konwikcie dla chłopców wybuchnęły raz formalne wyścigi w dobrowolnem zmuszaniu się do wykonywania rzeczy najnieprzyjemniejszych. Jedli chrabaszce, gaśienice i muchy. Nie myślcie, abym ten przykład polecał wam do naśladowania, bo jest bardzo wiele innych rzeczy nieprzyjemnych, do których można dobrowolnie zmusić się. Wystarczy ćwiczyć siłę woli w powściągliwości, odstępując n. p. słodką leguminę siostrze, by nauczyć się panowania nad słodyczami. U Indyan panuje przesąd, że z potrawami dostają się złe duchy do człowieka, więc że powinno się jeść niewiele; myśl przesądu można obrócić, uprzytomniając sobie, że chciwe, niepohamowane jedzenie budzi w człowieku złe duchy i naraża na poddanie się pod wolę żąd.

Panowanie nad sennością. Największem niebezpieczeństwem, grożącym podczas dłuższych wędrówek po lodowcach jest nieprzeparta śpiączka, która ogarnia człowieka nagle tak, że zapomina o niebezpieczeństwie, a nawet śmierć staje się obojętną, byle tylko mózg spać. Jeśli ustąpi, zaśnie na wieki, chyba że go znajdą przypadkowo psy z góry św. Bernarda.

Nieopanowane znużenie może się stać zgubnem dla ludzi i w dole, na nizinach. Wytwarza się zwolna z wygody i nieznacznie wyrządza więcej szkód, niż inne zła razem wzięte. Nie nagła śmierć grozi, ale powolna, czołgająca się, nieuchwytna, śmierć pozbawiająca zaufania, bo nic nie robi się gruntownie, lecz zbywa; śpiączka przyszła nagle, lenistwo wzięło górę. Ileż ważnych spraw leży odłogiem dla lenistwa, ile marnuje się sposobności, ileż zgryzoty sprawia się drugim jedynie z wygody. Jak temu zaradzić? Ćwiczeniem, tylko ćwiczeniem, wypowiedaniem wojny, nim będzie za późno. Wstawajmy rano o oznaczonej godzinie, mimo ciepłych poduszek i kołdry ubierajmy się szybko bez ziewania i przeciągania. Ze zdwojoną siłą siedzmy przy stole, lubo głowa opada ze znużenia, ze zdwojoną energią krocimy, chociaż przy końcu drogi nogi odmawiają posłuszeń-

stwa. Zwycięstwa ducha nad ciałem czynią całego człowieka silnym.

Gniew. Rzymianin Cezar posiadał doskonały środek przeciw gniewowi. Ile razy krew uderzyła mu do głowy, liczył do dwudziestu nim dał odpowiedź, a do czynienia pauz tak się przyzwyczaił, że robił to później bez liczenia. Dlatego gniew nie doprowadził go nigdy do słów nierozważnych. Również skutecznym sposobem okazuje się częste zastanawianie się nad ludźmi, drugich do gniewu pobudzającymi i nad tem, czego im życie odmówiło. Słowa »miłuj nieprzyjaciół« może być dla niejednego jako pierwszy krok za ciężkie; zamiast nich możnaby jako pierwszą pomoc poradzić: Myśl spokojnie o tych, którzy ci złorzeczą, bierz w myśli ich stronę, uprzytomnij ich dobre przymioty, a uspokoisz się, może nawet ze spokojem zawita miłość dla nich, tak jak niebo odbija się w wodzie, gdy fale się ułożą.

Widzicie z tego wszystkiego, że panowania nad sobą nie wpoją ani rodzice, ani nauczyciele, ani bicie, ani kary, ale trzeba się go nauczyć samemu, krok za krokiem, nabierając stosownych przyzwyczajęń. Każdy powinien baczyć, aby usunąć przeszkody w swych przyrodzonych zdolnościach. Jeden ma temperament silny, pobudliwy, codziennie zatem musi dążyć do poddania popędu do gniewu pod władzę rozsądku. Innym, o spokojnem usposobieniu, grozi niebezpieczeństwo ulegnięcia własnemu lenistwu i miękkości. Jeszcze inni są skłonni do kaprysów i wymagają osobnego ćwiczenia woli, wreszcie drudzy zbyt wielką przywiązują wagę do wybrednych potraw i napojów. Niedobrze szukać sposobności, przy których na nasze najsłabsze strony czekają zbyt wielkie pokusy, przynajmniej jak długo wola nie jest należyście wyćwiczoną. Kto nie potrafi powstrzymać śmiechu, niechaj nie siada obok kolegi, przez całą godzinę płatającego figle, łakotniś niech nie wystaje przed cukiernią, skory

do gniewu niechaj nie pije wina, piwa, niech nie je wiele mięsa, a gdy popadnie w gniew, raczej wyjdzie szybko z pokoju, niż żeby pozostał z tymi, którzy go do gniewu pobudzają. Z charakterem tak trzeba postępować, jak lekarz z chorym. Byłoby o wiele lepiej na świecie, gdyby ludzie przynajmniej połowę tej troski poświęcili duszy, jaką oddają ciału i jego dolegliwościom.

Skąd się bierze kradzież.

Przykazanie mówi: »Nie kradnij«. Znacie je doskonale i myślicie nieraz zapewne, jak wogóle człowiek może kraść. Kiedy żandarmi prowadzą złodzieja, patrzycie na niego z trwogą, jakby na jakiegoś dzikusa. A przecież złodzieje byli też kiedyś dziećmi, które nie włamywały się do cudzych mieszkań. Co najwyżej można było u nich w wieku dziecięcym zauważyć małą odporność przeciw pobudliwościom podniebienia. Gdy ujrzeni łakotkę, słodycz, nie spoczęli, dopóki jej nie posiadli. Nie wynika stąd bynajmniej, aby każdy, kto w dzieciństwie lubił łakotki, miał iść później do więzienia. Inaczej byłoby więcej więzień, niż domów mieszkalnych. U wielu przychodzi z wiekiem rozum, uczucie honoru i wstydzą się, że są niewolnikami żądy. Jednakowoż siły głowy i woli nie u wszystkich ludzi są jednako rozdzielone. Niejeden ma dobre serce, ale zbyt ciasną głowę, by przewidzieć skutki swych czynów, nadto słabą wolę, która utrudnia panowanie nad sobą. Inni posiadają znowu dobrą głowę, ale chęćka do łakotnisiostwa u nich tak wielka, że łatwo jej ulegają. Wszyscy ci ludzie mimo wad mogą przejść przez życie spokojnie, jeśli nie napotkają w drodze zbyt wielkich pokus. Ale wyobraźcie sobie, jakie grozi im niebezpieczeństwo, gdy popadną w głód lub w pokusę zarobienia pieniędzy w nieczysty sposób. Widzicie więc, że z łakotnisiostwem niema co żartować. Niebezpieczna to gra, podobnie jak łykanie pestek z wiśni: jednemu nie zaszkodzi, drugi umiera skutkiem tego na zapalenie ślepej kiszki.

Kto zauważy u siebie słabość do słodyczy, do cudzych jabłek w ogrodzie, niechaj nie rozpacza. Kto pozna dość wcześnie swe wady, może z nich przez ćwiczenie prędkiej i łatwiej wyleczyć się, niż taki, który im bez troski ulega. Pokonując trudności, wyrabia się żelazną wolę. Połóż zrana na stoliku kilka cukierków, czekoladek, owoców z postanowieniem, że je wieczorem nienaruszone oddasz. Jeśli drapieżne zwierzę, lwa, można przez tresurę doprowadzić do tego, że pozwoli sobie włożyć do paszczy bezkarnie głowę poskramiacza, dla czegożby człowiek, nie zwierz drapieżny, nie mógł tyle zdobyć nad sobą panowania, by nie zaraz wszystko pochłaniać, czego się palce dotkną. Pod słowem »kradzież« należy rozumieć jeszcze inne rzeczy: pozbawianie kogoś prawnych zysków dla własnej korzyści, oszukanie na majątku pod pozorem prawa, odebranie drugiemu klientów sposobem nieuczciwym, wreszcie wyłudzenie od ludzi pieniędzy za towar zły i bezwartościowy. Dziećmi będąc wszyscy się na to oburzacie i nie chcielibyście rąk plamić takimi uczynkami, lecz pamiętajcie: złe w rzeczach wielkich pochodzi od złego w małych. Może bez waszej wiedzy rosną w was złe uczynki, które później, kiedy dorośnecie, nakłonią do uczynków, dzisiaj przez was pogardzanych.

Od samych najmniejszych początków trzeba zatem być czujnym i niedowierzającym. Nawet morderca znał początkowo litość w sercu. Jako dziecię posiadał może nawet bardzo wiele współczucia, lecz i wiele nieokiełznanej pożądlivosti. Obydwa uczucia nie mogły się pomieścić w sercu, jedno musiało ustąpić miejsca drugiemu. Najzwykłej ustępuje litość, gdyż pożądlivość wybuchła płomieniem, niszczącym wszystko. Miałem znajomego, który jako chłopiec na szczęście jeszcze się poprawił, ale sam mi opowiadał później o swej pasyi w dzieciństwie do jedzenia owoców, która doprowadziła go do tego, że naruszył oszczędność rodzeństwa. Z początku brał tylko kilka groszy ze skarbonki i to z bólem serca, iż pozbawia je oszczędności z trudem zdobytych,

później żądza urosła i uczyniła serce jego zupełnie zakamieniałem. Tak zwolna może człowiek zamienić się w zwierzę drapieżne, doprowadzić do rzeczy najgorszych. Kto zaś wolę w drobiazgach codziennie ćwiczy, będzie uzbrojonym, gdy nadejdą pokusy.

Przyzwyczajenia.

Zalety i wady przyzwyczajenia.

Czyście widzieli kiedy podział pracy we wnętrzu wielkiego okrętu? Przy żaglowcu ma każdy maszt, żagiel osobną obsługę, na parowcu są rozliczni ludzie do obsługi maszyny, aż do palacza i robotnika polewającego ustawicznie wodą rozgrzane części maszyny. Oficerowie zajmują znowu różne stanowiska, dając pozor na całość. Przypuśćmy, że kapitan daje hasło do odjazdu, a cała załoga stoi nieruchomo, bo nie wie, czego się jąć. Wyobraźmy sobie, że kapitan musi ustawicznie biegać od jednego do drugiego i pokazywać, co mają robić i jak. Wówczas okręt już w porcie spotkałaby katastrofa, bo kapitan ma stać na swym mostku, baczyć z góry na wszystko i tylko od czasu do czasu kontrolować, czy drobiazgi są w porządku. Przypuśćmy także, że dyrektor fabryki zużywa całą pracę na to, by zobaczyć, czy najmniejsze kółko jest naoliwione, ogląda każdy list w biurze, czy niema w nim błędów ortograficznych. Człowiek ten wkrótce zbankrutowałby, bo nie miałby czasu do przekonania się, w którym kraju może jego towar liczyć na największy odbyt, gdzie najtaniej kupi maszyny, materiał surowy i jakie nowe wynalazki, udoskonalenia powinien zastosować. Nie, drobiazgi musi pozostawić pieczy podwładnych. Nazywamy to podziałem pracy, a każdy przyzna, że fabryka tem pomyślniej będzie rozwijała się, im sumienniej każda jednostka dobrowolnie, bez kontroli swą pracę wykona. Działalność podwładnych urzędników musi stać się trwałem przyzwyczajeniem. Przyzwyczajenia są to zatem czynności,

przy których rozsądek nie musi ustawicznie współdziałać. Naturalnie rozsądek musi najpierw tych czynności wyuczyć się i dbać, by szczegóły łączyły się w całość, również od czasu do czasu przekonać się, czy wszystko jest w porządku. Weźmy n. p. pod uwagę grę na fortepianie. Z początku trzeba z mozołem rozważyć znaczenie każdej nuty, głowę natężyć, aby uderzyć prawidłowo każdy krzyżyk lub bemol. Przez częste powtarzanie tak się wyćwiczymy w czystym uderzaniu i przyzwyczaimy, że nie potrzebujemy nawet zastanawiać się. Oko widzi nuty, tony płyną same z pod palców, bez osobnej komendy ze strony mózgu tak, jak płynąca woda pogłębia koryto rzeki. Ponieważ mózg nie musi kontrolować każdego poszczególnego ruchu, ma dość siły i czasu do pomyślenia o wyrazistości muzyki, kiedy uderzyć piano, a kiedy forte i następuje podział pracy, jak na okręcie, w fabryce. Celem ćwiczenia jest zatem wywołanie przyzwyczajenia, a korzyści wynikają stąd, że duch oswojony może wybiegnąć dalej, pomyśleć głębiej i skierować czynności człowieka do właściwego celu. Komu zależy na dobrych przyzwyczajeniach, niechaj swoje »ja« tak urządzi, aby rozporządzało dobrze wyuczonym i zaufania godnym personelem przyzwyczajeni. Niechaj umysł nie zamęcza się drobiazgami, bo inaczej wszystkie czynności ulegną opóźnieniu i ucierpi całe życie, jeśli kapitan nie stanie na pomoście. Gdy np. porządek stanie się takim przyzwyczajeniem, że jak we śnie kładzie się wszystko na swoim miejscu, zyskuje głowa bardzo wiele na czasie. Przyzwyczajaiwszy się porządnie i ładnie jeść, nie potrzebujemy przy obcych ludziach trudzić uwagi ustawiczną troską o każdy ruch, lecz możemy poświęcić ją na rozmowę i słuchanie. Mając zwyczaj wykonywania wszystkiego we właściwym czasie zwalniamy umysł od obowiązku kontroli, czyśmy nie zapomnieli o jakim drobiazgu.

Przyzwyczajenie można nabyć, a polega to na tem, że każda czynność przez powtarzanie staje się niejako samo-

dzielną, nie czekając na prowadzenie przez umysł. Jak na znak dzwonka konie straży pożarnej same biegną do wozów, tak samo podają małe biura nerwów w mózgu po częstem powtarzaniu pobudkę zewnętrzną dalej do biura ruchu, nie telefonując do rozsądku. Powstawanie przyzwyczajenia możnaby w ten sposób określić, że wiadomość jedzie sama dalej po utartej kolei. Kto sto razy kapelusz położył na właściwym miejscu, ten uczyni to samo podczas najwyższej rozmowy bez żadnego zastanowienia, gdyż na widok korytarza ta wiadomość dostanie się drogą już stokrotnie utartą do mózgu i podaży na miejsce, które wywołuje dalsze znane ruchy do powieszenia kapelusza. Tem tłumaczy się np. fakt, że jeśli nie uważamy, pobiegniemy po szkole zwykłą drogą do dawnego mieszkania, chociaż rodzice wczoraj przeprowadzili się gdzieindziej. Czynność stała się samodzielną, uwolniła się od kierownictwa rozsądku. W tym wypadku jest to rzeczą nader niemiłą, ale takie usamowolnienie często powtarzanych czynności kryje jeszcze inne niebezpieczeństwo: mogą mianowicie przez powtarzanie złe i niezdrowe czynności stać się samodzielnymi. Wówczas będzie zagrożona władza rozumu. Bo gdy podobne czynności często przecho- dzą bez kontroli rozumu, druty kontrolne wychodzą z użycia i nie potrafią powstrzymać czynu podczas jazdy na torze oślizłym od pokus. Gdy zła skłonność stanie się przyzwyczajeniem, umysł traci zupełnie nad nią władzę, lub usiłuje utrzymać ją z największym wysiłkiem, kierując ją do swego biura i biorąc w pęta dobrych myśli. Umysł musi zatem od czasu do czasu przekonać się, czy do przyzwyczajenia zaliczył istotnie dobre pierwiastki i jakie przedsięwziąć kroki celem ratowania powierzonego sobie życia z niebezpieczeństwa.

Wynika stąd, że rozum musi mieć baczne oko nawet na dobre skłonności, by zanadto nie usamowolniły się. Czyż nie można stać się niewolnikiem dobrych przyzwyczajzeń? Niewolnik oszczędności jest nieraz bardzo blizkim stania się

skąpcem. Najlepsza skłonność staje się niebezpieczną, gdy wypowie posłuszeństwo swemu najwyższemu panu; on tylko bowiem może osądzić, czego całość potrzebuje dla swego dobra.

Porządek.

Słynny pedagog Pestalozzi opowiada w swej powieści »Lienhard i Gertruda«, że pewien złodziej stojąc już pod szubienicą tak się wyraził do swego kata: »Ach, gdyby mnie mój ojciec był przyzwyczaił wieszac ubrania oczyszczone na kołku, nie stałbym na tem miejscu«. Długa, smutna historia kryje się w tych słowach. Istotnie bowiem rzeczy największe i najgorsze wyrastają z najmniejszego zaniedbania; najzwyczajniejsze przyzwyczajenie zaraża dobrem lub złem. Najbardziej może zarażająco działa na wszystkie czyny i myśli człowieka opieszałość. Kiedy podczas najgorętszej bitwy jeden koń wyłamał się z szeregu i zaczął uciekać, przykład działa na resztę zmuszając do ucieczki i naodwrot jeden żołnierz może swą śmiałością porwać za sobą cały pułk. To samo jest z opieszałością. Lekkomysłne zbycie jednej czynności, bezmyślne rzucenie sukni na ziemię, działa jak strach ujemnie na inne postęпки, hamuje je w połowie drogi, naodwrot staranność w drobiazgach wpływa pobudzająco. Abyście to lepiej zrozumieli, przypatrzmy się, jak ów złodziej, o którym powyżej była mowa, schodził coraz niżej na drodze występku. Choroba zaczęła się od porzucania sukien gdziekolwiekby, powoli przeszła od spraw zewnętrznych do wewnętrznych, duchowych. Gdy go pytano o wycieczki lub inne wydarzenia, opowiadał bezładnie, nie jak się rzeczywiście działo i to nie dla interesu, lecz poprostu z lenistwa umysłowego. Gdy go pytano, czy widział, ilu chłopców przechodziło przez płot i którzy, bez namysłu wymieniał takich, których tam wcale nie było, innych wypuszczał. Na umówioną godzinę przychodził za późno, przyrzeczeń nie dotrzymywał, znowu jedynie dla wygody własnej. Mając załatwić rodzicom sprawy zapominał wydawać resztę, albo nie robił sobie skru-

pułów z przywłaszczenia kilku groszy. Ojciec zwraca mu uwagę, że to sprzeniewierzenie; na moment zląkł się, po chwili zapomniał o wszystkim. W głowie nie spoczywało nic na swem miejscu, nie miało osobnej komórki. Sprzeniewierzenie, kłamstwo, niedotrzymywanie słowa, wszystko łączyło się razem z rzeczami niewinnymi, dozwolonemi tak, jak w jego pokoju leżały bezładnie w jednej szufladzie buty razem z chustkami do nosa. Dopóki był w domu, jakoś jeszcze było dobrze. Matka układała rzeczy, oczyszczała z plam, ojciec jako jedynakowi wybaczał niejedno. Rzeczywistość na świecie okazała się niestety inną. Ta nie zmywa plam, nie przebacza nic, ma wyraźne rubryki z czarnymi literami dla każdej czynności człowieka i osobny oddział z napisem »Kasa«, gdzie surowo i sprawiedliwie wypłaca się każdemu należytość w miarę zasług. W domu mówiono nieraz: »Nie myśli znowu tak źle«, albo »już tego więcej nie uczyni«. Rzeczywistość życiowa stawia inne pytanie: »Jaką szkodę wyrządzi podobny postępek społeczeństwu, jakie niebezpieczeństwa skutkiem niego mu zagrażają?« — i według tej miary płaci się, pozbawia czci, wsadza do więzienia, aresztu. Gdyby się skarżył, odpowiedzą mu: »Czy myślisz, że za lat młodocianych byłeś miał chleb, mleko, odzież, gdyby wszyscy tak postępowali jak ty?« Gdyby tak np. piekarz na czas nie wypiekł mąki, mleczarz zaspiał swą godzinę dostawy, a krawiec zapomniał o przymierzeniu sukni? Czy chociaż jeden człowiek posługiwałby się koleją żelazną, gdyby podobni tobie mieli być zwrotniczymi? Wyobraź sobie, że tylko na kwadrans zniesiono na świecie ład, porządek, uczciwość, czyż to nie wystarczyłoby do zniweczenia wszystkiego? Niebo zapłonęłoby purpurą pogorzeli, szyny byłyby pełne trupów, morze pokryłoby się szczątkami i ciałami, wszystkie stosunki między ludźmi zatrutyby się i wkońcu ustały. A ty żądasz jeszcze, aby twoje postęпки uszły ci bezkarnie? — Przyznajcie sami, że niedobrzeby było na świecie, gdyby złe nie miało mieć żadnych skutków,

gdyby bezkarnie można było kłamać, kraść, zabijać i oszukiwać, oczerniać i nic nie robić. Wyobraźmy sobie matkę, która za synem niesie do szkoły książki, gdy ich zapomniał, lub bierze winę na siebie, gdy z lenistwa czegoś nie zrobił. Czy syn podziękuje jej, gdy wyjdzie w świat, czy raczej nie będzie wyrzekał, że matka nie dała mu poznać następstw jego uczynków i uniemożliwiła powrót na prawą drogę? Również trzeba się zapytać, czy możemy istotnie życzyć sobie, aby kilkoletnie leniuchowanie nie wydało smutnych owoców? Gdyby przyroda była tak nieporadna, że zapomniałaby karać nasze słabości, występki, zdziczelibyśmy z kretesem. Że jednak w ludzkich czynnościach i losach jedno z drugiego nieubłaganie wynika, następuje jak dzień po nocy, mamy stąd tę szczególną korzyść, iż dobre przyzwyczajenia wydają również błogie owoce. Błogosławieństwem waszem jest nieubłagalność i surowość praw przyrody; inaczej nie zdołałby człowiek uczynić nic dla przyszłości, niczego spodziewać się, na nic liczyć, lecz prowadziłby żywot nędzniejszy od mrówek, które przecież troszczą się o zapasy na zimę. Bądźmy zatem wdzięczni surowości Boga, bo z jego odwiecznych praw urasta dla nas tylko dobro.

A teraz wyliczcie mi kilka takich przyzwyczajzeń, z których można kiedyś zebrać ład i porządek. I tu chodzi przede wszystkim o drobiazgi. Znałem chłopczyka, którego co pewien czas ogarniała istna gorączka porządku. Trudził się cały dzień, by umieścić wszystko na swoim miejscu, a na jutro był pokój znowu podobny do stajni. Zapomniał bowiem, że trzeba rozpocząć od rzeczy najdrobniejszych. Jeśli pozostanie najmniejsze przyzwyczajenie do nieporządku, nie na wiele zda się porządkowanie z grubsza. Kto pragnie ładu, niechaj nauczy się składania wszelkich drobiazgów na właściwym miejscu. Bardzo dobrym początkiem będzie piękne układanie zeszytów, przyborów szkolnych na stoliku po ukończeniu pracy. Z tem przyzwyczajeniem chodzi w parze porządne ułożenie ubrania przed spaniem wieczór na krześle

obok łóżka, obydwaj zaś razem wydadzą trzecie, objawiające się w chęci pisania kaligraficznie; stąd wypłyne wreszcie czwarta potrzeba ładu w sprawach pieniężnych, zapisywania dochodów i rozchodu. Połączona praca tych czterech przyzwyczajęń wydrąży głęboki tunel w naszym wnętrzu; w głowie zostanie wszystko przejrzyście uporządkowane i będziemy od razu widzieli skutki każdej czynności. Systematyczna buchalteria głowy dopomoże także do dokładnego spostrzegania i opowiadania o tem, cośmy widzieli, przeżyli, z unikaniem przesady lub niesprawiedliwości.

Od drobiazgów do rzeczy wielkich prowadzi więc droga dobrego. Zaczynając od bohaterstwa stajemy się podobnymi do budowniczego, który zamek chce budować na moczarze. Ślimak buduje sobie domek z własnej śliny. Coś podobnego widzimy u ludzi. Nie dom, ale swój los, całą przeszłość budują oni z wolna z własnych przyzwyczajęń. Nieraz gdy dom jest już gotowy, woła człowiek nieopatrzny, łamiąc ręce: »Boże mój, w tym domu mam mieszkać? Jakże mogłem zbudować podobnie niesmaczne gniazdo?«

K ł a m s t w o.

Rzecz słuszna i naturalna, że rodzice i wychowawcy biorą kłamstwo seryo, gdyż może stać się początkiem złych skłonności i charłactwa duchowego. Jednak nie trzeba znowu kłamstwa w dzieciństwie pojmować zbyt tragicznie i wysnuwać stąd bez zastrzeżeń wniosków o złym charakterze. Pamiętajmy, że nakaz prawdomowności nie przemawia bezpośrednio do rozumu dziecka i nie spiera się na żadnym silnym instynkcie jego duchowego życia. Dzieci kłamiące nie wie, że wyrządza szkodę, owszem jest przekonaniem nieraz, że zatajeniem unika się nieprzyjemności. Uprzytomniwszy sobie jeszcze, jak rozległą jest u dorosłych szczególnie wobec dzieci dziedziną »dozwolonych« kłamstw z konieczności i konwencyonalnych, musimy dojść do konieczności niepotępienia z zasady nieprawdomowności u niedorosłych. Aby

względem kłamstwa użyć należytego postępowania, trzeba przede wszystkim poznać różnorodność motywów prowadzących do kłamstwa. Amerykański psycholog Stanley Hall dzieli według pochodzenia kłamstwa na fantastyczne (podłożem bujna wyobraźnia), bohaterskie (dla ulżenia innym), egoistyczne (by ratować samego siebie) i patologiczne. Dodajmy do nich kłamstwa nerwowe, pochodzące z nerwowej trwogi, których nie popełniono, gdyby zamiast szorstkiego, inkwizycyjnego badania zostawiono dziecku czas do namysłu. Przy omawianiu z dziećmi sprawy prawdomowności trzeba podać przede wszystkim pobudki i pokusy kłamstwa, bo to pomoże im do zorientowania się w przyczynach i skutkach ich własnego życia wewnętrznego i ułatwi samowychowanie. Należy nadto zapamiętać następujące punkta:

1) Istnieją nader rzadkie i odosobnione wypadki, gdzie kłamstwo jest z konieczności wskazanem, jeśli np. umysł bliźniego przemijająco lub trwale nie jest w stanie wysłuchać prawdy (w niektórych okresach ciężkich chorób, w obłąkaniu). Kant przytacza też wypadek, w którym morderca pyta o kierunek, w jakim uciekła jego ofiara. Przed 14—15 rokiem życia nie trzeba jednakowoż dzieci zapoznawać z takimi wyjątkowymi wypadkami, przechodzącymi granice ich własnego doświadczenia życiowego. Najbliższą i najważniejszą rzeczą będzie całą uwagę dziatwy skierować na niezmierną doniosłość, jaką posiada bezwzględna prawdomówność dla pogłębienia wzajemnego zaufania między ludźmi i pouczenie jej, by opierała się wszelkim pokusom do kłamstwa, wychodząc z tego prostego stanowiska. Dopiero kiedy dzieci głębiej pojmą, dlaczego ludzkość rzuciła kłatwę na kłamstwo, można pomówić o wyjątkach, nieszkodliwych w ręce tego, który wysoko ceni ważność mówienia prawdy. Z młodzieżą w starszym wieku konieczne o takich wyjątkowych wypadkach pomówić wypadnie, gdyż trudno ukryć przed nią różne konflikty życiowe, mogące wnieść ferment rozkładowy do ścisłej prawdomowności.

2) Trzeba w sposób piękny i przystępny uzmysłowić tę prawdę psychologiczną, że pierwiastek miłości i poważania wytwarzający się z pozycia między ludźmi, opartego na szczerości i prawdomowności musi na nich oddziaływać dodatnio.

Poniżej podajemy wzory omówień.

Nic się nie ukryje pod słońcem.

Czyż istotnie jest prawdą, że światła nie ukryjesz pod korcem, że zbrodnie i występki niemal zawsze muszą wyjść na jaw? Czyż niema kłamstw dzieci wobec rodziców, nauczycieli, które się nigdy nie wydadzą? Przecież rodzice i nauczyciele nie są wszystkowiedzącymi, by nie mogło nic ujść ich oka. Praktyka życiowa mówi jednak inaczej. Wiele rzeczy nie wykryje się, niejedno kłamstwo, oszustwo pozostanie bezkarnem, a przecież kiedyś wyjdzie na światło dzienne. Kiedy uczeń skłamie i kłamstwo powiedzie się, powie sobie zapewne: tym razem udało się, nie było złych skutków, nikt nie spostrzegł się. Czyż tak w istocie? Prawda, kara nie spotkała go, ale czy może pod kłamstwem napisać prosto »nie było?« Niestety, »było«; kłamstwo nie da się wykreślić. Po wyrazie ócz, twarzy, całej istoty wychodzi na jaw, po kłamstwie stajemy się innym człowiekiem. Słyszeliście, że próbowano z pisma odczytać charakter człowieka. Metoda polega na tem, że ludzie zdradzają swą istotę nie tylko przez słowa, ale jeszcze pewniej tysiącem drobiazgów, na które nie zwracają uwagi: sposobem pisania, chodu, jedzenia, postępowania ze słabszymi itp. Mój przyjaciel twierdził, że z rękopisu listu pozna, czy autor skłamał. Zdania kłamliwe są zwykle pisane charakterem mniej stanowczym, niż inne, bo piszący nie opierał się w danej chwili na sile prawdy. Jeśli kłamstwo może wyrazić się już w piśmie, tem wyraźniej maluje się w oczach, tem zwierciadło duszy. Co prawda, nie każdy człowiek potrafi wyczytać z uczuć drugiego, czy kłamie, czy nie. Ja sam często nie potrafię

odgadnąć, co mi się w czyjejs twarzy nie podoba, od niej odpycha, choć jestem pewien, że do tego człowieka nie mogę mieć zaufania. Jedno jedyne kłamstwo czyni oczy niepewnemi i sprawia, że takiemu człowiekowi już ślepo nie wierzymy. Nie trzeba więc być krótkowidzącym i sądzić, że kłamstwo nie wyjdzie na światło dzienne dlatego, że nie wykryło się publicznie. Przeciwnie, im bardziej skryte, tem jaśniej bije z twarzy, z powodu złego sumienia. Dopiero gdy człowiek przyzna się do winy przed innym, ulży sumieniu, wzrok staje się napowrót jasnym.

Kłamstwo wychodzi na jaw nietylko za pośrednictwem oczu. Kto raz powiedział nieprawdę i kłamstwo udało się, temu drugi raz pójdzie już łatwiej minąć się z prawdą. Będzie w opowiadaniu przesadzał, wogóle wszystko, co mówi, upiększał i mimo woli zdradzi się, że kłamie, bo zbyt prędko poznają się ludzie na drobnych niedokładnościach. Słowem, kłamstwo wychodzi na wierzch tysiącem dróg, wasze przyzwyczajenia mówią o niem, ostrzegają przyjaciół i nieprzyjaciół. Tak samo wydostają się na światło dzienne inne skłonności. Pewien uczony żył w odosobnieniu ze starym sługą, który go codziennie, jako chorego na nogi, woził w wózku do uniwersytetu na wykłady. Gdy mu zarzucano, że nie zna ludzi, odpowiedział: »Och, znam ich wybornie, gdyż patrzę na nich wtedy, gdy najbardziej odsłaniają swą wartość, mianowicie podczas wsiadania do tramwaju w ścisku. Łatwo wówczas odróżnić delikatnych od ordynarnych, przekonać się, że wykształcenie jest dla wielu jedynie pokostem zewnętrznym; gdy sądzą, że na nich nikt nie patrzy, albo spieszy się im, wychodzi nagle na wierzch cała dzikość«. Uczony miał wielką rację. Wielu mniema, że to rzecz obojętna, jak zachowują się w domu, w stosunku z najbliższymi; u obcych będą grzecznymi, delikatnymi, u siebie można przecież wypocząć po trudach. Jak gdyby człowiek umiał tak dobrze maskować się. Zbyt prędko wyda się, co jest wart wewnątrznie.

W pewnym momencie wyrwie się zdanie, słowo, z którego widać, że mamy przed sobą człowieka nieokiełzanego, albo podczas rozmowy popadnie w ton kłótniwy, którego nigdyby nie użył, gdyby w domu nie folgował sobie. To samo dotyczy jedzenia. Kto w domu opiera się ręką o stół, głośno mlaszcze, plamy robi na obrusie, ten i u obcych nie potrafi od razu jeść ładnie. Przymus a nie wewnętrzzną potrzebę pozna się u niego zaraz. Jeszcze łatwiej można zdradzić się przez nieporządek. Kto nieuważnie i nieporządnie obchodzi się ze swemi rzeczami, nie potrafi ukryć złych przyzwyczajęń, gdy wejdzie między obcych. Kładąc książkę, fotografię na stół, zapomni popatrzeć, czy stół nie mokry, powalany, wracając do domu, zapomni oczyścić obuwie, pisząc list nie da mu daty, lub zalepi nie wysuszywszy pisma bibułą. Słowem, tysiączne drobiazgi pokazują nam, co kilka minut, jakim jest człowiek. Nawet po sposobie, w jaki ktoś rozcina nową książkę, można poznać jego charakter.

Powyższe przykłady niechaj posłużą do udowodnienia, o ile fałszywem jest mniemanie, że można coś złego uczynić bez obawy zdradzenia się. Każde zaniedbanie, kłamstwo popelnione w najciemniejszej komórce, za najgrubszymi murami wyda się wobec tych, na których miłości i szacunku nam zależy. Kto zatem z was pragnie zjednać sobie wiernego przyjaciela, niechaj będzie takim naprawdę, jakim chce wydać się. Możliwem to jest jedynie przez wypielęgnowanie pięknych i szlachetnych uczuć w sercu, przyświecających przez całe życie.

Wiarogodność.

Nie mogłem w żaden sposób oduczyć się kłamania, chociaż na głowę wysypano mi wiele morałów. Kłamstwo wydało mi się tak niezbędnem w życiu, jak parasol. Na co moknąć, gdy można się zasłonić. Parasol nie jest wprawdzie pięknym przyrzędem, ale chroni ciało od wody. Kłamstwo nie będąc też niczem pięknem, chroni przecież od różnych

nieprzyjemności i oszczędza rodzicom zmartwień. Tak myślałem przez długi czas. Raz usłyszałem pochwałę prawdomowności. Pewien miły staruszek przechadzał się ze mną nad brzegiem morza w chwili, gdy nad wodą zaczęły się ukazywać gwiazdy. Przystanął i powiedział do mnie: Patrz, jak tam świeci z poza chmur jutrzienka. Kiedy ją widzę, przypomina mi się zaraz człowiek, na którego można liczyć. Można na nim polegać, jak na tej gwieździe, nie zawiedzie nigdy; świat się raczej zapadnie, nim powie nieprawdę. Choćbyśmy stracili ścieżkę w mgle fałszów i kłamstwa, gdy taki człowiek przemówi, zabłyśnie gwiazda wśród chmur i wiemy, czego trzymać się. Tak mówił starzec. Ja milczałem i wstydziłem się, że chciałem za doradcę mieć przez całe życie parasol. Postanowiłem odtąd stać się człowiekiem, na którego słowie można budować, zaś chwilowe korzyści z kłamstwa zagasły w mych oczach zupełnie. Powiedziałem sobie: precz z ustępstwami, z połowicznością. Chcę być człowiekiem, którego najmniejsze słówko więcej znaczy, niż uroczysta przysięga. Nie powiesz odtąd nigdy nieprawdy, chociażbyś wiedział, że małym kłamstwem pomożesz drugiemu lub sobie do wybrnięcia z wielkiego kłopotu, gdyż inaczej ludzie nie nabraliby do ciebie zupełnego zaufania.

Oto zawód rzadki, szczytny być człowiekiem prawdomownym; jakież to oparcie i ostoją dla niezliczonych, że są ludzie na świecie, którzy nie kłamią. Kto temu powołaniu chce się poświęcić, niechaj zatem nie słuca podszeptów kłamstwa. Czytaliście u Homera, jak Odyseusz, przejeżdżając koło wyspy z syrenami, towarzyszący pozatykał uszy, a sam kazał przywiązać się do masztu, bo nikt nie mógł się oprzeć głosom tych zwodnic. Takim samym jest głos kłamstwa. Łudzi nas, że lepiej na tem wyjdziemy i nikomu nie zaszkodzimy, popełniwszy małą nieprawdę. Najlepiej wówczas uszy zatkać, twarz odwrócić, a oczy zwracając ku jutrzence pomyśleć o tej jasnej prawdzie, że musimy być otwartymi, jeśli chcemy zdobyć zaufanie ludzi.

Przecież kłamstwo z konieczności jest dozwolone? Pewien poeta tak na to zapytanie odpowiada: »Kto kłamie, zawsze wyszuka konieczność«. W każdym kłamstwie można przecież znaleźć usprawiedliwienie, że musiało się skłamać. Cóż począć w tak powikłanym wypadku, że ktoś jest chorym i dla oszczędzenia go nie można mu powiedzieć całej prawdy? Nie zapominajmy o jednym: co stanie się z chorym, gdy spostrzeże się, jak go oszukiwano. Słowa, że kto raz skłamie, temu się nie wierzy, choćby prawdę mówił, trzeba odnieść szczególnie do stosunku z chorymi. Przewszystkiem człowiek chory musi mieć zupełne zaufanie do tych, którzy go pielęgnują; inaczej skutkiem swej drażliwości będzie w każdym słówku, minie czytał zatajenie prawdy. Mając natomiast niewzruszoną pewność, że usłyszy jedynie prawdę, znajdzie istotną ulgę i spokój w tem, co usłyszy. Kłamstwo jest zawsze krótkowidzącą mądrością, gdyż stosunki wzajemne między ludźmi polegają na tem, że słowa są wyrazem istotnego stanu rzeczy. Gdy bliźni bliźniego wprowadzi w błąd, następuje rozbrat, najstraszniejszy, jaki może być między ludźmi.

Powiedziałem poprzednio, że kłamstwo przynosi nam pozornie małą ulgę. Krocząc tą drogą zapominamy jednak, iż to ułatwienie sprowadza cały szereg utrudnień za sobą. W odwiecznem podaniu żąda zły duch duszy tego, który mu się zaprzedał; tak samo duch kłamstwa bierze w posiadanie duszę, która raz fałsz wypowiedziała, wymaga dalszych wykrętów, by pierwsze kłamstwo pokryć. A choć tkanina będzie misterną, urwie się pewnego dnia, bo nawet mistrz kłamstwa nie zdoła przewidzieć wszystkich przypadków, które go mogą zgubić.

Mówiąc z wami o kłamstwie, nie czynię tego z jakimś z góry powziętym zamiarem, ale mówię jak przyjaciel, który siadł razem z wami, by nad tą sprawą radzić. Ze smutkiem widzę, że wielu ludzi w młodości zbyt mało zajmuje się istotą i skutkami kłamstwa, inaczej nie daliby mu tak łatwo

zakorzeń się. Uczycie się wielu ciekawych rzeczy z nauk przyrodniczych, fizyki, a pozostawiacie na boku tak interesujące zjawisko, jak kłamstwo. Właśnie dzieci mogłyby najlepiej napisać książkę o kłamstwie: jak powstaje, rozwija się, jakie szkody wyrządza, jak można z niego wyleczyć się. Spróbujcie tylko kiedy napisać o wynikach podróży odkrywczej za kłamstwem, może nawet z własnymi rysunkami, a stworzycie książkę, jakiej jeszcze nikt dotąd nie drukował. Słyszeliście zapewne, że w ostatnich latach nauka lekarska stała się ostrożniejszą i nie szafuje, jak przedtem, przy każdej sposobności pigułkami i proszkami. Przekonano się bowiem, że wiele lekarstw przynosi chwilową ulgę, ale zato działa niszcząco i paralizująco na serce, nerwy i żołądek. Z natury rzeczy wymagało to odkrycie dłuższego czasu, gdyż pierwsze korzystne działanie lekarstwa wprowadzało ludzi w błąd. To samo da się na małą skalę zauważyć przy alkoholu. Pozornie pokrzepia znużonego, przyspieszając na chwilę obieg krwi, zato osłabia czynność serca i świeżość umysłu, a od nich przecież zależy wytrwałość człowieka. Podobnie oddziałują kłamstwo. Wiemy od dawna, że po chwilowej uldze, danej nam przez kłamstwo, następują najgorsze skutki, ale dotąd niema nauki o kłamstwie, któraby je odsłoniła w pełni światła i szczegółów. Dla dobra nas samych powinniśmy aż do szczegółów zbadać przez mikroskop, jak jedno słówko kłamstwa czyni nas niewolnikami, jeśli w porę nie oprzemy się mu, jak kłamstwo pożera i zatrauwa wszystkie inne dobre przymioty w człowieku, odporność na złe zmniejsza, jak nieprawdomówność podkopuje całe stanowisko człowieka w społeczeństwie. Należałoby też założyć zbiór kłamstw, na wzór zbioru owadów i motyli, aż się z każdego gatunku będzie miało jeden dobry okaz: kłamstwa z próżności, z tchórzostwa, pożądlivosti i ze źle zrozumianej przyjaźni. Nie zapomnijcie jednak podać w zbiorcu, u jakiego rodzaju ludzi różne odmiany kłamstwa najczęściej spotyka się, tak, jak opisując motyla mówicie, że siada naj-

chętniej na lwim pyszczku. Popełniwszy jakieś bardzo smutne kłamstwo, nie zapominajcie o niem, lecz wypchajcie je ku wiecznej rzeczy pamiętce, podając dokładnie wszystkie złe skutki z niego płynące podobnie, jak kiedy zastrzeliwszy jastrzębia, każecie go wypchać. Kto zaś założy podobne muzeum kłamstwa, choćby tylko w głowie, nie będzie nadal zbyt krótkowidzącym.

Na zakończenie muszę was jeszcze zapytać, jakież istnieją środki do walki z kłamstwem? Sama świadomość i dobre chęci nie na wiele się przydadzą. Dobry wódz tylko wówczas obroni twierdzę, gdy będzie znał wybornie swe zasoby i będzie umiał zabezpieczyć punkta najbardziej zagrożone. Dobrym środkiem jest niezwykła czujność na najmniejszą przesadę i przyzwyczajenie się do mówienia zawsze prawdy. Opowiadając, uważajmy na każdą niedokładność i mówmy raczej powoli, byle nie minąć się z prawdą. Szczególnie wskazaną ostrożność, gdy rozchodzi się o własne przygody i bohaterstwa, potrójną zaś powinna być przy powtarzaniu słów, wyrażen cudzych. Przy tramwajach są oprócz konduktorów kontrolorzy, aby nikt nie wsiadał bez biletu. Tak samo istnieje dalszy środek, by siebie samego kontrolować w przyzwyczajeniu do dokładności: zaprowadźmy mały pamiętnik, naturalnie dobrze zamykany. Tam wpisujemy co wieczór kłamstwa, przesady, na których w dzień przyłapał się. Jaka radość, gdy z czasem będzie ich coraz mniej do zapisywania. Jako ostatni środek można poradzić częste odwiedziny wyżej wymienionego muzeum kłamstwa.

Poznanie samego siebie.

Żądanie poznania samego siebie zajmuje ważne miejsce nie tylko w etyce religijnej, ale wysuwa się na czoło etycznych zapatrywań wszystkich wielkich filozofów. Na tem miejscu pomijamy motywy religijne i filozoficzne, a zajmujemy się jedynie znaczeniem samopoznania dla życia praktycznego. Dzieci mają pewien zdrowy wstręt do zbytniego za-

stanawiania się nad samym sobą; nie można jednakowoż darować im zupełnie tej strony wewnętrznej kultury, tak samo jak w wychowaniu religijnem kładzie się przy modlitwie nacisk na skupienie ducha i zebranie myśli. Trzeba sobie zadać trudu, aby dzieciom ukazać powagę i wesołość nie jako dwa światy nie dające się ze sobą pogodzić, lecz udowodnić, że niema głębszej stałej wesołości dla tego, kto ani razu nie potrafi być poważnym w sercu. Tylko przez zastanowienie się nad myślami i postanowieniami i przez znajomość drogi, dzielącej czyn od zamiaru dorastamy do wymagań życia, unikamy popadnięcia w błąd. U progu wejścia w życie należy do najniezbędniejszych puklerzy przeświadczenie, że tylko przez poznanie samego siebie zdobywamy panowanie nad losem, że znajomość życia polega nietylko na należytem sądzeniu świata zewnętrznego, ale i własnych sił, że czyny bez samopoznania nie znajdują nigdy właściwego toru dla własnej energii, lecz napotkają zapory i złudzenia.

Wartość poznania samego siebie.

Która część świata jest najciemniejszą, najmniej znaną? Czy Afryka? Nie, rzut oka na mapę poucza, że w Afryce niemal każdy zakątek został dokładnie zbadanym przez śmiałych podróżników. Najciemniejszą częścią ziemi jest ludzkie serce. Łatwiej iść w górę Nilu aż do źródeł, niżli ludzki czyn zbadać aż do najtajniejszych źródeł serca. Dlaczego, możnaby mniemać, że jest odwrotnie. Cóż za przeszkody mogą utrudniać zbadanie własnego wnętrza? Jeśli was ktoś schwyta na nieprawdzie i zapyta o powód, czy zawsze będziecie umieli podać właściwe źródło? Powiedzcież, dlaczego nie? Bo nie znacie dobrze waszej ciemnej części świata. Boicie się tego, co byście mogli u samych siebie odkryć, nie chcielibyście znaleźć brzydkich przymiotów, więc podróż nie udaje się. Nawet najśmielszy odkrywca, nie znający trwogi przed lwami i ludożercami, ma strach przed wdarciem się

do źródeł własnych czynów. Wierzy chętnie, że czyni wszystko z miłości ku ludzkości, ale przyjrzawszy się samemu sobie, mógłby przypadkowo odkryć, że wysiłki w górach pochodziły z żądzy sławy, inne czyny miały źródło w chęci szukania przygód, zaś prawdziwa miłość prawdy była nikłym strumyczkiem, który po drodze rozpułynał się i zniknął w rzekach. Jednakowoż czyż nie jest rzeczą obojętną, z jakich pobudek płynie jego działalność; wystarczy, że dokonał czegoś wielkiego i pożytecznego. Jak myślicie? Przecież na jedno wyjdzie, czy lokomotywę porusza para czy elektryczność, byle szła naprzód. Prawda, przypuśćmy jednak, że istnieje inna siła popędowa, nad którą nie mamy jeszcze władzy, a która po drodze powoduje wybuch i niszczy cały pociąg. Czy będzie wówczas rzeczą obojętną, jaką siłę się wybierze? Zupełnie tak samo dzieje się, gdy ktoś powoduje się żądzą sławy i przygód. Za dowód, do jakiego steku kłamstw może doprowadzić żądza sławy, niechaj posłuży podróż Cooka i Peary'ego do bieguna. Na krótką metę zdziała może rzeczy wielkie, ale ani chwili nie można być pewnym, czy nie zniszczy siebie i tych, którzy mu zaufali. Żądza sławy i przygód rośnie w miarę przybywania pożywienia, bierze górę nad sumieniem, miłością prawdy i gubi nią owładniętego. Tem więcej zatem należy koniecznie poznać samego siebie, aby w porę odkryć chwasty w sercu, rosnące na naszą zgubę. W lesie udają się grzyby jadowite najlepiej w cieniu. Grzybki trujące ludzkie serca rozrastają się bujnie tam, gdzie nigdy nie świeci światło samopoznania. Rodzice poznają wasze złe skłonności najczęściej dopiero wówczas, kiedy tak rozrosną się, że nie można ich już wyplenić, wy sami możecie wyrwać je z serca, zaledwie puszczą pędy.

Największą przeszkodą w poznaniu samego siebie jest chęć łudzenia siebie i łatwowierność. Każdy człowiek pragnie siebie szanować, dlatego wzdryga się przed nazwaniem po imieniu własnych wad i śmieszności. »Ach, czyni wszystko z próżności«, powiadamy chętnie o innych, ale

sami tak postępując, wmawiamy w siebie, że powodowały nami motywą szlachetną. Nieraz, gdy o czemś zapomnimy, lub jesteśmy niegrzeczni, usprawiedliwiamy się sami przed sobą słowy: »Nie miałem czasu«. Gdy młodszej siostrze zjemy ciasteczko z chciwości, mówimy: »Chciałem przeszkodzić, by sobie nie zepsuła żołądka«. Przysłowie powiada, że pycha jest początkiem upadku; z jeszcze większą pewnością można wyrazić się, że okłamywanie samego siebie zwiastuje upadek. Jeśli bowiem cały naród lub jednostki są ślepyi na własne błędy, muszą zginąć, jak idzie na dno okręt, którego kapitan nie potrafi dokładnie obliczyć, kiedy i gdzie statek zboczył z właściwej drogi. Okłamując pasażerów, nie szkodzi przynajmniej okrętowi, ale jest zgubionym, gdy w kajucie w siebie samego wmawia, iż jedzie po należytej linii. Oceanu, wiatru, skał nie oszuka, te kierują się tylko prawdą.

Grecka świątynia.

Prawdopodobnie wszystkim znaną jest świątynia Apollina w Delfach, gdzie wróżka przepowiadała przyszłość, siedząc na trójnogu ponad oparami. Świątynia miała napis: »Poznaj samego siebie«. Temi słowami wołało bóstwo do każdego, chcącego dowiedzieć się o swych przyszłych losach. Moznaby zapytać, czy niema innych słów, o wiele ważniejszych jak n. p. »Miłuj bliźniego«, »Panuj nad sobą«, które może byłyby o wiele stosowniejsze, jako napis na świątyni w Delfach? Dlaczegoż wybrano poznanie samego siebie jako coś najważniejszego, najkonieczniejszego? Dlatego zapewne, że nie można ani bliźniego miłować, ani panować nad sobą, nie znając siebie. Kto nie wie, że jest gwałtownym, chciwym, gadatliwym, nie wpadnie na myśl, aby mieć się na baczności, nałożyć sobie cugle. Myśli, że jest wzorem człowieka, nie potrzebującym żadnych poprawek. Ludzi nie znających własnego wnętrza nazywamy zarozumiałymi. Są oni podobni do stojących zegarów; uważając się za doskonałych, nie widząc własnych błędów, nie postępują, nie ruszają się

z miejsca. Czyście słyszeli o człowieku dorosłym, mającym głos dziecka? Jest w nim coś tak komicznego, że trudno doń przyzwyczaić się. Równie śmieszną jest rzeczą, gdy czyjeś ciało rośnie, dojrzewa, a wewnątrz pozostaje dziecięce, próżne, źle wychowane. Pomyślcie tylko, dzieciuch z brodą, może nawet z tytułem »pana doktora«. A wszystko pochodzi tylko z braku znajomości siebie. Kto siebie zna, potrafi się opanować tak, jak maszynista zdoła poprawić lokomotywę, gdy pozna dokładnie jej części składowe.

Bez poznania samego siebie nie da się również pomyśleć miłość bliźniego. Przypuśćmy, żeście się posprzecjali z siostrą lub bratem. Powodu sporu należy szukać w waszym szorstkim tonie, w zarozumiałości. Nie wiedząc o tem sami, szukacie winy u innych. Nieraz znowu zranicie kogoś swem postępowaniem tak dotkliwie, że nie zdoła panować nad sobą. Lubicie go zresztą i chcielibyście, by panował inny ton w pożyciu z nim, ale wszystko napróżno. Stąd znamy tylu ludzi zgorzkniałych, żyjących w osamotnieniu, gdyż przekonali się, że nikt ich nie lubi, każdy schodzi im z drogi, odmawia współczucia i pomocy. Gdyby dość wczesnie byli wybrali się w podróż celem zbadania swego wnętrza, znaleźliby różne brzydkie, odpychające przymioty, które sprowadziły odosobnienie. Dlatego głębsza myśl kryła się w słowach wrytych na świątyni delfickiej: »Poznaj samego siebie«. Człowiek, który siebie przejrzał, ma istotnie przyszłość w swych rękach, bo w porę pozna własne błędy i omyłki. Zaślepiiony szuka natomiast przyczyn nieszczęsnego losu w wadach innych.

Wyobraźcie sobie, że komuś interesa w sklepie źle idą. Postąpi najrozsądniej, jeśli zapyta: Jaki błąd popełniłem? Czy byłem nieporządnym w prowadzeniu, nie dość pracowitym, mniej uprzejmym względem klientów, czy też może do tej gałęzi pracy nie mam za mało zdolności? Gdy na te pytania uczciwie odpowie, może jeszcze w porę polepszy swój byt. Jeśli zaś złoży wszystko na ciężkie czasy,

nigdy do niczego nie dojdzie, bo kto nie ma znajomości samego siebie, dla tego istnieją zawsze złe czasy.

O d k r y c i a.

Wskaźnikiem przy zestawianiu przykładów była myśl, aby rodzicom i wychowawcom dać zarys postępowania, mającego na celu wyzyskanie naturalnych interesów i skłonności dziecka do jego rozwoju moralnego. Poniższe przykłady próbują zużytkować do wychowania w miłości i oględności wybitną dążność i zamiłowanie dzieci w badaniu i odkrywaniu. Jak dotąd korzysta się zwykle z tego usposobienia w naukach przyrodniczych, mniej w poznaniu życia ludzkiego, w zrozumieniu duchowego, wewnętrznego życia. Tymczasem więcej serc na świecie łamie bezmyślność i bielmo na oku, niż świadoma złośliwość. Całe nasze wychowanie, szerokie zresztą pod względem moralnym, bada rzeczy obce, odległe, a pomija najbliższej leżące. Dlatego będzie najważniejszym zadaniem wychowania wyćwiczyć dar spostrzegawczy dziecka tak, aby umiało sobie zdawać sprawę z konkretnych ludzi najbliższego otoczenia, a nie tylko umieć patrzeć na zwierzęta i rośliny, a ludzi poznawać z powieści.

»Odkrycie człowieka« zatytułował Jakób Burckhardt jeden z rozdziałów swej »Kultury odrodzenia«; powyższe wyrażenie można również doskonale zastosować do zadania, jakie musi spełnić etyczna nauka życia obok religii. Najczystsza nauka miłości nie stanie się dźwignią życiową, jeśli nie znamy człowieka, którego pragniemy miłować, w samej zaś miłości można i trzeba stopniowo wyćwiczyć się, nauczwszy się wewnętrznego zajmowania współbliznim, stawiania w jego położenie, odgadywania jego losów. To wszystko stanowi treść odkrywania ludzi.

Do należytego ocenienia i zbadania ludzkich stosunków przygotowuje się dzieci najlepiej przez nakłanianie do dokładnej, starannej obserwacji rzeczy najbliższych. Trudno uwierzyć, jak doniosłe znaczenie dla całego sposobu zapa-

trywania się dziecka na życie ma poznanie życia muchy, pająka, mebli w pokoju. Jako pierwszy stopień nauki moralności można polecić jedynie naukę o rzeczach z najbliższego otoczenia. Zróbmy najpierw wycieczkę do kuchni, niechaj dzieci w szkole zamiast zadania o królu zwierząt napiszą coś o kucharce, pokojówce: skąd przyszła, co robią jej rodzice, czy ma rodzeństwo itp. Zróbmy próbę, a przekonamy się, jakie zainteresowanie obudzi taka podróż odkrywcza.

Poniżej szereg przykładów zatytułowanych »Za kulisami« dla obudzenia ciekawości, zainteresowania faktami, które mogą dzieci wyrwać z bezmyślności, wzniecić ogień współczucia.

Z a k u l i s a m i .

Kiedy siedzicie w teatrze, cyrku i widzicie dziewczątka w waszym wieku, które pięknie poubierane tańczą w powodziach światła barwnego, z pewnością chcielibyście się z nimi pomieniać na ich życie pozornie tak wspaniałe. Gdybyście jednak tancerkom przyjrzeni się bliżej, dostrzeżlibyście, iż są znużone, mają twarz wystraszoną, a odwiedzwszy je w domu, zauważylibyście, iż są bardzo biedne, muszą zarabiać na chleb dla utrzymania rodziny, i że w domu i na scenie obchodzą się z nimi bardzo źle. Widzicie zatem, że życie przed kulisami, na scenie zupełnie inaczej wygląda, niż za kulisami.

Są ludzie, których obchodzi tylko to, co się dzieje przed kulisami, a nie troszczą o to, co się dzieje za kulisami. Patrzą tylko na zewnętrzny pozór, na powierzchnię, reszta ich nie obchodzi. Młode koty nie widzą przez 9 dni, wielu ludzi pozostaje ślepymi przez całe życie, lub są krótkowidzami, patrzącymi na bardzo małą odległość. Tymczasem życie za kulisami jest o wiele ważniejsze, niż przed, bo tu tylko złudzenie, a tam prawdziwe życie. Kto zatem trzyma się zewnętrznych pozorów, nie idzie wgłąb, niechaj

nie dziwi się, gdy budowa jego życia runie, bo budował na podstawie fałszywego rysunku i obliczenia.

Pod ziemią.

Kładę na stole kawał węgla. Na pozór nieżywy, brzydki, powalany, a jakże żywymi, interesującymi są jego dzieje. Dzisiaj opowiem wam o nich. Istnieją bardzo piękne podania, opowiadające o miastach zatopionych na dnie wielkich jezior, mórz. Ale prawdą jest to, że na dnie mórz, w łonie ziemi spoczywa zapadły świat, olbrzymia kraina roślin z rzadkimi zwierzętami z odległej przeszłości, wytworzona przed tysiącem lat przez potop, trzęsienia ziemi i inne siły. Krainę tę dają nam poznać kawałki bursztynu, będące skamieniałą żywicą potężnych drzew szpilkowych, najlepiej zbadać ją jednak przez kopalnie; całe dzieje stworzenia można odczytać z odcisków roślin i zwierząt na kamieniach. Ten zapadły świat stał się nadto dla ludzkości wielkim zbiornikiem światła i ciepła, gdyż skamieniałe lasy z czasów przedhistorycznych wydobywamy na powierzchnię w postaci węgla, opalamy nim piece, fabryki i zyskujemy z niego gaz świetlny.

Węgiel ma więc podwójną przeszłość: jedna żegna go ze światem, powoduje zapadnięcie w ciemności i skostnienie, druga oznacza powrót do światła i do nowego życia. Ciepło słoneczne, które przed tysiącami lat zsyłało nań swe promienie, zapala go ponownie. Pomówmy o tej drugiej przeszłości węgla, o górniku, który go wydobywa na ziemię z szybu. Praca takiego robotnika jest bardzo ciężka. Kiedy przechadzamy się w zimie wieczorem po wielkim mieście i widzimy niezmierzone morze światła, lokomotywy, fabryki, musimy przyznać, uprzytomniwszy sobie, że cały ten olbrzymi ruch polega na węglu kamiennym, iż powinno się bardzo cenić pracę ludzi, którzy tak cenny materiał wydobywają z ziemi z narażeniem życia. Przypatrzmy się tylko warunkom pracy górników w kopalniach węgla. W wązkich, po-

nurych szczytach leżą całymi godzinami na ziemi, dla wielkiego gorąca na wpół nadzy, kilofem odrywając potężne głazy. Dodajmy do tego jeszcze brak dobrego powietrza i zabójcze gazy. Czytałem opis pewnego uczonego, który zjechał na dół do angielskich kopalni węgla i bawił tam przez 4 godziny. Wrażenie swe za powrotem streszcza w następujący sposób: »Winda wyciągnęła mnie ze szybkością strzały na powierzchnię ziemi. Jaką radość sprawiła mi wspaniałość przyrody, gdy ócz nie raziły już promienie słoneczne. Zapomniałem, że byłem czarny, brudny i z wewnętrznym zadowoleniem kroczyłem wśród łąk i pól. Powiew wiatru muskał twarz miękko, dzwonienie skowronka działało podniośle na duszę, zapach siana upajał. Widok kosiarzy na świeżej łące, pływających się w potokach światła, wdrażał się w zmysły w sposób niezapomniany«. Tak pisał ów uczoney już po 4 godzinach pobytu w kopalni; zdawało mu się, że uciekł z piekła.

Patrząc na węgiel pamiętajcie zawsze, że człowiek nie dokazał jeszcze najwyższej sztuki przez wydobywanie z ciemnego łona ziemi prastarych lasów dla uzyskania światła i ciepła. Jak długo w zamian musi posyłać żywych ludzi w ciemności podziemne, tak długo nie może mówić duch ludzki o swych tryumfach. Nie zapominajcie, że na dnie wszystkiego, co wspaniałe i błyszczące obok geniusza artysty i ducha wynalazcy spoczywa pełna zaparcia się praca zwykłego robotnika.

Powyższy przykład ma przede wszystkim przypominać, że książki technologiczne, zaznajamiające młodzież z pochodzeniem różnych przedmiotów użytkowych wymagają uzupełnienia ze strony ludzkiej, gdyż i tak dość groźnym jest niebezpieczeństwo, iż człowiek zapomni o swej duszy, zachwycając się postępami techniki. Opowiedzmy np. dzieciom nietylko o sposobach budowy domów, szycia ubrań, bielizny

itp., ale skierujmy zarazem ich uwagę ku losom ludzi, którzy podobnej pracy oddają się. Naturalnie trzeba opowiadać nie celem wywołania nienawiści klasowej, lecz dla wczesnego przyzwyczajenia dzieci, aby nie dały łudzić się stro- nie zewnętrznej życia. Przejrzenie rzeczy do gruntu ma pod- stawowe znaczenie dla całej przyszłości.

Służąca.

Pewien chłopiec, który bardzo niegrzecznie obchodził się ze sługą, miał piękną książkę z obrazkami o życiu zwier- ząt. Szczególnie chętnie czytał z niej o bażancie: gdzie jest jego ojczyzna, jakiego klimatu nie znosi, jak należy z nim postępować w niewoli, czym się żywi, z czego buduje gnia- zdo. I gdyby zamiast pokojówki bażant nakrywał do stołu, słał łóżka, byłby się z nim doskonale obchodził, bo wiedział wybornie, co bażant znosi, a czego nie. Sam chodził ów chłopiec dumnie jak paw, gdyż wiedział z zoologii o wiele więcej, niż koledzy i uważał się naturalnie za niezwykle wykształconego. Gdybyście jednakowoż mieli wybór między chłopcem, który po za szkołą nie czyta książek, ale dosko- nale rozumie, co się dzieje w duszy dziewczyny, która w ob- cym domu musi zarabiać na chleb całodzienną pracą, a chłop- cem połykającym codziennie nową książkę, ale nie zastana- wiającym się nigdy nad dolą służącej, któregoż właściwie nazwalibyście wykształconym? Niezawodnie pierwszego. Tylko bowiem prawdziwe wykształcenie uszlachetnia nasze szorst- kie obejście, pomaga w panowaniu nad sobą i w miłości — wszystko inne jest wiedzą, nie wykształceniem. Po czemże poznajemy człowieka prawdziwie wykształconego? Każde słowo przezeń wypowiedziane, każda prośba, uwaga jest zrobiona w tonie takim, jakby znał dokładnie człowieka, z którym obcuje; dlatego nigdy go nie zadraśnię, nie upo- korzy, nie obrazi. Mówiąc z nieszczęśliwymi goi słowami, jak balsamem, nie rozrywa ran, przemawiając do służących nie okazuje tonem, że są od niego zależni, przebywając

z ludźmi innej wiary wystrzega się zaczepienia ich świętości. Aby stać się takim człowiekiem, trzeba oczywiście wcześniej ćwiczyć się w rozumieniu radości i bóleści bliźnich. Obok życia zwierząt powinien każdy mieć pod ręką książkę o człowieku, zapoznającą go z ludźmi, a główny rozdział powinien nazywać się: »Służąca«. Dotąd takiej książki jeszcze nikt nie napisał, ale może to i lepiej, bo każdy musi sam wybrać się w tę podróż odkrywczą. I my dzisiaj wybierzemy się w taką podróż. Zwykle bowiem idą dzieci do kuchni z ciekawości, by zaglądnąć do garnków, nie słyszą i nie widzą nic więcej. Gdyby jednak lepiej przypatrywały się, zauważyłyby przedewszystkiem, w jak gorącym i złym powietrzu muszą służące godzinami pracować. Zaledwie talerze i filiżanki pomyją, na nowo wszystko walamy; godzin pracy nie mają ściśle oznaczonych, nieraz są zajęte do późnej nocy. Gdy które z was zachoruje, kładą je zaraz rodzice do łóżka, pielęgnują, czytają coś dla rozrywki; gdy zaś sługa jest niezdrową, musi pracować, a dopiero dla poważniejszej choroby może się położyć z uczuciem, że jest u ludzi obcych, którzy czekają niecierpliwie na jej powrót do roboty; podczas choroby odwiedza się ją rzadko, żeby zaś jej coś przeczytać, rozerwać, to chyba trzeba by samego siebie wstydzić się, boć to przecież »tylko« służącą. Niestety, odczuwa ona zbyt często i boleśnie, że jest tylko służącą. Gdy przyjdą goście i wy niemi cieszyć się, musi sługa krzątać się i trudzić podwójnie, a wy zamiast jej pracę osłodzić, jeszcze jesteście dla niej opryskliwi. W swej ojczyźnie, na wsi poradziłyby sobie z wami, tu musi wszystko połknąć. Samo przypatrywanie się nie wystarczy, by zdać sobie sprawę z zajęcia służącej. Poproście ją kiedy, by wam pozwoliła pozamiatać schody, rano oczyścić wszystkie buciki, lub pomyć naczynie po obiedzie. Wtedy zapoznacie się bliżej z jej pracą. A może wstyd was będzie, by tego kto nie widział? Powiadam wam, że największa to chluba człowieka, gdy sam dokładnie pozna pracę, którą później na drugich nakłada.

Celem należytego obchodzenia się ze służką, trzeba też coś wiedzieć o jej pochodzeniu, rodzinie. Czy jest sierotą, czy ma rodziców, którym może źle się powodzi. A może rodzice chorują, potrzebują opieki i muszą obywać się bez córki, bo ta zarabia na chleb. Usłyszawszy o jej losach z pewnością będziecie unikali nadal obelg i przezwisk. Teraz zapytajmy się, czy istnieje jeszcze inna droga, aby poznać usposobienie służki? Bardzo prosta; macie fantazję, więc wyobraźcie sobie, jakby wam było, gdybyście nagle utracili rodziców, musieli na utrzymanie pracować, służąc po obcych domach, gdzie nikt nie współczułby z wami, owszem nieraz łajał. Uprzytomnijcie sobie tęsknotę za domem ojczystym i wasze usposobienie, z jakim każde złe słowo znosiłibyscie z podwójną goryczą, a każdą uprzejmość, życzliwość z nieskończoną wdzięcznością.

Kto raz nad tem wszystkim zastanowił się, obejdzie się bez dalszych prawideł postępowania, samo serce mu je podyktuje. Powie mu, że służącemu nie wystarczy zapłata za przywiązanie, wierną służbę, posłuszeństwo. Mniejsza o dobrą zapłatę, główną rzeczą pozostanie uczczenie w słudze człowieka przez okazanie wdzięczności, grzeczne obejście. W przeszłości naszej mamy wiele przykładów, że służbodawcy uważali służbę za członków rodziny, a ci wzajem nieraz życie oddawali za swych panów. A jeśli zdarzy się, że na służbę przyjdzie do waszego domu służka zuchwała, zdziwała moralnie, wówczas pomyślcie co najwyżej: chciałbym wiedzieć, u kogo ona dotąd służyła, a może zrozumiałbym, dlaczego stała się taką.

Ukończywszy swą podróż odkrywczą i dowiedziawszy się o słudze i jej życiu przynajmniej tyle, co o bażancie, będziecie zapewne chcieli zebrane doświadczenia zastosować przez odpowiednie postępowanie. W jaki sposób? Pomyślcie sami, bądźcie pomysłowi. Jakżeż ułatwić usługowanie? Przedewszystkiem przez oszczędzenie służącej niepotrzebnej pracy. Nie wnosmy zatem błota z ulicy do pokoju, oczyszczajmy

sami nasze suknie, pomagajmy przy stole w zebraniu talerzy, otworzmy drzwi, gdy niesie wiele półmisek, pamiętajmy o porządkowaniu książek i zabawek, pospieszmy wreszcie szybko z pomocą, gdy jej przy nakrywaniu coś upadnie na ziemię. Najlepszym środkiem wogóle, by służba ochoczo wypełniała swe powinności jest korzystanie z każdej sposobności celem oddania im usługi. Okazyi nie braknie, których naturalnie ten nie dojrzy, kto nie troszczy się o poznanie duszy służącej. Pytajcie ją nieraz, czy niema czego za nią do załatwienia w mieście, pomóżcie jej dźwigać ciężary, albo gdy ma odnieść list, powiedzcie: »Ja to uczynię, już dosyć dzisiaj biegałaś«.

W dawnym Rzymie były obchody, zwane saturnaliami. Podczas nich usługiwali sami panowie własnym niewolnikom. Służba odczuwała w ten sposób przynajmniej raz w roku zaszczyt i rozkosz, że była obsługiwana, zaś panowie przypominali sobie w tym dniu, jaka zachodzi różnica między panem a niewolnikiem. Dlaczegoż tej uroczystości nie mielibyśmy święcić przez wszystkie dni roku? Gdy służąca przyniesie półmisek z jedzeniem i obnosi je, czyż nie możecie z wdzięcznością pomódz jej przy wynoszeniu, lub nakryć stół w kuchni, gdy dla was gotuje? Jakżeż godne zazdrości są dzieci, którym w porę przyjdzie podobna myśl. Rozejdzie się od nich światło nowej miłości, rozpromieniającej wszystkie pokoje i izdebkę służby.

Kto raz przypatrywał się kucharce pośród stosów zabrukanych talerzy, z pewnością pomyślał, że przecież to rzecz smutna, dzień w dzień być otoczonym brudami, podczas gdy w naszym mieszkaniu wiszą piękne obrazy. Czemże zrównoważyć brzydkie otoczenie? Przynajmniej zachowaniem czystości w obchodzeniu się z nią, nierozrzucaniem resztek kości i jarzyn, nadto występowaniem skromnem wobec niej, jakby w najpiękniejszym pokoju i w najlepszym towarzystwie. Wogóle prawdziwe wykształcenie serca objawia się

tem, że najemnikom, mającym do czynienia z brudami np. praczkom, oszczędzamy trudu przez zachowanie czystości.

Zapytajmy się jeszcze, czego takiej służącej najbardziej potrzeba, bardziej niż wolnej niedzieli, uprzejmości, dobrodziejstwa. Poszanowania. Wydaje się wam to śmiesznem; niejeden z was żyje może na stopie poufałej ze sługą, ale szacunek? Czy nie za duże wymaganie? Dlaczego za duże? Każdemu należy oddać, za czem najbardziej tęskni, czego najwięcej potrzebuje. A służba najbardziej domaga się szacunku dlatego, że sam zawód ją zbyt upokarza. Przecież dorosły sługa musi słuchać jak małe dziecko, często bywa też łajzany jak niedorostek. I inni ludzie muszą słuchać w życiu, ale mają drukowany regulamin, przepisy fabryczne, tu zaś trzeba znosić przez cały dzień osobisty kapryś jednostki. Pomyślcie tylko, jak dzieciom przychodzi ciężko być posłusznymi, lubo wiedzą, że rozkazuje się im z miłości. Wżywszy się w duszę służących przyznacie mi, że łakną poszanowania, jak podróżnik przez pustynię wody. Wielki francuski król Ludwik XIV okazywał wysokie wykształcenie tem, że pierwszy kłaniał się służbie i ustępował jej miejsca. Nie zbraknie wam zatem dobrego towarzystwa, jeśli pójdziecie za moją radą.

Cerowane spodnie.

W naszej szkole był kolega, syn biednych rodziców, który miał spodnie tak różnobarwnie połatanne, że wszystkim nieraz sprawiał ogromną radość. Zawsze, gdy myśleliśmy, że już będzie koniec i że wreszcie ujrzymy nowe spodnie, zjawiała się nagle nowa, wielka, brunatna łata, dodając otuchy mniejszym łątkom wokoło. Po powrocie z wakacji oglądaliśmy z rzetelną radością na podwórzu szkolnem połatanne spodnie kolegi i wybuchaliśmy śmiechem zauważwszy, że są jeszcze bardziej pstre. Jakże dzisiaj wstydę się tego śmiechu. Nie był może złym, ale nieskończenie głupim, bezmyślnym. Widzieliśmy tylko łaty, a nie to, o czem

one opowiadały: o całym świecie troskliwej miłości macierzyńskiej, o przeczuwanych godzinach nocy i o wielu łzach wylanych na myśl, że cała żmudna łatanina narażała syna tylko na śmiech w szkole. Jak nędzną sumą musiała matka opędzać wydatki całego gospodarstwa i z jaką trwogą szyła, by spodnie wytrzymały jeszcze przez cały rok. Ileż tysięcy więcej były one warte, niż najpiękniejsze i najmodniejsze spodnie angielskie z łańdem bez zarzutu. Słyszeliście może, że płacimy dzisiaj setki tysięcy za obrazy dawnych mistrzów, którzy nieraz nawet dobrze nie umieli rysować, ale tyle miłości, usilności wkładali w swe malowidła, że jeszcze po tylu wiekach ujmują ciepłem. Cerowane spodnie tego kolegi były również podobnym arcydziełem. Ofiarowałbym wiele dzisiaj za nie, gdyby były na sprzedaż, zawiesiłbym je na tablicy jak mapę geograficzną i pokazał cudowną pomysłowość miłości macierzyńskiej. W kawałek lichej materii wszyła tyle rozmyślań, trudów, że pierwszy krawiec paryski nie potrafiłby jej naśladować, lecz zawołałby: Tyle cierpliwości może mieć tylko matka!

Pojmujecie już może, dlaczego tak nedorzecznym był nasz śmiech z tych spodni. Kto tak umie cerować, musi być niezwykłym człowiekiem; matka owego ucznia musiała też na pewno być niezwykłą kobietą. Gdy kiedyś ujrzycie podobne, cerowane spodnie, przypomnijcie sobie dzisiejsze opowiadanie. O wiele ważniejszą jest znajomość dziejów takich naprawianych spodni, niż przeczytanie całych tomów historii powszechnej lub dziejów gór ziejących ogniem. Dlaczego? Niema nic gorszego nad wyśmiewanie się i drwienie z pełnej miłości i pilności pracy, a prawdziwe wychowanie okazujemy umiając śmiać się w porę. Jeśli spotkacie się z chłopcem, który ma ubranie pięknie pocerowane, a który wstydzi się śmiechu kolegów, zawołajcie doń: »Bądź dumnym, że masz taką matkę, twe spodnie są najcenniejsze w świecie«. Istotnie przetykała je szczerą miłość matczyna, a to coś więcej znaczy, niż gdyby były tkane nawet złotymi niemi.

Same drobiazgi.

W naszej dzielnicy wybuchnął raz ogromny pożar; straż pożarna spisała się tak dzielnie, że całe miasto o tem mówiło. Nazajutrz ujrzałem małego chłopca, który biegł przez ulicę z węzem i drabinką w rękę, a gdy go spytałem, dokąd tak spieszy, odpowiedział: »Chcę być bohaterem«. Wszyscy chłopcy marzą o czynach olbrzymich, o którychby cały świat mówił. A że w swych książkach czytają tylko o wielkich czynach bohaterskich, wojennych, o podróżach odkrywczych, mniemają, że wszystko dobre na świecie tylko tym czynom zawdzięcza się. Dzisiaj niema mnogości wilków i niedźwiedzi, których zgładzeniem możnaby się wstawić, wojny zdarzają się coraz rzadziej, a nieczęsto zdarza się sposobność ratowania podczas wielkich pożarów, lub rozbitków. I dobrze, że tak jest, bo wielkie czyny zaślepiają człowieka na ten fakt, iż największych rzeczy w świecie dokonała działalność pełna zaparcia się, w niesławnej ciszy. Czyny dokonane w cichości są największemi bohaterstwami, bo brakło im wawrzynów i głośnych oklasków. Gdy jeszcze Indianie mieszkali nad wodospadem Niagary, istniał u nich zwyczaj, że corocznie poświęcano Wielkiemu duchowi najpiękniejszą dziewczę, puszczając je w łodzi ubranej kwiatami w dół wodospadu. Pozornie było to bohaterstwo nie mające sobie równego. A jednak, wierzajcie, że czasem łatwiej płynąć z wodospadem, niżli pozostać przy życiu i codziennie składać na ofiarę Wielkiemu duchowi swój mały, głupi upór. Jedyne raz przezwyciężyć się. prosić o przebaczenie, choć z trudnością przychodzi, jest stokroć większem bohaterstwem, niż w kadzidle chwały, ogólnego podziwu dokazać czegoś niezwykłego. Uspokajanie nerwowego i kłótliwego rodzaju codziennie we własnym domu przez łagodzenie sporów, przemawianie do rozumu, wymaga niemniej wysiłków i poświęcenia, jak przy wielkim ogniu bohaterskie ratowanie. Niejeden dokazałszy wśród dymu prochu i kurzawy

wojennej prawdziwych cudów waleczności i zimnej krwi, nie posiadał następnie dość sił, by wykonać we własnym domu bohaterstwo przez małe poświęcenia i pokonywanie siebie.

Czytałem raz opowiadanie o pewnym bogatym panu, który przybył do małej osady rybackiej nad morzem Bałtykiem, aby tam, zdala od zgiełku światowego, przez pewien czas zamieszkać. Wieczorem zapytał w gospodzie, czy nie mógłby zmienić banknotu tysiącmarkowego. Gospodarz nie widział jeszcze nigdy takiego banknotu i odpowiedział: »Tem nie pan nie zapłacisz, tu przyjmujemy tylko drobną monetę«. Gdy jeszcze przyszło kilku innych chłopów do gospody, pokazał im gospodarz banknot i spytał, czyby go nie mogli rozmienić. Ci wysmiali go wołając: »Co, banknot tysiącmarkowy, takie wogóle nie istnieją«. I zaczęli spoglądać z niedowierzaniem na obcego. Nadeszło jeszcze paru rybaków, którzy utrzymywali, że istnieją tylko stumarkówki, a te są tak rzadkie, iż co 100 lat jedną puszczają w ruch, gdy rząd — bierze pożyczkę. Odszedłszy do swego pokoju słyszał ów pan, jak na dole jeden rybak mówił do drugiego: »To jakiś oszust, nie mający wcale pieniędzy, trzeba go zbić na kwaśne jabłko«. Ten naturalnie na to nie czekał, ale ze wschodem słońca wyskoczył oknem i pobiegł, ile mu sił starczyło, przez pola, aż po siedmiu godzinach przybył do miasteczka, gdzie banknot mógł zmienić. Kazał sobie dać dwa wielkie worki samych groszy, wynajął powóz i wrócił nim do osady rybackiej, płacąc gospodarzowi za wieszere samymi drobnymi.

Czegoż uczy nas ta powiastka: Że życie codzienne jest wsią rybacką, w której ludzie na widok tysiącmarkówki, to znaczą bohaterstw, potrzęsają głową i spoglądają niedowierzająco. Wielu z nich czytało o czynach bohaterskich tylko w książkach, nigdy ich na własne oczy nie oglądali. Dlatego mniemają, że wogóle coś podobnego nie istnieje. W następstwie nie wierzą w miłość i dobroć człowieka, jeśli udziela ich w wielkich czynach, a nie w codziennych,

małych dowodach. Ludzie ci mają słuszość. Kto swego szlachetnego usposobienia nie może rozmienić na drobną monetę, wielkimi czynami budzi podejrzenie, że są fałszywe. Uczyni zatem najlepiej, jeśli w nocy ujdzie oknem, i wróci do ludzi mając w kieszeni zdawkowe pieniądze. Wyobraźcie sobie, że mąż był grubiańskim przez cały dzień dla żony, a potem powiedział: »Gdyby się u nas paliło, albo wpadłabyś z łódki do wody, chętniebym zgorzał, utonął, byle ciebie uratować«. Inny przykład. Syn mówi do chorej matki: »Nie mam ochoty czytać ci teraz, ale jeśli lekarz zażąda, abym upuścił własnej krwi dla wzmocnienia twych sił, chętnie to uczynię«. Istotnie jest bardzo wielu ludzi zdolnych do poświęceń tysiącmarkówką, lecz nie pojmują zgoła poświęceń w drobiazgach. A przecież, czy życie staje się rajem, czy piekłem, zależy od drobnostek, nie od wielkiego fajerwerku miłości: od sposobu, w jaki rano córka wchodzi do pokoju, mówi dzień dobry, jak układa kwiaty na stole, z jaką twarzą wykonywa drobne zlecenia. Radość matki z powodu syna zależy od tego, czy tenże potrafi wdzięczność i czułość rozmienić w drobne, codzienne względy i oznaki miłości, poszanowania, lub czy serce jego pozostaje niezmienione, jak banknot tysiącmarkowy w portfelu.

Na cmentarzu.

Niejeden z was widział na cmentarzu pomniki sławnych mężów i kobiet. Toną w powodziach wieńców i kwiatów, co roku setki dążą ku nim, by przywołać do pamięci ich wielkie czyny za życia; w rocznicę urodzin wpajają uroczyste mowy ich obraz w serca żyjących. I słuszna, że się tak dzieje, bo ich wzór świeci jak gwiazda wśród ciemnej nocy, a wielu wątpiących prostuje się na nowo, wspomniawszy na siłę, z jaką ci przełamali okrutny los. Ponadto widzicie na cmentarzu grobowce zwyczajnych ludzi, którzy umarli świeżo, albo przed kilku laty; te ozdabiają również świeże kwiaty, a postaci żałobne często klęczą przed nimi. Nie brak na

ementarzu i innych grobów o zwietrzałych płytach kamiennych, odległej, zapomnianej dacie śmierci, często zarosłych chwastem i zielskiem; niema nikogo, kto by o nich pamiętał. A jednak ileż może mamy do zawdzięczenia ludziom, do których grobów nikt nie czyni pielgrzymki. Oto tu spoczywa cicho kobieta, zmarła przed laty, która przez całe życie wiele cierpiała, dla innych pracowała i męczyła się, wszystkim wybaczyła, co jej wyrządzili krzywdę i zasnęła ze słodkim uśmiechem na ustach. Chociaż grób jej opuszczony, nazwisko nieznane, żyje ona jeszcze w sercu ludzkim.

Gdy opanujecie wasz gniew, szlachetna myśl, litość wystrzeli nagle z głębin waszego serca, bądźcie przekonani, że pochodzi ona z wielkiego skarbu miłości, nagromadzonego zwolna przez ludzi najcichszych, za życia niejednokrotnie odsuwanych na bok, wyśmiewanych, którzy jednak po śmierci nawet u ludzi najdzikszych wzbudzali tęsknotę za wszystkim, co dobre i których pamięć trwa wiecznie. Podobni są do niewidzialnego chóru, brzmiącego cichą, często niesłyszaną melodią wśród świata, gdy człowiek szaleje wśród namiętności. Ludzie działają nieraz fałszywie, ale niema takiego, kto by w cichej godzinie nie skłonił ucha ku melodii tego chóru. Że dzisiaj możecie spokojnie spać w łózkach, bez obawy, iż matkę wywloką w nocy, dom podpalą, macie do zawdzięczenia nietylko wielkim ludziom, którzy na widowni dziejów o to walczyli, ale i tysiącom niepozornych kobiet i mężczyzn, w których ciasnem, znikomem życiu słowa litości, przykłady łagodności przenikały okoliczne ulice i zwolna skupieniem wszystkich promieni rozprószyły ciemności.

Gdy dzisiaj człowiek mimo wielkich pokus pozostaje uczciwym, nieprzedajnym, służy prawdzie nie kłamstwu, niechaj dzięki składa przedewszystkiem tym skromnym ludziom, którzy bez sławy i uznania mimo najnędniejszego zawodu, źle opalonych izdebek, zimnych nóg trwali uczciwie przy każdym słowie, groszu, stając się kompasem i skałą

oparcia dla sąsiadów. Gdy umarli, wisiały przez pół wieku ich portrety nad wnukami, patrząc na nich z powagą i z czarem prostoty niczem niezmaszanej; obecnie żadna księga, żaden krzyż, kwiat nie świadczy żyjącym o ich istnieniu, a przecież są naszymi doradcami, wychowawcami, bo obraz ich życia jest niestartym, chociaż krąży bez nazwy wśród potomnych.

Życie społeczne.

August Comte wypowiedział w swej »pozytywnej« filozofii zdanie, że społeczna działalność człowieka będzie w przyszłości czerpała natchnienie nie z wiary, nie dającej się udowodnić, ale z naukowo udowodnionej solidarności rodu ludzkiego. Tak samo nie będzie wychowanie moralne wymagało wiary w Boga, by młodzież doprowadzić do zaparcia się siebie, lecz żywe wprowadzenie do niezliczonych społecznych zależności jednostki wskaże młodemu człowiekowi niezbicie, iż nie może odosobnić się od ogółu, w którym żyje, a któremu nigdy tego nie zdoła oddać, co mu zawdzięcza. Pogląd, by oderwana religia ludzkości mogła kiedykolwiek zastąpić religię, zrodzoną z konkretnego życia potężnych osobistości, należy uważać za błąd uczonego, który nie znał natury ludzkiej. Jednakowoż jak dokładne poznanie istotnych związków życiowych ma znaczenie dla moralnego rozwoju, tak z drugiej strony pobudza i rozjaśnia bez wątpienia umysł wprowadzanie młodzieży do żywych faktów ludzkiej wspólności życiowej. Widzimy, że tak jest, stąd, iż jedno spojrzenie na nędzę społeczną obudziło u wielu ludzi sumienie i oddziaływało na cały ich tryb i zapatrywanie na życie. Wychodząc z tego stanowiska, ma zapoznanie z głównymi objawami społecznego współżycia dla dzieci z jednej strony tę wartość, że budzi cześć dla pracy ludzkiej uprzymiając, jaki kawał życia spoczywa we wszystkich sprzętach użytku i zabawy, a z drugiej strony zachęca do należytego postę-

powania z klasami pracującymi, do okazywania im poważania i wdzięczności przez oznaki uprzejmości i skromności.

»Co mnie to obchodzi?«

»Co mnie to obchodzi?« — oto sposób mówienia najpowszechniejszy. U wielu ludzi nie wychodzi serce i współczucie poza parkan własnego ogrodu, u innych zatrzymuje się miłość i sprawiedliwość przy granicach państwa, inni wreszcie przeciągają granicę ludzkości tam, gdzie zaczyna się inna barwa skóry. Zapytani o powód, dziwią się ogromnie, nie pojmują wogóle, dlaczego mieliby dła tych odległych, nieznanych, poświęcać myśli, iskierkę uczucia. Co nas oni obchodzą? Jakie mamy względem nich zobowiązania? Ludzie tak ciasnego serca podobni są do analfabetów, nie umiejących czytać — życia. Niemal każdy sprzęt użytkowy, każdy kawałek naszego pożywienia ma ślady pracy ludzi z poza naszej ojczyzny i odmiernej barwy skóry. Wybierzcie się z atlasem w rękę w podróż po waszem mieszkaniu i zapytajcie, czy sprzęty i środki żywności nie prowadzą was do wszystkich niemal krajów istniejących na mapie. Kto umie czytać, ile kryją wszystkie przedmioty trudu ludzi wszystkich stref, ten przyzna, że ogród, mur miejski, słupy graniczne są sztucznymi granicami; ci odlegli bowiem wdarli się przez nie, pomogli zbudować dom, urządzić ogród, tkali odzież, żywność zrywali, chwyтали, tuczyli, kosili, pracowali i wysyłali ją przez morze.

Weźmy małą zapałkę do ręki; iluż ludzi, ile krajów podało sobie ręce, by ją zrobić. W lesie sosnowym przygotowano jej tułów, w gorących krajach zbierano z drzew gumę, by pomalować jej łebek, w sycylijskich kopalniach wydobywano siarkę, która wraz z fosforem rozgrzewa główkę, a fosfor otrzymał chemik w swej pracowni. Gdybym wam opowiedział o nędzy chłopców sycylijskich, tracących zdrowie w kopalniach siarki, czy moglibyście, zapalając lampę, powiedzieć ze spokojem: Cóż mnie to obchodzi? Nie, ów

chłopiec jest wśród was, posługujecie się częstką życia przez niego ofiarowaną, zasługuje na to, byście objęli go swem sercem.

W połowie ubiegłego stulecia były mieszkania biednych we wschodniej dzielnicy Londynu najzupełniej oddzielone od połaci zachodniej, siedziby bogatych. Człowiek zachodu nie troszczył się o wschód, jakby ocean oddzielał obie połowy. Nagle wybuchnęły zaraźliwe choroby w dzielnicy zachodniej. Badania wykazały, że przyszły ze wschodniej za pośrednictwem odzieży, szytej w warsztatach krawieckich wschodu. Warsztaty zaś były istotnymi jaskiniami nędzy i chorób; cała rodzina mieszkała, gotowała, spała, pracowała w jednym jedynym pokoiku, a gdy dziecko zachorowało, rozkładano spokojnie dla braku miejsca gotowe suknie na jego łóżku. Tak więc plaga wschodniego Londynu dostała się do zachodniego, bo tamten dla tego pracował. Wówczas poznali też ludzie z zachodu, ile powinien ich obchodzić los współbraci ze wschodniej dzielnicy i jak zaniedbanie zaczęło mścić się na nich samych.

Zapytacie zapewne, jak okazać miłość dla tych obcych, odległych ludzi? Ponieważ węgiel mamy z Anglii, wełnę z Australii, mięso z Ameryki, chleb z rosyjskiej mąki, tran od Eskimosów, czyż nie zabrałoby nam połowy życia, gdybyśmy chcieli tylko dowiedzieć się o powodzeniu ludzi na nas pracujących? Czy nie wyszłaby na tem źle miłość bliźniego? Zapewne, ale nie o to chodzi. Pobożną modlitwą obejmujemy tych, którzy są nam drodzy, którym dobrze życzymy, choć nie wymieniamy ich po nazwisku; takim samem braterskiem uczuciem wdzięczności powinniśmy obejmować tych odległych, lubo ich poszczególnie nie znamy. Czy da się z tem wszystkim pogodzić miłość bliźniego? Kto odczuwa najdalsze dobrodziejstwo i pomoc, przypadające mu w udziale, czyje serce nawykło do wdzięcznego wspomnienia dawcy, ten przyjmie dobrodziejstwa najbliższych z tem większą wdzięcznością, a nie będzie podobnym do człowieka grubo-

skórnego, który nie pamięta o tem, ile innym zawdzięcza, a poruszyć nieco zdołają go dopiero niezwykle dary. Wdzięczność jest szczytem wychowania, im ktoś wdzięczniejszy, tem lepiej zna dzieje swych cielesnych i duchowych dóbr, ich pochodzenie, a podobna znajomość dla serca stokroć ważniejsza od dat wszystkich bitew lądowych i morskich.

Ojczyzna.

Dziwicie się zapewne, że dotąd nie mówiłem z wami o miłości ku rodzicom. Czyniłem tak rozmyślnie, boć przecież o tem nie trzeba chyba rozmawiać. Kto rodziców nie kocha, z tym wogóle niema co mówić. Natomiast nieraz jeszcze pomówimy, jak trzeba rodziców kochać i co czynić, by swą miłość udowodnić. Z tych samych względów nie powinienem właściwie mówić o miłości ojczyzny. Nie mogę bowiem wyobrazić sobie człowieka, któryby całym sercem nie lgnął do ziemi ojczystej, współrodaków, nie kochał narodu, którego istotę wciągał od najpierwszych dni, jak powietrze z nieba, w którego mowie płynęły dlań słowa pełne czułości, pociechy, narodu, którego członkowie są jego rodzeństwem, bo mają wspólne z nim wspomnienia, wspólne radości i smutki. Człowiek jest nietylko dzieckiem swych rodziców, ale dzieckiem swej ziemi, narodu i jego dziejów.

Ponieważ dla każdego człowieka jest rzeczą najnaturalniejszą kochać i czcić ojczyznę, powinniśmy niezmiernie zważać, by z miłości ku krajowi ojczystemu nie być niesprawiedliwymi, pełnymi uroszczeń względem innych krajów. Że zaś oględność i sprawiedliwość względem obcych ludów nie stanowi u nas naturalnej potrzeby, musimy przez głębsze zastanowienie się nasze uczucia wychować i rozszerzyć. Widzieliśmy już, jak krótkowidzącymi jest wielu ludzi, którzy dostrzegają jedynie najbliższych dobroczyńców, a nie mają wyobrażenia o tysiącach odległych ofiarodawców, którym zawdzięczają ozdobę i pewność swego bytu. Nic dziwnego, że wobec nieświadomości, nie bije w ich sercach

żadne uczucie wdzięczności dla dobroczyńców. Zupełnie tak samo dzieje się, gdy od kogoś dostaniecie na Boże Narodzenie wspaniały podarunek. Nie zgadujecie od kogo pochodzi, więc nie możecie okazać wdzięczności, choćby ofiarodawca stał tuż przy was. Gdy podniesie zasłonę i poznacie go, rzucacie się mu na szyję. Niedawno zdjęliśmy zasłonę z tyśiąca odległych dobroczyńców, którzy obdarowują wasze życie cielesne i duchowe. Na szyję nie możecie rzucić się im, ale odczuwacie na tyle dla nich ciepła i wdzięczności, że nie będziecie o nich mówili pogardliwie, wrogo, albo tak postępować, jakby wasza ojczyzna stała się wszystkim sama przez się, nikomu nie zawdzięczała, z nikim nie potrzebowała liczyć się. Taki sposób mówienia, postępowania zostawicie ludziom, którym jeszcze bielmo nie spadło z oczu. Im człowiek bardziej wykształcony, tem jest skromniejszy, bo wie, jak mało sobie samemu zawdzięcza, a jak wielkim jest zastęp jego dobroczyńców. Dotyczy to również mów o własnej ojczyźnie.

Odpowiedzialność.

Nieraz już zbijano mniemanie Sokratesa, że cnoty można uczyć, a postępowanie niesprawiedliwe polega właściwie tylko na nieświadomości. We wszystkich wywodach pomijano zbyt łatwo część prawdy, którą zawiera wiara w możebność uczenia cnoty. Nieraz już wykazywaliśmy, iż bardzo wiele moralnych zbroczeń płynie raczej z bezmyślności, niż ze świadomego siebie zepsucia. Ludzie nie zdają sobie najczęściej sprawy ze skutków swych czynów dla drugich. Nie dostrzegają czynu w jego istocie, nie widzą związku życiowego, nie wiedzą, co czyn może wywołać według niewzruszonych praw świata. Moralny sąd obejmuje wprawdzie w skróconej formie długoletnie doświadczenia nad istotnymi skutkami ludzkich postępów, lecz formie brak zmysłowego poglądu: widzimy jedynie zakaz, a nie żywe wydarzenie, z którego wynika konieczność zakazu. Wychowawca powi-

nien zatem pogłębić przede wszystkim tę naukę poglądu, skryzalizowane doświadczenie pokoleń rozłożyć na części składowe, dać młodzieży świadomość żywej roli jej uczynków, mogących zbudzić najlepsze siły wewnętrzne i zamiary.

Co należy rozumieć pod odpowiedzialnością? Konieczność dania odpowiedzi na pytanie o przyczynach pewnych, oznaczonych wydarzeń, że mianowicie tkwią w naszym charakterze, są koniecznym wynikiem jego właściwości. Ludzie nie wiedzą nic o tem, w jak wysokim stopniu są i mogą być przyczyną różnych skutków w życiu bliższych i dalszych współbliznich. Nie znają poprostu swej odpowiedzialności. Do nich są zastosowane poniższe wskazówki; na wyższych szczeblach wieku da się je w sposób wyrazisty pogłębić i rozszerzyć przez odpowiednią obserwację dziedziczności alkoholicznych i płciowych skłonności.

Czy mam być stróżem brata swego?

Rodzice wasi wydalając się na dłuższy czas z domu powierzają wam zapewne nieraz młodszego braciszka ze słowami: Oddajemy go pod twą opiekę, jesteś odpowiedzialnym, że mu nic złego nie stanie się. Innemi słowy, gdyby braciszkowi w tym czasie coś złego przytrafiło się, będziesz ty winien, bo od twjej uwagi zależy, czy nie popełni czegoś, mogącego mu zaszkodzić, lub nie zbiegnie z domu i nie zabłąka się na ulicy. A gdyby burza nadciągnęła i piorun zabił go w pokoju, czy też będziecie odpowiedzialni? Dlaczegoż nie? Bo nie od was zależy, gdzie piorun uderza. Odpowiedzialność poczyna się zatem dopiero wówczas, kiedy przyczyny nieszczęścia należy szukać w zaniedbaniu, błędzie z waszej strony. Pomyślcie jeszcze, czy za rodzeństwo jesteście tylko wówczas odpowiedzialni, gdy mama wam je powierzy, i czy odpowiedzialność dotyczy wyłącznie ciała? Nie, stokroć nie. Ze słońca spływa ustawicznie na świat ciepło i światło, z waszego przykładu płynie bez przerwy siła, innych utwierdzająca w dobrem, czy w złem. Nic nie

czynicie dla samych siebie, całe zachowanie, wszystkie przyzwyczajenia są darem dla drugich. Może wynaleźlibyście kilka przykładów? Z czyich ust wychodzą brzydkie słowa, ten zaraża niemi innych, kto z brudnymi rękami zjawia się u stołu lub w szkole, nakłania innych, by to samo uczynili. We wszystkim, co człowiek czyni, ogląda się za towarzystwem, a czuje się uspokojonym, gdy znajdzie naśladowców. Zauważyliście może nieraz, jak samo ziewanie zaraża drugich, wbrew ich woli. Zupełnie jakby jakieś niewidzialne druty prowadziły od jednego człowieka do drugiego i powodowały wymianę mimo naszej woli. Widzicie więc stąd, że jest się stróżem swego brata, choć się nie zostało osobno nim wybranym.

Oprócz dobrego przykładu trzeba strzedz swego brata przed pokusami. Gdy was matka prosi, by pod jej nieobecność malec nie zepsuł sobie żołądka, nie złamał nogi, czyż postawicie mu na stole talerz z czekoladą, albo pozwolicie bawić się na schodach? Przeciwnie, zajmiecie go tak opowiadaniem, zabawą, by myśli jego odwrócić od rzeczy złych i niebezpiecznych. Oprócz żołądka i nóg, trzeba również strzedz serca i duszy braciszka, dlatego wskazana jak największa ostrożność. Przypuście, że brat ma skłonność do gniewu, a rodzice obawiają się, aby w późniejszym życiu nie wyniknęło dla niego stąd wielkie nieszczęście. Czyż pozostawszy z nim sam na sam będziecie podniecali go do gniewnych wybuchów? Nie, z pewnością odsuniecie wszelką okazję do wyprowadzenia go z równowagi, gdyż inaczej moglibyście stać się odpowiedzialnymi, jeśliby skłonność przeszła w stałe, chorobliwe przyzwyczajenie.

W *Odysei* opowiada Homer o czarodziejce Circe, która różdżką czarowną pozamieniała towarzyszy Odyseusza w nierogaciznę. Każdy człowiek posiada w swem ręku taką różdżkę, zdolną przemienić tych, z którymi styka się. Kto sam jest nieczystym, potrafi przez obcowanie swych współbliźnich zamienić wnet w trzodę. Wiele siostr zamienia swych braci

przez ustawiczne ukłucia, drażnienia w dzikie zwierzęta. Dlatego powiadam wam, że nietylko siostry są powierzone opiece braci, ale i bracia siostrom, choćby byli młodszymi. Bo czy brat będzie człowiekiem miłym, szlachetnym, zależy nie wyłącznie od jego przyrodzonych zdolności, wychowania przez rodziców, lecz również w znacznej mierze od usiłowań rodzeństwa, by obudzić w nim dobre przymioty, a nie drażnić i pobudzać do dzikości. W miarę pobudliwości rośnie odpór tak, jak przez ćwiczenie wzmacniają się mięśnie. Gdy wieczorem przy zasypianiu musicie odkasznąć, a kaszel powstrzymacie, minie szybko, natomiast za każdym nowym kasznięciem idzie wstrzymanie kaszlu coraz trudniej, bo mięśnie szyi są zbyt podrażnione. Tak samo dzieje się z wybuchem gniewu. Każdy nowy napad trudniej stłumić, gdyż nerwy są wrażliwsze i mniej zdolne do oporu. Należy więc ostrożnie postępować z ludźmi drażliwymi. Wiele sióstr postępuje tymczasem z braćmi, jak z psami łańcuchowymi, używając wszelkich sposobów celem obudzenia w nich gniewu. Czyż nie o wiele piękniej byłoby, gdyby siostra powiedziała po cichu do siebie: »Chcę być stróżem brata swego«.

Mała śruba.

Angielski poeta opowiada w jednej bajce o małej śrubce, która wraz z tysiącem innych podobnych łączyła na pancerniku dwie duże płyty stalowe. Podczas podróży po oceanie Indyjskim owa śrubka obluźniła się i groziła wypadnięciem. Sąsiadki powiedziały do niej: Gdy ty wypadniesz, pójdziemy za twym przykładem. Gwoździe w dolnym kadłubie okrętu uczuły również nagle ochotę do swobody. Gdy to postłyszały potężne żelazne belki, zawołały: Na miłość boską pozostaniecie na miejscu, inaczej i my z wami zginieemy. Wieść o zamiarze małej śrubki rozbiegła się w oka mgnieniu po całym cielsku olbrzyma. Jęczał i drżał we wszystkich członkach. Wówczas postanowiły wszystkie belki, płyty, śruby, nawet małe gwoździe wysłać wspólne posel-

stwo do śrubki, by raczyła pozostać w miejscu, gdyż inaczej cały okręt rozpęknie się i nikt nie ujrzy ojczyzny. Ogromnie pochlebiło to śrubce, że tyle od niej zależy i każała odpowiedzieć, że pozostanie na swem miejscu.

Świeżo mówiliśmy o »odpowiedzialności«; zrozumiecie zatem łatwo, dlaczego opowiadam wam bajkę o śrubie. Śrubce zdawało się, że jeśli będzie dbała o swą wygodę, nikomu to nie zaszkodzi, ani nikogo nie powinno obchodzić. Po przerażeniu, wstrząsającym całym okrętem, nabrała jednak przekonania, że losy całości zależały od jej przykładu, że była wspólnie ze wszystkimi odpowiedzialną.

Czyż nie zupełnie tak samo jest w życiu ludzkim? Słyszycie nieraz o ludziach pewnego kraju, interesu handlowego, że są wiarogodni, nieprzekupni, o innych znowu, że trudno na nich liczyć, wszystkich można kupić. Czyż podobne zepsucie odrazu się szerzy? Nie, rozluźnia się jedna śrubka. Ktoś przyjmuje napiwek, popełnia małą nieprawidłowość; koledzy widząc to powiedzą, dlaczego i my nie mielibyśmy powiększyć swych dochodów. W rozmowach o przekupności stają się zwolna o wiele względniejsi. Powiadają, że »kiedy wejdiesz między wrony, trzeba krakać jak i one«, lub że »trudno przejść przez życie, nie zbrukawszy skrzydeł«. Po niedługim czasie wszyscy są zatruci. Przykład działa nieznacznie, ale pewnie i gdy ostatni nim się zarazi, popełnia pierwszy nową, jeszcze gorszą nieprawidłowość. Każdy, kto chce się sprzeniewierzyć w drobnostce, powinien we fantazyi wyobrazić sobie cały szereg drugich, którzy przyszli doń błagając na kolanach, aby on pierwszy nie dawał złego przykładu. Niechajby ujrzał w orszaku kobiety i dzieci, zniesławione z powodu niesumienności ojca, a za nimi nieprzeliczone tłumy tych, na których ściekał po kropli zły przykład zachwianej wierności, pozbawiając ich czci, uwalniając od przyjętych zobowiązań. Pewien poeta wyraził się, że najsroższą byłaby w piekle kara, gdyby przestępca mógł z góry śledzić skutki swych przestępstw na

ziemi. Istotnie nie można sobie nic straszniejszego wyobrazić nad konieczność patrzenia na łańcuch nędz i nieszczęść, na zamęt sumień w tem przekonaniu, że się jest samemu za to odpowiedzialnym.

O ileż lepiej będzie dla was nie patrzeć na skutki czynów, gdy już nic nie da się zmienić, ale zastanowić się przed czynem. Wiele rzeczy złych, niedorzecznych zostałyby zaniechanych, gdybyśmy w porę, z zimną krwią pomyśleli, że każdy może stać się losem drugiego. W starożytnych podaniach czytamy o rodzinach, obciążonych klątwą, np. o rodzinie Agamemnona, gdzie jedna zbrodnia szła za drugą. Klątwa objawiała się nie tylko w dziedziczeniu zła, ale i w strasznym przykładzie, danym kiedyś rodowi przez głowę, który potomnych na nowo uwodził tak, jak człowiek dostaje zawrotu głowy, stanąwszy nad ogromną przepaścią.

Sami możecie to wszystko, com wam mówił o rodzinie, sprawdzić w życiu szkolnem: jak każdy mianowicie jest odpowiedzialny za swój przykład, jak wielu od niego zależy. Przypominam sobie z czasów szkolnych, że jeden starszy uczeń w naszej klasie w krótkim czasie wszystkich zaraził brzydkimi wyrazami. W każdym, nawet dobrze wychowanym czai się chochlik brudu, pragnący zabawy, lecz każdy posiada ponadto lepsze ja, które wstydi się i pierwsze nie przemówi. Jeśli jednak ktoś da początek, wstyd przełamie, pójdą za nim szybko inni. Taka sama cudowna potęga spoczywa w dobrym przykładzie. W pewnem mieście wybuchnął raz w teatrze podczas przedstawienia pożar. Publiczność zaczęła cisnąć się tłumnie do wyjść, groziło niebezpieczeństwo, że wśród panicznej trwogi setki zginą skutkiem uduszenia. Ale książę panujący pozostał spokojnie na swem miejscu i kazał muzyce grać dalej. Przykład podziałał, publiczność uspokoiła się i wyszła z teatru w największym porządku. Podobnie dzieje się w naszym życiu. Widziałem to sam nieraz w szkole. Rozmawia ze sobą np. kilku kolegów; wtem przystępuje do nich jeden i opowiada nieprzy-

zwoitą historię, spodziewając się naturalnie, że wszyscy wybuchną śmiechem. Gdy się sztuka uda, idzie jej próbować u innych. Niech jednak jeden jedyny nie roześmieje się, owszem zrobi minę poważną, zakłopotana się ów kolega bardzo, w duszy zawstydzi, a z nim drudzy. Może nie da tego poznać po sobie i będzie jeszcze drwił z nieśmiejącego się, ale wewnętrznie przykład oddziała. Kto zawsze pamięta, ilu ludzi w każdej chwili ma sobie powierzonych, jak jeden patrzy na drugiego, co tamten mówi, czyni, potrafi wyrzucić w swem kółku wpływ olbrzymi.

Wychowanie w samodzielności.

Tyle dzisiaj mówi się o wychowaniu społecznym, że doprawdy możnaby mniemać, iż całe zadanie wychowania zamyka się w przystosowaniu jednostki do społecznego współdziałania, do rozpłynięcia się w uczuciach większej całości. Zbadawszy jednak bliżej starcia i potrzeby ludzkiego życia dojrzymy, iż człowiekowi obok wychowania społecznego potrzeba równie dobrze wychowania »przeciwspołecznego«, mianowicie ugruntowania i omocnienia jego życia wewnętrznego przeciw przemożnym wpływom uczuć masy, instynktom tłumu, korporatywnym namiętnościom, interesom, umocnienia sumienia indywidualnego przeciw pokusom i wymaganiom t. zw. racyi stanu. Istnieje stopień kulturalnego rozwoju, na którym osobistość jednostki stanowi tak nierozdzieloną całość z organizacją społeczną i jej potrzebami, że nie może przyjść do zatargu między sumieniem indywidualnym a przeszonym. W praktyce widzimy podobną jednolitość w pierwszych epokach państw starożytnych. W postaci Antygony u Sofoklesa rysuje się po raz pierwszy bunt osobowego sumienia przeciw racyi stanu, a później znajduje najdobitniejszy wyraz w chrześcijaństwie, w słowach: »słuchaj najpierw Boga, a potem ludzi«. W idei Boga skupiają się najgłębsze warunki i cele osobistego wykształcenia, odwieczne dobra duszy, w przeciwieństwie do dóbr doczesnych, przemijają-

cych. Gdy zatem całe społeczeństwa będą dążyły jedynie do tych dóbr mniej wartościowych kosztem wyższych celów kształcenia, to jednostkom grozić będzie wielkie niebezpieczeństwo ulegnięcia sugestyi tej społecznie wzmożonej pożądlivosti, nastąpi przyciąganie masowe, które jednostkę wchłonie, jeśli nie będzie posiadała dostatecznego zasobu energii odpornej. Już poprzednio wskazywaliśmy, jak na autorów francuskich podręczników moralności wpływa chęć odwetu, które społeczeństwo francuskie przez dziesiątki lat utrzymuje w stanie gorączkowym; ani jednego pedagoga nie znajdziemy tam, któryby posiadał na tyle siły moralnej, by oprzeć się tej społecznej sugestyi. Brak odporności wobec państwowych interesów narodowych wzrósł o tyle więcej, o ile Kościół utracił panowanie nad duszami. Nie należy bowiem nigdy zapominać, że organizacja kościelna umocniła pierwsza indywidualne sumienie wobec państwa (*»Quidquid contra conscientiam, aedificat ad Gehennam«*). Słusznie wydatnił już Comte, że ducha nowoczesnej krytyki stworzył ten właśnie ustrój kościelny, dający jednostce samodzielność wobec państwa, a w rękę stałą miarę do osądzania rzeczy doczesnych.

Właśnie dla wychowawcy jest rzeczą niezmiernie ważną, zdać sobie jasno sprawę z tych faktów i związków, bo tylko wówczas pojmie należycie potęgę owych społecznych sił, które nieraz próbują zatrzeć pracę w wytwarzaniu samoistnych przekonań moralnych. Dzisiaj niebezpieczeństwo jest tem groźniejsze, że z jednej strony społeczeństwa państwowe są o wiele silniej i zamknięciej w sobie zorganizowane, niż kiedykolwiek, a z drugiej strony dlatego, że w obrębie tej państwowości szukają najróżnorodniejsze dążności separatystyczne siły kolektywnej i chcą posiadać jednostkę fizycznie, ekonomicznie, objąć nawet jej moralną osobistość w korporatywne posiadanie.

Nie da się zaprzeczyć, że samo wzmacnione etyczne oddziaływanie na jednostkę w domu i w szkole nie zdoła

stworzyć przeciwwagi dla niebezpieczeństwa wyżej opisanej sugestji zbiorowej. Ale przecież można wiele zrobić na czysto etycznej drodze przez budzenie indywidualnej samodzielności moralnej i to jak najwcześniejsze i sposobami jak najprostszymi. Wiele matek wie dokładnie, że nie na wiele zda się najstaranniejsze wychowanie, gdy syn pójdzie do szkoły i zetknie się w niej z »opinią publiczną« współuczniów; niewiele chłopców, dziewcząt zdoła oprzeć się sugestji »ducha klasy«. Trzeba zatem koniecznie jak najwcześniej dać obok wychowania społecznego wychowanie »przeciwspołeczne«, to znaczy siłę do odporu, do dobrowolnego odosobnienia i wzmocnioną świadomość osobistej odpowiedzialności wobec wyższych ideałów życiowych.

Małpowanie.

Ludzi można podzielić w różny sposób: podług barwy skóry, kształtu czaszki, według mowy i religii. Możliwym byłby również inny podział według innych cech n. p. stałości woli. Wówczas otrzymalibyśmy dwa gatunki: małpujących i samodzielnych ludzi. Obydwa rodzaje można już wyraźnie widzieć w szkole. Małpujący robią wszystko to, co drudzy, chociaż im głos wewnętrzny mówi, że nie wszystko jest w porządku. Nie mają odwagi usłuchania tego głosu z obawy przed śmiechem ludzkim. Kto się w czemkolwiek oddziela, odróżnia od tłumu, wydaje się śmiesznym, nazwą go dziwakiem, odludkiem, oryginałem, chociażby czynił to dla ważnych powodów, choćby nieraz z korzyścią dla ogółu okazywał, że ma lepszą głowę niż większość. Lecz tłum zawsze źle patrzy na to, gdy się z nim nie idzie; dla pokrycia niezadowolenia wybucha śmiechem, a nie przyzna za nic w świecie, iż jednostka okazała się rozumniejszą. Trudno też ogromnie trwać w osamotnieniu, pozostać wiernym swemu przekonaniu. Codziennie niemal zapierają się ludzie swych lepszych przekonań z obawy przed wydrwieniem, prześladowaniem, a zaczyna się to już na podwórzu szkol-

nem. Przychodzi chłopiec do szkoły z czystą duszą i z postanowieniem, że nigdy nie będzie mówił, ani czynił nic nieprzyzwoitego. Niestety w szkole panuje właśnie moda, aby prowadzić nieczyste rozmowy, a gdy nowicjusz nie śmieje się i nie pomaga w dowcipkowaniu, sypią się nań drwiny. Ten jako zwierzątko towarzyskie powiada sobie, że nie trzeba od innych odłączać się i zaczyna szukać więźności, prześcigając innych kolegów w tłustych dowcipach. Oto typ człowieka - barana, nie mającego siły odpornej. Brzydkie rozinowy są niejako influenżą, katarem duszy, który od czasu do czasu przeciąga po szkołach, szukając ofiar pomiędzy najsłabszymi, najmniej odpornymi. Jedni upadają, drudzy, samodzielni przechodzą cało i zdrowo przez ten szpital, mogą nawet bez obawy zarazy pielęgnować chorych. Weźmy pod uwagę inny przykład. Chłopiec umiejący patrzeć na życie i cierpienia współbliźnich wie, jak ciężko nauczyciel cierpi, nie mogąc utrzymać spokoju w klasie i ilu skutkiem tego nauczycieli przedwcześnie umiera. Otóż chłopiec ten dostaje się do klasy, uprzyjemniającej sobie żywot ustawicznym przeszkadzaniem w nauce, by nauczyciela podrażnić. Jeśli będzie baranem, po krótkim czasie weźmie udział w zabawie, bo i pocóż miałby zepsuć sobie opinię u kolegów, lub narazić na podejrzenie lizusostwa. Jako człowiek samodzielny nie ulegnie zarazie, odważnie będzie posłusznym głosowi wewnętrznemu i postąpi zupełnie inaczej, choćby pozostał całkowicie odosobnionym.

Bardzo praktyczną pomocą dla ludzi małpujących innych jest znane przysłowie o wronach. Trzeba się zgodzić na ordynarne i bezwstydne rozmowy, na bajki, obmowy, na mijanie się z prawdą i uczciwością, bo inaczej wrony zadziobałyby nas. A więc trwoga przed zadziobaniem ma być przewodniczką naszego życia? Któżby chciał wówczas żyć, czyż daliby się pomyśleć wielcy ludzie czasów starożytnych i nowoczesnych, którzy twardo opierali się oczernianiom, fałszywym doniesieniom, wiernymi pozostali swym zasadom

aż do śmierci? Nie, porzućmy nierozsądną trwogę i uzbrojmy się na drogę życia w inną zasadę, która powiada, że kto silnie trwa przy swem zdaniu, przekształci według siebie cały świat.

Samodzielność.

Niejeden młodzieniec tęskni za samodzielnością, zdaje mu się, że dopiero wówczas stał się człowiekiem, gdy może żyć z własnych, zarobionych pieniędzy. Niejednemu nie wystarcza, że ma posadę ze znaczną pensją, nie, chciałby założyć coś własnego, choćby wiedział, że będzie miał mniejsze, niepewne dochody. Popęd do samodzielności, niezależności jest istotnie pięknym, męskim, tylko że zbyt wielu mniema, stanawszy pozornie na własnych nogach, iż są zupełnie od drugich niezależni. Tymczasem prawdziwa samodzielność jest sprawą wewnętrzną, nie mającą nic wspólnego z zewnętrzną wolnością. Może ktoś zajmować stanowisko zależne, a być zupełnie samoistnym i naodwrot może ktoś zewnętrznie być niezależnym, jeździć własnymi końmi, a przecież pozostać niewolnikiem drugich. Człowiek samodzielny nie działa nigdy wbrew sumieniu, wszystko czyni z drugimi i dla drugich po głębszej rozwadze, a nie szuka zadowolenia próżności, sławy, nie powoduje się obawą wymiania, lub trwogą przed szkodą i karą.

Niektórzy chłopcy mają bardzo dziwne wyobrażenie o samodzielności. Mniemają, że dadzą jej dowód, zapalając pierwsze cygare, albo wypijając pierwszą szklankę piwa w knajpie. Co trudniej dla młodego: palić cygara, czy nie? Przyznacie, że trudniej nie palić, bo wówczas naraża się na drwiny, kpiny kolegów. Ależ właśnie dlatego należy dla zaznaczenia swej samodzielności mimo drwin, ani nie palić, ani nie brać udziału w picciu. Kto do tego doprowadzi, można o nim powiedzieć, że jest samodzielnym, podczas gdy większość stara się okazać samodzielność, »mądrość« przez naśladowanie głupiej mody, nieraz osobiście wstrętnej. Oba-

wiają się, by ich nie nazwano maminymi synkami, a zapominają, że lepiej być synkiem ukochanej matki, niż posłusznym synem całej bandy palaczy i piwoszów.

Powyższe uwagi można odnieść i do dziewcząt. Prawdziwie samodzielną staje się dziewczynka wówczas, gdy zapanuje przede wszystkim nad swą próżnością. Próżność nie jest bowiem niczem innym, jak zależnością od drugich, życiem dla oczów ludzkich. Dlatego ludziom próżnym brak swobody w ruchach; nie nie uczynią, nie powiedzą bez tajemnej myśli, czy się to będzie podobało innym. Oto n. p. matka przerobiła córce z całym nakładem miłości i oszczędności starą suknię na nową, może w kroju nie bardzo modną, ale praktyczną. Córka sama uznaje, że będzie rzeczą rozsądną dla oszczędzenia wydatków suknię nosić i matce być za nią wdzięczną. Wtem na drodze do szkoły spotyka dwie koleżanki z wyższej klasy, które idąc za nią z tyłu śmieją się: »Patrz, suknia z prababki« i naraz sukienka staje się wstrętną, a w domu następuje wybuch złego humoru. Dlaczego? Bo nie jest samodzielną. Rozglądawszy się po życiu zauważycie ze zdziwieniem, jak mało istnieje prawdziwej, odważnej samodzielności. Ludzie są chętnie uczciwi, rzetelni, jak długo są drudzy nimi. W przeciwnym razie powiadają sobie: Gdy sam jeden będę uczciwym, wyjdę na tem źle i narażę się na śmiech.

Przyjmijmy taki wypadek, że jesteście w dużym, źle kontrolowanym sklepie, w którym subjecki dopuszczają się różnych sprzeniewierzeń. Gdybyście pomyśleli sobie: »nie wezmę ja, weźmie kto inny« i popełnili defraudację, postąpilibyście jak ludzie słabi, którzy czekają, co drudzy uczynią, by zastosować do tego swe działanie. Przypatrzcie się, co czyni pies, otrzymawszy od rzeźnika do odniesienia do domu cały kosz kiełbas, gdy inne psy opadną go na ulicy. Najpierw warczy, potem stawia koszyk na ziemię i rzuca się na wrogów. Gdy jednak jeden z atakujących skorzysta z chwili sposobnej, przewróci kosz tak, że kiełbasy wysypią

się, a inne psy rozchwytyją łatwą zdobycz, cóż uczyni nasz uczony pudel? Rzuci się również na kiełbasy i zje, ile tylko będzie mógł, bo wie, że gdyby tego nie uczynił, zrobią za niego inne psy, a on byłby głupcem, gdyby patrzył na to i wył. Tak postąpi pies najlepiej wytresowany, bo nie ma przecież samodzielnego sumienia i nie można od niego żądać, aby nie ruszył rzeczy sobie powierzonej, gdy inni biorą. Niestety, jakżeż wielu istnieje ludzi równie niesamodzielnych, którzy potrafią postąpić sprawiedliwie znalazłszy się w liczniejszym towarzystwie, a pozostawieni sami sobie, własnemu sumieniu, nie wiedzą, co począć, i biegną szybko o poradę do innych.

Nie zapominajmy zatem nigdy, że zewnętrzna samodzielność jest piękną i dobrą, ale o wiele ważniejszym jest, mieć serce samodzielne, uczciwe, gdy inni dopuszczają się nieuczciwości, prawdomowne, gdy drudzy kłamią, kochające, cierpliwe, gdy inni nienawidzą i oczerniają, czyste, choćby wszyscy popuścili sobie cugli.

Na polu etycznego oddziaływania nie ma może nauczyciel ważniejszego i bardziej odpowiedzialnego zadania, jak doprowadzenie do samodzielności, bo właśnie w szkole rozwija się najpierw duch korporacyjny i społeczny teroryzm, a moralne choroby jednostek stają się natychmiast moralną epidemią. Nauczyciel powinien wzbudzić u poszczególnych i duchowo ugruntować siłę odporną, nadto oddziaływać uszlachetniająco na społeczne instynkta. Ileż to już razy uskarżali się rodzice i nauczyciele na tajemnicze występkę, które drogą moralnej zarazy szerzą się epidemicznie w wielkich organizmach szkolnych, internatach, czyniąc fizyczne i duchowe spustoszenia. Ileż dobrego może zdziałać w samych początkach mądre słowo, interesujące skojarzenie wyobrażeń.

Wszystkie przedmioty nauki dają dość sposobności do obudzenia moralnej samodzielności. W naukach przyrodniczych przy omawianiu dostosowania się do otoczenia (mimikry) przez barwę, kształt, można to zjawisko przenieść na teren społeczny w świecie ludzkim i zobrazować niebezpieczeństwo w niem tkwiące. Przy sugestyi da się również wyłuszczyć cały szereg przytoczonych wyżej zapatrywań i to z jak największym zainteresowaniem ze strony działwy. W nauce dziejów powszechnych nie brakuje sposobności, by przeciwstawić ludzką słabość powodzeniu tłumy, potęgze panujących nastrojów i dążności, a uwydatnić siłę samodzielnego sumienia wobec tych potęg.

Celem uzupełnienia tego rodzaju oddziaływania powinien nauczyciel młodzież pobudzić, aby od stanu odpornego przechodziła do zaczepnego, t. zn. nie tylko umiała oprzeć się złemu przykładowi, ale zmuszała kolegów do pójścia za przykładem dobrym. Apelujemy bowiem wówczas do młodzieńczego popędu do zajęcia, oddajemy go na usługi dobrej sprawie. Jak wypróbowanym jest psychologicznie ten środek udowadniają doświadczenia Armii zbawienia, która rozpaczliwe wypadki moralnej słabości leczy, biorąc nią dotkniętych na służbę do ratowania innych. Któż nie dojrzy całego mnóstwa błędów wychowawczych w zdaniu: »Kaziu, nie podoba się mi, że przestajesz z ulicznikami, bo nabierzesz od nich złych manier«. Jakżeż inaczej postąpić w tym wypadku? Podajemy poniżej próbę, nie mając wcale pretensyi, by to niezwykle trudne zadanie zostało przez nas w sposób zadowalający rozwiązane.

Ulicznicy.

Pewna wdowa żyła ze swym jedynakiem w ciszy wiejskiej, wychowując go z największą miłością, troskliwością, odsuwając odeń wszystko, co złe i brzydkie, by wyrósł na człowieka szlachetnego, jakim był za życia jego ojciec. Później przeniosła się do miasta, aby syn mógł uczyćszczać do

wyższych szkół i zamieszkała w domu, który znajdował się przy dużym wolnym placu. Z okna patrzyła nieraz, jak jedynak bawił się wesoło na ulicy z innymi chłopcami. Pośród chłopców było wielu z najuboższych rodzin, więc matka pytała się z troską, czy syn nie nauczy się od tych źle wychowanych towarzyszy grubiańskich wyrazów, lub czegoś jeszcze gorszego.

Już otwierała okno, by syna z ulicy odwołać, wtem przysłała jej myśl: Co mu powiem, gdy zapyta, dlaczego nie wolno bawić się mu z tymi chłopcami. Czyż wyznam, że mógłby się zarazić złymi manierami, nieprzyzwoitemi wyrażeniami? Gdy mu to powiem, czy nie stanie się zarozumiałym wobec dzieci z ludu i nie zdziczeje jego serce? Przecież między ludem spotyka się często mimo nędzy, biedy, tyle uczciwości, dobroci serca, zdrowia duszy i rozsądku? Gdy synowi zabronię obcowania z dziećmi z ludu, gotów myśleć, iż w życiu zależy więcej na łupinie, niż na ziarnie, na pięknym ubraniu, niż na sercu, na rękawiczkach, niż na ręce, na mydle, niż na duszy, na słowach, niż na czynie. Zamknęła okno, a gdy syn rozgrzany jeszcze zabawą wpadł do pokoju, kazała mu usiąść przy sobie i z wielką powagą, a łzą w oku zaczęła tak mówić do niego:

Widzę, że masz wielki zastęp nowych towarzyszy, chciałabym ci więc powiedzieć, ile dobrego obiecuję sobie stąd dla ciebie. Wiesz, z jaką troskliwością dbam o wychowanie twego ciała, twej duszy. Dałam ci wszelkie wygody, a nie potrzebując sama pracować po za domem, mogę żyć w zupełności dla ciebie i dla twych potrzeb. Z jedną rzeczą tylko nie zapoznałam cię, z rzeczą, która człowieka czyni często bardzo silnym t. j. z ubóstwem i nędzą. Ileż bohaterstw spotyka się już u małych chłopców i dziewcząt, które muszą pracować na chleb, zastępować młodszemu rodzeństwu miejsce rodziców, wcześniej zaspakając byle czem głód i pragnienie. Jakaż siła woli wyrabia się w tej walce z niedostatkiem, jaka siła ofiary i miłości rozświeca bezsto-

neczne mieszkania! Spotkasz się nieraz z dziećmi tej sfery, nauczysz szacunku przed wielkością ubóstwa i przekonasz się, jak dobrą jest ono szkołą dla kształcenia serca i woli.

Ubóstwo kryje jednak w sobie i niebezpieczeństwa. Głód i nędza pędzą człowieka w objęcia wódki, powodują utratę wszystkiego, co szlachetne, pozostawiają ordynarność i tępość umysłu. Jakżeż często muszą dzieci widzieć i słyszeć to, co się złego robi i co się mówi, jak mało mają pociechy z ojca i z matki. Wieczorem wracają rodzice zmęczeni z roboty, zamiast radości przynoszą dzieciom smutek, beznadziejność. Dzieci chowają się same po ulicach, podwórkach, jak na puszczy, a tego nie zniesie każde serce; chłopcy moralnie zaniedbani zaczynają od brzydkich, nieprzyzwoitych rozmów, a kończą uczynkami, prowadzącymi nieraz do więzienia.

A teraz przychodzę, moje kochane dziecko, do rzeczy najważniejszej: Wiele matek z ludu martwi się nie z powodu własnego niedostatku, ale w przekonaniu, że nie zdołają dzieci ochronić przed wszystkim złem, które im zagraża. Że ty zaś masz w domu wszystko, czego ci potrzeba, podziękujesz Bogu najlepiej za to szczęście, jeśli chociażby jednego biednego chłopca z ulicy przez swe obcowanie umocnisz w walce ze złem, brzydkim i zachęcisz do powodowania się zdaniem matki. Możliwem będzie to wówczas, jeśli przez własny przykład obudzisz w sercu pożądanie dobrego, a nigdy dla chwilowej uciechy, dla koleżeństwa nie przyklaśniesz mowom, czynom brzydkim, nieprzyzwoitym, ani nie będziesz usiłował ich w nich przewyższyć. Pomnij, że są tobie powierzeni, nie zapomnij, że mogą mieć między sobą uwodziciela, który ich prowadzi do rzeczy nieczystych, nie czującego się dobrze, gdy ktoś mu sprzeciwia się i że ty może jesteś jedynym, który ich naprowadza do dobrego, którego się wstydzą. Dziękuj im za dobre od nich otrzymane w ten sposób, że nigdy nie ustąpisz, gdy okażą się słabymi. Gdy o tobie będą dzisiaj w domu opowiadać, kto

wie, czy ich spracowana, pełna trosk matka nie powie do siebie: »Dałby Bóg, by mój syn nauczył się czego dobrego od niego«. Nieprawdaż, nie zawiedziesz jej nadziei.

W podobnem omówieniu trzeba chłopca uczynić czułym i odpornym na złe wpływy ze strony »uliczników«, ale zarazem nie dopuścić, aby uważał się za coś nieskończenie wyższego i lepszego od nich. W ten sposób stosunek międzyklasowy utrzyma się na gruncie wzajemnego wychowania i pomocy, przyczem jedna warstwa wspiera drugą pomocami, będącymi wynikiem odrębnych warunków życiowych; miejsce obrony i bierności zajmie ofensywa, wzmacniająca znacznie ochronę przeciw zarażeniu. Takie omówienia tem są ważniejsze, że pospolita szkoła ludowa zakorzenia się coraz głębiej. Wielu rodziców zajmuje względem niej wrogie stanowisko z obawy przed zetknięciem swych dzieci starannie strzeżonych z dziećmi źle wychowanymi, zaniedbanymi. Trudno jednak stąd czynić rodzicom zarzut niespołecznego usposobienia. Jest prawdą, że w nędzy i w biedzie, na ulicach i podwórzach dzieci ulegają moralnemu zaniedbaniu; wobec faktu można stać z pokornem uczuciem własnej współwiny, ze społeczną gotowością do poświęceń, ale nie można uważać za rzecz pedagogicznie dobrą zbyt wczesnego zetknięcia się obu klas. Ponieważ postępująca demokratyzacja mimo powyższych obaw czyni i szkołę coraz bardziej demokratyczną, tem bardziej jest rzeczą konieczną przez odpowiednie pobudki starać się, aby wymiana wzajemnych wpływów przyniosła korzyść istotnie obu stronom. Powtarzamy wyraźnie: obu stronom. Bo i prosty robotnik może mieć powód do obawy o charakter swego dziecka, gdy się ono zetknie z osobnym gatunkiem zaniedbania, zepsucia i zniechęciałości, wynikającego z moralnych niebezpieczeństw bogactwa.

R a t o w a n i e.

Uniknęlibyśmy wielu prób moralnego odradzania i ratowania dorosłych członków ludzkiego społeczeństwa, gdyby lepiej było zorganizowane wzajemne ratownictwo wśród dzieci i dorastających. We wczesnem zapobieżeniu zbrodniczości jest momentem największej wagi postępowanie własnego rodzeństwa i kolegów szkolnych wobec dzieci moralnie zagrożonych, lub moralnie zdziczałych. Co do obchodzenia się z kolegami moralnie zepsutymi, wstrętnymi stoją dzieci nasze przeważnie jeszcze na stanowisku ludów pierwotnych, t. zn. na stanowisku najbardziej szorstkiego wyodrębnienia. W ten sposób chłopcy, dziewczęta, których przy pełnem miłości obejściu dałoby się jeszcze uratować, utrwalają się przez bezlitośne odosobnienie, potępienie w złem i idą na marne.

Zaiste mniej mielibyśmy niezadowolonych, zmarnowanych, mniej zbrodniarzy i szaleńców, mniej nerwowych i przeczulonych, gdyby wychowanie nauczyło ludzi dość wczesnie obchodzenia się z naturami nienormalnemi, zdziczałemi nie ze strony obrony i walki, ale ze stanowiska pomocy i ratowania. Badając dzieje czynów rozpaczy, postępującego zwyrodnienia widzimy nieraz, że bezmyślność i gburowatość najbliższego otoczenia przyczyniła się faktycznie do upadku. U dziecka istnieje cały szereg sił, które można wyzyskać w kierunku czynności ratowniczej i przy ich pomocy zwalczyć faryzejską dumę. Dziecku wydaje się ratowanie współbliznich dziełem pociągającym dumę i fantazyę, bo rozchodzi się w niem nie o bierną cierpliwość, lecz o działanie czynne, wkraczanie samodzielne. Istota wychowania moralnego polega na wprowadzeniu takich pojęć pomocy.

Nawet w świecie zwierzęcym, pośród wrogich gatunków można unicestwić popędy do walki i zniszczenia, stwarzając warunki, które umożliwiają obudzenie popędów ochrony.

W o wiele wyższym stopniu można to zastosować u człowieka, a przecież podobnych momentów nie wyzyskuje się należycie w wychowaniu. Powierając chłopcu zresztą szorstkiemu, egoistycznemu, brata lub kolegę trudnego do prowadzenia zauważymy, że popęd ochrony weźmie górę nad popędem odporu, szczególnie jeśli chłopca zainteresujemy w sposób pedagogiczny jego zadaniem ratowania potrzebującego pomocy i potrafimy wzniecić chęć do wypróbowania własnych sił wychowawczych na osobniku, powierzonym jego pieczy.

Również należy obudzić współczucie wykazując, że zaniedbanemu i zdziachałemu brakło zbyt często błogosławieństwa życia rodzinnego, dobrego przykładu. W każdej szkole, klasie zdarzy się uczeń, uczenica, z którymi nikt nie chce się wdawać, bo są złymi, zepsutymi, niepoprawnymi nieponiami. Pozornie naprawdę tak jest, bo każdemu dokuczają, rodzicom sprawiają zmartwienie, dręczą zwierzęta, ciskają najbrzydsze słowa, w szkole są leniwi i nieposłuszni. Czyż należy pozostawić ich własnemu losowi, by ginęły w powszechnej wzdardzie i ogólnym wstręcie? Czyż nie można ich poprawić, uratować? Odpowiedź na te pytania niechaj dadzą poniższe opowiadania.

Ratowanie pijaka.

Pokazywano mi raz człowieka, który dla nieuleczalnego pijaństwa był w zakładzie dla obłąkanych, a teraz jest zupełnie zdrow i znowu dobrym ojcem rodziny. Zapytałem kierownika zakładu dla obłąkanych, w jaki sposób został uratowany. Opowiedział co następuje: »Dałem z nim za wygrane, bo ile razy wyszedł ze szpitala, zaczynał pić na nowo. Wtem usłyszałem o biednym szewcu, który założył związek, złożony z ludzi, pod przysięgą wyrzekających się używania choćby kropli alkoholu. Przrzekli dać z siebie dobry przykład dlatego, że tyle nędzy i nieszczęść pochodzi na świecie z wódki, tyle rodzin idzie na marne skutkiem

pijaństwa. Kazałem mojemu nieuleczalnemu przystąpić do związku i został uleczonym«. Uratowało go przyjęcie do dobrego towarzystwa tych ludzi, traktowanie na równi z innymi członkami, podpisanie rewersu, w którym pod słowem honoru zobowiązał się nie pić piwa, wina i wódki. Potrzebował takiej liny ratunkowej, uczucia, że inni szli razem z nim, z tem samem postanowieniem i wzmacniali przykładem. Odtąd bardzo wielu »nieuleczalnych« uleczono w podobny sposób i nie przez wyrzucenie, lecz przez przygarńnięcie. Zapytawszy żon takich uratowanych, jak się obecnie mężowie sprawują, usłyszemy odpowiedź, daną z promienną twarzą: »Dobrze, dobrze, przecież podpisał«.

Skrzynia z odpadkami.

Czyście słyszeli kiedy, co się dzieje ze śmieciami, odpadkami, które sługa wrzuca do skrzynki, będącej śmietnikiem? Prawdopodobnie myślicie, że wszystko znika gdzieś niepowrotnie w jakimś świecie podziemnym. Były to bowiem przeważnie rzeczy »opuszczone przez lekarzy«, uznane za »nieuleczalne«, zniszczone, bezpożyteczne jak np. podarte lalki, potłuczone zabawki, garnki, talerze, łachmany, kości itp. Jest mała książeczka p. t.: »Podróż odkryweza po domu i podwórzu«,*) której autor zadał sobie trud zbadania dokładnego rzeczy, wypełniających śmietniki. I odkrył, że niemal wszystko ludzka sztuka zamienia z powrotem w przedmiot użytku. Naprzykład kości. Największe i najpiękniejsze przerabia fabryka na trzonki do nożów, klawisze fortepianowe, z mniejszych wyrabia się fosfor, a resztę miele na mąkę, którą jako nawóz bardzo ceni rolnik. Odpadki skóry idą do fabryki kleju, łuski rybie zamieniają na perły, naramienniki, ozdoby, stare szmaty, z których dawniej robiono

*) Dla utrwalenia rozmówki można odczytać z dziećmi ustęp z czytanek dla szkół ludowych galicyjskich p. t.: »Niemasz rzeczy niepożytecznej na świecie«. (Trzecia książka do czytania dla IV. klasy).

papier, wróciwszy do fabryk, rozdrobione wchodzą w skład nowej wełny i zaczynają powtórnie obieg. Odpadki stąd pozostałe zdobią jako tapety nasze pokoje. Gałganki niezdatne do fabrykacji papieru, zmieniają się w masę papierową, mającą najróżnorodniejsze zastosowanie, kawałki szkła, potłuczone flaszki przetapiają na nowo. Ludzka sztuka potrafi zatem najgorsze odpadki, wyrzutki, przerobić znowu na pożytecznych członków społeczeństwa. Czyż nie jest więc rzeczą brzydką, że postępuje się nieopatrnie, bezmyślnie z ludźmi, którzy częściowo ulegli rozbiciu, lub zgałganiu, że odpycha się ich zaraz, wyrzuca ze społeczeństwa jako nieużytecznych, niepoprawnych, zamiast by zastosować względem nich bodaj połowę tej usilności, z jaką przerabiamy kości, skóry, szmaty? Z odpadków śmietnikowych pragniemy stworzyć coś wartościowego, a gdy chodzi o ludzi powiadały: »Nie będziemy z nim więcej ani mówić, ani bawić się, bo z niego już nic nie da się zrobić«.

Poczwar k a.

Jeśli kto znajdzie poczwarkę, a nie wie, że z tego martwego, zimnego oprzędu może wylęgnąć się na wiosnę piękny motyl, porzuca ją jako nieżywe zwierzę, lub niepotrzebny przedmiot. Tak samo dzieje się z niejednym człowiekiem. Cała jego istota jest niejako poczwarką oprzędzoną, zamkniętą w sobie, a kto patrzy zewnątrznie pomyśli, iż z niej nie będzie żadnej pocięchy. Jednak brak mu tylko słońca wiosennego, by obudził się do nowego życia. Tem słońcem możecie być wy. Czem dla poczwarki słońce, tem dla ludzi zamkniętych w sobie, zgorzkniałych, serdeczne współczucie i dobroć. Gdy poczwarkę umieścicie w ciemnej piwnicy, nie wyleci z niej pstry motyl, — człowiek nie poznawszy miłości, pozostanie przez całe życie poczwarką. Spotkawszy na drodze swego życia takiego oprzędzonego człowieka, nie odpychajcie go bezmyślnie od siebie, spróbujcie raczej waszej siły opromieniającej, a może ukaza się

skrzydełka motyla. Choćby się próba nie udała, nie dajcie mu tego poznać, ale zapytajcie siebie, ileż zimna, ciemności, powietrza piwnicznego złożyło się na to, że ten człowiek skrzepnął na zawsze.

Malarz.

Było raz dwoje bardzo brzydkich dzieci, których portrety miała babka otrzymać w dniu swych imienin. Rodzice zaprowadzili ich do sławnego malarza z zapytaniem, czy podejmie się pracy. Malarz przyrzekł, ale z bardzo kwaśną miną, bo wcale nie pociągała go myśl uwiecznienia na płótnie tak brzydkich, odbijających złe wychowanie twarzy. Umówiono się o wszystko i dzieci pozowały codziennie. Po czterech tygodniach obraz był gotów; wszystkich zdumiewał nader miły wyraz twarzy sportretowanych, chociaż nikt nie mógł powiedzieć, by nie było podobieństwa. »Skąd pan wyczarowałeś ten wyraz?« pytano malarza. »Nie potrzebowałem tego czynić, wydobyłem go wprost z dzieci. Podczas malowania opowiadałem piękne powiastki, kazałem im samym opowiadać, a gdy nagle wśród tego zabłysnęło na ich twarzach wszystko co miłe i dobre dotąd drzemało w ich duszy, przeniosłem szybko na płótno. Nie upiększałem nic, uwydatniłem tylko istniejące piękno. Każdy malarz powinien być takim odkrywcą«.

Oby każdy człowiek mógł znaleźć takiego odkrywcę. Kto posiada cierpliwość, może osiąść sztukę wydobywania ukrytego piękna. Gdy gniewają was koledzy, rodzeństwo swą brzydkością, pomyślcie, że macie ich malować i użycie własnej twarzy. Może da się wmalować po kilku tygodniach inny wyraz twarzy przez zdwojoną uprzejmość i dobroć. Nauczcie się obserwować jak ów malarz i patrzcie, czy przez odbicie waszego dobrego obchodzenia się z nimi, nie zmieniły się ich oczy i zarys ust. Jakże to będzie pięknie, gdy rodzice »brzydkich« ucieszą się pięknym obrazem, przez was

malowanym nie farbami olejnymi na płótnie, ale sztuką serca na żywych twarzach!

Gra na skrzypcach.

Był raz chłopczyk tak nieznośny, że nikt nie chciał się z nim bawić, bo psuł każdą zabawę i lubił drugich dręczyć, gniewać, a nadto po za plecami wygadywać. Raz odwiedzili jego matkę towarzysze i towarzyszki zabaw, aby się nań poskarżyć. I wówczas ujrzeli, jak beznadziejnie smutnym było mieszkanie owego chłopca. Matka pokazała im stare, pęknięte skrzypce mówiąc, że syn grywa na nich zawsze, bo ma ogromny pociąg do muzyki; niestety, brak pieniędzy stoi na przeszkodzie, by mu kupić nowe skrzypce i opłacać lekcye gry na skrzypcach. Dzieci powtórzyły to wszystko w domu. Rodzice postanowili urządzić składkę, by chłopak mógł pobierać lekcye. Składka udała się, chłopiec od owego dnia zmienił się nie do poznania, nawet twarz przybrała inny wyraz. Znalazł na świecie coś, co mogło go cieszyć, lód stopniał w jego sercu, budząc do życia wszelkie lepsze instynkta. A przecież sami koledzy uznali go za nieuleczalnego! Nie pomogło bicie, tylko skrzypce. Na skrzydłach pieśni unosi się skowronek w powietrze, tak i on na tonach muzyki wzniósł się ku światłu. Fantazyi, wesołości, ochoty do życia nie brakło mu, ale to wszystko nie znalazłszy dotąd należytego podłoża, wzerało się w ciało, czyniło go dzikim i szorstkim.

Dwunastu braci.

Znacie bajkę o dwunastu braciach? Byli zakłęci, gdy ich siostrzyczka przyszła na świat, a ta udała się później na poszukiwanie za nimi, by ich wybawić. Była już niedaleko i w ogródku zrywała 12 białych kwiatków dla swych braci. Wtem ukazuje się staruszka i powiada: »Co też zrobiłaś najlepszego? Te białe kwiaty, to twoi bracia, teraz zamienieni znowu w kruki«. Dziewczyna zapytała z płaczem:

»Cóż pocznę, by ich ratować?« Na to odpowiada starucha: »Jest jeden jedyny sposób, ale bardzo trudny. Przez siedm lat musisz milczeć, nawet nie śmiać się, a gdyby brakło choćby jednej godziny do oznaczonego terminu, trud będzie daremny, jednym słówkiem zabijesz braci«. Dziewczyna postanowiła w swem serduszku: »Uwolnię moich braci na pewno«. Poszła do wielkiego lasu i usiadła przy krosnach. Tam znalazł ją król, zabrał ze sobą do zamku i uczynił królową, lubo była niemą. Spokojnie żyła przez kilka lat, aż posądzono ją o czary; z początku król nie chciał temu wierzyć, później podmówiony wydał rozkaz, aby ją jako czarownicę spalono. Kiedy już stała na stosie i płomień zaczęły lizać jej suknie, nie przemówiła ani słówka, a właśnie upłynęły ostatnie minuty z owych siedmiu lat. Wtem w powietrzu coś załopotowało; spadło 12 kruków, zamieniło się w jej braci, którzy szybko stos rozrzućili, więzy potargali. Szczęśliwa siostra mogła wreszcie przemówić i ku powszechnej radości wyjawić tajemnicę swego milczenia.

Powiedzcież teraz sami, czy tylko w bajkach tak się zdarza, że siostra wybawia braci milczeniem, czy może dzieć się w rzeczywistości? Czyż naprawdę można człowieka zbawić milczeniem, t. zn. przez milczenie oswobodzić od czaru jakiegoś złego przyzwyczajenia? Czy np. przyda się pomoc siostry, gdy brat ma usposobienie gwałtowne, przyjaźni niedostępne, które grozi wielkiem niebezpieczeństwem dla późniejszego życia? Owszem, przyda się, siostra jedynie potrafi to zdziałać, jeśli będzie posiadała dość miłości do poniesienia ofiary. Jakiej ofiary? Że choćby miała rację, będzie podczas kłótni milczała, tym wspomniałym przykładem zawstydzona i przyprowadzona do upamiętania. Nie odrazu, może dopiero po siedmiu latach, ale to jest jedyny środek skuteczny. Tylko środek ten jest bardzo trudny, nie dla wielu dostępny. Nie przypuszczajcie, że brat wasz za każdym razem podczas kłótni będzie mniemał o słuszności swej sprawy dlatego, iż wy milczycie. Każdy człowiek wie dosko-

nale przez własny głos wewnętrzny, czy ma rację, czy nie zaszedł za daleko, czy się nie znalazł niepięknie. Dlatego średniowieczny poeta Dante przedstawił w swym poemacie o piekle grzeszników w ten sposób, że nie czekają, aż ich szatani poprowadzą na miejsce kaźni, ale sami się tam udają, wiedząc, w czym zgrzeszyli. W stosunku na zewnątrz ma jednak każdy tę słabość, że nie chce drugiemu przyznać się, jeśli sam nie ma słuszności. Gdy zatem siostra kłóci się, sprzecza się, byle jej było na wierzchu, brat chwytą się coraz gwałtowniej obrony, staje się upartym, i tak bez końca. Nieraz kłócą się ludzie w ten sposób przez całe życie, a nawet gdyby mogli wstać z grobu, kłóciliby się jako duchy po śmierci. Błogosławionemi niechaj więc będą wszystkie siostry, które uczyniły w duszy ślub milczenia i jak owa siostra w bajce wybrały się w drogę ze słowami: »Wiem na pewno, że ich zbawię«.

Ł z y ż a ł u.

Opowiem wam dawne włoskie podanie z wieków średnich. Za czasów cesarza Maurycego żył w państwie bizantyńskim dziki rabuś, nie mający litości dla nikogo, nie uznający ani praw ludzkich, ani boskich. Obwarował się ze swą bandą na górze i stamtąd przedsiębrał wyprawy łupieckie po całym kraju. Kto wzbraniał się płacić mu haracz, mógł być pewien, że w nocy jego posiadłość pójdzie z dymem, on sam zostanie okrutnie zamordowany. Lud wystraszony zażądał pomocy od cesarza. Ten wysłał stu wojowników, ale wycięto ich niemal w pień, a ci, którzy wrócili, oświadczyli, że rabuś sprzymierzył się ze złymi duchami. Cesarz otrzymawszy tę wiadomość długo rozmyślał, aż powziął pewien plan.

Wziął ile mógł najczystsze złota ze skarbcza, zawołał pobożnego mnicha, najślawniejszego rzeźbiarza w swem państwie i kazał mu ze złota zrobić wspianiały ołtarzyk przenośny. Mnich pracował dzień i noc w swej celi, a że

był świętym człowiekiem, cały utonął w swem dziele, by przysłużyć się Bogu. Już krzyż był gotów z postacią Zbawiciela i gołąbek pokoju z gałązką oliwną. Podczas tworzenia nie ustawał zakonnik w modlitwie, obejmując myślą to zakamieniałe serce, dla którego rzeźba była przeznaczona. Gdy ołtarz został ukończony, wysłał go cesarz przez posłów do zbójcy. Wśród zimy dotarli posłowie do góry, gdzie mieścił się obóz zbójców. Rabuś przyjął ich z ponurą miną w gronie towarzyszy i zapytał, czego żądają. Jeden z posłów podał mu ołtarz i rzekł: »Ten podarunek przysłała ci cesarz na znak swej łaskawości«. Rabuś ujął ręką, zbrukaną krwią ludzką, dar cesarski i oniemiał. Po chwili zawołał: »Dla mnie, dla mnie?« Trzy razy musiał poseł powtarzać swe zlecenie, poczem zbrodniarz przyjął ołtarz, przesiąkł tysiącem modłów. I nie były one nadaremne. Z każdym dniem zachodziła nowa zmiana w duszy zbójcy. Nic go już nie cieszyło, czar zdawał się wychodzić z arcydzieła, obejmując w posiadanie duszę. Siadywał całymi godzinami, wpatrując się z niezwykłym spokojem w każdy święty znak. Nie złoto jednak, ani zewnętrzna wspaniałość dzieła działała nań kojąco, lecz święta dusza mnicha, żyjąca w każdej linii. Powoli budził się z ciężkiego snu całego życia, napływały nowe myśli i uczucia; w ich świetle ujrzął okrutność swych postępów i ogarnęła go gryząca skrucha. Potajemnie opuścił towarzyszy i po długich dniach wędrówki przybył w czasie Wielkiego tygodnia do stolicy cesarskiej. Na oczach całego ludu rzucił się do stóp monarszych i prosił o przebaczenie. Cesarz widząc skruchę jego rzekł: »Niech Bóg w niebie tak moje grzechy odpuści, jak ja twoje odpuszczam«. Ale nie szczęśliwy człowiek nie mógł sam sobie przebaczyć; cienie zbrodni ściagały go dzień i noc. Rozchorował się i umarł w szpitalu. Lekarz, który go pielęgnował do ostatnich chwil, miał nad rankiem sen: złe duchy i anioły walczyły o duszę zmarłego. Przywódzca szatanów pochwyił wagę i położył na jednej stronie wszystkie jego zbrodnie; przeciwna szala

pomknęła w górę, bo nie było ani jednego dobrego uczynku dla przeciwwagi. Wówczas pochwycił anioł duszę zmarłego, całą przesiąkniętą łzami żalu i rzucił na pustą szalę. Szala zaczęła opadać zwolna, szatani odeszli z niczem.

Jaką tajemnicę ludzkiego serca odkrywa nam ta legenda. Nie pytam się, czego się można nauczyć z powyższego opowiadania, bo takie utwory nie są na to, by z nich uczyć się, jak np. z gramatyki, albo z książki rachunkowej. Stworzyli je ludzie głębiej w ludzkie serce i w ciemności życia patrzący od innych, a kiedy ich twór wchłoniemy w siebie, zdaje się nam, że nasze własne oczy powiększyły się, rozjaśniły, że widzimy rzeczy, przedtem dla nas ukryte.

Czytając tę starą legendę mam wrażenie, iż wielu ludzi żyje w takim oszańcowanym obozie uporu i zakamieniałego egoizmu, tylko że niema nigdzie pobożnego mnicha, któryby im przyniósł święty ołtarzyk t. zn. niema człowieka, coby z trudem i cierpliwością sam siebie najpierw oczyścił z uporu i samolubstwa i znakiem najgłębszej litości ich odkupił. Najczęściej groźby, przekleństwa i kamienie lecą na obóz, a potem mówi się: »Cały trud na nic, — on nie nawróci się«. Zapytajcie siebie samych, jak często odwracaliście się z gniewem od waszych kolegów, braci, zamiast dać dowód wielkiej miłości. Czytając o rabusiu, mordercy, myślicie ze zgrozą, że to zwierzę dzikie, które trzeba zabić, jak wściekłego psa. Kto wie, czy jednak nie spoczywa tam w głębokiem ukryciu, na dnie serca zarodek dobrego, nie kiełkujący, bo go nie zbudzono? Jeśli jest prawda, — a dowodów nie brak, — że najgorszych ludzi może uratować ten, kto znajdzie klucz do ich serca, czyż nie musimy przyznać, że nasza to wina i niezręczność, jeśli nie potrafimy z kimś wyżyć, lecz ciągle spory prowadzimy. Wasz brat nie jest zbójcą, a tak z nim często obchodzicie się, jakby był człowiekiem, na którego działa jedynie gwałt, nienawiść. Wiem, co mi odpowiecie: byłem grzecznym, uprzejmym, ale na nic się wszystko nie zdało. Kto wie, czy nie zadaliście

sobie zbyt mało trudu. Uprzejmość wówczas przemawia skutecznie do serca, gdy serce oczyściło się gruntownie z wszelkiej urazy. Ton jest wytworem duszy, gdy ta pozostanie kamienną i zimną, braknie tonowi wzruszającej łagodności. Ton może być arcydziełem, z którego spływa tyle nowego współczucia, tyle skromnej gotowości do niesienia pomocy, że bliźniego chwytą za serce, powoduje łzy żalu i nawraca.

Ludzie nieprzyjemni.

Niedawno zapytał mnie jeden chłopiec, co czynić, gdy przyjdzie niemiły gość. Okazywać radość z wizyty byłoby kłamstwem, a znowu trudno zawołać: »Na miły Bóg, znowu tu jesteś? Przecież musiałeś chyba dawno zauważyć, że cię nie cierpię«. Dałem chłopcu taką odpowiedź: Prawda, że nie należy udawać zadowolenia, którego się nie odczuwa. Ale po krótkim zastanowieniu przyjdziemy do przekonania, że nawet odwiedziny człowieka nieprzyjemnego można nauczyć się uważać za coś przyjemnego i wówczas nie zmuszać się do miny uprzejmej. Myślę tak: Zastanów się tylko, co za smutny los mieć opinię człowieka »nieprzyjemnego«, a więc być obarczonym przysmakiem, których inni ludzie nie znoszą. Kto sam na sobie przekonał się, że drudzy znajdują przyjemność w obcowaniu z nim, powinien zapytać się: Co by też było, gdyby wszyscy przedemną uciekali, drzwi zamykali ze złością przed nosem? Sama myśl wydaje się przykrym snem, nie prawdaż? Pewnem jest, iż ludzie zauważywszy coś podobnego stają się jeszcze nieprzyjemniejsi i bardziej zgorzkniali. Cóż mogło być pierwotnym powodem ich nieznośnego obejścia? Może smutne dzieciństwo, brak miłości rodzinnej, ciężki los, rozczarowania. Po takim zastanowieniu wzrasta współczucie, wstydzimy się niemal naszego niezasażonego szczęścia, wizyta niemiła zamienia się w przyjemną, bo chcemy naprawić to, co życie zaniedbało, zbadać, czy pod niepozorną łupiną nie kryje się szlachetne ziarno. O wiele łatwiej przyjmować odwiedziny przyjemne,

ale właśnie dlatego powinniśmy wypróbować sił w rzeczach nieprzyjemnych, przezwyciężyć wstręt swego ja i oddać na usługi miłości. Człowiek nie może nigdy dobrać towarzystwa według swego upodobania, nawet najbliżsi, najzaufańsi narażają na szwank cierpliwość.

Opowiem ci piękną legendę, która ubiera w piękny obraz to wszystko, co powiedziałem: Pewien święty udał się podczas nocy letniej na cmentarz, celem pomodlenia się za dusze zapomnianych zmarłych. Godzina płynęła za godziną, on modlił się coraz żarliwiej. O północy wśród blasków księżyca, rozświetlających pochylone krzyże, ukazał się nagle u bram cmentarza orszak aniołów. Święty widział ze zdumieniem, jak przystanęli przed zmurszałym, zapadłym kamieniem, okadzili go kadzielnicą, potem zatrzymali się przed kilku innymi zapomnianymi grobami, podążyli do muru cmentarnego, zarosłego pokrzywami, bez śladu mogił, a wszędzie pochylali się rozlewając przedziwną woń ze swych kadzielnic, wreszcie znikli równie cicho, jak przyszli.

Patrzaj: anioły modlą się u zapomnianych grobów, a my żywi mielibyśmy z zimną obojętnością przechodzić mimo zapomnianych, odepchniętych za życia? Klękniijmy raczej przed zgniecionym kwiatem ich życia, użyjemy nieco miłości z naszego szczęścia, a przestaną dla nas być nieprzyjemnymi. Kto tak wysoko nie zdoła się wzbić, może się doczekać, iż role zamienią się i on sam niepostrzeżenie stanie się dla innych człowiekiem »nieprzyjemnym«.

Rodzice i dzieci.

OGólne zasady pedagogicznego postępowania ze stosunkami dziecka w domu ujmujemy w następujące punkta:

1. Nie można dawać obowiązkowych rozkazów odnośnie do miłości rodziców i rodzeństwa. Gdy miłość istnieje, są zbędne, gdy jej niema, nie przydadzą się na nic. Natomiast można w sposób konkretny objaśnić, co taka miłość znaczy, jak się powinna czynnie objawiać.

2. Założenie rozmówek nie powinno wychodzić od rodziców wzorowych, owszem zdawać sobie sprawę, że bardzo wiele dzieci potrzebuje rady i pomocy właśnie w mniej przyjemnych, ciężkich stosunkach domowych. Ukażmy dzieciom drogę, na której mogą zachować należyty szacunek nawet względem rodziców gwałtownych, niesprawiedliwych.

3. Dlatego nie gruntujmy etycznego postępowania dziecka na dobrodziejstwach, jakich mu rodzice użyczają. Nie wychodźmy od tego, co dziecko otrzymuje, ale co samo może dać, powiedzmy mu, że rodzina jest szkołą ćwiczenia we wszystkim najlepszym, że zatem wypełnianie obowiązków rodzinnych należy do rzeczy samych z siebie wynikających.

W myśl powyższych zasad podajemy kilka prób omówień.

Formy i maniery.

»Nie ma żadnych form«, powiadamy o człowieku nieokrzesanym. Na cóż potrzebne są formy? Mówi się przecież, że treść jest rzeczą główną, a forma zewnętrzna nie ma wartości.

Czy przypominacie sobie naszą rozmowę o czystości? Przekonaaliśmy się, że czystość jest sprawą zewnętrzną, ale że ten środek zewnętrzny może posłużyć do wyrażenia czegoś wewnętrznego, do obudzenia chęci czystości serca bez znazy. Czemyby był człowiek, gdyby nie miał daru wyrażania na zewnątrz wewnętrznych uczuć, gdyby nie mógł mówić, pisać, śpiewać, grać, tworzyć, malować? Wewnętrzne życie zgasłoby zupełnie, bo zewnętrzny wyraz nie jest czezą formą, lecz tym objawem ożywia życie wewnętrzne. Znam wielu ludzi, którzy rodziców serdecznie kochają, ale zewnętrznem zachowaniem tego nie okazują. Rozmawiają z nimi opieszale jak z kolegami, rozsiadają się wobec nich po kanapach, krzesłach, ledwie raczą się przywitać, sprzeciwiają się krnąbrnie, słowem nie odczuwają potrzeby wyrażenia formą swego szacunku. Kto naprawdę szanuje ojca, ten powinien odpowiadać, rozmawiać z nim w tonie pełnym skro-

mności i wprost wzruszającej pokory. Dzisiaj, jak się zdaje, już dawno wyszło z mody, by syn powstał, gdy ojciec do niego mówi stojąco, a przecież uszanuje syn tylko samego siebie, gdy powróci do tego dawnego zwyczaju. Z prawdziwą przyjemnością zachowa także każdy człowiek delikatniejszej natury inne formy jak n. p. nie otworzy ust i nie będzie przerywał, kiedy ojciec mówi, owszem całą postawą zewnętrzną okaże uwagę.

Dzisiaj co do form wogóle bardzo zubożeliśmy. U Arabów musi syn zdejmować obuwie, gdy idzie do matki, a zwyczaj ten wyraża, że nic nie powinno się przedostać z pyłu ulicznego do pokoju matki, że ziemia w jej pobliżu jest święta, że cicho i skromnie powinno się przy niej stąpać. U nas syn nawet o tem nie myśli, by obuwie porządnie oczyścić z błota na polu, ale brud uliczny wnosi do pokoju matki. Czy to ma być szacunek? Kto z chęci szlachetnego wyrażenia tego, co czuje w sercu, obuwie oczyści, nim stanie przed matką i nie wpadnie do pokoju z krzykiem, hałasem, ale wejdzie krokiem cichym, skromnym, postąpi jak artysta, który rzecz oderwaną, nieuchwytną przedstawił w pięknej formie.

Przykładów możnaby o wiele więcej przytoczyć. Są ludzie dla kogoś n. p. bardzo życzliwi, ale nie panują nad formami; gdy ktoś do nich mówi, patrzą na sufit lub przez okno, ruszają się na krześle, przewracają kartki książki. Do zewnętrznej formy uprzejmości należy i to, aby wyrazić drugiemu zajęcie i uwagę miną, postawą, zachowaniem się. Zbyt głośne, pewne siebie występowanie, mówienie zbyt wiele o sobie świadczy również o braku form, bo nie wyraża się wówczas uczucia, jak małym jest się dla samego siebie, a ile zawdzięcza innym.

Wszelka t. zw. grzeczność nie powinna być niczem innym, jak szlachetną, piękną formą wewnętrznego usposobienia. Możemy tu zauważyć to samo, co przy czystości: Piękne przyzwyczajenia zewnętrzne ożywiają i wzmacniają

uczucia wewnętrzne. Kto n. p. nabył miłych, skromnych form w obejściu, tego dobroć wewnętrzna utrzyma zawsze w czujności i będzie uprzejmym z ludźmi nawet dla siebie nader niemiłymi. Powiedziano, że to faryzeuszostwo być uprzejmym, gdy kogoś nie może się znieść, ale powiedziano fałszywie. Nie, forma uprzejmości jest wyrazem najlepszej w nas części, pomaga do przetrwania godzin, w których nasz wewnętrzny człowiek nie stoi na równi z nami tak, jak sztuka rozprasza smutne chwile.

Pewien malarz nie chciał sprzedać swych obrazów, chociaż mu ofiarowano za nie wysoką sumę. Były mu dlatego tak drogie, że wyrażały doskonale któreś z jego uczuć; ile razy na nie popatrzył, uczucia budziły się na nowo. Kto raz wynalazł piękną i szlachetną formę do dania widomego wyrazu swym najmilszym uczuciom, nigdy się ich nie pozbędzie. Będą mu tak drogie, jak malarzowi obrazy; własne życie będzie przy nich po raz drugi przeżywał.

M a t k a.

Bardzo wielu z was zna Madonnę sykstyńską Rafaela. (Według możliwości powinien nauczyciel podczas tej rozmowy mieć pod ręką ten obraz). Powiedzcie, czy istnieją takie kobiety w rzeczywistości? A jakżeż mógł Rafael stworzyć taki obraz, gdy niema kobiet podobnych do jego Madonny? Sam opowiedział raz, jak powstał jego obraz. Przypatrzył się wielu matkom, a znalazłszy u którejś jakiś piękny rys, zbierał wszystko jak pszczoła miód i połączył w tym wspaniałym obrazie. Dostojność, czystość nie zostały zatem pochwycone z powietrza, ale zebrane z życia rzeczywistego. Z niedościgłą czystością Madonny nie można porównywać żadnej kobiety na ziemi, ale w każdej matce schylającej się nad dziecieniem jest coś świętego, niebiańskiego. Ludzie nie widzą najczęściej glorię świętości, bo ma twarz znużoną, schorowaną, ręce zgrubiałe od pracy, nieraz jest zgryźliwą, gniewną z powodu zmartwień i przepracowania. Wielki

artysta widzi więcej, niż inni ludzie, a takim był Rafael. Przypatrzysz się dobrze jego Madonnie, musicie i na własną matkę spoglądać innemi oczami. Patrzcie na jej twarz, kiedy wieczorem pochyli się nad waszem łóżkiem, lub pielęgnuje podczas choroby. Niebiański wyraz okala jej lica, bo w danej chwili nie myśli zupełnie o sobie. Ile zaś razy człowiek zapomina o sobie, twarz jego wygląda, jakby nie żył na tej ziemi. Dlatego też mówimy nieraz: »Moja matka jest aniołem«. Wiem, że niektóre matki nie są aniołami, i że niektóre matki bardzo dobre z powodu choroby stały się gwałtowne, nerwowe, a dziecko doznaje skutkiem tego niesprawiedliwości. Czy Rafael o tem nie wiedział, tego nie widział? Tak, ale patrzył poprzez to wszystko, widział nieprzespane noce, obawy, nędzę, a kiedy jeszcze pomyślał o morzu miłości, czułości, spływającym codziennie i co noc na całym świecie od tysięcy matek, całujących śpiące dzieci, wydało mu się macierzyństwo czemś tak wielkiem, iż niedoskonałości zniknęły, a promień wspaniałości padł i na matki niezasobne w siłę miłości i ofiary. Kto w każdym momencie po rycersku, delikatnie obchodzi się z matką, postępuje jak z królową, ma oczy Rafaela, wie, czem jest jego matka. Pewien człowiek, którego matka odznaczała się wprost dzikimi instynktami, obchodził się z nią z anielską łagodnością i oddawał cześć, jakby księżniczce. Gdy go zapytano, dlaczego matce nie odpłaca za szorstkość szorstkością, odpowiedział: Każda matka, która nosiła dziecię na rękę jest dla mnie świętą, dlatego będę schylał głowę przed nią aż do śmierci.

Widzę nieraz, że synowie i córki w miarę dorastania stają się niecierpliwymi, nieskromnymi względem matki. Zapytani o powód odpowiedzą: Mama sama winna; gani nas ustawicznie, jest gwałtowna, popędliwa. Ba, ale dlaczegoż stała się tak nerwową? Jakże nieznośni jesteście sami, gdyście tylko przez jedną noc źle spali. Ileż nocy wasza matka przez was spędziła bezsennie, martwiąc się i gryząc waszemi

wadami. A czy nie ma może innych trosk, o których się dopiero później dowiecie, a może nawet nigdy. Przez cały rok, dzień i noc bez przerwy musiałaby spać, aby nadrobić chwile spędzone z powodu was na czuwaniu. Nie ma jednak na to czasu, więc nerwy odmawiają posłuszeństwa, okazują zniecierpliwienie i popędlivość. Kto o tem pamięta, że przez was straciła zdrowie, musi poczerwieniec aż po uszy za każdym razem, kiedy jej odpowie zuchwale, bez szacunku.

Gdy ojciec potknie się.

»Czcij ojca i matkę, abys długo żył i dobrze ci się powodziło na ziemi« — tak mówi czwarte przykazanie. Słyszeliście może, albo widzieli, że nie wszyscy ojcowie są niestety dobrymi; biją żonę i dzieci, przepijają własny zarobek tygodniowy i żony, a nieraz, co gorsza, za jakieś przewinienie, zbrodnię idą do więzienia. Sam uczyłem raz chłopca, którego ojciec za kradzież odsiadywał karę. Dlatego zadałem dzieciom podczas nauki takie pytanie: Czy może wogóle dziecko czcić i kochać ojca, gdy ten siedzi w więzieniu? Przez chwilę było w klasie cichutko, potem odezwała się córka robotnika: Tak, bo gdy i my go opuścimy, stanie się jeszcze gorszym. Była to jedynie racjonalna odpowiedź. Nietylko dzieci są ojcu powierzone, ale i on dzieciom. Każdy człowiek powinien bliźniemu podać rękę, gdy ten się potknie. Żaden człowiek na świecie nie zginie, dopóki ma kogoś, co w niego wierzy. Wszyscy bowiem przynoszą ze sobą na świat światłość, nieraz zupełnie zaciemnioną wadami i winami, ale dostrzegalną dla tych, którzy ich kochają, zatem przedewszystkiem dla własnych dzieci. Wiedzą one nieraz, jak smutnem było dzieciństwo ojca, jak wczesnie matka umarła, jak źle powodziło mu się w życiu, jak często w nocy wzdychał, — jest więc dla nich czcigodnym w swoim nieszczęściu.

Wiecie również niestety, że ojciec wraca nieraz wieczorem do domu pijany, czyż należy mu za to od dzieci pogarda? Nie. Gdyby wasz ojciec był kulawym, a chód jego dla innych śmiesznym, czyż mogłyby go własne dzieci wyśmiewać? Nie, bo znają wadę i jej powód. Tak samo, gdy ojciec pije. Może dzieci wiedzą, iż tę skłonność odziedziczył, że w dzieciństwie przez chorobę utracił siłę woli. Pewien proboszcz usłyszawszy o jakimś pijaku zwykł był mawiać: Chciałbym dojsć, dlaczego ten człowiek pije? I zwykle przekonywał się, że nieszczęśliwy odurzał się, by zapomnieć o jakiejś zgrzyocie, czyniącej mu życie nieprzyjemnem. Prawda, że niema nic brzydszego i bardziej poniżającego od pijaństwa, nie można go więc upiększać, ale kto nie zastanowi się, jak człowiek może dojsć do takiego stanu, nie znajdzie środków do uleczenia. Niechaj nikt więc bezmyślnie nie potępia pijaka, pogarda powoduje jeszcze głębszy upadek. Widziałem nieraz żony, które usiłowały z płaczem, łajaniem mężów wyciągnąć z knajpy. Dzieci nie mają tu naturalnie nic do roboty, lecz mogą w inny sposób pomódz w odciągnięciu ojca od szynku: przez miłość i szacunek. Ojciec zobaczywszy, że inni go poważają, może i sam zacznie siebie więcej szanować i panować nad sobą. Rzeczą dzieci jest też, by ojciec przekładał dom nad piwiarnię. Jedenaastoletnia córka pewnego robotnika nauczyła się grać na cytrze, by ojcu uprzyjemniać wieczory. Dokazała tyle, że ojciec zaprzestał chodzić do gospody, a pod wpływem muzyki rozświeciła się na nowo niejedna iskierka szlachetnego uczucia, drzemiąca dotąd w popiele.

Czyż należy bardzo żałować dzieci, nieszczęśliwe z powodu rodziców i nie mające dobrego przykładu? Trudno nie uznać się nad niemi, że los odmówił im wiele piękna w życiu, ale zato posiadają coś niezmiernie wielkiego: Mogą okazać prawdziwą miłość i jej potęgę. Inne dzieci biorą, one dają; skora nogą, delikatnemi rękami, głosem pełnym miłości mogą stać się aniołami-stróżami ojca. A choćby nawet nie

zostały wysłuchane i wielkie nieszczęście na nie spadło, miłość ich nie pójdzie na marne, musi wydać owoc w sercu tego, dla którego się poświęciły.

U s z a n o w a n i e.

Naszej epoce słusznie można zarzucić brak poszanowania; płynie on z dwóch głównych czynników współczesnej kultury: demokratyzacyi i uświadomienia. Korzenie obydwóch czynników tkwią znowu w indywidualizmie, który jako zasadnicze żądanie wolnej osobistości stawia uznawanie tylko tego za prawdziwe, co własny rozum potrafi potwierdzić. Ostatnią, najradykałniejszą konsekwencją umyślowego indywidualizmu jest filozofia Nietzschego. Indywidualizm nie zniszczył dlatego tylko dotąd społeczeństwa, że ludzie głoszą go przeważnie zewnątrz, lub na pewnych terenach życia, a zresztą bezwiednie urządzają swój żywot na podstawie tradycyi. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że szacunek dla pewnych zasadniczych pojęć, nie dających się zbadać własnym rozumem, stanowi podstawę ludzkiego zespołu i że nastąpiłby zamęt, gdyby na polu głębszych prawd życia powinność indywidualnego badania zajęła miejsce poważania dla jednolitej zgody mędrców wszystkich ludów i czasów. Zasada odpowiedzialności względem samego siebie może spełnić bez wątpienia wielką misję w kulturze, ale również jest pewnem, że życie należy nie do jednej zasady, że zbawienie ludzkiego społeczeństwa zależy od rozsądnej współpracy maluczkich, a jeszcze bardziej od pielęgnowania skromności własnego, ograniczonego rozumu wobec wielkich geniuszów ludzkości. Geniusze ci przez bogactwo doświadczenia życiowego objęli podstawowe fakta i ogniwa życia z taką bystrością i przezornością, na jaką tylko pozwalają wyżyny duchowego życia, gdzie pozór a istota rzeczy ulegają jasnemu rozgraniczeniu. Że zaś jedynie takie pełne szacunku podporządkowanie normuje w należyty sposób stosunek człowieka do życia, musimy uważać wychowanie w po-

szanowaniu za podstawową potrzebę społeczną. Ogólne narzekania, nawet w kołach wolnomyślnych, na brak uszanowania pochodzą z niejasnego poczucia, że jeszcze nie wytyczono należytych granic dla zasady indywidualizmu w stosunku do ogółu ludzkich porządków życiowych. Uznajemy dzisiaj zasadę podziału pracy na wszystkich polach, wiemy, co potrafią, szczególne uzdolnienie, wykształcenie i czynności zogniskowane, śmiałybyśmy się z człowieka, który w imię indywidualizmu chciałby sam zrobić sobie obuwie, ale nic nie widzimy w tym śmiesznego, gdy ktoś usiłuje rozwiązać sam z siebie najtrudniejsze zagadnienia religijne i moralne, nie zapytawszy się, czyli ma odpowiedni zasób doświadczenia, czy przyswoił sobie gruntownie wyniki pracy poprzedników, i czy rozporządza dostatecznym skupieniem ducha i spokojem, by samodzielnie uniknąć najgrubszych błędów, nieporozumień, a dotrzeć do jądra rzeczy.

Powyższe rozważania mają posłużyć do należytego oświetlenia niezwykłego społecznego znaczenia szacunku. Społecznie biorąc, jest on w najważniejszym znaczeniu uczuciem niezbędnym, mianowicie poczuciem konieczności uzupełnienia indywidualnej istoty wyższą mądrością, płynącą z tradycji, która opiera się na wielokrotnie stwierdzonym doświadczeniu. Tylko taki pietyzm zdoła zapewnić organiczny związek między generacjami, ustawiczny rozwój, umożliwić zdrowy postęp. Zupełnym zaprzeczeniem postępu jest zasada, że każdy osobnik może we wszystkim rozpoczynać od początków, wszystkiemu zaprzeczyć aż do podstawowych składników. Duchowe i moralne owoce tych zapatrywań zaczynają już i w naszej kulturze coraz jaskrawiej ukazywać się.

Wzajemne stanowisko rodziców i dzieci reguluje stosunek życiowy, w którym w związku z najnaturalniejszymi uczuciami musi budzić się, rozwijać i ćwiczyć społeczne znaczenie poszanowania, skromności wobec przeszłości. Postępowanie takie nie zależy od tego, czy rodzice zawsze, pod

każdym względem wyobrażają wyższą mądrość we własnym zachowaniu i w poglądach. Dla dzieci są symbolem przeszłości, bogatszego doświadczenia i to w nich czcimy, choćby przedstawicielstwo pozostawiało wiele do życzenia. Tak samo czcimy króla, prezydenta, nie jako tego, lub owego człowieka, lecz jako przedstawiciela wyższej idei.

Dla rodziców, pragnących wychować dzieci w uszanowaniu, jest rzeczą najważniejszą, aby sami swym zachowaniem się wobec przeszłości przyznali się do zasady, na której polega pietyzm dzieci dla rodziców, t. j. do zasady skromnego podporządkowania swych zapatrywań pod rozległą, bogatą w doświadczenie znajomość życia starszych. Wolnomyślni rodzice mówiąc bez szacunku, krytycznie o religijnej tradycji ludzkości zaczepiają zasadę, na której jedynie opiera się obowiązek szacunku ich własnych dzieci. Zarazem odnawiają należytej skromności i wstrzeźliwości własnego sądu wobec nieskończenie obfitego doświadczenia życiowego wielkich twórców religii. Budzą też u dzieci unniemanie, że właściwie niema wyższego doświadczenia, lecz że samym rozumem można w swej ciasnej izdebce wszystko ogarnąć, krytykować, a to odrzucać, co dla własnego rozumu jest niedostępne, nieuchwytnie. Dzieci wyrosłe w takiej krytycznej atmosferze przesiąkną lekceważeniem przeszłości i zbyt rychło będą uważały się za równe rodzicom, lub nawet za wyższe od nich.

Poniżej podajemy wzór omówienia tej sprawy z dojrzałą młodzieżą:

Jesteście w wieku, który was czyni dumnymi z powodu rozsądku; tak samo dzieci dwunastoletnie są niezmiernie dumne, gdy posiadają własny zegarek i nie potrzebują pytać dorosłych, która godzina. Z tajemną radością dostrzegacie, iż możecie czytać ze zrozumieniem książki dostępne dla dorosłych, ba nawet czytacie książki, których nasi rodzice nie czytali, uczycie się rzeczy, których oni nigdy nie uczyli się. Wasz rozum wydaje się wam cudowną lampą,

rozświecającą wszelkie ciemności, a gdyby ktoś chciał mówić o tajemnicach, których jeszcze nie rozumiecie, uśmiechacie się z miną wyższości i pomyślicie: »Nie jesteśmy tak głupi, jakby się zdawało, w szesnastym roku rozumie się wszystko, i wiele rzeczy dla starych tajemniczych, dla nas jest jasnych jak słońce«.

Nie myślę psuć wam radości z waszego rozumu, ale pozwólcie zadać pytanie, które może uczyni was nieco ostrożniejszymi. Nie będę zresztą narzucał wam własnego zdania, ale podzielę ze spostrzeżeniem i przez was pewnie uczynionem. Czy was nie uderzyło, że zupełnie inaczej sądzicie o pewnych sprawach życia, jeśli nie przeżyliście ich we własnej duszy? Przypuśćmy, że któryś z was nie był nigdy poważnie chorym. Przyznacie mi, że ów uczeń nie będzie miał najmniejszego wyobrażenia, jakie jest usposobienie poważnie cierpiącego, jakie ma potrzeby, jak patrzy na życie. Wielka część ludzkich losów będzie najzupełniej dlań zamknięta, choćby miał najświetlejszy rozum. Przypuśćmy jeszcze, że komuś zawsze szczęściło się i powodziło w życiu, żył otoczony miłością, przyjaźnią, zamożnością, w błogosławieństwie utalentowania do nauki i pracy; cóż on może wiedzieć o nieszczęściu, osamotnieniu, ubóstwie, jakże zdołałby pojąć usposobienie nieuzdolnionego, słabego. Wyobrażcie sobie dalej, że ktoś pisze książkę, mającą na celu pocieszenie po utracie drogich osób, a sam nikogo z najbliższych nie stracił, nie przeżył beznadziejnego osamotnienia, czyż taki autor mógłby istotnie pocieszyć? W podobnych wypadkach powiadamy słusznie: Mówi, jak ślepy o kolorach. Słowa są bladym rysunkiem życia, brak im soczystych barw. Dopiero przeżycie czegoś, wewnętrzne doświadczenie daje koloryt, właściwą treść życia.

Już powyższe przykłady wskazują, iż sam rozum nie może dać nam wyjaśnienia w rzeczy najważniejszej: o życiu wewnętrznym naszych bliźnich. Powtarzam: w rzeczy najważniejszej, bo więcej niż od znajomości przyrody zależy nasz

spokój, nasze szczęście na ziemi od poznania dusz ludzkich. Z nimi musimy w pierwszym rzędzie spędzić życie, a dopiero w drugiej linii ze zwierzętami, roślinami, minerałami.

Cóż wynika z tego wszystkiego? Przedewszystkiem przeświadczenie, że w rzeczy najważniejszej najwięcej światła udziela nam ludzie, którzy w swem życiu najwięcej doświadczali, najgłębiej cierpieli. Kto to zrozumiał, ten napoi się uczuciem skromności; odrzuci poprzednią pychę swego rozumu, ujrzy nagle jasno, jak mało może młodość wiedzieć o życiu, dla braku doświadczenia. Nowe przekonanie znajdzie też najpiękniejszy wyraz w szacunku, nieodłącznym, najważniejszym składniku prawdziwego wykształcenia. Poszanowanie jest dowodem, że się już samemu zdobyło doświadczenie życiowe, jego brak oznacza u młodzieńca dziecinną nieświadomość. Najpiękniejszym wyrazem prawdziwej wiedzy będzie u młodego człowieka bezwarunkowe uszanowanie w tonie i w minie wobec rodziców. Wystawiając sobie takie świadectwo dojrzałości, czei tem samem samego siebie.

Może kto z was zada mi pytanie, czy istotnie znajomość życia zdobywa się przez przeżycie czegoś? Odpowiem na to, że obok doświadczenia bije jeszcze inne źródło poznania dusz ludzkich, mianowicie głębokie współczucie, czyniące jasnowidzącym, ale zdobyć można je nie w młodości, lecz później przez cierpienia, poświęcenia, zaparcie się. Młodość zajmuje się zbyt wiele sobą i swemi uczuciami, by zostawało jej tyle uczucia i myśli dla drugich, ile potrzeba do istotnego stawienia się w cudze położenie. Wielcy artyści potrafią to w chwilach natchnienia twórczego, kiedy niejako »nie są sobą«, Chrystus dokazał tego wyzbywszy się najzupełniej samolubstwa. Widzicie więc znowu, iż sam rozum nie wystarcza, by posiadać wiedzę najniezbędniejszą, tj. znajomość bliźnich i że szacunek i najgłębsza skromność jest jedynym racjonalnym wyrazem naszego krótkowidztwa i ograniczenia. Na twarzy człowieka prawdziwie wykształconego

można czytać napis: »Jak małym jestem, jak mało wiem sam z siebie, jak potrzeba mi pomocy czcigodnego doświadczenia i światła geniusza«.

»Czcij ojca i matkę swoją, abys długo żył i dobrze ci się powodziło na ziemi«, czytamy w biblii. Żadne inne przykazanie nie obiecuje nam tego. Ma też ono głębsze znaczenie. Cześć bowiem jest wielką siłą, otwierającą wszystkie kielichy duszy dla wyższej mądrości. Kto nie pielęgnuje w sobie uszanowania, wynosi się i wszystko wie lepiej od drugich, wstrzymuje własny wzrost, marnieje, schnie wewnętrznie i rozpryskuje się w życiu. Droga do pracy nad przyszłością, do istotnego postępu prowadzi też jedynie tylko przez drogę czci dla przeszłości.

Dobrowolne posłuszeństwo.

W latach budzącego się u młodzieży popędu do samodzielności i wolności, trzeba koniecznie istotę posłuszeństwa, pokonanie egoizmu tak wyłuszczyć, aby zniknęło przeciwieństwo między pożądaniami silnej osobowości a koniecznością posłuszeństwa i aby wyzyskać właśnie motyw wolności do uzyskania posłuszeństwa. O to bowiem rozchodzi się głównie w całym wychowaniu, by żądane zadanie moralne rozwiązać przy jak najszerszem współdziałaniu własnej energii dorastającego. Inaczej staje się wszystko tresurą, sztuczną formą, bez korzyści dla wewnętrznego życia. Nigdy silniej, niż obecnie, popęd do wolności nie bronił się przeciw każdemu rodzajowi posłuszeństwa. Ten odpór nie pochodzi bynajmniej z tego powodu, by dzisiejsi ludzie mieli być istotnie bardziej indywidualni, silniejsi w pożądanii wolności, niżli ludzie przeszłości, ale głównie płynie stąd, iż współczesne pojęcie wolności, osobowości jest niezmiernie płytkie, powierzchowne, i że współczesna indywidualność czuje się prawdopodobnie za słabą, aby być skromną i służyć, bez obawy utraty swego »ja«. Z braku wewnętrznej stałości i odrębności myśli dzisiaj osobnik, że wtedy tylko

coś znaczy, gdy postępuje we wszelkich małych i wielkich sprawach z ogromnym hałasem i że wolność oznacza w pierwszym rzędzie niezależność od woli innych, jedynowładztwo samolubstwa. W rzeczywistości jest prawdziwa wolność czemś czysto wewnętrznem, wyrzeczeniem się samego siebie, altruizmem. Czar bogatej indywidualności, charakter, nadaje człowiekowi tylko wewnętrzną wolność, podporządkowanie się zupełne pod stronę duchową. Podporządkowanie ułatwia i doskonali ujęcie własnej woli w surową karność i ćwiczenie w zaparciu przez dobrowolne nagięcie drobnych i dużych kaprysów pod wolę cudzą. Takim też jest cel ślubów dobrowolnego posłuszeństwa w zakonach, naturalnie z wyłączeniem posłuszeństwa w rzeczach sprzeciwiających się sumieniu.

Zresztą warto również wykazać, że wyraz posłuszeństwo o wiele trafniej wogóle wyraża istotę wszelkich wyższych dążeń, niż wieloznaczne słowo wolność. John Ruskin wyraził to doskonale w rozprawie p. t.: »Siedm lamp w architekturze«: »Po co używać tego niezrozumiałego słowa? Jeśli pod wolnością rozumiecie poskromienie namiętności, karność myśli, ujarzmienie samowoli — jeśli tem wyrażeniem obejmujecie głęboki wstyd i wstręt do niesprawiedliwości, szacunek dla wszystkich przedstawicieli powagi, umiarkowanie i takt względem ludzi od was zależnych; cześć dla szlachetnego, litość dla słabego i zbłąkanego; jeśli pod tem rozumiecie czujność myśli, umiarkowanie w rozrywkach, wytrwałość w pracy, jeśli zatem, krótko mówiąc, rozumiecie pod tem słowem wszelki rodzaj służby, dlaczegóż, na miły Bóg, nazywacie tym samym wyrazem to, czem rozrzutnik oznacza swe niepohamowanie, łotr postępowanie bezprawne, głupiec równość, nieokiełznany anarchię a zły człowiek gwałt? Nie, dajcie temu czemuś wyższemu inną nazwę, nazwijcie je najlepiej i najtrafniej: posłuszeństwem... Zapewne, że i ten rodzaj posłuszeństwa polega na wolności, bo inaczej istniałaby sama niewola — ale wolność służy do udosko-

nalenia posłuszeństwa«. Poniżej próba omówienia tej sprawy z młodzieżą.

Mówiąc o »dobrowolnem posłuszeństwie«, chcę z góry zaznaczyć, że oprócz posłuszeństwa ślepego, niewolniczego, istnieje posłuszeństwo przyswojone z wolnej, nieprzymuszonej woli. Co może skłonić wolnego człowieka, aby swą wolę podporządkował pod wolę obcą? Najbliższym jest ten powód, którego znaczenie omówiliśmy przy »Uszanowaniu«; uchylamy chętnie głowę przed wyższem doświadczeniem życiowem, choć rady, rozkazu jeszcze nie rozumiemy. Czujemy, że do sprawiedliwej oceny życia potrzeba tak niezbędnie doświadczenia, jak do dokładnego poznania obcych ras i krajów podróży i osobistych wrażeń. Skromne przekonanie młodzieży o własnej niedojrzałości jest, jak widzieliśmy, pierwszym krokiem do dojrzałości a wyraża się w dobrowolnem posłuszeństwie. Istnieje jeszcze jeden dalszy powód, dla którego często właśnie ludzie silni, naprawdę wolni, okazują skłonność do nieprzymuszonego posłuszeństwa. Powód zrozumiecie, uprzytomniwszy sobie spostrzeżenia, które z pewnością nieraz uczyniliście, że mianowicie ludzie ubierający się jak skrawo i kładący krzykliwy nacisk na swą samodzielność, na prawdę nie mają silnej indywidualności. Inaczej nie potrzebowałiby afiszowania się. Również nie są silnymi ludźmi obawiający się posłuszeństwa, by nie utracić swej samodzielności i niezaznaczenia swego ja. Prawdziwa siła, istotne bogactwo polega zawsze na nadmiarze; także człowiek stwierdza głębszą odrębność duchową najlepiej tem, że ze spokojem może służyć i słuchać. Obywa się bez reklamy, samodzielności nie okazuje rzeczami zewnętrznymi.

Naprawdę wolnym czuje się człowiek wówczas, gdy się wyswobodzi z pod tyraństwa własnego egoizmu. Jednakowoż wszystko, co go czyni pozornie wolnym, a za to własne ja wysuwa na czoło dążności życiowych, nie użyzca

mu nigdy szczęścia prawdziwej swobody. Przewyciężenie samego siebie daje dopiero prawdziwą wolność. Że zaś łatwiej przewyciężyć głód i pragnienie, niż upór, można uważać dobrowolne posłuszeństwo za największe zwycięstwo człowieka. Tem się też tłumaczy, dlaczego ludzie dorośli w zakonach żyjący składali ślub dobrowolnego posłuszeństwa i dlaczego w chrześcijaństwie odgrywa posłuszeństwo wogóle tak wielką rolę. Pokonanie samowoli uważano za najcięższe i najniezbędniejsze ćwiczenie wstępne celem wyrobienia miłości, zaparcia, poświęcenia, służby gotowej do ofiar.

Istnieje jednakowoż naturalny zakon do pielęgnowania dobrowolnego posłuszeństwa, którego członkami służebnymi wszyscy jesteście, tj. rodzina. Rodzice są wam dani nietylko do czuwania nad latami niepełnoletności, ale do niesienia wam pomocy w odbywaniu szkoły wolności posłuszeństwa i w wyuczeniu się samozaparcia. Znałem chłopca, mającego tak słabych rodziców, że naprawdę on był panem domu. Koledzy zazdrościli mu tej swobody, ale, co prawda, nie mieli czego, bo w ten sposób utracił najważniejszą sposobność do wykształcenia całego życia. Pozbawił się ćwiczenia w posłuszeństwie, zdobycia panowania nad sobą, stał się niewolnikiem swego uporu, nie mógł sobie dać rady z ludźmi, a w pracy brakło mu siły woli. Kto zatem nie chce słuchać rodziców, niechaj uczyni to dla siebie samego; im trudniej przyjdzie posłuszeństwo, im bardziej będzie buntowała się samodzielność, tem owocniejszym stanie się ćwiczenie. Błogosławieństwo familii mniej zależy na tem, co nam z opieki przypada w udziale, jak na tem, co sami możemy wyświadczyć, czyli: nie na tem, co otrzymujemy, ale co jej dajemy. Ze wszystkich darów jest zaś dobrowolne posłuszeństwo najobfitszem w skutki dla samego dawcy.

Oświełijmy tę sprawę jeszcze z innego stanowiska. Jak należy właściwie rozumieć prawdę zawartą w zdaniu: »Kto nie umie słuchać, nie potrafi rozkazywać«. Skądże ma być posłuszeństwo szkołą rozkazywania; rozkazywania można

chyba uczyć rozkazywaniem, a posłuszeństwo prowadzi tylko do czołgania się? Dobrowolne posłuszeństwo należy do najdzielniejszych ćwiczeń siły woli; im więcej siły woli, tem łatwiej rozkazywać, czyli kierować wolą drugich bez zbytecznej gadatliwości i hałasu. Pod prawdziwą sztuką rozkazywania rozumiemy właśnie ciche oddziaływanie silnej woli na podwładnych, — w przeciwieństwie do krzyków, tupań człowieka słabego, z którego woli nie bije siła elektryzująca i który w rezultacie brak powagi musi zastąpić zewnętrznem komenderowaniem. Już w szkole możecie się temu wszystkiemu napatrzeć. Są nauczyciele bardzo młodzi, mający od pierwszej chwili w sobie coś tak rozkazującego, że nikt nie odważy się ani pisnąć, chociaż nie mają kija w ręku, ani klasy nie straszą grzmiącym głosem. Skąd to pochodzi? Stąd, że z każdej siły woli spływa działanie rozkazujące na innych, zmusza do bezwiednego podporządkowania. Pewien lekarz leczył z wielkiem powodzeniem choroby nerwowe, a powodzenie polegało głównie na jego silnej woli, która zmuszała chorych do podźwignięcia się z choroby. Lekarz pościł co miesiąca przez kilka dni, a gdy go pytano, dlaczego tak czyni, odpowiedział: Muszę mą wolę zawsze na nowo wzmacniać, inaczej utraciłbym wpływ na pacjentów. Gdyby był miał w swym domu sposobność do kształcenia dobrowolnego posłuszeństwa, byłby może wybrał to najsilniejsze ćwiczenie woli. Cieszcie się, że macie daną tę sposobność i korzystajcie z niej, póki się da. Dom rodzicielski jest najwyższym zakładem kształcącym dla każdego człowieka, trzeba tylko umieć wyszukać należyłą sposobność.

Oddziaływanie naszych uczynków na nas samych.

Istnieją dwa główne typy ludzi, które wychowawca musi rozróżniać: indywidualiści i natury społeczne. Społeczne natury okazują wczesnie bezpośredni popęd do pozycia towarzyskiego, posiadają małą odporność przeciw du-

chowi korporacyjnemu, są naturami politycznemi, reformatorami z przyrodzonego instynktu towarzyskiego; gdy im braknie tej skłonności w stosunku do ogółu, cechują się bezpośrednią miłością ku bliźnim i żywiołową ochotą do niesienia pomocy z poświęceniem się. Natomiast u indywidualistów nie występuje na czoło oddanie siebie drugim, lecz owszem pewne zamknięcie, wyodrębnianie wobec społeczeństwa w ciśniejszem i szerszem rozumieniu. Taki stan duchowy może mieć źródło w pustce umysłowej, w egoizmie najgorszego gatunku, lub być wyrazem uczuć delikatnych, bogatych, szukających schronienia przed bezceremonialnem wdarcie się innych. Dusze indywidualistyczne nie zawsze zatem pokrywają się z egoistami; mogą nawet zupełnie wyzuć się z siebie w dążeniu ku duchowej doskonałości, w imię ideału czynić cuda poświęcającej się miłości bliźniego, — tylko brak im bezpośrednich, naturalnych związków z ludźmi. Jeśli dzieci indywidualistyczne dostaną się w ręce bezwzględnych wychowawców, mogą być bardzo złe skutki. Upór, z jakim natury wrażliwe, skomplikowane bronią się przeciw grubiańskiemu wdarcie się od zewnątrz — nawet i miłość może być ordynarną — uchodzi za sprzeciwianie się dobremu, za brak otwartości, szczerości, za brzydki egoizm i w miarę niestosownego postępowania sprawa się pogarsza. Istnieje wówczas jedyna droga: przetłómaczenie społecznego działania, którego życzymy sobie, na język zrozumiały dla indywidualistycznego świata dziecka, t. zn. na próbowanie przedstawienia mu go jako dobra osobistego, jako rodzaju tężyzny, wolności wewnętrznej. Gdy dziecię wychodząc z powyższych motywów coś wykona, samo przyzwyczajenie i praktyka zwolna obudzą w niem odnośne uczucia. Dziecko indywidualistyczne niechętnie odstąpi swe zabawki, bo bogatsza fantazyja łączy je duchowo ściślej ze wszystkim, co posiada. Ganione za niegrzeczność zamknie się w sobie jeszcze szczelniej, nie mogąc wogóle pojąć, dlaczego dawanie ma być lepszem od niedawania. Żądając ofiary od takiego dziecka,

trzeba pozostać w ramach »osobnika«, odrzucić zupełnie na bok »bliźniego«. Zachęmy je do pokonania samego siebie, do złożenia dowodu siły przez ofiarę: »Chcę się przekonać, czy ty jesteś panem swej własności, czy ona tobą władcie«. Powiadasz: »Mogę zrobić z memi zabawkami, co mi się podoba«. Nie, nie potrafisz, nie zdołasz ich pożyczyć, lub darować komu innemu, zanadto cię mają w swem posiadaniu, w niewoli. Indywidualizm oburzy się przeciw takiej zależności, uczyni próbę siły, a jej udanie się będzie miłym wspomnieniem i dopomoże do moralnego wzrostu. Zwycięstwo ducha nad stroną zwierzęcą, wydobędzie również na wierzch ukryte siły miłości i poświęcenia. Pojęciem »zbawienia duszy« wywierał i wywiera Kościół o wiele większy wpływ na wielu ludzi, nie mogących zrozumieć apelu do miłości bliźniego i użyteczności społecznej, ale posiadających głębokie pragnienie do pozbycia się zwierzęcia w sobie. Wszystkie wielkie religie i filozofie tak działały; buddaizm zwraca się również najpierw ku chęci wybawienia się człowieka od strony zwierzęcej, nauka Platona przemawia wyjątkowo do głębokiej tęsknoty duszy za zupełnym uwolnieniem się od zależności zmysłowej. Kto wie, czy nie mamy tutaj do czynienia z niejasno przezuwaną prawdą, że całe państwo społecznych związków jest jedynie środkiem do uduchowienia człowieka w ramach świata zmysłowego, do uwolnienia go z zależności od materii. Faktem jest, że t. zw. »pedagogika społeczna« może być tylko częścią ogólnego wychowania i że w naszych czasach wysuwa się zbyt wyjątkowo na czoło społeczne pobudki i sankcje moralności, przez którą to jednostronność pozostaje na boku, bez wpływu wiele natur cennych, zdolnych do rozwoju. Odnośnie do motywów społecznych nie należy nigdy zapominać, że trudno dziecko brać ze strony społecznej ofiary choćby dlatego, iż organizm dziecięcy nawet pod względem fizyologicznym nie posiada nadmiaru, lecz żyje z nadmiaru dorosłych. W pierwszym rzędzie jest dziecko istotą rosnącą i przyswajającą sobie

instynktownie chętniej to, co się da wytłómaczyć prawem tego wzrostu. Dlatego musi etyczne oddziaływanie w pierwszej młodości wyświetlić nie tylko wpływ naszych uczynków na innych, ale i na nas samych, na nasz rozwój siły woli i życie wewnętrzne.

P o k u s a.

Pewna dobra dziewczyna wiejska dostała miejsce z niewielką płacą u ludzi zamożnych, zepsutych. Zasługę odsyłała w całości starej matce, sama chodząc w jak najlichszych sukniach. Pewnego razu powiedział jej przebiegły służący tych państwa, u których oboje służyli, że to przecież wstyd, aby tak piękna panna chodziła w łachmanach. Odpowiedziała, że nie ma na stroje pieniędzy, bo wszystko posyła matce. Służący pouczył ją więc, że można zdobyć to, czego się potrzebuje w inny sposób. Gdy dziewczyna przestraszona odskoczyła od niego, szepnął jej do ucha, że istnieje różnica między małym a wielkim złodziejstwem, bo można wziąć poprostu rzeczy państwu niepotrzebne, lub nie oddać znalezionych drobiazgów. »Oddaję mej pani nawet szpilkę do włosów, gdy ją znajdę w pokoju«, odrzekła służąca. Służący zaczął otwarcie szydzić: »Co, tej osobie, która na swego pieska wydaje w miesiącu więcej, niż na ciebie w roku, która pieniądze wyrzuca przez okno i takiemu panu, który co wieczora przegrywa w karty po dziesięćkroć twą płacę, — dla takich ludzi zbierasz szpilki od włosów? O głupia!« — To powiedziawszy odszedł od niej. Z początku opierała się sługa z całych sił pokusie, ale później porównawszy rozrzutność chlebobawców z nędzą matki i własną, opór złagodniał. Podczas jakiejś większej uroczystości domowej znalazła kosztowny pierścień i schowała go z zamiarem sprzedaży. Ponieważ pierścień był naprawdę cenny, zaczęto go szukać, a ze zmięszania sługi wynioskowano, że go nie znalazła, lecz ukradła. Zaczem dostała się do więzienia na nędzę i poniewierkę. A przecież było to dobre,

porządne dziecko; zgubiła ją myśl: »Co to zaszkodzi bogatym ludziom i takby przegrali w karty«. Uratowałby był ją człowiek, któryby po słowach kusiciela przyszedł do niej i rzekł: »Nie troszcz się wcale o to, czy drudzy tracą majątek i czy im twa kradzież zaszkodzi lub nie, ale pamiętaj, że kradnąc, okradasz przede wszystkim siebie z zaufania, które raczej narazi się na śmierć, nędzę, nim dotknie się cudzego dobra. Nie jesteś głupią, wdrygając się przed zatrzymaniem dla siebie szpilki do włosów, bo nie chodzi o to, czy twej pani szpilka będzie potrzebną, czy też nie, lecz o twoją całą szczęśliwość, jeśli oddasz zgubę. Kto lekko-myślnie poczyni sobie z drobiazgami, zapomina o najważniejszej prawdzie życiowej, że zepsucie i zguba mają małe, nieznaczące początki. Głupiec tylko myśli, że uczciwym należy być w wielkich rzeczach, bo wielka nieuczciwość tkwi już w zarodku w małej. Rzetelna uczciwość nie pyta się o ilość i wielkość kradzieży, ale każe mieć czujne oko i pewną rękę dla granicy między mojem a twojem«.

Przypatrzcie się na globusie Ameryce i Afryce. Oddziela je ogromny ocean. Kto przez ocean przepłynie i wstąpi na ziemię afrykańską jest w Afryce, nie w Ameryce, choćby tylko dotknął pasu nadbrzeżnego, a między nim a Ameryką rozciąga się olbrzymi ocean. Tak samo uczciwość oddziela od nieuczciwości całe morze, a kto tylko przekroczy zewnętrzny pas nieuczciwości, znajdzie się po drugiej stronie; między nim a odległym wybrzeżem uczciwości spoczywa cały ocean.

Dobre i rzetelne uczynki z naszej strony mają wartość nie tylko dla drugich, ale i dla nas samych. Choćby drudzy mieli nie spostrzedz się, nie powinniśmy czynić nic złego, lub zaniechać dobrego. Najmniejsze przewyżczenie wzmacnia nas, najdrobniejsze ustępstwo osłabia; najmniejsze sprzeniewierzenie, nieuczciwość czynią nas coraz chciwsiymi w całym życiu. Nie sądzmy, że wolno kraść, oszukiwać, gdy drugi czegoś nie potrzebuje, braku nie zauważy. Nie, wszel-

kie nasze postęпки ucą pożycia nietylko z drugimi, ale i ze sobą t. zn. postępujemy sami ze sobą źle, albo dobrze, człowieka wewnętrznego w nas samych psujemy, lub poprawiamy.

Pamiętajmy więc ustawicznie, że najmniejszy czyn może nas zmienić, ze światłości zaprowadzić w ciemność. Nie dajmy się uwieść pokusie, choćby nie wyniknęła stąd widoczna szkoda dla innych.

Powyższą, krótko streszczoną powiastkę Pestalozziego możemy jak najgoręcej polecić wszystkim nauczycielom i wychowawcom. Kresli ona poglądowo, dobitnie, z wielką znajomością życia, czem jest pokusa, jak przemawia, na czem polega jej siła uwodząca. Na tem opowiadaniu można zresztą wykazać konieczność i istotę etyki i »znajomości życia«, uzupełniającej naukę religii. Religia tłumaczy w sposób najgłębszy życie, ukształtowane przez intuicyę ludzi genialnych, lub przez nagromadzenie doświadczeń całych pokoleń; ale właśnie dlatego, że w sposób głębszy, docierający do jądra rzeczy tłumaczy, musi dla powierzchownego zapamiętywania na życie wydać się nierozsądną. Trzeba zatem koniecznie młodzieży, dla której najsilniejszą powagą jest rzeczywiste życie, okazać, że z owych odwiecznych, czcigodnych przykazań przemawia samo życie, a nie jakiś oderwany ideał. W tym celu należy całkiem konkretnie omówić ową pozorną mądrość, uosobioną w przewrotnym służącym z powiastki Pestalozziego, wykazać, że mimo rzekomego opanowania życia, zdradza owo mędrkowanie najgłębszą nieznajomość związków życiowych.

Nieuczynni i chciwi.

Jeśli niektórym dzieciom powie się: »Bądźcie uczynne«, pomyślą zaraz, że to znaczy nie co innego, jak oddajcie jabłko braciszkowi, pijcie mniej kawy, żeby i dla siostrzyczki wystarczyło. A do tego nie mają najmniejszej ochoty. Poco

według nich zawsze myśleć o innych; niechaj każdy troszczy się najpierw o siebie. Miłość i dobroć narażają tylko na stratę z korzyścią innych. Czy to prawda? Strata jest, lecz jednostronna, bo z drugiej strony stajemy się bogatszymi. Bogacimy się nie w jedzenie, łakotki, które i tak po kilku minutach nikną w żołądku, ale w siłę obdarowywania tem, co komu jest najmiłsze. Im więcej człowiek daje, tem większem i silniejszym staje się jego serce. Gdy się od jednej świecy zapala druga, płomień nie zmniejszy się, choćbyśmy tysiąc świec w ten sposób zapalili, gdy rozdajemy miłość, rośnie ona coraz więcej w miarę szafowania. Dawanie jest darem dlatego, który daje. Kto nie próbował, nie wie naturalnie nic o tem.

Najmniejszy kawałek.

»Bierz zawsze najmniejsze kawałki z talerza«, powiedziała raz matka do syna. »Dlaczegoż mam tak robić?« brzmiała odpowiedź. Co wy odpowiedzielibyście mu? Aby dla innych więcej zostało, — nieprawdaż? Ale chłopczyk nie chciał właśnie tego uznać. Gdy jemu smakuje, pocóż się ma liczyć z innymi. »Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi«, powiada przysłowie. Takiemu chłopcu możnaby jeszcze powiedzieć: Będzie ci przyjemniej i weselej na duszy, jeśli bliźniemu udzielisz czegoś dobrego, zamiast zatrzymać dla siebie. Jest to jednak rozkosz, niedostępna prawdopodobnie dla niego, bo jest jeszcze za młody. Na to trzeba mieć duszę już dojrzałą. Myśli on sobie: Dla mnie będzie największem nieszczęściem, gdy inni pochwyćą największy kawałek. Jakżeż go tu nakłonić, aby brał mniejsze części?

Powiedziałbym mu tak: Wiesz co, prawda, że największy kasek smakuje najlepiej, ale uciecha z tego powodu szybko mija. Człowiekowi polującemu zatem i połykającemu swą zdobycz chciwie wkrótce zamienia się twarz na małą pią i drapiezną. Największe kawałki kryją w sobie niejako jad

trucizny, przemieniający zwolna chciwego w zwierzę. Małe kaski wywierają natomiast inny czar: oczy i usta skromnego nabierają takiego wyrazu, że budzą zaufanie, gdzie tylko się zjawi. Przypatrzcie się tylko ludziom skromnym, a przekonacie się, że mówię prawdę. Jest to tajemnica, o której nie wielu wie. Kto jednak o niej pamięta, wierzy w to, że traci pozornie, w istocie zaś zyskuje tajemniczą siłę, a twarz jego wyraz ludzki, miły, a nie zwierzęcy.

Niszczzenie roślin.

Wszyscy wiecie o tem, że nie należy zwierząt dręczyć nawet żartem, bo tak samo czują ból, jak my. Niejeden chłopiec nie męczy ani kota, ani psa, musze nawet nie zrobiłby nic złego, ale kiedy idzie z laską przez pole, obcina roślinom pędy w przekonaniu, że roślina nie czuje bólu. Może być, że roślina nie czuje, ale inne pytanie, czy to nie szkodzi temu, który ją niszczy. Czyście się kiedy nad tem zastanawiali? Nietylko mięśnie tężeją przez ćwiczenie, ale i każdy popęd wzrasta w siłę, gdy mu dajemy sposobność do rozwoju. Jak nazywa się popęd, który was skłania do niszczenia roślin po drodze, do łamania gałęzi? Popędem do niszczenia. W miarę jego rozrostu osłabia się popęd do pielęgnowania, ochrony, a człowiek taki zwolna staje się i dla bliźnich szorstkim, nieuważającym, niszczącym ich radość, deptającym po ich bólach, nadziejom ścinającym głowę. Przyzwyczajenie zaraża bowiem, jak zakażenie krwi, zwolna ogarnia całe ciało. Sądzę, że każdy z was będzie wolał pozwolić rozwinąć się popędowi dobroci, troskliwości, niż niszczycielstwa. Kto inaczej postępuje, już za życia jest w piekle t. zn. stwarza sobie sam życie bez miłości i współczucia; kto dla bliźnich nie ma serca troskliwego, delikatnej dłoni, musi narazić się na szorstkość i opuszczenie przez innych. Niejeden człowiek w ten sposób osamotniony wyrzeka na samolubstwo współbraci, a nie widzi, że tylko zbiera to, co posiał.

Opowiem wam coś godnego zastanowienia. W Ameryce wybudowano w jednym z największych więzień olbrzymią cieplarnię dla wszelkiego rodzaju roślin, aby w ten sposób nauczyli się więźniowie pielęgnowania kwiatów. Zauważono bowiem już od dłuższego czasu, jaki łagodzący wpływ nawet na najdzikszych więźniów wywiera hodowla kwiatów. Z początku zajmowali się nią dla zabicia nudów, powoli zaczęła ich bardzo interesować; przez staranne podlewanie, odrywanie zeschniętych liści, wystawianie na słońce, zaczęło w nich budzić się coś, co zdawało się już dawno pogrzebanem: radość z pielęgnowania, troskliwość o cudze życie. Może w latach dziecięcych nie mieli nigdy sposobności do poznania i ćwiczenia się w pielęgnowaniu, nie mieli więc w duszy żadnej pomocy przeciw złym popędom i spadali coraz niżej!

Powyzsze opowiadanie uczy o wielkiem znaczeniu troskliwego obchodzenia się z roślinami dla serca ludzkiego, jeśli nawet złoczyńcę poprawia. Łatwo naodwrot zrozumieć, że szorstkie postępowanie może rozpętać w chłopcu niewinnym, dobrym wszystkie dzikie instynkta. Kto się sam przychwyci na ścinaniu roślin, niechaj poprosi rodziców, aby mu na imieniny podarowali kwiat wazonikowy; niechaj go skrzętnie co rano podlewa, wystawia na słońce, użyźnia ziemię. Wilgoć i promienie słoneczne spłyną wówczas na jego serce, a z uprawionej gleby wytrysną, jak świeża zieleń na wiosnę, nowe, dobre popędy.

Psychologia i pedagogika pracy.

Określenie oddziaływania naszych uczynków na nas samych ma szczególne znaczenie przy pobudzaniu do prac mniej powabnych, o celu niepozornym, odległym. Jednym ludziom wystarcza sam oderwany ideał spełnienia obowiązku, dodaje bodźca do sumiennego wypełniania codziennej żmudnej i nudnej pracy, dla innych jest ostrogą ambicya, miłość ku rodzinie, nakłaniająca do najwyższych wysiłków.

Jest jednak bardzo wielu ludzi o takiej organizacji duchowej, że im owe społeczne pobudki nie wystarczają; muszą mieć przed oczami wyraźny stosunek pracy do osobistego życia wewnętrznego. Chrześcijaństwo uczyniło dla ludzkiej pracy niezmiernie wiele, stawiając za ideał osobiste doskonalenie się, żądanie cierpliwości i przewyciężenia siebie. Pod wpływem chrześcijaństwa wzięto się do pracy z usilnością nieznaną starożytnym i to z upodobaniem do pracy najcięższej, najniższej, bo w niej znajdowano największą możliwość samozaparcia. Za najlepszy dowód może posłużyć niedościgną staranność i delikatność pracy średniowiecznej, wynikająca z ducha chrześcijańskiego. Charakterystycznym jest, że Józef de Maistre, a po nim fizyolog Dubois Reymond w podobnym rozumieniu utrzymywali, iż ścisła praca współczesnej nauki w swej istocie opiera się o chrześcijaństwo, bo dopiero chrześcijaństwo stworzyło ducha cierpliwości i staranności w drobiazgach, który umożliwił uciążliwe badania i dokładną technikę nauk ścisłych.

Bardzo ważnem jest zrozumienie tych związków odnośnie do psychologii i pedagogiki pracy dla wychowawcy wogóle, szczególnie zaś dla nauczyciela. Już Robert Owen wytknął, ile staranności, studyów dokłada się celem utrzymania maszyny w należyтым ruchu, a jak po partacku postępuje się z maszyną najbardziej zawiłą — z człowiekiem. W szczególności można to odnieść do psychologii ludzkiej pracy, do nauki o jakości i sile ludzkich inspiracji, potrzebnych dla różnych natur, aby je nakłonić do największej wydajności pracy. Niektórzy mniemają, że jest rzeczą obojętną, czy w szerokich warstwach ludu znikną dawne pobudki, a ich miejsca nic nie zajmie, lub popęd do jak największych zysków, który zdziałał cuda na polu wydajności, ale zarazem podkopał w sposób wprost zagrażający całej kulturze życie moralne i duchowe. Nasuwa się samo przez się przypuszczenie, czy znaczna część współczesnej nerwowości stąd nie pochodzi, że ludzie dzisiaj za wiele pracują,

nie w stosunku do własnej wydajności, ale w stosunku do siły i różnorodności motywów pracy. Nie wiemy, pociągamy się, stąd przepracowanie. Brak nam głębszego zadowolenia z rezultatu, a bez współdziałania silnych duchowych i moralnych bodźców staje się praca dla wielu natur nadmiernie nużąca pańszczyzną. Także modną dzisiaj sprawę przeciążenia, na którą zwykła starsza generacja odpowiadać: »Gdyśmy byli w waszym wieku, mieliśmy o wiele więcej do nauki«, można odnieść w niemałej części do wyżej wskazanych powodów. Duchowego i moralnego bytu dzisiejsze dziecko nie przenika myśl, że życie jest szkołą przezwyciążania i cierpliwości, lecz mniema ono, iż pociągamy się na świecie, aby każdy wziął z niego, ile się tylko da. Dlatego uważa dziecko pracę za coś narzuconego gwałtem, brak mu do niej dobrej woli, wynikającej z całego światopoglądu dawniej na dziecko przechodzącego. Dotąd wyrażał się ten światopogląd w wielkich symbolach i poglądowych obrazach z religii. Kto w miejsce tych sił duchowych, tyle potrzebnych szczególnie w pracy szkolnej, chcąc postawić co innego, musi przynajmniej wykazać, że problemat pedagogiczny zna, o który się rozchodzi. A smutne przykłady n. p. w szkołach francuskich wykazują, że radykalne zapatrywania pływając po wierzchu, zupełnie nie zdają sobie sprawy z tych trudności psychologicznych.

Z powodu postępującego społecznego równouprawnienia wszystkich światopoglądów nie utrzyma się może nauka religii w szkole państwowej. Dlatego bardzo ważnym jest czysto psychologiczne przedstawienie i wyjaśnienie uświęcenia ludzkiej pracy, zawartego w religijnej tradycji. Zanim podamy kilka moralno-pedagogicznych przykładów, musimy oznaczyć w kilku zasadniczych punktach stosunek wewnętrznego wykształcenia do pracy. Już sam fakt, że dzisiaj wogóle uważa się pracę umysłową, szczególnie zaś na uniwersytecie, za pracę kształcącą w najistotniejszym znaczeniu, wskazuje, jak mało głębszej uwagi poświęcamy wpływowi,

który wywiera rodzaj naszej pracy na zdolności duszy. Inaczej nie zapominalibyśmy, że właśnie abstrakcyjna czynność duchowa, konieczna i pożyteczna dla samej umiejętności, dla wewnętrznego kształcenia człowieka kryje raczej niebezpieczeństwo, niż pożytek. Ten rodzaj pracy odstręcza bowiem siły duchowe człowieka od czynu i samowychowania, a wykształcenie polega przecież na tem, że coś się »kształci«, formuje, mianowicie ciało za pośrednictwem ducha. Praca intelektualna wywołuje »nieobecność« ducha wobec ciała, stąd u uczonych częste roztargnienie. Znany fakt, że ludzie niewykształceni mogą posiadać bardzo wielki i dobrze wyszkolony intelekt, świadczy już dostatecznie o niezależności kształcenia charakteru od samego ćwiczenia i napełniania ducha. O wiele więcej silniejszych i bogatszych sposobności ćwiczenia znajdujemy dla tego kształcenia w nieumiejętnej i duchowo nieoderwanej pracy, mianowicie w pracy, która pozostaje w związku z jakąkolwiek fizyczną czynnością, a ma na celu uporządkowanie, przekształcenie zewnętrznych stosunków, lub bezpośrednio wychowanie, kierowanie ludźmi.

Już sama praca ręczna, gospodarska daje dla kształcenia charakteru o wiele więcej pobudek, niż praca duchowa, bo tam rozchodzi się o ustawiczną kontrolę ruchów przez rozsądek, o utrwalenie stosunku między czynem a refleksją, zaś praca intelektualna łączność sił duchowych z ośrodkami ruchu raczej wyklucza, niżli wprawia w ćwiczenie. Można wprawdzie pracę duchową uważać za ćwiczenie w cierpliwości i wytrwałości, ale to ćwiczenie ogranicza się znowu jedynie do ciągłości czysto duchowych procesów, kiedy istota kształcenia charakteru polega na duchowym regulowaniu pobudek i czynów. Uczony może z największą cierpliwością czynić naukowe badania, a być niezdolnym do panowania nad sobą w razie przeszkadzania. Trzeba jasno zdać sobie z tego sprawę, aby pozbyć się złudy, że intelektualne wykształcenie mas ludowych, tem samem je umoralnia. Prze-

ciwnie, zbyt silne zajęcie sił duchowych nauką jest często równoznacznem z etycznym niebezpieczeństwem, które można usunąć poświęcając w obrębie planu nauki więcej miejsca na pielęgnowanie charakteru.

Z tego stanowiska wychodząc zaczyna się coraz więcej uwzględniać kształcące znaczenie nauki zręczności. Badając dalej kształcący motyw tej nauki, zwrócono też uwagę na wpływ wzmacniający wolę każdej uregulowanej pracy fizycznej i uznano n. p. w gimnastyce wyborny środek do wychowania w panowaniu nad sobą. W t. zw. Reformatorium w Elmirze istnieje »klasa mózgowa« dla młodocianych przestępców, których czynności duchowe i moralne wymagają szczególnej pieczołowitości. Regeneracja mózgu odbywa się nie przez prace duchowe, ale przez ćwiczenia gimnastyczne. Rozpoczyna się je ruchami najprostszymi, kończy zawiłymi i pobudza przez to funkcje mózgu do jak najściślejszego dostosowania ruchów ciała do pewnego określonego celu. Z tego samego pedagogicznego zapatrywania wychodzą próby czynione na młodocianych przestępcach w niektórych japońskich więzieniach, celem wychowania w panowaniu nad sobą. Muszą oni wykonywać emalie na naczyniach miedzianych, t. zn. pracę, która wymaga najstaranniejszej zręczności, zupełnego opanowania każdego ruchu. Pewien angielski badacz tak się wyraża o skuteczności podobnej pracy: »Nie przypuszczałem nigdy, aby ludzkie oko mogło stać się tak dokładnem, ręka tak pewną, serce tak cierpliwem«.

Już Pestalozzi uznawał etyczne znaczenie należycie pokierowanej pracy ręcznej i domowej, uważając ją w wychowaniu młodzieży za wyborny środek przeciw »zarazie rozsądkowej«. W wychowaniu płciowem chłopców i dziewcząt, w wychowaniu w czystości i wstydlivości nie widzi skuteczniejszego środka nad wczesne przyzwyczajenie młodzieży do starannej pracy w domu, do czynienia wszystkiego z rozmysłem. Björnson skreślił w powieści »Włosy Absa-

lona« tragedię ludzi, których życiem kierował niejako obwód a nie ognisko, którym w codziennych czynnościach brakło obecności ducha, i których wychowanie nie wywodziło w szukaniu związku między uczynkami a myśleniem, przez co nie dorosli do życia.

Dla dzieci fantastycznego, namiętnego, lub zbyt uduchowionego usposobienia nader skutecznem okazuje się takie wychowanie w pracy i to nie przez naukę zręczności, ale przede wszystkim przez współudział w pracy około gospodarstwa domowego. Naturalnie trzeba w dzieci wpoić przekonanie o kształcącym znaczeniu takiej pracy, zainteresować nią, nie zaś posługiwać się działwą jedynie celem ulżenia trudu starszym. Każmy dzieciom nakryć stół, ścierać proch, myć naczynia, zarazem budząc świadomość, że najważniejszą rzeczą jest sposób wykonywania tych prac, a nie samo mycie, nakrywanie, ścieranie. Zaciekawmy dzieci tak, aby same szukały najlepszej metody szybkiego, zręcznego, niehałaśliwego załatwiania podobnych spraw, aby przekonały się, ile duchowej pracy można w to wszystko włożyć. To samo można zastosować do »metodyki« siania łóżek, zamiatania schodów, czyszczenia butów. Takie prace nazywa Pestalozzi »środkami kształcącymi izby mieszkalnej« i spodziewa się, że wychowanie w ścisłym wykonywaniu najdrobniejszych czynności da podwalinę do osiągnięcia wielkich celów.

Na co pracujemy.*)

Powiedzcie, dlaczego w szkole trzeba być pilnym? Odpowiedzie zapewne, że dlatego, aby być później pożytecznym w świecie, dla miłości rodziców, albo dla sprawienia przyjemności nauczycielowi. Słyszałem też już nieraz taką uwagę:

*) Dla młodszych dzieci bardzo nadaje się tu odczytanie ustępów p. t.: »Co to jest praca?« »Jak pracują w fabrykach?« z trzeciej książki do czytania dla czwartej klasy galicyjskich szkół ludowych.

»Chłopcze, czy cię nie wstyd, że należysz do najgorszych uczniów w klasie?« O jakim powód pilności chodzi w tym wypadku? O poczucie honoru, ambycję, nieprawdą? Jest wielu uczniów tylko dla ambicyi czyniących największe wysiłki. Ale istnieje jeszcze jeden powód najważniejszy, odnoszący się do tych, którzy już nie mają rodziców i do tych, którzy nie chcą być pierwszymi, nie szukają poklasku i zaszczytu. Cóż to może być za powód? Pamiętajmy, jak na nas samych oddziaływa zadanie porządnie lub nieporządnie napisane. Pisząc zadanie szkolne niedokładnie, nieczysto, myślicie zapewne: »Nauczyciel tym razem przeoczy, a choćby się gniewał, to gniew szybko minie i później błąd naprawimy«. Jednego nie chcecie widzieć, że każda nieporządna praca szkodzi wam samym, choćby nikt nie zauważył; zaraża was, później pozwoli lekko zbywać inne rzeczy, z własnym uszczerbkiem. Weźmy pod uwagę taki przykład: Dziewczynka przyzwyczała się zadania rachunkowe wykonywać niestarannie, nieczysto. Wtem matka zachorowała, a córka musi pomódz jej w niejednej rzeczy, oddawać posługi, wymagające czystości i staranności w drobiazgach. Naturalnie żadna córka trudu nie pożałuje, ale największa staranność nie zdoła w kilku minutach naprawić opieszałości, nabranej przyzwyczajeniem. Zapomni o czemś, wykona pobieżnie i ta mała pomyłka może zemścić się cierpieniami tygodniowemi, nie mówiąc już o czemś gorszem. Pamiętajcie, że już niejeden pomocnik aptekarski przez fałszywe postępowanie przy robieniu lekarstwa przyprowadził ludzi o ciężką chorobę, lub nawet otruł. Przeczytał receptę pobieżnie, flaszki postawił nie na swem miejscu, a pomyłkę zawdzięczał temu, że jeszcze w szkole folgował opieszałości. Czyż można również wyobrazić sobie lekarza, któryby przy pisaniu recepty opuścił jakąś ważną drobnostkę. Człowiek nie powinien zatem pod żadnym warunkiem pozwolić, ażeby u niego zakorzeniło się lenistwo i lekkomyślność. Choćby praca była najnieprzyjemniejszą, uważajcie ją za środek do wyćwiczenia się w sta-

ranności i punktualności, jakoteż nie zapominajcie, że praca szkolna nie jest ani dla szkoły, ani dla nauczyciela, ale czemś, co wam samym może zaszkodzić, lub pomódc. Przy pracy nie rozchodzi się o to, czego człowiek się uczy, co robi, ale jak robi. Uczony, pracujący nad wielkim dziełem o gwiazdach, poniesie szkodę na charakterze i dozna niepowodzenia, jeżeli zamiar wykona bez sumiennosci w szczegółach. Jeśli zaś biedna stróżka, mająca pozamiatać schody, wykona swą pracę z niezwykłą starannością, zyskuje na charakterze i sile duszy, a z pracy swej czyni błogosławieństwo.

Opowiem wam o pewnej aktorce, która po raz dziewięćdziesiąty występowała w jakiejś nowości teatralnej i autor sztuki był na przedstawieniu obecny, ale teatr świecił niemal pustkami. Artystka grała rolę z takim przejęciem, że autor po przedstawieniu dziękował jej gorąco. »Przeszłaś pani samą siebie, grałaś jak na pierwszym przedstawieniu. Że też pusty teatr nie zepsuł nastroju pani?« »Nie« — brzmiała odpowiedź — »jeden człowiek był przecież obecny, dla którego warto było trudzić się«. Autor wzięwszy tę pochwałę do siebie, zapytał: »A gdyby mnie w teatrze nie było?« »Byłabym ja«. Odpowiedź wspaniała. Uczuwała rozkosz, grając rolę doskonale, grała dla siebie samej; czy kto byłby ją podziwiał w roli, poznał się na talencie, było jej rzeczą obojętną. Była ona sama. Przy każdej pracy powiedzmy sobie: »Jestem ja«.

Czego można nauczyć się przy pisaniu?

Nauka pisania należy do zręczności czysto technicznych, ale przecież stanowi w pierwszych latach szkolnych główną część całej nauki, tak, że w niej właśnie tworzą się stanowcze przyzwyczajenia pracy ucznia, późniejszego człowieka. Pedagogice nauki pisania nie można zatem przeznaczać podrzędnego zadania, owszem znaczenie podstawowe dla kształcenia charakteru. Zachęty do wykształcenia sta-

rannego pisma musi się więc wzmacniać, podwajając także na wyższych stopniach nauki, gdzie opieszałość pisma ze wszystkimi, najdalszymi skutkami, przyjmuje dzisiaj wprost zastraszające rozmiary. Kształcąca charakter znaczenie nauki pisania wynika z tych samych powodów, o których mówiliśmy przy nauce zręczności. I tu można dziecko zainteresować pracą pozornie mechaniczną i zwrócić jego uwagę na sposobność ćwiczenia mięśni woli. W niektórych szkołach amerykańskich próbują naukę pisania uprzyjemnić dzieciom przez różne środki bawiące, z dużym nieraz powodzeniem, ale zato z poświęceniem samego charakteru, co odbija się na samym piśmie. Taka metodyka umacnia dziecko tylko w t. zw. »pleasure seeking tendencies« czyli w żądzy rozrywek i zabaw. Skutkiem podobnego wychowania dziecko staje się miękkim względem samego siebie, oszczędza się mu przezwyyczajania, bo wszystko poddaje się mu. Całej tej zasadzie, która stworzyła współczesny komfort, wyścielenie życia rozmaitemi przesadnymi ułatwieniami bytu, dał stanowczy wyraz już Herbert Spencer, powiadając między innymi w swej nauce o wychowaniu: »Chrześcijańska etyka stawia za zasadę jak największą uciążliwość dla człowieka, gdy tymczasem trzeba wydobywać na wierzch powabną stronę moralności«. Powyższe pojęcie świadczy o podstawowej nieznanomości życia; samo życie i natura ludzka sprawiają, że symbolem prawdziwej moralnej doskonałości będzie zawsze krzyż, t. zn. surowa walka człowieka ze sobą samym, cierpliwość, przezwyyczajenie głodu za osobistym szczęściem. Wracając do prostego przykładu, z którym mamy tu do czynienia, a który jako porównanie ma znaczenie dla powikłań życiowych, pytamy: Na co przyda się przyjemna i interesująca nauka pisania chłopcu, który potem przez całe lata musi pisać pokwitowania pocztowe, lub wykonywać inną, podobnie monotonną pracę? Schlebiano ustawnie jego naturalnemu pociągowi ku różnaitości, odmianie, a nie nauczono rzeczy najgłówniejszej: atakowania rze-

czy nieprzyjemnych, nudnych z całą świeżością sił. Ludzie wychodzący z podobnych szkół należą do najpierwszych, którzy po ożenieniu się rozwodzą się, gdy ich małżeństwo znudzi, gdy nie mogą sprostać zadaniu w samowychowaniu i cierpliwości. Na szczęście nie trzeba popadać w drugą ostateczność i trzymać się uporeczywie starej, suchej metody przymusowego wbijania nauki do głowy. W dziecku istnieje obok chęci do zmysłowej wygody, także pożądanie heroizmu, siły, panowania nad sobą. Trzeba tylko umieć obudzić tego duchowego człowieka, dla niego uczynić naukę pisania interesującą, podać jako środek hartowania woli, jako próbę siły.

Pod tym względem kryją moralne i wychowawcze zasady Kanta wiele głębszej prawdy. Powiada on, że należy w sposobie moralnego motywowania już u dziecka apelować do strony duchowej, a nie nawiązywać swych żądań wyłącznie do uczuć zmysłowych. John Stuart Mill tak się znów wyraził: »Cieszę się, że zniknął dawny tyrański system nauczania, który o tyle przynajmniej był uzasadniony, iż wymuszał istotnie pewne przyzwyczajenia, ale zdaje mi się, że nowy system wychowa pokolenie ludzi niezdolnych do czynów, dla nich nieprzyjemnych«. Droga pośrednia będzie zatem ta, jeśli rzeczy nieprzyjemnych nie będziemy wymuszali w sposób czysto mechaniczny, ani też uprzyjemniali przygotowawcami, ale budzili miłość do rzeczy nieprzyjemnych, t. j. bezpośrednie pożądanie dobrowolnego przyjmowania na się ciężaru właśnie dlatego, iż jest niemiłym.

Poniżej podajemy próbę rozmówki z dziećmi.

»Ach, gdyby już raz minęła ta nudna pisanina«, myślicie nieraz, »to praca czysto rzemieślnicza, duch nie pracuje«. Czyż tak jest? Sądzę, że tylko od was zależy, czy chcecie przy niej kształcić ducha. Gdy bierze udział serce i dusza w tem, co tworzy ręka, tak, że żadna linia nie kroczy dowolną drogą, ale każdym pociągnięciem kie-

ruje duch, budzicie się z ospałości, uczycie się być obecnymi duszą przy wszystkich czynnościach duchowych, wzmocnicie siłę woli. Nauka kaligrafii jest więc nauką ducha, a co najpiękniejsze, że nie nauczyciel uczy duszę, lecz wy sami, zmuszając wewnętrznego człowieka do kontroli palców.

Pisanie ćwiczy w was nadto rzecz niesłychanie ważną, mianowicie to, co nami władnie, nam rozkazuje: naszą wolę. Ducha nudzą rzeczy tak proste, jak pisanie, dlatego trzeba poważnie zmuszać wolę, a to ją wzmocnia. Najmniejszy bowiem wysiłek woli ożywia całego człowieka, objawia się pewniejszym krokiem. Naodwrot pisanie może być poważnym niebezpieczeństwem dla siły woli, gdy w staranności popołgujemy sobie. Uważajcie tylko, co się stanie, gdy zaczniecie pisać ostatnie litery niestarannie. Znikną wówczas szybko kropki nad »i« i inne znaki, a całe pismo będzie przedstawiało istny jarmark, gdzie jedna litera kłóci się z drugą. Niestaranność przejdzie zwolna na całą waszą działalność, aż w końcu nie potraficie niczego dokończyć gruntownie. Przeciwnie przyzwyczajenie starannego pisania odbije się we wszystkim innym, co weźmiemy do ręki. Wogóle zapamiętajcie sobie: Kto zachoruje na lenistwo, niechaj nie jedzie do kąpiel dla wzmocnienia, ale niech zacznie kurację od dawania kropek nad »i«, porządnego pisania liter na końcu i t. p. Za skutek można mu ręczyć.

Celem przekonania was, jak wielki wpływ małe początki w ćwiczeniu woli wywierają na całe gospodarstwo wewnętrznego człowieka, dam wam przykład z przyrody. Gdy wulkan zniszczy jakąś wyspę, a potem zostawi ją w spokoju, zaczyna znowu rozwijać się wegetacja. Najpierw ukazują się na skałach mchy i porosty, przygotowując podłoże dla innych, mało wymagających roślin, a kiedy te wzrosły korzeniami skalistą ziemię, pojawiają się większe, delikatniejsze. To samo można u człowieka odnieść do jego dobrych przyzwyczajęń.

Niektórzy ludzie twierdzą, że z pisma można odczytać charakter. Czy to możliwe, czy człowiek zdradza się pociągnięciem pióra? Gdy człowiek ma opieszwały charakter, wyrazi opieszałość w piśmie, mianowicie w sposobie pisania liter. Pismo wyda wszystko: czy ma silną wolę, powolność czy szybkość w temperamentcie. Jak cały charakter odbija się w piśmie, tak naodwrot można pismem działać na cały charakter, ująć go w rękę. Radzę nawet chłopcu, który schwyta siebie na zamiarze przywłaszczenia cudzej własności, wybuchnięciu w gwałtownych słowach, niechaj nauczy się pisać starannie, z jak największą dokładnością, na liniach podwójnych. Nie brak mu bowiem dobrej woli, ale jej wyćwiczenia, a takie drobiazgi są niejako mchami i porostami na skale: przygotowują grunt, kierują należyte chęciem. Kto się przyzwyczai do staranności i cierpliwości w pisaniu, zauważy, że przyjmie się u niego większa wegetacja, zapuści silne korzenie. Nie będzie o lada słowo sprzeczał się z matką, z rodzeństwem, będzie panował nad słowami, jak nad palcami, aż wreszcie zlecą do niego i osiedlą na stałe najpiękniejsze myśli i postanowienia.

Nauczyciel może sam naukę pisania ożywić jeszcze w inny sposób. Niechaj napisze na tablicy kilka liter na liniach podwójnych i niechaj zapyta dzieci: Jakich złych rzeczy nauczy się ten, kto nie dociąga dokładnie liter do linii, albo je zawsze przekracza? Na podobne zapytanie otrzymał Dr Förster obfitość odpowiedzi: »Stanie się nieporządnym, będzie przesadzał w opowiadaniu, weźmie cudzą własność, zadłuży się, wypaple cudzą tajemnicę, będzie pił ponad pragnienie« itp. Dzieci odkryły same, ile rzeczy stawia się na kartę przy takich drobiazgach, jaki stosunek łączy je z całością losów i życia. Pytanie przytoczone już powyżej: o ile i dlaczego z pisma można poznać charakter

człowieka nadaje się również do ożywienia nauki pisania, do pobudzenia dokładności i wzbudza zawsze wielką uwagę u dzieci.

Ochrona słabych.

Kto obecnie pragnie przyszłe pokolenie wychować w rycerskości i względności względem słabszych, napotyka na drodze przemożnego ducha czasu, zadającego pytanie, czy może ochrona słabych być trwałą własnością naszego sumienia, czy też raczej nie są cenniejszymi dążności cywilizacyi, które na czoło życia wysuwają ochronę silnych. Kwestyę powyższą postawiły i nauki przyrodnicze i filozofia kultury. Szereg biologów twierdził, że opieka nad słabszymi musi doprowadzić do zwyrodnienia rasy, bo litość podtrzymuje to, co zostało skazane na wymarcie, na polu filozofii Nietzsche twierdzi, że dla samej kultury, podtrzymywanej przez silne jednostki, musi się silnym zapewnić bezwzględny rozwój; stąd według niego potrzeba »przewartościowania wszystkich moralnych wartości«, a więc i naszych ideałów wychowawczych. Przekazane tradycją sumienie jest »buntem« pozostałych w tyle i słabych, którym dzięki liczebnej przewadze udało się potrzebę pomocy uczynić najwyższą miarą wartości całego ludzkiego postępowania. Trzeba zatem zniszczyć to sumienie, silnego wychować w poczuciu bezwzględności mocy. Sumienie wielu rodziców i wychowawców może być z łatwością wprowadzone w błąd przez te kuszące wywody, zachwiane w swych dotychczasowych przekonaniach, dlatego w krótkości podamy szereg argumentów, stawiających podobne ataki we właściwym świetle. Dowody będą jak najprostsze, by można nimi posłużyć się i wobec dojrzałszej młodzieży. Kształcenie charakteru pozostanie pustym dźwiękiem, jeśli nie wiemy, jaki rodzaj charakteru należy kształcić, i czy tego, co dotąd uchodziło za najwyższy cel uszlachetnienia, nie muszą zastąpić nowe ideały.

1. Argument biologiczny.

Odkąd Darwin stwierdził, że rozwoju wszelkich organizmów należy szukać w walce o byt, która wybiera jednostki najdoskonalej przystosowujące się do otoczenia, a skazuje na zagładę słabych, stało się rzeczą naturalną, iż ze strony biologicznej zaczęto badać warunki postępu ludzkiego społeczeństwa. Współczucie dla słabych musiało wydać się nader podejrzanem, bo paraliżuje proces doboru, pozwala na zwyrodnienie, a przez to grozi niebezpieczeństwem całemu społecznemu organizmowi. Dla dania odpowiedzi zapytajmy się najpierw: Czyż niema doskonalszego środka celem dostosowania gatunku do warunków życiowych, nad samo niszczenie nieuzbrojonych? Mechanizm tępienia jest środkiem niewątpliwie niezręcznym, ciężkim, choćby dla niezmiernej rozrzutności zarodków, do tego potrzebnych. Czyż nie lepiej, gdyby w dotyczącym gatunku rozwinęła się świadomość własnych warunków życiowych i społeczna łączność jednostek do ich wypełnienia? Czy nie ograniczyłoby się w ten sposób i uczyniło zbędną skuteczność owego mechanicznego doboru?

Już w świecie zwierzęcym dostrzegamy istotnie działanie takich sił i funkcji doboru, mianowicie w coraz doskonalszem wykształceniu środkowego systemu nerwowego, który danej istocie odbija bliższe i dalsze otoczenie, minione wrażenia gromadzi, a tem samym sam osobnik staje się punktem wyjścia dostosowania, dotychczas uskutecznianego przez dobór i zagładę. Tak samo rozwijają się instynkta solidarności, wyrównujące niedoskonałość poszczególnych osobników w zabezpieczaniu bytu i umożliwiające rozporządzeniem środków do życia przez składanie sił. W obrębie takiej grupy nie działa zatem wydzielnicza i dobierająca praca walki o byt, bo przez wyręczenie i zapobieganie nawet osobnik niedostosowany jest zdolnym do egzystencji. Miejsce czysto mechanicznego doboru zajęła nowa organiczna i psy-

chologiczna zasada. Przyroda zmusza wprawdzie ciągle dalej do coraz silniejszego dostosowania, ale nie prowadzi już do niszczenia, bo staje temu na przeszkodzie rozwój nowych sił zapobiegliwości i społecznej łączności. Dlatego u zwierząt wyżej zorganizowanych maleje ilość potomstwa, zaś u niższych, pozbawionych samodzielnego dostosowania, oddanych na łup niszczycielskiego mechanizmu, wyrównuje niepewność bytu potężna produkcja zarodków życiowych.

Wróćmy do człowieka. U niego rozwinęła się najwyższą przewidująca czynność mózgu i wzajemność w niesieniu pomocy dla zapewnienia środków bytu. Czyż potrzebne prawo doboru, gdy je zastępuje inna skuteczniejsza zasada? Żadne zwierzę nie posiada takiej, jak człowiek, zdolności dostosowania się do środowiska, nie doszło do tak doskonałego wyzyskania korzyści i daleko idącej asekuracji przeciw szkodom otoczenia. Gdyby prawo doboru było naszą zasadą dostosowania, doszłoby do szczytu za czasów ludożerstwa. Widzimy, że jest przeciwnie. Współczucie, rosnąca potęga miłości i pomocy wywołały doskonałe dostosowanie, umożliwiając zespół sił dla poznania, opanowania i zużytkowania darów, jakoteż praw przyrody.

Spadlibyśmy do rzędu zwierząt, gdybyśmy pozwolili zmarnieć tym narządom wzajemnej pomocy na korzyść doboru, bo ludzkie współdziałanie da się utrzymać i doskonalić jedynie przez zachowanie i wzrost tych sił duszy. Może być, że słabi są ciężarem dla silnych, ale obciążenie jest nieczem w porównaniu ze wzmożeniem siły przez wspólność społeczną, umożliwiającą rozwój uczuć litości i ochrony. Zdolność rozumienia bliźnich jest podstawą wspólnego działania, pracy społecznej, a podobna zdolność jest tem konieczniejszą, im bardziej zawiłymi stają się zadania społecznego pożytku. To niezbędne współczucie społeczne nie pozwala w następstwie kroczyć po ciałach współbraci i rzucać ich na ofiarę naturalnego doboru.

Nie zapominajmy również, że właśnie nieraz w osobnikach fizycznie słabych dochodzą do najwyższego rozwoju duchowe i moralne właściwości, które są podstawą naszej wyższości nad środkami dostosowania świata zwierzęcego. Ci »słabi« są więc często najbardziej »dostosowani«, dają większy dopływ energii do duchowo-moralnej siły ogółu, niż silne ramiona. Po burzy wędrówek ludów wypływa z głębin nowego społeczeństwa wysoko czezony symbol macierzyństwa. Jest to fakt nietylko religijny, ale i społeczny, że dla utrwalenia ludzkiego bytu potrzeba uczuć, tkwiących w najczystszej miłości matki, która przyciska do piersi słabe i delikatne dzieciątko. Fakt tak oczywisty, że ostrzeżenia niektórych biologów i higienistów wydają się niezrozumiałe. Konsekwencya czysto biologicznego rezonowania uczyniła ich ślepyi na najuchwytniejsze fakta z rozwoju kultury, uniemożliwiła wyzyskanie przeświadczenia o społecznem i biologicznem działaniu współczucia.

2. Nietzschego »Przewartościowanie wszystkich wartości«.

»Dałem światu najgłębszą książkę«, pisze Nietzsche w swym Zaratustrze. Któż jest ten człowiek, mający odwagę napisać podobne zdanie o książce, odrzucającej wszystko, co najwięksi ludzie wszystkich narodów czcili jako prawdę i świętość? Na czem gruntuje się powaga podobnego wystąpienia? Dotąd uważano za najwyższych przywódców i prawodawców mężów, którzy pojowali rzeczywistość jako głębokie, obfite w cierpienia przeżycie czegoś, którzy poznali wewnątrz różnorodne ludzkich przeciwieństw, potrzeb, losów i dopiero na takim wewnętrznem doświadczeniu opierali swe myślenie i rozważanie. Jakże się przedstawia duchowe uzbrojenie Nietzschego do tej filozoficznej kompetencyi najwyższej miary? O uprawnienie w tem rozumieniu dzisiaj nikt nie zapyta, jakby dla stwierdzenia, że w sprawach ludzkich nasze »realistyczne« stulecie jest dalekiem od rzeczy-

wistości. A przecież to powinno być rozstrzygającą miarą dla płodu duchowego Nietzschego, dzieła zbudowanego mózgiem przepracowanego uczonego-odludka, który nie znał życia i jego tęsknot za wielkimi namiętnościami, sam nie mając prawie żadnych sił woli. Zwróćmy się tylko do Goethego, bo on właśnie we »Fauscie« zajmował się sprawą nadludzi. Myśli Goethego nad tem zagadnieniem opierały się o życie, sam miał w sobie zarodki nieokiełznanych namiętności nadczłowieka i przekonał się po wzruszających doświadczeniach z ludźmi rzeczywistymi, że człowiek szlachetny nie może deptać po cudzem życiu i nie może nie wołać w pełnem męczarni szamotaniu: »O gdybym był nigdy nie przyszedł na świat«. Wielkie współczucie i wielkie osobistości są nierozdzielne. Mały, słaby człowiek zużywa wszystkie siły dla siebie samego, niema nadwyżki dla odczucia cudzego życia; im bogatsza dusza, tem ściślej zrasta się z bliźnimi.

Prawdziwości twierdzenia, że osobistości wielkie, bogate są przystępne dla głębokiego współczucia, udowadniają genialni ludzie z czasów odrodzenia. Nie Borgiowie są przedstawicielami kultury owej epoki, mimo bezwzględnej dzikości, ale tacy ludzie jak Pico della Mirandola, Lionardo da Vinci, Michał Anioł. Czytając listy Michała Anioła do rodziny, przekonamy się, z jaką niestrudzoną starannością pracował wielki geniusz dla biednych krewnych, kłopotał ich zmartwieniami i życzeniami. Co począłby taki Michał Anioł z nauką Nietzschego, że człowiek szlachetny jest zawsze egoistą? Lionardo da Vinci wyraził się raz, że niema wielkiej sztuki bez głębokiego współczucia; sam swą miłością obejmował nawet świat zwierzęcy, bo na targu kupował ptaki, by im dać swobodę. Tak czują i działają prawdziwi »nadeludzie«, bez których zresztą i dla Nietzschego renesans nie miałby wartości i sensu.

Możnaby w rozumieniu Nietzschego zapytać, czy nie byłoby rzeczą pożądaną, aby wielcy ludzie zmuszali się sami do surowości, oddalali od siebie drobiazgi życia, strzeżli »patosu odległości« i tłum utrzymywali w szrankach. Byłby to pomysł nieskończenie abstrakcyjny. Ludzie wielcy budzą u drugich tem uczucie wyniosłości, że nie mają nic wspólnego z popędem samoobrony zwykłego człowieka, lecz raczej giną, niż żeby mieli burzyć, niszczyć, drugich poświęcać. Wytrącając św. Piotrowi miecz z dłoni, gdy go chciał użyć przeciw prześladowcom Pana, dał Chrystus ludziom poznać swą niezmierną odległość od rzeczy zbyt ludzkich. Istnieje głęboko pomyślany obraz Fra Angelica: Chrystus siedzi na tronie z zawiązanymi oczami, z kulą świata i berłem w rękach. Z obu stron plują nań ordynarne twarze. Cóżbyśmy powiedzieli, gdyby ten wzniosły męczennik nagle zerwał się i uderzył z berłem w rękę na prześladowców? Tego w istocie domaga się Nietzsche. Ale wówczas brakłoby nam przejmującego obrazu najdoskonalszej wzniosłości. Chrystus władnie mimo oplwania, panuje właśnie dlatego, że się nie zniża do powszedniości, ani miną, ani słowem, ani cieniem myśli. W tem odbija od masy niewolnych i nieczystych. Natomiast nadczłowiek Nietzschego tonie w »stadzie«, które spada do poziomu brutalnej bezwzględności.

Jako osobliwą zasługę Nietzschego podnoszą postawienie przez niego w ognisku cywilizacji pojęcia osobowości. Niestety zasługa obróci się w zupełnie coś innego, gdy przypomnimy, że Nietzsche jako środki i drogi do wydobywania osobowości postawił pozbawione życia abstrakcje i przez to wiele ludzi zaprowadził na pustkowie kultu »ja«. Nietzsche powiada, że człowiek może bez ludzkiego społeczeństwa rozwinąć swą osobistość, ha, że nawet samozaparcie, wynikające z każdego współżycia, niszczy wierność względem samego siebie. Nie widzi on tego, że człowiek zyskuje

głębszą, bogatszą treść, czar osobisty dopiero przez wymagania, jakie stawia wspólne pożycie z bliźnimi odnośnie do sił przezwytyczenia siebie, miłości i ofiary. Ludzie zawdzięczają bogatą, rozgałęzioną organizację mózgu konieczności dostosowania działań do skomplikowanego otoczenia społecznego; tak samo całą zasobniejszą treść życia duszy — współczucie, miłość, cierpliwość, panowanie nad sobą trzeba odnieść przedewszystkiem do wzrastających względów dla bliźniego. Kto, jak Nietzsche, patrzy na stosunek silnego do słabszego ze strony zewnętrznej, rozumem abstrakcyjnym, nie pojmie nigdy na czym polega ta tajemnicza pomoc. Nietzsche widzi jedynie dary silnych, zamyka oczy na odpłatę słabych, musiał więc dojść do wniosku, że nasze ideały etyczne zmierzają do zubożenia silnych na korzyść słabych. Kto chce swą osobowość utrzymać, utraci ją; lecz kto zapomni o sobie samym, zdobędzie życie indywidualne. Kult osobistego »ja« prowadzi mimo pięknie brzmiących frazesów nieodbitie do zubożenia życia.

Brak znajomości duszy i życia u Nietzschego wyka-
zuje najlepiej zupełne niezrozumienie istoty Chrystusa; naukę jego uważa za ewangelię słabości i niestawiania oporu
życiu. Nie przeczuwa on zupełnie olbrzymiej siły woli, działającej po za słowami i czynami »Syna człowieczego«, który powiedział: »Świat przezwytyczyłem«. Wewnętrznej siły nie zdoła jednak nikt pojąć samym rozumem, bez wewnętrznego doświadczenia. Będzie ona dlań zerem, choćby zapalała miliony serc, uspokajała miliony burz. Naodwrot nie może dziwić, że człowiek tak potężnej woli jak Napoleon, wyznawał w Chrystusie nieskończenie od siebie wyższy geniusz siły i woli, czemu dał wyraz w swych rozmyślaniach na wyspie św. Heleny. Porównywa on własną siłę woli, tak podziwianą przez wszystkich z ujarzmiającą potęgą Chry-

stusa, która spływa na całe stulecia i podbija ludzi. »Cuda woli«, woła Napoleon, a Nietzsche mówi o złamaniu woli.

Powiada Nietzsche tak: »Nie przynosi to wcale zaszczytu religijnemu uzdolnieniu silnych ras północnej Europy, że nie odepchnęły od siebie Boga chrześcijańskiego«. Odpowiedź: Nie odrzuciły go, bo nie były jeszcze »przeuczonymi« rozumami i posiadały w całej pełni instynkt prawdziwej siły. Dlatego stworzyła dusza ludu z zewnętrznej potrzeby wzniosłe marzenie o św. Gralu, z którego spływa na życie nadludzka siła i umożliwia gotowość do ofiar, poświęceń dla uciśnionych i prześladowanych, a przez pomocną miłość wprowadza w czyn najwyższą arystokrację ducha.

Podajemy kilka przykładów dla młodzieży — zanim zapozna się z Nietzschem — celem obudzenia u niej rycerskiego trybu życia, zrozumienia znaczenia słabych dla silnych. Jako nauka oparta na rzeczywistości zdoła obudzić z pewnością żywe zainteresowanie u działwy. I tu zaczynamy nie od obowiązków silnych względem słabych, ale wyjaśnimy najpierw wzajemne oddziaływanie tego stosunku.

Niebezpieczeństwo siły.

»Na jakież niebezpieczeństwa może być narażony silny?« zapytacie, usłyszawszy, że chcę o nim mówić. Gdyby chodziło o słabych, co innego, ale silny jest najpotężniejszym, powiada Wilhelm Tell, gdy stoi sam. Zróbmy takie porównanie. Każdy z was wie, że podróż balonem nie bardzo jest bezpieczną. Dlaczego? W wyższych warstwach jest powietrze tak rzadkie, że nie może stawiać oporu ciśnieniu krwi i krew wybuchu nosem, ustami, uszami. Naczynia krwionośne nie są dość silne, aby krew powstrzymać, potrzeba im dużego przeciwcisnienia otaczającej nas gęstej atmosfery. Zgadnijcie, na co wam to opowiadam. Czyż silny może znaleźć się w takim położeniu, jak żeglarz powietrzny

w rozrzedzonym powietrzu? Kto ma do czynienia ze słabymi i bezbronnymi, naraża się zawsze na niebezpieczeństwo, iż jego dzikie popędy i namiętności wybuchną z całą siłą, bo mu brak przeciwwagi człowieka silnego, któryby na wybuch nie pozwolił. Wszędzie, gdzie styka się silny ze słabym, lub gdzie mamy do czynienia z człowiekiem od nas, czy od rodziców naszych zależnym, wszędzie i zawsze grozi nam większe niebezpieczeństwo, niż bezbronnemu. Musi znieść swawolę, ale wewnątrz jego pozostaje nietknięte; silny natomiast naraża serce i duszę, bo okrucieństwo i samolubstwo wpływają jak wezbrany potok górski. Dlatego silny potrzebuje duchowego zdrowia bardziej, niż słaby, świętej bojaźni przed prawami słabego i względności w postępowaniu. Potwarzam duchowego zdrowia, bo już wielu straciło rozum, nie mając nikogo, ktoby ich zmusił do oparcia się własnym kaprysom i popędom. Cesarz Neron był z początku łagodnym władcą, dopiero poczucie władzy tak go oszołomiło, że stał się niemal zwierzęciem. Jak niebezpiecznym może stać się dla charakteru obcowanie z samymi bezbronnymi, świadczą opowiadania o więzieniach syberyjskich. Oficerowie dobroduszni, dobrze wychowani, dziczełi w krótkim czasie, dostawszy się na stanowisko naczelników więzień, gdyż mogli z więźniami robić, co im się podobało. A tego właśnie człowiek nie znosi. Przekonacie się o tej prawdzie w małej rzeczy, jeśli porównacie dzieci, mające samo starsze rodzeństwo, z dziećmi, posiadającymi młodszych braci i siostry. Najstarsze dzieci stają się zwykle samolubne, żadne panowania, nie znają cugli, bo mają pod sobą tylko słabszych, a swe życzenia wymuszają pięścią, lub ordynarnem słowem. Człowiek rozsądny bada zatem, czy między ludźmi, z którymi codziennie obcuje, niema bezbronych, zależnych, wobec których mógłby pokazać swą siłę. Znalazłszy, będzie już na wpół uratowany, bo może uprzędzić grożące niebezpieczeństwo. W okolicach malarycznych zażywa się dla wzmocnienia chininę; tak samo dla zabezpieczenia się prze-

ciw niebezpieczeństwu siły postanawia się postępować wobec słabych uważnie i ze względnością. Dla tego powodu jest tak ważną ochrona zwierząt. Nie dręcz zwierzęcia, choćby w żarcie, bo szkodzisz tem sobie więcej, niżli jemu. Ochrona zwierzęcia jest ochroną człowieka, bo zabezpiecza przeciw tyraństwu, które budzi się na widok bezsilności. Postępując szorstko ze zwierzętami, sami stajemy się nimi. Karze nałożonej przez naturę na dręczycieli zwierząt, nikt nie ujdzie, chociażby oko ludzkie nie widziało postępów. Podobno struś australski dlatego miał utracić skrzydła, że przyzwyczaił się biegać po gęstych zaroślach. Tak samo według praw natury zwolna obumierają mięśnie i narządy, których nie używamy. Prawo jest ważne dla ludzi i to nietylko w odniesieniu do mięśni, ale i do sił duszy. Kto wszystko wywalcza pięścią, krzykiem, u tego z każdym dniem tężeje przez wprawę dłoń i głos, a słabnie dusza dla braku ćwiczenia. Już dlatego należałoby radzić każdemu silnemu, aby w domu, w szkole, tak się zachowywał i postępował, jakby był najslabszym, a to celem wyćwiczenia w zaletach, podbijających serca ludzkie: w rycerskości, współczuciu, skromności i zgodności.

Nie każ nikomu być niewolnikiem, bo sam nim staniesz się. Czyimi niewolnikami stajemy się, nadużywając siły wobec bezbronnych i podwładnych? Przypomnijcie sobie porównanie z balonem. Namiętności, kaprysy w nas samych nie czując żadnych szranek robią, co chcą, rządzą nami i naszym życiem, my im służymy, jak niewolnicy. Tak mści się bezbronny na nas.

J a k p o m a g a ć s ł a b y m .

Do najpiękniejszych ślubów rycerza średniowiecznego należała ochrona słabych i uciśnionych. Dlatego i dzisiaj nazywamy »rycerskim« człowieka, okazującego względy i chętną pomoc słabszym. Prawdziwego męża mierzy się nie ilością tych, których zdeptał, ale tych, których podniósł. Ina-

czej musiałyby bawół i nosorożec być wzorem męskości. Widząc na ulicy chłopców rozbijających się, przepychających z całą bezwzględnością, możnaby zaiste mniemać, że mają fotografię nosorożca w kieszeni i od czasu do czasu pokrzepiają się tym szlachetnym przykładem. W latach dojrzewania wielu młodych okazuje swą męskość i bohaterstwo pustym krzykiem i tupaniem. Niestety u niejednego wada zostaje na całe życie, bo nikt w porę nie zwróci mu uwagi na niestosowność postępowania. Gdybym był artystą, wymalowałbym tak prawdziwego mężczyznę: Silna, ruchliwa postać, która jedno ramię kieruje ku przepaści, by wyciągnąć upadającego, a drugie rozpościera nad nim osłaniając. Istnieje dzisiaj cały szereg pięknych zwyczajów, które nieustannie przypominają, że mężczyzna powinien siły poświęcić pomocy. Gdy chłopiec po raz pierwszy pomoże siostrze przy wdziewaniu płaszcza, starej kobiecie na ulicy ulży w dźwiganiu ciężkiego kosza, albo w wagonie tramwaju ustąpi swego miejsca staruszkowi, kobiecie, choćby nią była ciężko obciążona kucharka — to znak, że wkracza w wiek męski. Tymczasem niejednen chłopiec myśli, że męskość okaże najlepiej, jeśli potajemnie, w jakimś ciemnym kurytarzu wypali papierosa.

Jakież zwyczaje pomocy i względów wykształciły się w obcowaniu z dziewczętami i kobietami? Przedewszystkiem, jak już wspomniałem, nie pozwala się im stać, gdy się samemu siedzi, ani w domu, ani w tramwaju. Również pomaga się im w noszeniu różnych rzeczy, wogóle stara się im ulżyć w fizycznym znużeniu. Chcąc wszystkie wypadki uwzględnić, trzebaby tysiączone reguły wymienić; główna rzecz w tem, aby mieć stosowne usposobienie, a już samemu będzie się wiedziało, co zrobić w każdym poszczególnym wypadku. Niestety, niektórzy chłopcy pozwalają się obsługiwać w ten sposób matce, siostrze, że doprawdy, nie przynosi on zaszczytu ich męskości. Niektórzy ludzie sądzą, że są doskonałymi rycerzami, gdy wobec pań wypełnią pewne

formy grzeczności. Zasada najzupełniej fałszywa. Uprzejmość jest niejako latarnią morską, wskazującą okrętom drogę do przystani. Formy towarzyskie wskazują również tylko formę, przy pomocy której można przybić do portu rycerskości. Reszta jest pozostawiona naszej rozwadze; sami musimy umieć kierować mową i uczynkami, jeśli ślub rycerskości nie ma być jedynie formułką zewnętrzną.

Kto zatem chce kobietom okazać gotowość pomocy i rycerskość, nie zadowoli się zwyczajami towarzyskimi, lecz będzie samodzielnie rozmyślał nad tem, co obejmuje wyraz pomoc. Uwagę skierujcie przede wszystkim na własną matkę. Niemal wszystkie matki skarżą się na rozdrażnienie nerwowe, wywołane czuwaniem po nocach, hałasami dzieci, troskami. Obowiązkiem dziecka jest zatem pomódz matce do uspokojenia nerwów i do takiego postępowania, aby stan jej zdrowia nie pogarszał się. Tymczasem dzieci są nieraz wprost bezwzględne. Krzyczą, hałasują, zamykają drzwi z łoskotem, albo też chodzą złe, nadasane i naprzykrzają się ustawicznymi prośbami. Nieraz też kłóćą się z matką, nie dadzą jej przyjść do słowa, byle ich prawda była na wierzchu. Cóżby w tem było złego, gdyby nawet wy mieliście rację, a matka się pomyliła? Ileż tysięcy mężczyzn i kobiet umarło na świecie niewinnie z pogodną twarzą, a wy nie możecie znieść spokojnie niesłusznej nagany, lub przełknąć nieporozumienia. Ale w takim razie zróbcie mi przyjemność i nie podziwiajcie bohaterów i bohaterki dla ich spokojnej śmierci, lecz raczej rozwścieczonego psa na ulicy.

Słowo »pomoc« należy wogóle do najbogatszych, jakie na świecie istnieją. Wesprzeć kogoś, pomódz, znaczy nietylko dać mu pieniędzy, dobrą radę, podać ramię. Niektórzy ludzie chcąc pomódz drugiemu czynią to tak niezręcznie, że go ciężko poniżają, upokarzają, a tem samem odbierają siłę do podniesienia się z upadku. Prawdziwa pomoc wzmacnia zaufanie do samego siebie u drugich i pomaga w samopomocy. Z biednymi nie można być nigdy dość ostrożnym

w sposobie dawania, by nie dotknąć ich wrażliwości. Pielęgnowanie chorych wskazuje, jak niewyczerpanem jest bogactwo słowa: pomoc. Polega ona nie na zawiązywaniu ran, podawaniu lekarstwa. Powiedzcie sami, co musimy uczynić, aby choremu istotnie dać pomoc: 1) Sposobem mówienia oddziaływać nań uspokajająco, zamiast nużyć głośnym krzykiem. 2) Rozmową odpowiednią odwracać uwagę od choroby, fantazyę pobudzać przyjemnymi obrazami. 3) Dać mu odczuć, jak jest niezbędnym, i jak niecierpliwie wszyscy czekają i cieszą się na jego wyzdrowienie. 4) Przynosić kwiaty i innemi drobnostkami zaznaczać przychylność. 5) Nigdy nie okazywać znużenia, niecierpliwości, owszem podnosić z naciskiem, że pielęgnowanie i pobyt z chorym jest dla nas radością. 6) Rozmawiać o planach na przyszłość, gdy wyzdrowieje, bo to daje mu pewność przyjścia do siebie. 7) Zwracać uwagę na dobrą stronę choroby; jak miłą jest cisza i spokój w pokoju chorego i jak źle dla człowieka, jeśli nie zazna nigdy takich cichych dni, by zaglądnąć do wnętrza swej duszy.

Jeszcze jeden przykład: Na spacerach, wycieczkach nieraz już wam zapewne przydarzyło się, że jeden z was, zmęczony się, pozostawał w tyle. Czyż pomożecie mu, wyśmiewając się z niego ciągle, grożąc, że go już nie weźmiecie nigdy ze sobą. Nie, trzeba mu dodać otuchy, bo podczas znużenia fizycznego zależy niezmiernie wiele od nastroju duszy. Podczas wycieczek w górach słabsi idą zawsze na czele, bo jest rzeczą przykrą być ostatnim. Słaby krocząc pierwszy, może marszowi nadać tempo; nadto należy jego uwagę odwracać od znużenia przez wesołą rozmowę. A jak wdzięcznym jest człowiek słaby, gdy człowiek silny, ale delikatny pomaga mu skrycie, bez zwracania uwagi innych.

Walka z nauczycielem.

Omówię dzisiaj z wami jeden wypadek z życia szkolnego; chcę usłyszeć wasze zdanie o nim i zbadać, czy mi

przyznacie rację w tem, co mówiłem o obowiązkach i niebezpieczeństwach silnego. Wiem, jak uczniowie cieszą się, gdy ma w klasie objąć naukę młody, świeżo wstępujący do zawodu nauczyciel, jak to mówią, prosto z igły. Zaledwie ukaże się w klasie wybucha zwykle burza. Słychać szurganie nogami, chrząkanie, mruczenie, szepty, widać trącanie się rękami, pocieszne miny, często grymasy nieprzyzwoite, nieraz latają nawet po powietrzu kulki papierowe, wybuchają żabki. Jakże ma nauczyciel podjąć walkę, by mózdz prowadzić prawidłowo naukę? Czy może ma rozdzielać na prawo i na lewo policzki i huknąć takim głosem, że wrzawa ucichnie raz na zawsze, a on zdobędzie respekt? A może w jego postawie, całym wystąpieniu jest coś tak pewnego siebie, imponującego, że odrazu wszyscy uspokoją się. Ale to nie łatwo; niejednen z takich młodych nauczycieli jest niedoświadczony, bojaźliwy, a wielu najdelikatniejszych, najzdolniejszych, najprzyjemniejszych nie ma wcale daru do hałaśliwego, krzykliwego wystąpienia i są zupełnie bezsilni wobec wrzawy. Zazwyczaj niechętnie też donoszą zaraz o wszystkim dyrektorowi, aby nie posądził ich, że nie mają talentu do utrzymania młodzieży w korbach. Próbuje więc taki nauczyciel mimo hałasu uczyć, o ile się da i wraca zmęczony i smutny do domu, bo nie wie, co z tego będzie. Radował się całym sercem ze swego zawodu, ale może będzie musiał go porzucić, jak woźnica nie umiejący utrzymać koni w cuglach. Wyobraźcie sobie tylko, co to znaczy dla nauczyciela zmieniać zawód. Pięć lat się uczył, a ta nauka nie pomoże mu zostać księdzem, prawnikiem, lekarzem, czy inżynierem. Gdyby wasz starszy brat przyszedł w takim stanie do domu, jakżeż chcielibyście dodać mu otuchy, zaciskali pięści na niedobrych uczniów. A jednak sami może już tak robiliście nie zastanawiając się nad tem, iż nie jednego człowieka wtrąciliście w smutek, rozpacz, ale wszystkich, którzy go kochają, od niego zależą. Może matka nauczyciela z upragnieniem oczekiwała chwili, kiedy syn będzie samodzielny,

aby coś uczynić dla młodszego rodzeństwa, aż tu on wraca do domu i mówi: »Nie mogę dalej ciągnąć, głowa mi płośnie, niszcę zdrowie...« Może z zamięłowania nie porzuci zawodu, ale utraci radość z życia.

Powiedzcie teraz sami, kto silniejszy, podczas walki uczniów z nauczycielem? Nie odpowiecie chyba, że nauczyciel, chociaż większy od chłopców i ma silniejsze mięśnie. Nauczyciel jest w podobnym wypadku słabym, bezbronnym, bezsilnym, zarazem stroną cierpiącą. Nie sztuka dla klasy niesfornych chłopców jednemu człowiekowi uniemożliwić naukę, gdy nie chce surowo karać i wzywać pomocy dyrektora. Delikatnego ucznia poznamy wówczas po tem, że nie będzie brał udziału w awanturach. Można wybaczyć najdziksze psoty młodzieńcze, ale każdy zbytek przeciw bezbronnemu przestaje być wesołym, a staje się ordynarnym. Rycerskim można być również względem nauczyciela, szczególnie kiedy znajdzie się w trudnem położeniu. Kto korzysta ze sposobności do brojenia, wobec bezradności nauczyciela rzuca cugle, naraża się na niebezpieczeństwa klimatu szorstkiej przemocy, gdzie niezdrowa febra niszczy nieraz całe życie. Z pastwienia się nad bezbronnym tylko wówczas wyleczymy się gruntownie, gdy wstrząśnie nami dreszcz przed własną nikczemnością, uderzy pot na samą myśl wstrętnego obrazu walki ze słabym. Uczynimy najlepiej, jeśli nauczyciela odwiedzimy i wyznamy, jak żałujemy, że mu taką przykrość wyrządziliśmy.

Miłość bliźniego.

Nieraz można słyszeć taki zarzut: Poco uczyć osobno etyki? Czyż wszystkiego, czego człowiekowi potrzeba, nie obejmują słowa: »Miłuj bliźniego swego, jak siebie samego?« Zaiste owo słowo wyraża wszystko, co człowiek winien człowiekowi. Ale ani najwznioślejsza nauka, ani wzniosły przykład nie jest wystarczającą wskazówką dla człowieka, który w konkretnem pożyciu z ludźmi szuka drogi prawdzi-

wej miłości. Jak się miłość objawia, na czym polega oględność postępowania, a więc jak należy stosować w poszczególnych wypadkach miłość bliźniego — na te pytania można odpowiedzieć tylko przez konkretne rozpatrzenie życia ludzkiego i jego potrzeb. Sama miłość i współczucie nie wystarcza, bo za wiele spotykamy ślepej miłości i krótkowzrocznej litości. Prawdziwej pomocy można jedynie temu udzielić, kogo się wybornie zna, wraz z jego warunkami życiowymi, inaczej błądzi się i litością psuje. Nieraz trzeba z głębszego współczucia być bezlitosnym, mianowicie tam, gdzie jedynie ból może u drugiego wpłynąć korzystnie na doświadczenie życiowe i samowychowanie, a przez ustępowanie miękkością litości odebrać bliźniemu surowość względem samego siebie i wyrządzić największe szkody.

Niema zatem prawdziwie pomocnej miłości bez znajomości życia i ludzi. Wychowawca musi jak najwcześniej kierować zmysł spostrzegawczy dziecka na sprawy ludzkie, pobudzać wyobraźnię, uczyć rozumienia obcych losów i temperamentów, litości powodującej się stosownym miejscem i stosownym sposobem, wogóle pouczać o pomocy, działającej z rozmysłem. W polityce społecznej istnieje ważne hasło: »Pomagaj do samopomocy«. Zyskamy bogaty materiał do rozmówek z dziećmi starszemi, jeśli odnośnie do rozmaitych ludzkich sytuacji zadamy pytanie: Co znaczy w tym wypadku pomoc do samopomocy? Takie pytania pobudzają, ożywiają fantazyę, ułatwiają orientację w życiu rzeczywistem. Po rozmówce patrzą dzieci inaczej na własne otoczenie, a to o wiele więcej znaczy, niż wpajanie oderwanych prawideł moralnych. Jako wstęp do omówień można podać działwie regulamin »Pierwszej pomocy w nagłych wypadkach« i wykazać, że na nic się nie zda litość bez znajomości należytych środków pomocy.

Poniższe przykłady można uzupełnić rozdziałami »Ratowanie«, »Ochrona słabych« i odwrotnie.

Postępowanie z gwałtownikami.

Niema nic trudniejszego na świecie, jak być spokojnym, gdy się ma do czynienia z ludźmi wzburzonymi i gwałtownymi. Gniew, gwałtowność zarazają bardziej, niż ospa, szkarlatyna, a zarazony wybuchu jeszcze goręcej niż ten, który zaczął. Później żałuje niejeden gorzko, że dał się unieść, a sam nie wie, jak należało uniesienia uniknąć. Podam wam dzisiaj jeden środek wprawdzie nie niezawodny, ale mogący oddać przecież dobre usługi. Uważajcie się za lekarza, mającego do czynienia z chorym. Gwałtownik nie jest w istocie całkiem zdrowy, co najmniej choruje na nerwy, a w chwili napadu gniewu trzeba z nim postępować, jak z obłąkanym, a nie odpowiadać jak zdrowemu i rozdrażniać jeszcze bardziej jego chore nerwy.

Jakżeż postępuje się z chorymi na umyśle? Próbujemy nieznacznie skierować ich myśli ku innemu przedmiotowi, nie sprzeciwiamy się im, i w ten sposób doprowadza się ich do względnego spokoju. Pewien pan zwiedzając zakład dla obłąkanych, znalazł się z obłąkanym na balkonie czwartego piętra. Obłąkaniec odezwał się doń: »Skacz pan na dół; ja jestem Pan Bóg i postaram się, by nie ci się nie stało«. Gdyby się był »P. Bogu« sprzeciwił, może chory popadłby w furję i zrzucił go na dół. Dlatego ów pan odpowiedział: »Panie Boże, wierzę, że za twoją wolą nicby mi się nie stało, choćbym skoczył na dół, ale tu u ciebie w niebie jest tak pięknie, że wolę już przy tobie pozostać«. Słowa te pochlebily »Panu Bogu« i zostawił swego gościa w spokoju. Najlepiej jest postąpić podobnie z kimś bardzo rozgniewanym. Nie skakać do oczu, lecz uspokajając, zgadzając się pozornie na jego myśli, lub czekać sposobniejszej chwili, by odwieść go od nierozsądku. Spotkawszy na ulicy spłoszone konie, nie rzucamy się przed nie, ani nie chwytamy nagle za cugle, owszem biegniemy przez chwilę z nimi razem. Inaczej przewróciłyby nas i nie dały powstrzymać.

Zupełnie tak samo dzieje się z ludźmi, którzy zgubili cugle zastanowienia; i tu trzeba przez chwilę z nimi razem biedz, inaczej staną się jeszcze dzikszymi i rozjadą nas. Wzburzonym, podnieconym należy przedewszystkiem okazywać wiele miłości i czułości, bo wybuch pochodzi u nich stąd, że tacy ludzie wrażliwi zawsze mniemają, iż ktoś chce ich zaczepić, obrazić i natychmiast z wielką werwą biorą się do obrony.

Polecając łagodność, oględność nie myślę wcale przez to wyrazić, abym był za ustępowaniem we wszystkim ludziom gwałtownym, nie znającym miary. W ten sposób oddalibyśmy im samym najgorszą przysługę. Mówię tylko: wszystko w stosownej chwili. Nagana, skarcenie w chwili gniewu dolewa oliwy do ognia. Dobrocią i spokojem — choć one bardzo trudno przychodzą — zawstydzają się głęboko wzburzonego, a po uspokojeniu znajduje się u niego wrażliwe podłoże na wysłuchanie słów żalu i zdumienia z powodu przykrej sceny. Należy tylko uciekającemu nieprzyjacielowi zbudować złoty most, upokorzenia nie posuwać zbyt daleko.

Lekarzami domowymi są nie tylko doktorzy, których wzywamy podczas choroby. Nie, naprawdę są nimi ludzie, którzy u siebie w domu nie krzyczą, hałasują, owszem łagodzą, uspokajają w sposób rozsądny, rozumieją się na należytej pomocy przy wybuchach gniewu i potrafią słowami ochłodzić, choćby temperatura dusz doszła do 40 stopni.

Siostra miłosierdzia.

Niedawno spotkałem się z bardzo bogatym człowiekiem, który cały świat objechał, wiele widział i przeżył. Spytałem go, kiedy czuł się najszczęśliwszym? Odpowiedział mi, że wówczas, gdy leżał w szpitalu chory na tyfus. Wyraziłem swe zdziwienie, a on odparł: »Tak. Pielęgnowała mnie siostra miłosierdzia, a jej anielskiej łagodności i cierpliwości nie zapomnę do śmierci. Byłem dla niej zupełnie obcym, miała jeszcze innych chorych i ciężką służbę w dzień

i w nocy, — a przez całych 8 tygodni widziałem na jej twarzy tylko dobroć, nigdy najmniejszego niezadowolenia«. W szpitalu czuł się najszczęśliwszym! Wyobraźcie sobie, jak temu bogaczowi musieli zazdrościć biedniejsi. Mógł wydawać tysiące, kupić co dusza zapragnęła, jeździć wygodnie, gdzie chciał. A on wspomina z utęsknieniem szpital, gdzie leżał powalony tyfusem i pielęgnowany przez siostrę miłosierdzia. Dlaczego? Bo nieba trzeba szukać w miłości, a nie w worku pieniędzy. Najpiękniejszym widokiem jest miłość pełna litości, nie dla siebie nie żądająca, która pragnie jedynie służyć i leczyć. Im kto więcej ma pieniędzy, tem mniej przypada mu w udziale prawdziwej miłości. Złoto wyciąga w ludziach chciwość, jak według podania góra magnetyczna żelazo z przepływających okrętów.

Wielu, wielu ludzi tęskni na wzór onego bogacza za siostrą miłosierdzia, i ci, którzy jej nigdy nie poznali i ludzie szorstcy, nielitościwi. W głębi serca wie bowiem każdy, że tylko cierpliwa miłość uszczęśliwia i że po za nią niema niebios. Niestety, nie każdy zna drogę do niej. Ludzie szukają przykładu, wzoru dobroci, anioła opiekuńczego przeciw własnej gburowatości i nie znajdują go. Sióstr miłosierdzia jeszcze mało na świecie i te są tylko po szpitalach, zdrowi ich dotąd nie posiadają. A przydałyby się również bardzo zdrowym, bo im nie brak na duszy ułomności i ran, wymagających może nawet więcej cierpliwości i poświęcenia, niż choroby ciała. U człowieka zarozumiałego nie widzimy wprawdzie odrazu tej wady tak, jak puchliny w nodze, ale czyż nie jest on chorym? Cierpi na puchlinę duszy, wymagającą starannego, pełnego miłości pielęgnowania. Gdy ktoś jest gwałtownym, zbyt wrażliwym, lub niedowierzającym, czyż nie należy do rzędu chorych i czy nie zginie na tę chorobę wewnętrzną, gdy się z nim obchodzimy bezmyślnie, nielitościwie? Któż z nas jest właściwie zupełnie zdrowym? Chorzy w szpitalach mają nieraz o wiele zdrowszą duszę i serce od spacerujących po świecie.

Weźcie zatem moją radę do serca: bądźcie siostrami miłosierdzia. Nie mam na myśli, abyście szli do szpitala pielęgnować chorych. Nie, pomnijcie tylko o owej dobrej siostrze, która pielęgnowała bogacza, zapytajcie siebie w duszy, czy nie dobrzeby było być do niej podobnym i takie światło rozsiewać? Jakże inaczej świat wyglądałby, gdyby takie siostry rządziły nietylko w szpitalach, ale u gniewnych i dumnych, upartych, chciwych i u ludzi o ciasnym sercu! Tylko nie myślcie, że można zostać siostrą miłosierdzia bez żadnego przygotowania. Musi ona umieć obchodzić się delikatnie z chorymi, uspokajać ich, dodawać otuchy, umieć słać im łóżka, przewiązywać rany. Jeszcze trudniej być siostrą miłosierdzia dla zdrowych, bo ci nie budzą takiego współczucia i drażnią nas więcej, aniżeli bezsilni chorzy. Ale przez ćwiczenie można nauczyć się wszystkiego, szczególnie jeśli kto pragnie z całego serca być słońcem dla bliźnich. Zaczniście od tego momentu, gdy usłyszycie coś złego o innych i popadniecie w pokusę, by dać temu wiarę. Bądźcie wówczas siostrami miłosierdzia, powiedzcie, że oskarżony nie jest tak złym jak się wydaje, że ma dobre strony, słowem nakłaniajcie do dobrego, uspokajajcie wzburzonego. Mając do czynienia z ludźmi wrażliwymi, kłótliwymi, złóżcie ręce pod stołem i postanówcie pozostać wiernymi miłości, cierpliwie z nimi obchodzić się, aby kiedyś bliźni mógł o nas powiedzieć: »Tak, wówczas byłem w niebie«.

O r e d o w n i c z k i.

Słyszycie nieraz wiele o tem, że kobiety zaczynają zwolna zdobywać zajęcia mężczyzn, i że coraz więcej pojawia się kobiet uczonych, lekarek, adwokatów. Opowiem wam dzisiaj o najpiękniejszym ze wszystkich zawodów kobiecych, tem przystępniejszym, że można mu poświęcić się obok innych zajęć. Wiecie, że Kościół katolicki czei Najś. Maryę Pannę jako orędowniczkę wszystkich grzesznych. »Matko Boża, przyczyn się za nami«, tak modli się katolik

i wierzy, że N. M. Panna przed tronem Boga wystąpi ze słowem litości w jego obronie. Czyż i na ziemi może być dla kobiety piękniejsze zajęcie nad orędownictwo; wkraczać i łagodzić surowość prawa tam, gdzie człowieka oskarżają i sądzą? Czyż całe życie ludzkie, pełne nienawiści, surowej obmowy, ślepych nieporozumień nie daje obszernego pola do orędownictwa? Ile razy człowieka bezlitośnie obmawiają, sądzą, są dwie możliwości: albo się zgadzamy z posądzeniem i dodajemy swoje trzy grosze do zniesławienia bliźniego, albo stajemy w jego obronie, tłumaczymy go, uniewinniamy, usuwamy nieporozumienie. O wielez przyjemniej dla serca obrać tę drugą drogę, być aniołem stróżem dla nieobecnego. Nawet gdyby chodziło o wrogów osób najbliższych, nie powinna kobieta nigdy podniecać gniewu, niechęci, ale pośredniczyć, przedstawiać postępowanie w łagodniejszym świetle. W ten sposób pomaga swym blizkim, bo wszystkie uczynki ze ślepej nienawiści mszczą się w życiu na nas samych, choćby w ten sposób, że dziczejemy.

Zawodu orędowniczki trzeba się uczyć, w nim ćwiczyć; należy oczy otworzyć, szukać w życiu i mowie ludzi sposobności do łagodzenia, uspokajania, do obrony, a znajdziecie ich więcej, niż gwiazd na niebie. Z przestrachem dostrzeżemy, w ilu wypadkach samej się podjudzało, zamiast orędownić i pojmiemy, ile męstwa, zaparcia się orędownictwo wymaga.

Na drogę nowego zawodu zabierzcie piękne słowa, które przed dwoma tysiącami lat grecki poeta Sofokles włożył w usta Antyfony: »Jestem na ziemi, nie by nienawidzić, ale miłować«.

R o ż k i.

Czy który z was przyglądał się rożkom u ślimaków i motyli? Te zwierzęta nie czekają, aż ich ciało zetknie się z jakimś przedmiotem, ale wysuwają już naprzód swe rożki o wiele czulsze niż całe ciało, i wiedzą z góry, do czego

się zbliżają. Nieraz myślę, że ludziom bardzo przydałyby się takie czułki, by nimi mogli wyczuć usposobienie ludzi, z którymi obcują i uniknąć ranienia na każdym kroku. Niedawno widziałem w tramwaju kobietę, którą musiało spotkać coś bardzo smutnego, bo miała oczy zapłakane i nie mogła łez powstrzymać nawet wobec ludzi. Naprzeciw niej siedziało dwóch chłopców; ci tręcali się łokciami i wpatrywali natarczywie w jej twarz. Nie mieli czułek; nie przyszło im wcale na myśl, że kobiecie musiało być bardzo nieprzyjemne to wpatrywanie się i że byłaby im wdzięczną, gdyby spoglądali gdzieindziej, lub udali, że nic nie widzą. Ręczę, że ci chłopcy tak samo wlepialiby oczy, gdyby wszedł garbaty do wagonu, lub pani z wąsami. Nie wiedzą bowiem o tem, że człowieka, u którego jest coś uderzającego w oczy, drażni, niecierpliwi, lub przejmują nieśmiałością, strachem myśl, by inni nie zwrócili nań uwagi. Wiedząc, jak obdarzają podobnego człowieka przez skierowanie swej uwagi w inną stronę, z pewnością tegoby nie robili. Ale brak im »czułek«.

Czyżby też człowiek zamiast rozków fizycznych mógł posiadać duchowych czułek? Gdyby n. p. ćwiczył się w poznawaniu wnętrza innych po oznakach zewnętrznych tak, jak Indyjanin umie z lekko nadłamanego źdźbła trawy rozpoznawać ślady stopy? Znam ludzi, wyczuwających z niezwykłą delikatnością nastrój i potrzeby bliźnich i postępujących stosownie do tego. Ale to bardzo trudna sztuka. Przypominacie sobie może króla Alcyonusza z Homera, który kazał śpiewakowi zamilknąć zauważywszy, że treść pieśni napełniła Odyseusza łzami? Tak działo się przed 3000 lat, a nasze duchowe czułki, jak się zdaje, od owego czasu nie tylko nie urosły, ale nawet zmarniały, bo nie chcemy znaleźć czasu na myślenie o bliźnim. U dawnych Egipcyan istniała taka zasada: »Nie śmieję się z płaczącym i nie płaczę ze śmiejącym się«. A u nas? Ileż razy psuliście humor we-

sołego towarzystwa zgryźliwą, płacziwą miną, albo drażniście ludzi zasmuconych zbyt głośną wesołością.

Codziennie życie nastęrcza mnóstwo sposobności, aby uczynić dobry użytek z rozków. Czy to ładnie i delikatnie pozostać w pokoju i słuchać, gdy ktoś łąje wasze rodzeństwo? Wynosząc się wówczas po cichu zrobicie bratu, siostrze prezent słodszy nad cetnar cukierków. Również ostrożnym trzeba być w rozpowiadaniu o swem szczęściu, swych przyjemnostkach, bo kto wie, czy słuchacz nie jest sam nieszczęśliwy, nie znosi niedostatku i dlatego odczuwa swój los z podwójną siłą. Gdyby ktoś powiedział: »ach jak to pięknie, mieć dobrą siostrę« w obecności kolegi, który sam przed kilku tygodniami utracił siostrzyczkę, udowodniłby, iż nie ma śladu poczucia, co innych rani i boli. Gdy dorośli kłócą się, powinno dziecko zawsze oddalić się, bo po opamiętaniu będą dorośli z pewnością sami gorzko żałowali, iż mieli świadka w chwili słabości.

Bardzo mało dzieci okazuje rodzicom należne względy i delikatność. Dobrej woli im nie brak, ale nie czują, czego rodzicom potrzeba. Niechaj dzieci wykształcą uczucie, aby zauważyć w porę, kiedy ojcu trzeba spokoju, kiedy matka jest rozdrażniona pracą domową i oszczędzić rodzicom hałasów, zanudzać pytaniami. Ciężko choremu również nie nie pomożemy, nie nauczywszy się z wyrazu twarzy odgadywać jego potrzeb. O braku lepszych uczuć świadczy także wyśmiewanie z łątanego ubrania, zbyt wielkich butów kolegów, bo dzieci niezamożnych rodziców rzadko mogą mieć nowe rzeczy i muszą zadowolić się znoszonemi. Kto się śmieje, nie ma delikatności jak i ten, kto wyśmiewa nędzarza, iż nie posiada pieniędzy.

O wiele ważniejsza rzecz posiadać na całe życie parę rozków, niż piękne łyżwy, lub rower. Co najlepsza, nic nie kosztują i nikt nie może ich ukraść.

UWAGI O KARANIU DZIECI.

1. Istota i znaczenie kary.

W obecnej chwili istnieje między teoretykami i praktykami prawa karnego ogromna różnorodność zapatrywań na uprawnienie, cel i rodzaj kary. Trudno zatem wdawać się w szerokie rozprawy z różnymi poglądami; dla wychowawcy wystarczy znać kilka prostych punktów wytycznych. Zadaniem kary jest uprzytomnić osobnikowi z naciskiem zasadnicze różnice w skutkach ludzkich postępów. Pewne uczynki oddziałują niszcząco na bliźnich, wkońcu zawsze na sprawcę. Ten jednak opanowany w zupełności wyobrażeniem chwilowych rezultatów, obiecujących wzmoczenie jego poczucia życia nie potrafi kierować wolą, chociaż zakaz zna. Dla podobnych ludzi i dla zabezpieczenia spokoju społeczeństwu potrzebną jest kara, dająca odczuć stronę odwrotną ich postępowania na własnym życiu: przez odmówienie, cierpienie, ograniczenie. Nie dzieje się to ze zemsty, ale z konieczności zapoznania takiego człowieka z obu stronami jego uczynków i dla ochrony przed samym sobą.

Prawdziwy postępek istoty karania polega nie na zniesieniu bolesnej reakcji, lecz że co do rodzaju kary bezmyślne męczenie, znęcanie się, zastępuje oddziaływanie na winnego, budzenie i pogłębienie zmysłu opamiętania. Wówczas odczuwa on karę jako wewnętrzną konieczność, lub przynajmniej napełnia się skruchą. Nasze prawo karne powinna odświeżyć nietylko zasada osobistego odszkodowania

na korzyść poszkodowanego, ale i idea dobrowolnej pokuty, naprawienia własnego występku wobec wyższego porządku życia, który został znieważony. Im więcej burzy się moralne poczucie społeczeństwa przeciw samemu zamykaniu do więzienia, tem konieczniej powinna ta zasada wejść w życie, przynajmniej wobec osobników, które zawiniły raczej z powodu namiętności, uległy przemożnej pokusie, niż dla nieuczciwości. Mały przykład: Od dłuższego czasu wiadano, że więzienie jest rzeczą szkodliwą i niepedagogiczną dla młodocianych przestępców, dlatego zaprowadzono przedewszystkiem w Ameryce t. zw. warunkowe zasądzenie obwinionych. Jakież był skutek? Pomiedzy chłopakami rozeszła się wnet wiadomość, że »przestępstwo jest dozwolone« i postępowali odpowiednio do tego. Sprawiedliwość popełniła błąd, bo zniósłszy starą formę kary, nie dała w jej miejsce nowej. Obwiniony nie poznał, że jego występki nie był czemś niewinnem. Tymczasem akt odpowiedniej ekspiacji okazałby w należytem oświeceniu wszystko: wielkość przekroczenia, niszczące zło podobnego postępowania i ujemne skutki dla własnej duszy. Rozpatrzmy taki wypadek: Dwóch praktykantów popełniło we fabryce kradzież. Właściciel nie chce ich wydać w ręce policji, bo wie, że więzienie uczyniłoby z nich istotnych złoczyńców. Wpada na myśl warunkowego osądzenia i postanawia ich przestrzedz: »Tym razem daruję, ale...« Wtem zaczynają budzić się w nim wątpliwości, czy nie rozluźni się karność we fabryce na wiadomość, że kradzież uszła bezkarnie. Zastanowienie zupełnie uzasadnione. Względność wyszłaby na szkodę młodych ludzi, czyn utraciłby odstraszący charakter. »Warunkowe« zagrożenie więzieniem domaga się koniecznie, celem uzupełnienia, nowej formy pokuty. Ale jakiej?

Włoscy prawnicy zażądali z naciskiem przymusu osobistego odszkodowania. Praktyczni Amerykanie poszli tą wskazaną drogą; t. zw. »probation officers«, t. zn. urzędnicy (nieraz kobiety) przeznaczeni do nadzorowania młodo-

cianych przestępców i »warunkowo zasądzonych« wpływają, aby chłopak przez posługi i inne prace naprawił wyrządzoną szkodę. Jest to jednak minimum ekonomicznego odszkodowania, a nie odpokutowanie szkody moralnej. Przestępca powinien bowiem obok materialnej odpłaty uczynić coś realnego dla moralnego porządku życia i w ten sposób oczyścić się wewnątrz. Celem lepszego zrozumienia wróćmy do poprzedniego przykładu: fabrykant powinien praktykantem oświadczyć, że oszczędzi im postępowania sądowego, jeśli się zobowiążą w ciągu kilku tygodni wykonywać ciężką pracę nadobowiązkową, a zarobione pieniądze przypadną nie im, ale robotniczej kasie wdów i sierot. Na tej drodze robotnicy we fabryce dojdą do przekonania, że kradzież nie uchodzi bezkarnie, rodzaj kary nie poniży przestępcy, owszem nałoży świadomość dobrowolnych trudów dla dobrej sprawy. Wielkie powodzenia armii zbawienia w odradzaniu upadłych opierają się właśnie o tę zasadę; sam pokutujący musi ratować innych. Możliwość więcej przytoczyć np. pielęgnowanie ciężko chorych, oddawanie im najuczciwszych posług przez przestępców, o charakterze niezepsutym w zupełności i okazujących szczerą chęć poprawy. Natomiast przy pierwszych przestępstwach nie powinno się nigdy być powolnym; owszem niech one pociągną za sobą dobitną »pamiętkę«.

Powyższe wytyczne należałoby zastosować do całego wychowania młodzieży. Nie pomogą ani brutalne środki kary, ani bezkarność, lecz surowość apelująca do najsłabszych uczuć i do rozsądku dziecka. Polecamy wszędzie, gdzie chodzi o przeciwdziałanie większym przewinieniom, trzymać się koniecznej pokuty, polegającej na wyrównaniu występku przez pracę pozytywną, przez dobrowolne ograniczenie, odmowę, aby wzmocnić te siły i popędy, które wykazywały pewne osłabienie. Uwzględnijmy kilka wypadków.

Chłopiec obchodzi się niegrzecznie ze służącą. Lepiej kazać mu zamiast bić i przezywać, pomagać słudze w pracy przez kilka dni. Chłopiec uderzył w twarz młodszego braciszka. Zbyt często następuje jako »równoważnik« policzek ze strony wychowawców. Chłopiec utwierdza się w mniemaniu, że na tym świecie silny kieruje słabego biciem do pożądanego celu. Tymczasem winny powinien dojść do świadomości swej winy przez pracę w kierunku wydelikacenia panowania nad sobą: czy przez pracę ręczną, wymagającą cierpliwości, czy przez milczenie, dobrowolny post itp. Pokutę niechaj dziecko samo wybiera; przy cięższych wykroczeniach niechaj przestępca zamiast bawić się czyta choremu koledze, wykona jakąś usługę na korzyść rodziny ubogiej itp. Przy jaskrawych wykroczeniach można dziecko skazać na wygnanie do osobnego pokoju, motywując wyraźnie stosunek tej kary do rodzaju przewiny: kto za wiele sobie pozwala, powinien dla przywrócenia równowagi nałożyć na siebie dobrowolne pozbawienie się wolności. Młodszym dzieciom wystarczy krzesło w pokoju, nazwane »krzesłem opamiętania«, na którem niegrzeczny musi przez pewien czas siedzieć zupełnie cicho i spokojnie. Jak oświadcza pedagog belgijski Demoor, jest powyższy środek nader skutecznym dla dzieci nerwowych, zwyrodniałych.

W wypadkach kradzieży należy najpierw zbadać motyw: czy niepohamowana chciwość, żądza przygód, czy inne namiętności były powodem. Pokuta nałoży powyższym skłonnościom z naciskiem odmowę, a sam fakt wyrówna niejako w sposób symboliczny np. przez dłuższe pozbawienie łakoci, pracę dla innych, ćwiczenia w cierpliwości itp. Niestety zbyt często za zuchwałę odpowiedzi rodzicom następuje jako kara policzek, co szczególnie niestosownem jest w takim wypadku, gdzie karzący jest osobiście »poszkodowanym«. Najodpowiedniejszym dla podobnego przestępcy byłoby zabronienie mówienia przy stole przez parę dni, lub jądanie w osobnym pokoju. Częste tłuczenie naczyń, tale-

rzy, szklanek, z powodu widocznej nieuwagi odpokutują dzieci najlepiej przez wzorowe ćwiczenia zręczności, przez jakąkolwiek pracę, wymagającą ścisłości w drobiazgach, a zapomniani da w cięższych wypadkach pożądany równoważnik uczenie się na pamięć wierszy, czy wzorowych ustępów prozaicznych.

Powyższe przykłady mają choć w części dać obraz zapatrywań autora na zasadę karania dzieci, streszczający się w idei pokuty, odpłaty. Naturalnie i tu trzeba zapobiegać mniemaniu, jakoby była możliwą istotną naprawa poważnej krzywdy. Takie zapatrywanie ułatwiłoby tylko wyrażanie krzywdy w przekonaniu, że później wszystko się naprawi. Nie — odpokutowanie jest jedynie wyrazem odwrócenia się winowajcy od dotychczasowej drogi: nadużyciu odpowiada ograniczenie, rozkoszy cierpienie.

2. Teorya kary Spencera.

Jak widać z powyższego nasze wywody nie zgadzają się z myślą Herberta Spencera o karaniu dzieci, wyrażoną w jego »Wychowaniu«, że mianowicie należy zawsze tak karać, aby kara uwidoczniała naturalne skutki złych uczynków, zamiast zastępować je sztuczną reakcją. Jeżeli dziewczynka zawsze się spażnia, każe na siebie czekać, będzie dla niej naturalną karą, że inni pójdą, a ją zostawią w domu. Gdy dziecko kłamie, nie wierzy się mu, gdy nie słucha, daje mu się odczuć naturalne konsekwencye nieposłuszeństwa, — takie kary nie rozgoryczają, wydają się jedynie sprawiedliwemi. Spencer powiada: »Czyż to nie jest jasne, że rodzice powinni dbać, aby dzieci poznały zawsze skutki swych postępów, reakcyje naturalne, zamiast by je odwracać, zaostrzać, lub wymyślać sztuczne skutki?« Pozornie teorya bardzo jasna — w rzeczywistości nader powierzchowna i niebezpieczna. Płynie ona z szeroko zakorzonego błędu współczesnych, iż miarą ludzkich uczynków powinna być obserwacya zewnętrznej natury, gdy tymczasem we-

wewnętrzna natura człowieka daje inne przepisy. Rzecz naturalna, że kłamcy nie wierzymy, niepunktualnemu każemy siedzieć, niemiłego odsuwamy, i bez wątpienia słuszna, że »w świecie« tak się postępuje, bo ludzie zbyt podlegają czy-
sto naturalnym popędom, a nie idą za głosem głębszej mi-
łości. Zupełnie fałszywym byłoby atoli przygotowanie dziecka do życia, gdyby z konieczności czyniono cnotę i zasadniczo występowało się wobec dziecka jako »człowiek natury«. Nieprawdą jest bowiem, że przez bezwzględne obejście można wychować człowieka względnego, przez odmówienie zaufania prawdomownego, przez wyrzucenie — dżentelmena. Można wywołać w ten sposób pewną ostrożność, wyrachowanie, ale siły wewnętrzne budzi się miłością i przykładem delikatnego obejścia. Gdy rodzice córkę niepunktualną pozostawiają w domu, może to być za ostrą karą, a samo pozostawienie wyda się jako wyraz niecierpliwości dorosłych, jako coś naturalnego, ale nie wzorowego. Córka na przyszłość będzie przezorniejszą, ale nie nauczy się względem drugich powolności, płynącej z potrzeby wewnętrznej. W myśl poprzednio rozwiniętych zapatrywań powinna w tym wypadku nastąpić koniecznie pokuta, ale nie jako czysto naturalna reakcja, lecz jako wynik głębszej obserwacji, co u dziecka trzeba wzmocnić. Córka zbłądziła dla wygody, potrzeba jej przyzwyczajenia do porządku, podziału czasu, pamiętania o innych. Dajmy jej więc kilka ćwiczeń; niechaj w oznaczonym czasie wykona zawiłą pracę, przez kilka dni wcześniej wstaje i skorzysta należycie z uzyskanego czasu. Będzie to i opieką mimo surowości i istotną pomocą wewnętrzną do punktualności, gdy inne postępowanie zakrawa co najmniej na tresurę. Również błędem jest karanie kłamliwości odebraniem zaufania. Bowiem tylko zaufanie sprzyja rozwojowi najlepszych stron człowieka, przekonanie, że od-
tąd się poprawi, a nie ostentacyjna niewiara, która zniechęca, czyni zatwardziałym. Osądzając zapatrywanie Spencera trzeba wreszcie uprzytomnić sobie, że wychowanie nie

może zupełnie kopiować naturalnych skutków ludzkich czynów, bo najgłębsze, najcięższe skutki polegają nie na zewnętrznych nieprzyjemnościach, ale na działaniu wewnętrznym. Tem samym myśl pokuty, jako oczyszczenia z ducha złego czynu daje o wiele wyraźniejszą świadomość tragicznego charakteru pozornie niewinnych przyzwyczajzeń i przewinień. Nie mam naturalnie na myśli żadnej drobnostkowości, bo już kilkakrotnie uzasadnialiśmy, że lepszym jest oparcie wychowania o dodawanie otuchy, bodźców, niż ustawiczne ganień, poprawianie, osądzanie drobnych przekroczeń. Nigdy nie wolno natomiast darować dziecku poważnych przewinień i niebezpiecznych przyzwyczajzeń.

3. Kara cielesna.

Wobec dzisiejszych poglądów o wolności i godności indywidualnej bicie jest o wiele większym poniżeniem, niż w czasach patryarchalnych. Jeśli ład społeczny ma polegać na szacunku i odpowiedzialności przed samym sobą, musi się tem konsekwentniej rozwijać te podstawy u młodzieży. Ponadto wykluczają karę cielesną następujące powody:

1) Względy higieniczne. Pominąwszy ciężkie uszkodzenia cielesne skutkiem policzkowań, bicia po głowie, szarpania za uszy, szczególnie u dzieci obciążonych musimy w nerwowem stuleciu postępować niezmiernie ostrożnie z wydelikacowanym układem nerwowym dziatwy. Sposób naszej pracy, tryb życia, cała wydelikacowana atmosfera kulturalna spowodowała mniejszą odporność nerwów przeciw zbyt silnemu wkroczeniu zewnętrznemu. Pomyślnie nieraz pozornie wyniki metody zastraszania i gwałtownych środków dyscyplinarnych przeważa dziesięciokrotnie następcza nerwowość i pobudliwość, która wyrządza dziecku szkodę fizyczną i pozbawia się do panowania nad sobą.

2) Względy moralno-pedagogiczne. Podstawą moralnego rozwoju i odrodzenia jest poczucie honoru i szacunku przed samym sobą. Niema większego poniżenia dla czło-

wieka, jak być bitym na wzór zwierzęcia. (Dr. Förster, który uczęszczał do jednego z berlińskich gimnazyów, wyznaje, że ze wstrętem wspomina o brutalnych scenach bicia aż do najwyższych klas). Wszyscy bijący wychowawcy niechaj czytają »Wspomnienia z martwego domu« Dostojewskiego, z których wynika, że przez karę cielesną giną resztki wyższych popędów w ludziach zdziczałych, a naodwrot obchodzenie ludzkie podnosi nawet ludzi, w których »wygasł obraz Boga«. Faktem jest, że największe zepsucie charakterów i brak karności szerzy się w szkołach, gdzie wiele biją. Złe skutki wynikają nie tylko z poniżenia godności ludzkiej, ale i z zarazy, jaką szerzy zwierzęce obchodzenie się; dzieci praktykują same metodę bicia, bo wyczuwają instynktownie brak panowania nad sobą u wychowawców. Do takich pedagogów o »skorej ręce« musimy niestety często zaliczyć rodziców, bijących dzieci zbyt pochopnie. W odpowiedzi na zarzut, że przecież z niektórymi wychowankami trudno poradzić sobie bez kija, zapytamy, dlaczego właśnie wychowawcy w specjalnych zakładach dla dzieci moralnie zaniedbanych, niemal we wszystkich krajach bez wyjątku zaniechali kar cielesnych? Przeczytajmy, co angielski »Journal of Education« pisze o »Maison paternelle« w Mettray, w którym leczą nawet rozpaczliwe wypadki. Bezwarunkowe wykluczenie kary cielesnej jest tu podstawą pedagogicznego powodzenia. Poczucie honoru, rozbudzanie szacunku przed samym sobą przypomina wychowankowi ukrytą w nim godność własną, o której może już zapomniał, lub nigdy nie wiedział. Czytajmy wyjątki z książki Belgijczyka Demoora p. t. »O wychowaniu dzieci zwyrodniałych«; usłyszymy i tu, że belgijskie szkoły dla »niekarnych« zniosły zasadniczo bicie, »które w Niemczech jest dozwolone i polecane«. Zajarzawszy do szkół ludowych w dzielnicach robotniczych miast Chicago i Nowy Jork zdziwimy się, jaka tam panuje kar-

ność, choć nie karzą cieleśnie.*) Zapytani, jakimi środkami utrzymują karność, odpowiadają nauczyciele i nauczycielki zazwyczaj: »Opinią publiczną klasy«. Sprzymierzają się całym sposobem swego wystąpienia z lepszymi czynnikami klasy i utrzymują porządek przy ich pomocy. Autorowi opowiadał nauczyciel ludowy z miasta fabrycznego, że już od dłuższego czasu zauważył poniżający wpływ bicia na dzieciach i na sobie samym. Raz przyszedł do niego prosty górnik i opowiadał mu, z jakim wstrętem spogląda na kij i że wszystkie dzieci wychował bez jednego uderzenia. Na drugi dzień po tem opowiadaniu zapowiedział nauczyciel klasie, że nie może i nie chce dalej bić, dla dobra swego i dzieci. Niechże więc mu same ten krok ułatwią i udowodnią, że bez kija będzie większy porządek, niż poprzednio. Wzruszającą miała być powaga, z jaką dzieci wysłuchały tego oświadczenia i powodów, jak się czuły uszanowanemi i jak istotnie ułatwiły wykonanie postanowienia.

*) W ostatnich czasach donosiły niektóre pisma o rażących objawach niekarności w szkołach ludowych pewnych dzielnic w Chicago, twierdząc, że amerykańskie koła wychowawcze zamierzają wobec tego wrócić do kija. Tymczasem rozchodziło się tu o wyjątkowe stosunki, panujące w kilku osławionych dzielnicach, zamieszkałych przez wychodźców greckiego i włoskiego pochodzenia, gdzie na gruncie ostatniej nędzy szerzy się zrozpaczony anarchizm. Dla młodzieży tak wzrastającej nie może naturalnie wystarczyć małeńka doza karności, obowiązująca dzieci prawdziwie amerykańskie. Potrzeba jej surowych środków porządkowych, ale tych na szczęście jest dosyć, z wykluczeniem kary cielesnej, by nie wychowawcy ułatwić naukę i zapewnić chwilowe powodzenie, ale ratować lepszą stronę natury wychowanków. Zresztą zdziaczałym uczniom niewiele pomoże bicie z powodu silnie rozwiniętego u nich ducha korporacyjnego, a zupełne zezwierżenie płynące z bicia, może grozić wprost niebezpieczeństwem ludzkiemu społeczeństwu.

ZAKOŃCZENIE.

Całym szeregiem praktycznych przykładów usiłowa-
liśmy okazać, o ile i według jakich metod możnaby nauką
budzić i rozwijać siły moralne i sąd moralny. Na zakończe-
nie pragniemy jeszcze ująć w całość wytyczne, stwierdzające
możliwość i niezbędność etycznej nauki dla młodzieży, a za-
razem rozprawić się z kilku zarzutami i trudnościami.

1. Szkoła życia.

Książka ta wychodzi z założenia, że nauka etyki może
przybrać realne kształty, jeśli nietylko uczy moralności, ale
zarazem dorastającym pomaga do niej: 1) Przez zaostrzanie
zmysłu spostrzegawczego w kierunku związków między przy-
czyną a skutkiem we własnym życiu młodzieży. 2) Przez
ćwiczenie współczucia i rozwijanie wyobraźni celem zrozu-
mienia konkretnych potrzeb bliźnich. 3) Przez odsłanianie
faktów z życia społecznego, stwierdzających różnicę między
dobrem a złem.

Często można słyszeć zdanie: »Życie wychowuje, a nie
nauka«. Maksyma powyższa ma pretensję do wielkiej głę-
bokości i odrzuca z góry pouczenia etyczne. A jeśli na-
uka etyczna obierze sobie za cel właśnie umożliwienie
»wychowania« istotnego człowieka »przez życie«, otwie-
rając oczy wychowanka na fakta i prawa życia, ułatwia-
jąc mu zetknięcie się z życiem, pomagając do należytego
rozumienia własnego doświadczenia, zdejmując mu z oczu
bielmo złądy, które nie pozwala widzieć żądań życia, jego

kar i nagród? Czyż mniemanie, że życie samo przez się wychowa każdego, nie jest grubym niezrozumieniem rzeczywistości? Gdyby to prawdą było, wszyscy musielibyśmy zostać wychowani, bo wszyscy żyjemy. Tymczasem świat roi się od naiwnych egoistów, bezmyślnych głupców, którzy dla braku doświadczenia utwierdzili się w swej przewrotności. Ileż znowu jednostronności, ciemnoty, goryczy znajdziemy u ludzi, których mogła należycie oszlirować szkoła życia, ileż przekleństw ciąży nad nimi tych, kosztem których się uczyli i jakże często oczy otwierają się, gdy okręt tonie, a szczątki cennych związków życiowych woda roznosi. Nawet cierpienia nie każdego człowieka oczyszczają; dają one korzyści tylko temu, kto ma w duszy skarb głębszych myśli pomagających, by cierpienie zużytkować na odbudowę i wzmocnienie swego życia wewnętrznego.

Do wychowawczego oddziaływania życia musi zatem przygotować pouczenie o rozumieniu istotnego życia, któreby raczej można nazwać »znajomością życia«, »nauką życia«, a nie »nauką moralności«. Podobna zachęta do należytego patrzenia na związki ludzkie jest ważniejszą od każdej innej nauki, bo ludzie popadają w kłopot dlatego, że nie umieją życia czytać. Nie widzą jego niezłomnych praw, nie umieją wyzyskać wewnętrznej pomocy do walki ze złemi skłonnościami, nie szukają winy własnych losów u siebie, dostrzegają tylko okrutny przypadek, obcy błąd, doświadczenie podsyca ich nienawiść, upór, zamiast skłonić do nawrócenia. Złe doświadczenia życiowe podtrzymują w nich wiarę w popolitość bliźnich, a w zapoznanie własnej szlachetności. Nie uznają błędów swego tonu i przyzwyczajają w obcowaniu z ludźmi, bo nie nauczyli orientować się we wewnętrznym życiu drugich. W rezultacie nie otrzymują nawet żadnych istotnych doświadczeń życiowych, bo nie widzą, o ile jakieś wydarzenie, zwrot ich losów jest wynikiem pewnych działań z ich strony. Któż nie przyzna, że życie tylko wtedy wychowuje, jeśli się umie czynić doświadczenia,

t. zn. jeśli się należyce określa stosunek istotnych wydarzeń do przyczynowego związku naszych własnych uczynków? Pomoc w rozumieniu życia jest tedy nieodzownym warunkiem prawdziwego wychowania przez życie.

Czyż nie byłoby w tem rozumieniu najwyższem zadaniem nauki etycznej wczesne rozwijanie u młodzieży zdrowego patrzenia na sprawy ludzkie? Dlaczegoż mamy obserwować tylko wzrost roślin, a nie wzrost przyzwyczajęń we wnętrzu człowieka, dlaczego stwierdzać najdrobniejsze działania w geologii, a nie w stosunkach między ludźmi, czemu szukać tylko klucza do rozwiązywania najtrudniejszych zadań matematycznych, a tak mało wiedzieć o zatargach ludzkich i o najprostszych środkach ich usunięcia? Gdzież wogóle pomoc starszego pokolenia, znaczniejsze doświadczenie życiowe, wzbogacone tradycją stuleci, pogłębione myśleniem zestawieniem, ma oddać się na służbę młodszemu pokoleniu, jeśli nie na tem polu? Jakże mało w rzeczywistości widzimy takiej pomocy, któraby młodzież mogła uchronić od błędnych kroków w zawodzie, w rodzinie, w społeczeństwie.

2. Znaczenie dobrego przykładu.

Nieraz już podnoszono z naciskiem wychowawcze znaczenie przykładu. Ale i na dobre oddziaływanie przykładu trzeba przygotowywać, nauczyć nań patrzeć. Mimo najszlachetniejszych przykładów wyrosło wielu ludzi dziedziczących, niewychowanych. Spoglądali na nie bezmyślnie, nie mieli świadomości zupełnego przeciwieństwa między własną istotą, a istotą drugich. Jeśli nawet uświadomimy dziecku przeciwieństwo między jego zachowaniem a przykładem dorosłych, nie damy jeszcze bynajmniej pobudki do naśladowania. Dziecko musi wiedzieć, dlaczego z pośród licznych przykładów ma ten naśladować a nie inny, trzeba mu uzasadnić jego głębszą wartość, a to jest znowu zadaniem nauki. Spodzielając się zbyt wiele od działania samego przykładu zapominamy, że wychowanek z pośród codziennych nie wybiera

przykładów wspaniałości, panowania nad sobą, altruizmu, lecz owszem przyswajają sobie instynktownie najpierw czynności i maniery, pozostające w najdotykalszej łączności z popędem samozachowawczym. Wzory poświęcenia są dla organizmu dziecka skazanego jeszcze w zupełności na obcą pomoc nieprzystępne, nie pobudzają do naśladowania. Instynktów altruistycznych mu nie brak, obudza je i rozwija już w młodym wieku nieraz życie rodzinne. Nie zapominajmy jednak, że właściwe wychowanie ma przygotować dziecko do stosunków i zobowiązań, w których dopiero później wzrośnie, że zatem dziś żądania i zakazy doń nie przemawiają tak, aby z własnego popędu pragnęło naśladować dobre przykłady dorosłych. Dziecię żyje terażniejszością, nie bierze tragicznie złych przyzwyczajęń, gdyż nie widzi ich skutków. Stąd trudność wychowania i konieczność pedagogiczna nieopuszczania się na sam przykład, lecz uzmysłowienia skłonności i przezwyciężeń w sposób bezpośrednio oddziaływujący na terażniejsze popędy i potrzeby dziecka. Z tego powodu nie należy przyznawać biografiami sławnych mężów i opowiadaniom treści moralnej tego ogniskowego znaczenia w etyce, jak się zazwyczaj dzieje. Miejsce ich na końcu a nie na początku etycznych omówień. Przez tendencyjne przedstawienie narzucamy wzór, który uczeń może w sposób konwencyonalny uznać, ale sam nie zrozumie jego wartości na podstawie swego doświadczenia życiowego. Opowiedzmy chłopcu o charakterze skłonny do kłamstwa historyjkę, gdzie przykład prawdomowności aż bije w oczy, a będzie ją uważał za bardzo przyjemną rozrywkę, ale nie zmieni osobistego zapatrywania na niemijanie się z prawdą. Nie pomieści mu się w głowie, dlaczego przy okazji nie wolnoby było kłamać. Posiadamy przecież tramwaje, wagony sypialne, parasole, kalosze i inne środki ku wygodzie i ochronie, cała dzisiejsza cywilizacja zmierza wogóle do tego, by życie uczynić przyjemnem. Skądże nagle ten upór, gdy kłamstwem można sobie wiele rzeczy ułatwić, bez szkody

dla drugich. Bardzo ładnie, że są ludzie o prawdopodobności bez zmyślenia, ale cóż to mnie może obchodzić. Przecież są ludzie chodzący pieszo, zamiast jechać tramwajem, obywateli się bez parasola, niepijący i niepalący, — czyż mam powodować się ich gustem?

Wobec podobnego argumentowania nie wystarczy sam przykład, trzeba dowodu, dlaczego przykład prawdopodobności jest wyższym od przykładu kłamstwa. Musimy więc szczegółowo uzmysłowić i uzasadnić, jak same prawa życia karzą duszę kłamcy, jak przez kłamanie tracimy ufność w samych sobie, że więc nie rozchodzi się tutaj o niewinny środek ułatwienia sobie życia, ale o rzecz, która narusza jądro ludzkiego charakteru. Odpowiadając na pytanie »dlaczego« czynimy więcej, niż gdybyśmy tylko argumentowali samą moralnością oportunistyczną, lubo ze względów pedagogicznych nie należy i jej bagatelizować, wygrywając głębszy pożytek moralności przeciw krótkowzrocznemu powodzeniu chwilowemu. Powiedzmy zatem, że kłamstwo daje przemijającą ulgę i wygodę, natomiast swymi skutkami narzuca człowiekowi pęta niewoli i powoduje niezliczone powikłania.

Cała taka nauka o życiu rzeczywiście jest niezbędną celem zapobieżenia, by z pośród różnorodnych przykładów życia i lektury nie wybrać właśnie takich, które pozornie i zewnętrznie zapewniają najwygodniejszą ścieżkę życia, w istocie zaś na dłuższą metę ściągają najbardziej niszczące skutki. Gdyby jednakowoż dziecko uznało nawet jakiś wzór za godny naśladowania, potrzeba i w tym wypadku duchowej pomocy. Musimy mu pokazać, jakimi środkami samowychowania można takie przeniesienie przykładu uskutecznić. Dziecko posiada inny temperament i inne siły wewnętrzne, słabości, niż ten, od kogo przykład wychodzi. Naśladowanie przykładu nie jest rzeczą tak prostą, jak kopiowanie obrazu, a przynajmniej jest kopią wykonaną w innym materiale i innymi środkami technicznymi, aniżeli oryginał. Pomijamy

to często, stawiając za wzór cierpliwości dzieciom pełnym temperamentu towarzyszy flegmatycznych, gdy tymczasem jednakowy wynik powodują w obu wypadkach zupełnie odmiennie pobudki i siły. Samo przez się rozumie się, że powyższe wywody nie odmawiają znaczenia przykładowi. Chcieliśmy tylko zaznaczyć, że dziecko samo nie przyswaja sobie z różnych przykładów, jakie widzi, najczystszych i najszlachetniejszych, owszem potrzebuje duchowego pośrednictwa, wyjaśnienia dla należytego osądzenia ich wartości wobec zasadniczych przykazań życia.

3. Przyrodzone zdolności a wychowanie.

W przysłowiu »Naturam expellas furca — tamen usque recurret« (naturę wykorzeniaj ogniem i mieczem — przecież się przebiję) streszczają się najsilniejsze i najpowszechniejsze wątpliwości w skuteczność wpływów wychowawczych. Dodajmy do tego pesymizm, wywołany teorią o dziedzicznym obciążeniu, który nie pozwala wierzyć, by w krótkim przeciągu czasu można indywidualność zmienić. W odpowiedzi musimy przedewszystkiem zwrócić uwagę na fakt, że znaczna część oddziaływań pedagogicznych nie zmierza bynajmniej do wykorzenienia pewnych złych skłonności, ile raczej do obudzenia i zupełnego rozwinięcia przez ćwiczenie dobrych. Poprzednie omówienia z dziećmi przewidywały też tylko dobrą wolę do miłości, panowania nad sobą, porządku itp. i wskazywały jedynie drogę i środki do okazania jej na zewnątrz. Nie można wychowania uważać przedewszystkiem za »wykorzenianie«, lecz za ożywianie przyrodzonych zdolności. Przez dodanie otuchy dobremu zamiera zło samo przez się. Tem samym jesteśmy już na drodze do drugiego, trudniejszego zadania wychowania, które polega na wygrywaniu zdrowych, szlachetnych skłonności przeciw mniej wartościowym, chorym, na rozsądnem stosowaniu prawa przyrody, iż przez używanie lub zaniedbanie można pewne siły rozwinąć, albo doprowadzić do zaniku. Zarzut, że przy-

rodzony charakter nie zmienia się, nie ma znaczenia dla wychowania, bo ta przyrodzoność jest bardzo skomplikowaną. Podział ludzi na dobrych i złych może być wyrazem naiwnej psychologii. Wszyscy głębsi psychologowie stwierdzają, że wiele pierwiastków niszczących może mieścić się w t. zw. dobrych duszach, a wiele cennych popędów w zupełnie zamkniętych. Widzimy stąd, w jak wysokim stopniu wpływy zewnętrzne warunkują, która strona przyrodzonego charakteru okaże się zdolną do rozwoju, a która zamrze.

W niższych warstwach pojawiają się, jak wiadomo, najczęściej zbrodnie. Czy dlatego, że tam przychodzi na świat więcej niższych charakterów? Chyba nikt nie będzie tego twierdził. Każdy wie, ile złego może tu wywołać środowisko i brak wychowania. W tym miejscu nasuwa się mimowoli teoria Lombrosa o »zbrodniarzach z natury«, mająca jeszcze wielu zwolenników, ale nie między znawcami życia więziennego z długoletniej praktyki. Według Lombrosa jest zbrodniarz szczególnym okazem antropologicznym, człowiekiem przeznaczonym z góry skutkiem przyrodzonej organizacji mózgu na zbrodniczość. Nie tu miejsce naturalnie, aby zwalczać we wszystkich szczegółach tę teorię, wystarczy zaznaczyć kilka momentów: Przedewszystkiem ani antropologia, ani fizjologia nie zdołały dotąd z naukową pewnością stwierdzić siedziby naszych moralnych zdolności w obrębie mózgu, dlatego też z pewnej psychicznej deformacji nie można wnioskować o istnieniu odpowiedniej wady moralnej. Już Virchow podnosił z naciskiem i nowsze badania Vogta stwierdziły fakt, że tkanki zwojów mózgu mają szczególną zdolność wzajemnego zastępstwa, t. zn. obejmowania czynności chorych, nierozwiniętych ognisk przez części zdrowe. A więc niszczenie, niedokształcenie pewnych części mózgu nie pociąga za sobą wstrzymania działalności dotyczących funkcji duchowych.

Wyniki uzyskane przez Vogta i Virchova mają dla wychowawców szczególne znaczenie. Nie powinni nawet

wobec ciężkich zbroczeń moralnych rozpaczają, bo mogą liczyć na rozwój zdrowych części mózgu, a stąd na odrodzenie całego życia wewnętrznego.

Zauważono też już nieraz, że ludzie moralnie podupadli i nierozwinięci niemal nagle nawracali się i zupełnie odradzali, gdy się udało wywołać u nich nowy motyw i działalność moralną do tego motywu nawiązać. Wychowawca musi więc przede wszystkim swe oddziaływanie przyoblekać w różnorodne kształty, odwoływać się do najrozmaitszych motywów, aby uczynić jak najmożliwszem prawdopodobieństwo rozbudzenia nienaruszonego jeszcze pola sił wewnętrznych i wyobrażeń, pole to przez ćwiczenie wzmacniać, stawiać mu wyższe żądania, nareszcie poruszyć znowu inne zakresy życia duchowego. Bardzo wiele moralnych zwyrodnień, przypisywanych złym przyrodzonym zdolnościom zawdzięcza rozwój tylko brakowi indywidualizowania w etycznym oddziaływaniu. Wychowanek miał szlachetniejsze porwy, ale nikt nie umiał odnieść się do nich należycie; poniechano go, bo na pewne ściśle oznaczone oddziaływania nie reagował, a nawet odczuwał je jako pogwałcenie swego indywidualizmu. Dlatego to w niektórych rodzinach nagle jeden członek wyradza się. Podobne zjawiska uważa się zwykle za potwierdzenie pedagogicznego pesymizmu i powiada: czyż ten chłopiec nie był tak samo wychowywany, jak drudzy, a więc czyż nie przyrodzone zdolności sprowadziły go na bezdroża? Zapewne, przyrodzone zdolności wykoleiły go z utartego toru, ale niewątpliwie posiadał też przyrodzoną zdolność, by należytą ścieżkę odnaleźć. Że tak się nie stało, zawiniło właśnie zbyt równe wychowanie, nie zastanawiające się nad tem, czy takiemu chłopcu nie trzeba było innych pobudek, zajęć, innych względów, niż rodzeństwu.

Weźmy np. pod uwagę chłopca o przyrodzonej zdolności do gwałtowności. Sceptyk powie: natury nikt nie zmieni. Ale czyż gwałtowność jest całą naturą? Układ nerwowy, wywołujący gniewliwą pobudliwość jest prawdopodobnie róż-

wnież podstawą pobudliwego współczucia. Ileż gniewu można z pomocą rozwiniętego współczucia ułagodzić, nawet mu zapobiedz. Tem samym posiadamy nową siłę do zwalczania gwałtowności; w chłopcu możemy obudzić poczucie, że wybuchanie gniewem, wściekłością jest oznaką słabości woli. Nie ulega wątpliwości, że należyte duchowe prowadzenie potrafi w młodym człowieku tak zorganizować przeciwdziałanie wobec niebezpiecznej skłonności, że skłonność zanika. Dowodem wiele wypadków, w których natury namiętne, łatwo pobudliwe wzięły ze swej słabostki stanowczą pobudkę do panowania nad sobą, niespotykanego nawet u ludzi spokojnych.

Przejdźmy do wypadku pozornie beznadziejnej skłonności do nieporządku. Sama kara i prawienie morałów nie zdadzą się na nic. Ale to nie dowód, że przypadek jest beznadziejnym i że dziecko musi stać się ofiarą tej skłonności. Sztuka wychowawcy polega na obudzeniu u dziecka zaufania do własnych sił moralnych, na powołaniu do walki lepszej strony natury przeciw błędnym nawyczkom. Gdy się rozchodzi o chłopca pełnego siły woli, którego pociąga heroicność, a obojętnym jest na drobiazgi życiowe, — należy przez odpowiednie powiązanie pojęć zjednać tę siłę woli właśnie ku panowaniu nad drobiazgami. Jeśli nieporządek płynie z ogólnej słabości woli, można dziecko zainteresować, by spróbowało słabość zamienić na siłę przez ćwiczenia porządku w jak najmniejszym zakresie. Gdy wreszcie chłopiec jest nieporządnym dla żywości fantazyi, która wolałaby nudne czynności obrócić na korzyść zabawy, lektury, obudzimy w nim przyzwyczajenie do porządku posługując się właśnie popędem do zabawy, ochotą do żywszej działalności na korzyść ładu.

Zbyt często w walce o przyrodzony charakter zapomina się o niezmiernem znaczeniu, jakie dla rozwoju, czy zaniku przyrodzonych sił i zdolności ma ich działanie, lub bierność i że wychowanie ma do czynienia właśnie ze sto-

sowaniem i regulowaniem tego rodzaju czynników rozwoju. Można to jeszcze wyjaśnić ze stanowiska biologicznego; biologicznie byłoby bezcelowem i doprowadziłoby do zaginięcia wszystkich istot żyjących, gdyby te w rozwoju ciała i czynności duchowych były zależne wyłącznie od dziedziczności. Dziedziczność przekazuje dalej rezultat dostosowań z przeszłości, — ale również koniecznem jest każdorazowe dostosowanie osobnika do szczególnych warunków jego życia i środowiska. Musi więc niejedno dziedzictwo z przeszłości być skazanem na nieużytek, a znowu niejedna nierozwinięta zdolność wysunąć się na czoło życia przez wzmożoną działalność. Do takiego doboru posiada przyrodzony charakter cały szereg możliwości. W przyrodzonym charakterze otrzymuje życie do dyspozycji mnóstwo różnych zdolności, by w miarę potrzeby wyzyskiwało jedne, inne skazywało na zmarnienie. Powolne doskonalenie się mózgu daje dość czasu do podobnego wyboru: prawdziwe ukształcenie charakteru zależy, obok wpływu dziedziczności, również od tego, które ogniska mózgowe są szczęśliwie czynne w latach wzrostu, a tem samem rozwijają się. Nawet doświadczenia fizjologiczne wykazały »pobudliwość funkcyjną« przy tworzeniu się mózgu. Berger zaszył powieki jednego oka nowonarodzonemu psu i przekonał się po kilku miesiącach, że te części mózgu, które przyjmowały wrażenia światła, a więc były czynne, miały liczne rozgałęzienia, natomiast części odpowiadające oku zamkniętemu nic się nie rozwinęły. Wychowanie musi więc w myśl powyższego przykładu regulować i dobrać świadomie funkcyjne podrażnienia, konieczne do rozwoju pewnych grup przyrodzonych energii. Główna metoda wychowania będzie tem samem zmierzała do zupełnego rozwinięcia motywów, prowadzących do pewnych moralnych czynności, jak panowanie nad sobą, pomoc itp., aby w ten sposób odpowiednie zdolności poczęły działać. Motywa nie potrzebują być koniecznie moralnymi, lecz »pomocniczymi«, przy budowie charakteru odgrywającymi rolę rusztowania.

O to odrazu wcale nie chodzi, jakie pojęcie pomocnicze doprowadzi dziecko do porządku, lub w jaki sposób wyrzeknie się chwilowej przyjemności; główną rzeczą pozostanie wprowadzenie w ruch dotyczących uzdolnień, a przez funkcyonowanie danie silnego podłoża fizyologicznego rozwojowi mózgu. Mimo powyższych wywodów nie myślimy zbyt optymistycznie o możliwości wychowania. Z olbrzymich trudności zdajemy sobie wyraźniej sprawę od wychowawców, chcących kształcić charakter upomnieniami, karami, wzorami godnymi naśladowania i przykładami odstrasżającymi. Ileż starannej obserwacyi domaga się żądanie, by naukę nawiązać konkretnie do własnego życia dziecka. Jak trudno nieraz rodzicom poznać życie własnych dzieci, jak mało mają czasu, cierpliwości i przedmiotowości, by zastosować powyższą metodę, jakże często brak im duchowej żywości do sprośnięcia temu zadaniu. A czy przepełnienie naszych szkół może przyczynić się do indywidualnego wychowania? Czyż jednak nie lepiej zamiast przysparzania wątpliwości tym trudnościom wykazać, że winę niewielkich wyników wychowania ponosi nie tyle opór przyrodzonych zdolności, ile powierzchowność metody wychowawczej, przedewszystkiem zaś brutalne, niezręczne, nielogiczne postępowanie wielu rodziców i nauczycieli, którzy za lada oporem chwytają się prawa mocniejszego, zamiast dla braku czasu i cierpliwości, wzwąć dzieci do współdziałania we własnem wychowaniu.

Ile można osiągnąć przez odrobinę koncentracji, pełnej miłości, oględności, do jakich dojść rezultatów przy stosownem wyszkoleniu dobrych skłonności przeciw złym popędom, nawet duchowym i moralnym zboczeniom, stwierdzają specjalne klasy dla dzieci nienormalnych, zaniedbanych i idiotów w Belgii, Ameryce, Francyi i Skandynawii. Dla ilustracyi wystarczy przytoczyć jeden przykład z broszury Spitznera »Psychiczne zboczenia dzieci szkolnych«. Autor mówi o chłopcu, który tak ciężko skaleczył się w skroń, że przez pół roku nie mówił, a po wyzdrowieniu w szkole

nie czynił niemal żadnych postępów w nauce. Pewnego dnia udało się nauczycielowi wydobyć z niego krótkie opowiadanie o wycieczce, która go niezmiernie interesowała. Przy pomocy spisał swe wrażenia z wielkim zadowoleniem. Odtąd zachęcano go do podobnych wypracowań, ożywienie, chęć do roboty wzrosła w sposób widoczny. Z rozbudzeniem poczucia siły wzmogło się u chłopca zaufanie do siebie, ożywiła się fizyonomia i rozwinął na wszystkich godzinach nauki dobrowolną, wytężoną uwagę. W pół roku później streścił podczas egzaminu wiersz ze zrozumieniem rzeczy i wplótł do wypracowania kilka samodzielnych uwag, — słowem okazał znaczny postęp i wkrótce stał się duchowo zupełnie normalnym. Uleczyła go zręczność wychowawcy, który umiał w sparaliżowanym życiu dziecka obudzić interes do produkcji duchowej i to przez nawiązanie zadań duchowych do wrażeń szczególnie pobudzających. Po wprawieniu w ruch samodzielności można było liczyć na wyzdrowienie, bo samo działanie czynności duchowych, doprowadzając silniej krew do wszystkich części mózgu, musiało zwolna uporządkować cały aparat. Wogóle przy postępowaniu z dziećmi nienormalnymi kierujemy się tą zasadą, że poczynając od zdrowych części mózgu odradzamy cały mózg.

Są dzieci moralnie zwyrodniałe, u których zdaje się zupełnie brakować zdolności panowania nad sobą skutkiem chorobliwej drażliwości, spowodowanej dziedzicznością, lub nabytymi zaburzeniami. I tu pomożemy, wyzyskując normalne, dobrze rozwinięte części mózgu do uporządkowania całego narządu nerwowego. Przez szczęśliwe skojarzenie wyobrażeń może wychowawca panowanie nad sobą wprowadzić w styczność z jakąś zdrową, wybitną skłonnością wychowanka, a tem samem obudzić moralną samodzielność. Podniosłe uczucie własnej siły, rosnący szacunek u bliźnich ożywi względnie szybko całego wewnętrznego człowieka; jedna zdolność pobudzi drugą. Gdy chodzi o brutalne skłonności, które trzeba zwalczyć, można spróbować, czyby nie

dało się obudzić zainteresowania troskliwym pielęgowaniem bliźnich, i w ten sposób puścić w ruch uczucie pieczołowości i niesienia pomocy. Samo objawienie się na zewnątrz takich instynktów altruistycznych ograniczy działalność skłonności niszczyielskich.

4. Otoczenie społeczne.

Na co zda się najlepsze wychowanie etyczne, gdy stosunki społeczne sprzyjają rozwojowi złego w zaczątkach, wszystko, co szlachetne, duszą w zarodku, a zapewniają powodzenie postępowania bez skrupułów? Uprzytomnijmy sobie niedostatek ekonomiczny, stan życia rodzinnego, nędzę mieszkaniową szerokich warstw ludu, przypatrzmy się walce konkurencyjnej, niezmiernym bogactwom, zbyt kownemu życiu wyższych sfer: co tu może znaczyć wychowanie? Czy nie należałoby najpierw zmienić stosunków społecznych, zanim przystąpimy do poprawy jednostek? Nikt nie zaprzeczy, jak daleko idące znaczenie posiada uzdrowienie społecznego otoczenia dla moralnej kultury jednostki. Ale kto ma przekształcić stosunki? Czyż w rezultacie instytucje społeczne nie są wiernem odbiciem ludzi, którzy je stworzyli? Czyż stworzenie nowych urządzeń społecznych nie jest tak trudnym dziełem porozumienia, pokonania samego siebie, najsurowszej sumiennosci, że nie obejdzie się przy niem bez współpracy wychowania? Co pomogą najlepsze urządzenia, gdy dostaną się w ręce ludzi niewychowanych, nieokiełzanych? Zadaniem wychowania i warunkiem wszelkiej prawdziwej, rzetelnej reformy społecznej jest wykształcenie we wszystkich klasach warstwy kulturalnych pionierów, pogłębianych etycznie.

Musimy uwydatnić jeszcze jeden moment. Aczkolwiek ważnym jest zwrócenie uwagi na zależność jednostki od społecznego środowiska, bo ze znajomości tych wpływów wynika ich coraz większe ograniczenie, to znowu niebezpiecznym jest wysuwanie tej zależności na naczelne miejsce,

zamiast zogniskować wzrok człowieka na jego osobistych siłach oporu wobec środowiska. Jednostronne zaznaczenie zależności człowieka budzi bierny nastrój życiowy, który ostatecznie paraliżuje, zniechęca energię, mającą na celu przekształcenie stosunków niebezpiecznych. Literatura naturalistyczna czyni człowieka bezsilnym niewolnikiem popędów i skłonności; tak samo istnieje dzisiaj pewien rodzaj piśmiennictwa społecznego, który ucisk stosunków przenosi na charakter, mimo wielkich słów o godności i prawach ludzkich człowieka zniechęca i pozbawia najwyższego dobra: prawa stania się silniejszym od środowiska. Po wszystkie czasy będą zewnętrzne stosunki życiowe stawiały w jakiegokolwiek formie opór ludziom wyższych dążeń, a słabych wodzić na pokuszenie. Jeśli wychowanie nie wyćwicy od zarania woli, nie nauczy wyswobadzać się z pod tyrańskiej władzy środowiska, gdy ją uspi ciągle powtarzana baśń o wszechmocy stosunków, — wówczas nie da się nigdy na świecie pomyśleć środowisko, w któreby człowiek nie znalazł powodu, by pofolgować swej słabości i swego lepszego »ja« po trzykroć się nie zaprzeć.

5. Patologia a wychowanie moralne.

Poprzednio mówiliśmy o przeszkodach kształcenia, których ze stanowiska fizyologicznego nie można nazwać chorobliwymi, a które przecież pod względem etycznym są zgubne. Musimy jeszcze pokrótce rozpatrzeć się w doniosłości i znaczeniu etycznego oddziaływania na stany istotnie patologiczne. W XIX stuleciu powstała pedagogiczna patologia, zajmująca się badaniem i ujęciem w system chorobliwych przeszkód w wychowaniu młodzieży. Nowa umiejętność ma bezsprzecznie wielkie znaczenie, bo poucza rodziców i wychowawców o słabościach i błędach dzieci, wywołanych chorobliwym stanem organizmu, przede wszystkim układu nerwowego, a więc nadających się do postępowania leczniczego, a nie dyscyplinarnego. Przecież w tej patologii

tkwi wcale poważne niebezpieczeństwo. Ze zbyt lekkim sercem nie docenia się leczniczego i higienicznego znaczenia wpływów etycznych, właśnie co do patologicznych stanów i nie chce się widzieć, że dla nerwowych zaburzeń pobudka moralna i duchowa jest tak samo ważną i skuteczną, jak pomoc fizyczna. Wobec nader zawiłego stosunku całego układu nerwowego do duchowego świata człowieka ma ogromną doniosłość mobilizacja ducha przeciw stanowi nerwowemu. Zaniechać tego środka leczniczego z odwołaniem się na przymusowy stan patologiczny, można tylko z największą ostrożnością, co stwierdzają dzisiaj coraz dobitniej sami lekarze. Zasada »on nie winien temu, bo jest patologiczny« doprowadziłaby do najcięższych błędów pedagogicznych. Właśnie w obrębie trudności patologicznych musimy siłę samokrytyki i samozachowania raczej podwoić, niż zmniejszyć, a chociaż moralne wpływanie musi naturalnie powstrzymać się bardzo troskliwie od metod zaczepnych i podrażniających, to przecież nie może obniżyć bezwarunkowo powagi swych żądań co do samokarności.

Zagłębiwszy się w tych kwestjach i rozpatrzywszy w błędnych ścieżkach jednostronnych teorii, popadających z jednej ostateczności w drugą, i pozostawiających zwykle wychowawcę w zupełnej niepewności, musimy mimo woli uznać niedościgłe zdrowie, mądrość i znajomość życia w duchu biblii. Pojmowanie człowieka ze strony ducha, a nie materii, obrazy i symbole biblii prowadzą nas do tej zasadniczej prawdy w postępowaniu z ludźmi, że człowieka należy pojmować ze strony wyższej, a nie niższej. Opowiadanie o raj utraconym przypomina, że człowiek pochodzi nie od samej materii, lecz stanowi jedność z najwyższym światem ducha; odpadł od niego pod wpływem ciała, ale powinien go odzyskać w szkole życia społecznego. Oby każdemu pedagogowi przyświecało to światło w chaosie stosunków ducha do ciała; niech nie zapomina o pielęgnowaniu ciała,

ale ponadto budzi przedewszystkiem ducha i rozpoczyna od siły i przeznaczenia ducha w świecie cielesności.

Zbierając jeszcze raz poniżej wszystkie punkta, odnoszące się do kwestyi patologii w wychowaniu, chcemy wykazać, na czem polega lecznicze i higieniczne znaczenie wpływów etycznych na tem polu.

1. Wychowanie w panowaniu nad sobą wiele znaczy dla natur nerwowych, bo inaczej wyłamują się dotyczące ogniska nerwowe z pod kontroli rozsądku. Że zaś właściwie, całe działanie procesu życiowego zależy od zdrowia i siły »unerwienia«, z najwyższą siedzibą w mózgu, zapewnia wzmocnienie kontroli mózgu, duchowe władztwo nad człowiekiem zmysłowym bezpośrednio — zdrowie.

2. Wszystkie wyobrażenia, uzdolniające dziecko do głębszego rozumienia bliźnich, do niesienia im pomocy mimo słabości i bezwzględności, oddziałują również uspokajająco na cały układ nerwowy. Znaczna część dzisiejszej nerwowości pochodzi z zupełnego braku pojęć pomocniczych, mających na celu złagodzenie, lub usunięcie wzajemnych zderzeń między jednostkami.

3. Wychowanie w miłości bliźniego, przyzwyczajanie do oddawania usług, budzenie zainteresowania losami współbraci tak samo działa kojąco. Wiele wypadków skłonności do hypochondryi możnaby zwalczyć, przyzwyczajając wczesnie dzieci do życia i pracy dla innych. Nawet notoryczne choroby umysłowe leczą nowsi psychiatrzy drogą etyczno-duchową, uwagę pacjenta kierując na nowe obowiązki względem drugich.

4. Niszczące działanie na nerwy wielu złudzeń i ciósów losu znacznieby zmalało, gdyby dotknięty osobnik był wcześniej i w porę nauczył się użytkować przeciwności do odbudowy i wzmocnienia własnej osobowości.

5. Wychowanie w dobrowolnem ograniczeniu się, zaparciu, unikanie zawiłych potrzeb życiowych zabezpiecza przeciw rozrostowi skłonności do nerwowości i przeciw konfliktom. Zbyt wiele potrzeb czyni człowieka zawsze niespokojnym i niezadowolonym.

6. Wychowanie w prawdomowności ma również znaczenie lecznicze, bo, jak się wyraził jeden znany lekarz chorób nerwowych, nie tak łatwo staje się wówczas człowiek ofiarą stanów chorobliwych, których istotę symptomatyczną tworzy skłonność do przesady i łudzenia.

7. Wychowanie do pracy wreszcie wywiera według jednomyślnego zdania wszystkich lekarzy jak najkorzystniejszy skutek na układ nerwowy, choćby dlatego, że człowiek zapomina o sobie samym. By jednak praca wydała owoce, nie może być wykonywaną ze wstrętem; na to potrzeba zaś »pedagogiki pracy«, któraby w młodzieży pielęgnowała i duchowo ożywiała pobudki do pracy. Wszelkie przeciążenie wywoła naturalny skutek odwrotny, jak znowu istnieją stany nerwowe, gdzie napięcie wszelkich sił daje jedyną drogę do wyzdrowienia.

6. Przyszłość nauki moralności.

W ciągu bieżącego stulecia zajmie niewątpliwie nauka etyki wybitne stanowisko w całym szkolnictwie. Należy tylko niezmiernie ubolewać, że sprawa czysto pedagogiczna została porwaną w wir walki między kościelnymi a przeciwkościelnymi zapatrywaniem. Pomimo wszystko konieczność pogłębienia, rozszerzenia moralno-wychowawczej teorii i praktyki jest gwałtowną. Czy radykaliści, jak np. we Francji, skorzystają z nauki etyki, by na jej podstawie uważać za zbyt liczne i przestarzałe duszpasterstwo Kościoła, czy zbyt gorliwi na punkcie religijnym wyznawcy, zrażeni radykalnymi pretensjami będą odnosili się do moralnej pedagogiki z pewnem uprzedzeniem, czy też nie — sam fakt pozostanie niezbitym, że we wszystkich państwach i gminach o różnych

wyznaniach będą musiały państwowe szkoły z coraz większą konsekwencją zmierzać do zupełnej neutralności wobec kwestyi wyznaniowych, pod niedającym się powstrzymać naporem żądań równouprawnienia wszystkich wyznań. Z tej neutralności wyniknie konieczność wprowadzenia omówień czysto etycznych, które religijną sankcję moralności pozostawia nauce religii, a same podadzą etykę stosowaną i znajomość życia. Pierwszy krok w tym kierunku został już uczyniony w niektórych państwach (np. w Niemczech) przez wprowadzenie do planu nauki regularnych pouczeń o alkoholizmie i o niebezpieczeństwach płciowych. Rosnące zdziwienie młodzieży we wszystkich warstwach, wzrost samobójstw i zbrodni u małoletnich, rozluźnienie życia rodzinnego daje dosyć powodu do poważnego zastanowienia się nad takim konkretnym oddziaływaniem.

Jednakowoż współpracujący nad sformułowaniem takich pouczeń etycznych muszą zawsze podnosić z naciskiem, że sama nauka moralności wymaga nieodzownie uzupełnienia przez głębsze religijne wykształcenie, a nigdy nie zdoła go w zupełności zastąpić. Z postępowaniem praktyki na tym trudnym polu muszą wszyscy dojść jednogodnie do tego przekonania. Wówczas zniknie też niedowierzanie kół kościelnych przeciw początkom; owszem pojmą one chętnie, że dla kościelnego duszpasterstwa jest rzeczą niezmiernie ważną towarzyszenie duszom w różnorodnych konkretnych konfliktach współczesnego życia, zużytkowanie doświadczeń zebranych z codziennej szarzyzny do obudzenia samowychowania, do budowy i podpory charakteru dziecka.

Nigdy może nie dbano tyle o pielęgnowanie ciała, co dzisiaj. Tysiące badaczy walczy z zarazkami chorobotwórczymi, mnożą się sanatoria dla wszelkiego rodzaju chorób, wzrasta komfort higieniczny, medycyna czuwa nad wszystkimi warunkami życia, tworzą się stowarzyszenia zarządzające kąpiele słoneczne i powietrzne. A nerwowość rośnie we wszystkich cywilizowanych krajach z niezmożoną siłą,

jakby na świadectwo, że ludzie poczynają cielesnie słabnąć wobec wymagań życia, że odmawiają posłuszeństwa zasadnicze siły organizmu. Jak to tłumaczyć? W znacznym, nie mającym niestety dotąd dość uznania stopniu tem, że dzisiejszy człowiek ze zbytnej trwogi o zbawienie ciała, zapomniawszy najzupełniej o zbawieniu duszy. A zdrowie jest stokroć bardziej sprawą duszy niż nasze stulecie nauk przyrodniczych chce przyznać. Nic nie może być niezdrowszego dla całego człowieka od stanu »modernistycznej« duszy. W sztuce, literaturze, życiu podniosła broń przeciw naturze. Wystarczy przeczytać kilka powieści, przyjrzeć się bezgranicznej »self-indulgence«, z jaką uważa się każdą pasję za los nie dający się odwrócić. Pod tym względem ma Nietzsche głęboką rację: »Wolny człowiek jest zawsze wojownikiem!« Zaiste wojownikiem, ale nie z współbraćmi, lecz w walce z siłami przyrody, z tyranią instynktów, ze wszystkim, co jest słabego, tchórzliwego, pospolitego w jego własnym wnętrzu.

Niechże ta książka dopomoże do obudzenia w młodym pokoleniu samodzielności ducha wobec natury i losu.

T R E Ś Ć .

	str.
Przedmowa	V
Wstęp	1
Etyczne wskazówki dla poszczególnych przedmiotów nauki	20
Odkrycia i wynalazki	20
Spętany Prometeusz	23
Szkoła a pedagogika moralna. Wychowanie w domu	33
Nauka religii a nauka moralności	42
Spór o pierworodztwo	47
Moralno-wychowawcze próby	60
Ameryka str. 60. 1) Szkoła Tow. etycznej kultury w Nowym Jorku str. 60 — 2) Pedagogika moralna w prowadzeniu i w karności szkolnej str. 66 — 3) Nauka moralności dla młodzieży robotniczej str. 72 — 4) Kształcenie charakteru a szkoła publiczna	75
Anglia	76
Francya	81
Szwajcarya	85
Przykłady do stosowania przy nauce moralności	90
Samoistność str. 92 — Głuchoniemi	92
Panowanie nad sobą str. 95 — Czy jest potrzebnem panowanie nad sobą? str. 97 — Zły humor str. 100 — Drogocenne skrzypce str. 101 — Jak odpłacać za złe str. 103 — Ujarzmienie sił przyrody przez człowieka str. 105 — Największa siła str. 108 — Jak panować nad samym sobą str. 110 — Skąd się bierze kradzież?	114
Przyzwyczajenia	116
Zalety i wady przyzwyczajzeń str. 116 — Porządek str. 119	
Kłamstwo str. 122 — Nic się nie ukryje pod słońcem str. 124 — Wiarogodność	126

	str.
Poznanie samego siebie	130
Wartość poznania samego siebie str. 131 — Grecka świętynia	133
Odkrycia	135
Pod ziemią str. 137 — Służąca str. 139 — Cerowane spodnie str. 143 — Same drobiazgi str. 145 — Na cmentarzu	147
Życie społeczne	149
Co mnie to obchodzi? str. 150 — Ojczyzna	152
Odpowiedzialność	153
Czy mam być stróżem brata swego? str. 154 — Mała śruba	156
Wychowanie w samodzielności	159
Małpowanie str. 161 — Samodzielność str. 163 — Ulicznicy	166
Ratowanie	170
Ratowanie pijaka str. 171 — Skrzynia z odpadkami str. 172 — Poczwarka str. 173 — Malarz str. 174 — Gra na skrzypcach str. 175 — Dwunastu braci str. 175 — Łzy żalu str. 177 — Ludzie nieprzyjemni	180
Rodzice i dzieci	181
Formy i maniery str. 182 — Matka str. 184 — Gdy ojciec potknie się str. 186 — Uszanowanie str. 188 — Dobrowolne posłuszeństwo	193
Oddziaływanie naszych uczynków na nas samych	197
Pokusa str. 200 — Nieuczynni i chciwi str. 202 — Najmniejszy kawałek str. 203 — Niszczenie roślin	204
Psychologia i pedagogika pracy	205
Na co pracujemy? str. 210 — Czego można nauczyć się przy pisaniu	212
Ochrona słabych	217
1) Argument biologiczny str. 218 — 2) Nietzschego »Przewartościowanie wszystkich wartości« str. 220 — Niebezpieczeństwo siły str. 224 — Jak pomagać słabym str. 226	
Walka z nauczycielem	229
Miłość bliźniego	231
Postępowanie z gwałtownikami str. 233 — Siostra miłosierdzia str. 234 — Orędowniczki str. 236 — Rożki	237
Uwagi o karaniu dzieci	240

	str.
1) Istota i znaczenie kary str. 240 — 2) Teorya kary Spencera str. 244 — 3) Kara cielesna	246
Zakończenie	249
1) Szkoła życia str. 249 — 2) Znaczenie dobrego przykładu str. 251 — 3) Przyrodzone zdolności a wychowanie str. 254 — 4) Otoczenie społeczne str. 261 — 5) Patologia a wychowanie moralne str. 262 — 6) Przyszłość nauki moralności	265



31809/

1